

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 5

CZARNOKSIĘŻNIK

Z PÓŁNOCY

Rangers Apprentice. The Sorcerer in the North

Tłumaczenie

Dorota Strukowska

jaguar



*Dla Lyn Smith,
za lata wspierania i zachęty.*

ARALUEN, PICTA I CELTIA

ROK 643 WSPÓLNEJ ERY



Rozdział 1

Wiedział, że na północy wczesne zimowe wichury gnają przed sobą deszcz i pchają morskie fale, by rozbijały się o brzeg, śląc wysoko w powietrze białe kłęby wodnej mgiełki.

Tutaj, w południowo-wschodnim zakątku królestwa, jedynymi oznakami nadciągającej zimy były łagodne obłoczki pary, unoszące się nad nozdrzami jego dwóch wierzchowców. Niebo było kryształowo niebieskie, prawie idealnie bezchmurne, a słońce ogrzewało ramiona. Pewnie mógłby przysnąć w siodle, pozostawiając Wyrwijowi swobodny wybór drogi, ale lata spędzone na ćwiczeniach oraz zaprawianiu ciała i umysłu w surowej, bezwzględnej dyscyplinie nigdy nie pozwoliłyby mu tak sobie pobłązać.

Will uważnie przeszukiwał wzrokiem otoczenie; najpierw od lewej do prawej, później od prawej do lewej, tuż obok i daleko na horyzoncie. Niewtajemniczony obserwator nigdy by nie zauważył tego bezustannego ruchu oczu, bo głowa Willa pozostawała cały czas nieruchoma. To także brało się z ćwiczeń: widzieć, nie będąc widzianym, i dostrzegać, nie zostając dostrzeżonym. Will zdawał sobie sprawę, że ten akurat rejon królestwa jest stosunkowo bezpieczny. Właśnie dlatego otrzymał przydział do lenna Seacliff. Żaden świeżo upieczony, dopiero co mianowany zwiadowca nie zostałby skierowany do któregoś z punktów zapalnych królestwa. Will uśmiechnął się pod nosem, rozważając w myślach plusy i minusy obecnej sytuacji. Perspektywa objęcia pierwszego samodzielnego posterunku onieśmiała, nawet bez zamartwiania się o możliwe najazdy czy rebelie. Będzie zadowolony, jeżeli upora się ze wszystkim tu, w tej spokojnej prowincji.

Uśmiech zgasł na wargach Willa, gdy jego bystry wzrok wyłowił, niezbyt daleko z przodu, coś, co skrywały wysokie trawy pobocza drogi.

Postawa zwiadowcy niczym nie zdradzała, że cokolwiek zauważył. Ani nie zeszywniał w siodle, ani nie uniósł się w strzemionach, żeby przyjrzeć się dokładniej, choć tak właśnie postąpiłaby większość ludzi. Wręcz przeciwnie, zdawało się, że jeszcze bardziej niedbale przygarbił się w siodle - na pozór zupełnie obojętny. Lecz jego oczy, skryte w głębokim cieniu pod kapturem peleryny, wyostrzyły uwagę. Coś się poruszyło, był tego pewien. W wysokiej trawie dostrzegł strzępki czerni oraz bieli - kolorów zupełnie nie na miejscu wśród szarzejących zieleni lata i rudych brązów nadchodzącej jesieni.

Nie tylko on wyczuł, że coś jest nie tak. Wyrwij zastrzygł uszami, zarzucił łbem,

potrzęsnał grzywą, wydal stłumione rzenie. Will nie tylko je usłyszał, ale i poczuł w baryłkowatej piersi konia.

- Widzę - mruknął cichutko, dając znać, że sygnał został zauważony.

Uspokojony głosem Willa, Wyrwij uciszył się, chociaż uszy wciąż miał nastawione i czujne. Juczny podjezdek, z ulgą człapiący za nimi, nie wykazał żadnego zainteresowania zmianami w okolicy. Ot, zwyczajna chabeta, a nie wytrenowany wierzchowiec zwiadowcy. Nie taki jak Wyrwij.

Wysoka trawa znów się zakołysała. Will dostrzegł zaledwie nieznaczne poruszenie, lecz nie było przecież wiatru, który mógłby je spowodować; inaczej z końskich nozdrzy nie buchałyby swobodnie obłoczki pary. Will lekko poruszył barkami, upewniając się, że trzyma kołczan w pogotowiu. Potężny długi łuk leżał mu na kolanach, z cięciwą naciągniętą na łączysko. Zwiadowcy nie podróżowali z łukami przewieszonymi przez ramię. Nosili je gotowe do błyskawicznego użycia. Zawsze.

Serce biło mu nieco szybciej, niż normalnie. Podejrzany obiekt znajdował się teraz ledwie trzydzieści metrów z przodu. Przypomniawszy sobie lekcje Halta: „Nie skupiaj się na oczywistościach. Ktoś może chcieć, żebyś zobaczył to, co on chce żebyś zobaczył, a wtedy przeoczysz coś innego”.

Will zdał sobie sprawę, że całą uwagę skoncentrował na wysokiej trawie pobocza drogi. Jego spojrzenie znów prędko zlustrowało lewą i prawą stronę, sięgając linii drzew, rosnących o mniej więcej czterdzieści metrów od drogi, po każdej stronie. Być może jacyś ludzie kryli się w cieniu, gotowi zaatakować, kiedy jego uwagę rozproszyło owo coś, co zaległo w trawie na skraju traktu. Rabusie, banici, najemnicy, kto to może wiedzieć?

Nie wypatrzył niczego w oddali, a kiedy odwrócił się, żeby poprawić jakby od niechcienia wodze jucznego podjezdka, nie dostrzegł niczego również i za sobą. Jeszcze bardziej uspokajał fakt, że Wyrwij nie wysyłał żadnych dodatkowych sygnałów. Gdyby jacyś ludzie chowali się wśród drzew, konik by go ostrzegł.

Will trącił Wyrwija kolanem. Konik zatrzymał się w jednej chwili, juczna chabeta wlokła się jeszcze kilka kroków, nim wzięła przykład z towarzysza. Prawa ręka Willa pewnym ruchem sięgnęła do kołczana, wybrała strzałę i osadziła ją na cięciwie w niecałą sekundę. Zwiadowca ściągnął ramiona, zrzucając kaptur. Wiedział, że długi łuk, mały kosmaty konik i charakterystyczna szaro-zielona cętkowana peleryna pozwolą każdemu obserwatorowi zidentyfikować go jako zwiadowcę.

- Kto się kryje? - zawołał, lekko podnosząc łuk; strzała już czekała, osadzona i gotowa.

Lecz nie spieszył się z naciąganiem cięciwy. Jeżeli ktokolwiek kulił się w trawie,

musiał wiedzieć, że zwiadowca potrafi naciągnąć, wystrzelić i trafić w cel, zanim on zdołałby uczynić dwa kroki.

Żadnej odpowiedzi. Wyrwij stał spokojnie, nauczony, by tkwić nieruchomo, jak skała, na wypadek gdyby jego pan musiał strzelać.

- Pokaż się! - krzyknął Will. - Ty tam, w czerni i bieli. Wyłaż.

Przez głowę przemknęła mu zabłąkana myśl, że zaledwie parę chwil temu, rozmarzony, postrzegał to miejsce jako spokojny zakątek na uboczu. Nie spodziewał się zasadzki ze strony nieznanego wroga.

- Daję ci ostatnią szansę! - zawołał. - Pokaż się albo poślę strzałę!

I wtedy coś usłyszał. Cichy jękliwy dźwięk: bolesne skomlenie cierpiącego psa. Wyrwij też usłyszał owo skomlenie. Uszy mu zafalowały, zarżał niepewnie.

„Pies?“, pomyślał Will. Być może zdziczały, przyczajony do ataku? Odrzucił tę myśl niemal w tej samej chwili, w której przyszła mu do głowy. Dziki pies nie wydawałby żadnych odgłosów, żeby go ostrzec. Poza tym dźwięk, który usłyszał, oznaczał skomlenie z bólu, a nie warknięcie czy ostrzegawczy gniewny pomruk. Will podjął decyzję.

Płynnym ruchem wyciągnął lewą stopę ze strzemienia, przerzucił prawą nogę nad łąkiem siodła i lekko zeskoczył na ziemię. Zsiadając w ten sposób z konia, pozostawał przez cały czas zwrócony twarzą w stronę potencjalnego zagrożenia. Ręce zachowywał wolne, gotów w każdej chwili oddać strzał. Gdyby zaszła potrzeba, zdołałby wypuścić pierwszy pocisk w tym samym momencie, w którym jego stopa dotykałaby ziemi.

Wyrwij parsknął raz jeszcze. W chwilach niepewności, takich jak ta, konik wolałby, aby jego pan bezpiecznie siedział w siodle. W razie potrzeby Wyrwij reagował natychmiast. Chyży wierzchowiec mógł błyskawicznie unieść jeźdźca z dala od niebezpieczeństwa.

- Wszystko w porządku - Will uspokajająco szepnął do ucha konika. Cicho ruszył naprzód, trzymając łuk w pogotowiu.

Dziesięć metrów. Osiem. Pięć... Już wyraźnie dostrzegał czarno-białe plamy wśród suchej trawy. Zauważył coś jeszcze: matowobrunatne plamy skrzepłej krwi oraz intensywną czerwień świeżej rany. Znowu rozległo się skomlenie. Will ostatecznie zrozumiał, co go zatrzymało.

Odwrócił się, ręką dał znak Wyrwijowi: zagrożenia brak. Konik podbiegł do swego pana klusem. Odłożywszy łuk na bok, Will uklęknął obok spoczywającego w trawie rannego psa.

- Co się stało, mały? - odezwał się łagodnie. Słyszając głos, pies obrócił łeb, a potem znów zaskomlał. Will dotknął zwierzę delikatnie, przypatrując się długiej, krwawiącej ranie w

jego boku. Rozdarcie skóry zaczynało się za lewą łopatką i biegło aż do tylnej łapy. Gdy pies się poruszył, z rany wypłynęła kolejna obfita strużka świeżej krwi. Zwierzę leżało na boku, wyraźnie wyczerpane. Przepelniał je ból.

Owczarek. Należał do rasy hodowanej w przygranicznym regionie północy. Owczarki pochodzące stamtąd słynęły z inteligencji oraz z wierności. Tułów psa był czarny, ze śnieżnobiałym kołnierzem, okalającym szyję oraz pierś. Miał puszysty ogon, na końcu rozbielony i białe łapy. Łeb porastały kępki czarnego futra, jak gdyby naciągnięto na zwierzę kaptur; uszy miał czarne, a wzdłuż pyska i między oczami biegł biały pas.

Rana w boku psa nie wyglądała na zbyt głęboką, więc istniała szansa, iż żebra ochroniły najważniejsze organy wewnętrzne. Okazała się jednak przerażająco długa, a ziejące krawędzie sprawiały wrażenie tak równych, jak gdyby powstały od cięcia ostrzem. Zranienie obficie krwawiło. Will pojął, że krwotok stanowi największy problem. Pies osłabł. Stracił dużo krwi. Być może zbyt dużo.

Uniósł się, podszedł do juków przy siodle, by odwiązać apteczkę, którą każdy zwiadowca woził ze sobą. Wyrwij zerkał na niego ciekawie, teraz już uspokojony, pewien, że pies nie stanowi żadnego zagrożenia. Will wzruszył ramionami, wskazał na apteczkę.

- Ludziom pomaga - stwierdził. Powinno nadać się i dla psa.

Wrócił do rannego zwierzęcia. Pies usiłował podnieść łeb, ale Will delikatnie go przytrzymał, mrużąc uspokajające słowa, kiedy wolną ręką otwierał apteczkę.

- Spokój, maleńki, popatrzmy teraz, co ci zrobili - oznajmił.

Futro wokół rany było posklejane krwią. Will oczyścił je wodą z manierki, najlepiej, jak potrafił. Później otworzył mały słoiczek, ostrożnie rozsmarował na krawędziach rany maść znajdującą się w środku. Zawierała środki przeciwbólowe, które powinny znieczulić ranę, tak by Will mógł ją oczyścić i zabandażować, nie sprawiając psu dodatkowego cierpienia.

Odczekał parę minut, aby maść mogła zadziałać, potem zaczął przecierać zranienie wyciągiem z ziół. To z kolei miało powstrzymać zakażenie i pomóc ranie się zasklepić. Środek przeciwbólowy działał, więc zabiegi chyba nie przysporzyły psu cierpienia. Will nałożył na ranę więcej maści. Zauważył przy tym płeć zwierzęcia. Mylił się, nazywając owczarka „maleńkim”. Opatrywał sukę.

Wyczuwała, że Will jej pomaga, leżała więc nieruchomo. Od czasu do czasu zaskomlała. Ale nie z bólu, raczej wyrażając w ten sposób wdzięczność. Will przysiadł na piętach, przechylił głowę. Przyglądał się oczyszczanej ranie. Z rozcięcia wciąż sączyła się świeża krew.

Will wiedział, że będzie musiał zamknąć miejsce zranienia. Bandażowanie nie zdałoby się jednak na wiele, zważywszy na gęstość psiego futra oraz nieporęczne umiejscowienie rany. Wzruszył ramionami, uświadamiając sobie, że trzeba szyć.

- Wszystko jedno, kiedy. Teraz przynajmniej maść jeszcze działa - tłumaczył suce. Zaległa z łbem na ziemi, ale zerknęła jednym okiem, uważnie obserwując zwiadowcę.

Najpewniej czuła, że jej skórę przeszywa igła, gdy Will pospiesznie zakładał tuzin szwów z delikatnej jedwabnej nici, łącząc ze sobą brzegi rany. Ale jakby nie odczuwała bólu; choć najpierw wzdrygnęła się odruchowo, później leżała spokojnie i pozwoliła mu robić swoje.

Skończywszy, Will łagodnie oparł jedną dłoń na czarno-białym łbie. Poczł miękkosć gęstego futra. Rana wyglądała na skutecznie zamkniętą, ale na pierwszy rzut oka było widać, że owczarek nie jest w stanie samodzielnie chodzić.

- Zostań tutaj - polecił cicho Will. - Zostań.

Pies leżał posłusznie, kiedy Will zbliżał się do jucznego podjezdka. Wziął się za przekładanie bagaży.

Znajdowały się wśród nich dwie długie, zawieszane po obu stronach siodła sakwy, mieszczące książki i osobiste drobiazgi. Między sakwami pozostało niewielkie zagłębienie. Will sięgnął po zapasowy płaszcz i kilka koców, wyłożył nimi tę przestrzeń, aż powstało miękkie, wygodne legowisko, w którym pies mógł się ułożyć. Dość miejsca, by się jakoś umościć, ale nie tyle, by zwierzę mogło wypaść.

Will wrócił na pobocze drogi, gdzie leżała suka, wsunął ręce pod ciepłe ciało owczarka i delikatnie podniósł go, przez cały czas przemawiając doń kojącym głosem. Maść okazała się co prawda skuteczna, ale nie działała zbyt długo. Will wiedział, że wkrótce rana znowu zacznie sprawiać psu ból. Suka zaskomlała, lecz później, gdy Will ułożył ją w legowisku między sakwami uspokoiła się. Jeszcze raz pogłaskał ją po łbie, delikatnie drapiąc za uszami. Nieznacznie uniosła łeb, żeby polizać go po ręce. Ten drobny ruch chyba wyczerpał jej siły. Will spostrzegł, że każde z jej oczu ma inny kolor. Ciekawe. Dotąd widział tylko lewe oko suki, ponieważ leżała na boku. Brązowe. Teraz, gdy przeniósł ją na siodło, dostrzegł też prawe oko, niebieskie. Pomyślał, że dzięki dwoistej barwie ślepi zwierzę wygląda filuternie, jak jakaś psia psotka. Nawet obecny kiepski stan nie potrafił odebrać owczarkowi wdzięku.

- Grzeczna dziewczynka - rzucił w stronę suki. Po chwili, gdy odwrócił się z powrotem do Wyrwija, uświadomił sobie, że konik przypatruje mu się niepewnie.

- Sprawiliśmy sobie psa - oznajmił. Wyrwij pokręcił łbem. Parsknął.

„Ale po co on nam?” - zdawał się pytać.

Rozdział 2

Wczesnym popołudniem dotarli nad morze. Will wiedział, że oto zbliżają się do kresu wędrówki. Zamek Seacliff znajdował się na wielkiej wyspie w kształcie liścia, oddzielonej od stałego lądu głębią o szerokości stu metrów. Przy niskim poziomie morza wąska grobla pozwalała przedostać się na wyspę, ale przy wysokim, tak jak teraz, przeprawę zapewniał tylko prom. Trudny dostęp sprzyjał utrzymaniu bezpieczeństwa w Seacliff, choć w rezultacie, na wskutek izolacji, lenno stało się nieco zapyziałym zaściankiem. Dawniej napaści Skandian na wilczych okrętach wywoływały tu sporo zamieszania. Lecz upłynęło już parę lat od dnia, w którym morskie wilki z Północy ostatni raz plądrowały wybrzeże Araluenu.

Wyspa liczyła sobie jakieś dwanaście kilometrów długości i może osiem szerokości. Will nie widział bryły zamku. Warownia wznosiła się zapewne na jakimś wzgórzu w pobliżu centrum wyspy - co wynikało z elementarnych podstaw strategii.

Wcześniej Will zastanawiał się, czy nie zatrzymać się na południowy posiłek, ale znalazłszy się tak blisko celu, postanowił jechać dalej. Na pewno istnieje jakaś oberża w wiosce przytulonej do zamkowych murów. Lub może wyprosi stawę w zamkowej kuchni. Ściągnął wodze. Teraz juczny podjezdek dreptał tuż obok. Zwiadowca schylił się, by zajrzeć do rannego owczarka. Suka miała zamknięte oczy, jej nos spoczywał na przednich łapach. Czarne boki dygotały w rytm oddechu. Przy brzegach rana wciąż jeszcze nieco krwawiła, choć najgorsze zostało opanowane. Zadowolony, że pies leży wygodnie, Will trącił Wyrwija piętą w bok, by zjechać na dół, do promu - wielkiej, płaskodennej krypy, wyciągniętej teraz na brzeg.

Przewoźnik, silnie umięśniony mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, leżał rozciągnięty na pokładzie, drzemiąc w ciepłe jesiennego słońca. Zbudził się, gdy jakimś siódmym zmysłem wychwycił ciche pobrzękiwanie dwóch końskich uprzęży. Usiadł, przetarł oczy, po czym prędko poderwał się na równe nogi.

- Muszę się dostać na wyspę - oznajmił Will. Mężczyzna niezdarnie zasalutował.
- W rzeczy samej, panie. Oczywiście. Do usług, zwiadowco.

W jego głosie pobrzmięwało zdenerwowanie. Will cichutko westchnął. Wciąż jeszcze nie przywykł do myśli, że ludzie obawiają się zwiadowców - nawet świeżo upieczonych, takich jak on. Jako młodzieniec z natury pogodny, często tęsknił za przyjaznym towarzystwem bliźnich. Jednak życie kogoś takiego jak Will wyglądało zupełnie inaczej niż los zwyczajnych ludzi. Trzeba było trzymać się na uboczu, bo to służyło sprawie. Korpus

Zwiadowców otaczała aura tajemnicy. Do legendy przeszła umiejętność posługiwania się przez zwiadowców bronią, ich zdolność przemieszczania się w niedostrzegalny sposób, sekretny zaś charakter formacji jeszcze przydawał jej tajemniczości.

Promowy szarpnął za grubą linę, przechodzącą przez ogromne bloki zamocowane na obu końcach łodzi. Lina łączyła stały ląd oraz wyspę. Prom, z jednej strony już i tak unoszący się na wodzie, z łatwością zsunął się z plaży, aż wreszcie całym dnem spoczął na powierzchni wody. Will domyślił się, że odpowiednie ustawienie krążków pozwala przewoźnikowi bez wysiłku kierować olbrzymią kryptą.

Do barierki przybito tablicę z cennikiem. Przewoźnik zauważył, jak Will się w nią wczytuje.

- Zwiadowcy nie muszą płacić, panie. Was przeprowiam za darmo.

Will pokręcił głową. Halt wpoił mu, że swoje rachunki należy regulować. „Nie bądź nikomu nic dłużny”, mawiał. „Dopilnuj, byś nikomu nie był winien żadnej przysługi”.

Szybko obliczył należność. Pół rojala od osoby i tyle samo za każdego konia. Do tego po cztery pennigi za inne zwierzęta. Razem prawie dwa rojale. Will zeskoczył z siodła, wyjął z mieszka złotą monetę wartości trzech rojali i wręczył ją mężczyźnie.

- Zapłacę - powiedział. - Dwa rojale powinny wystarczyć.

Mężczyzna ze zdziwieniem popatrzył na monetę, potem na jeźdźca i na jego dwa konie. Will wskazał ruchem głowy jucznego podjezdka.

- On niesie jeszcze jedno zwierzę - wyjaśnił.

Przewoźnik przytaknął i wydał srebrnego rojala reszty.

- Zgadza się, panie - odparł. Zerknął z zaciekawieniem, kiedy Will wprowadzał małego, niepozornego konika na prom. Dostrzegł owczarka, ułożonego w przytulnym schronieniu.

- Ładna psina - stwierdził. - Wasza to, panie?

- Znalazłem ją ranną, przy drodze - odpowiedział Will. - Ktoś zawadził ją jakimś ostrzem, a później porzucił na pastwę losu.

Przewoźnik skubał w zadumie zarośnięty podbródek.

- Jack Buttle miał owczarka takiego jak ten. I on byłby z takich, co to by zranili psa i porzucili w taki sposób przy drodze. Paskudny ma charakter ten Jack, zwłaszcza kiedy sobie wypije.

- A co porabia ów Jack Buttle? - zapytał Will.

Przewoźnik wzruszył ramionami.

- Z zawodu to on jest pasterzem. Ale robi różne rzeczy. Niektórzy powiadają, że swoją

prawdziwą robotę wykonuje nocami na drogach, szukając podróźnych, których zaskoczyła noc. Tylko nikt tego nie udowodnił. Jak na mój gust, za prędko łapie za tę swoją włócznie. Lepiej się trzymać od niego z dala.

Will znów zerknął na jucznego konia, myśląc o okrutnej ranie zadanej suce.

- Jeżeli to Buttle zranił psa, lepiej niech on trzyma się ode mnie z dala - wycedził chłodno.

Przewoźnik przyglądał się przez chwilę zwiadowcy. Miał przed sobą twarz młodą, urodziwą. Ale w oczach chłopaka dostrzegł błysk stanowczości. Młodzieniec o sympatycznym wyglądzie nie nosiłby szaro-zielonej peleryny zwiadowcy, gdyby nie był twardy jak stal. Zwiadowcy to ludzie sprytni i podstępni, i tyle. Byli nawet tacy, co utrzymywali, że są biegli w mrocznej sztuce magii oraz czarnoksięstwa. Przewoźnik wcale nie dałby sobie odciąć ręki, że w gadkach na temat zwiadowców nie tkwi jakieś ziarno prawdy. Ukradkiem wykonał gest na odpędzenie złych mocy i przeszedł na przód łodzi, zadowolony z wymówki. Pragnął przerwać rozmowę.

- No, lepiej ruszajmy - mruknął. Will wyczuł zmianę nastroju. Zerknął na Wyrwija, uniósł brwi. Konik nie raczył zareagować.

Kiedy przewoźnik znowu pociągnął za grubą linę, prom pomknął po powierzchni wody w kierunku wyspy. Drobne fale z pluskiem uciekały spod tępo zakończonego dziobu, uderzając o niskie drewniane burty. Will zauważył, że dom przewoźnika - mała chatka zbita z desek, z dachem krytym strzechą - znajdował się na wyspie, zapewne dla bezpieczeństwa. Dziób promu wkrótce zachrzęścił o gruby piach wyspy; prąd wody nieco go przekrzywił. Przewoźnik odczepił służący za barierkę sznur z przodu promu, gestem wskazał Willowi, żeby wysiadł na brzeg. Will wskoczył na grzbiet Wyrwija. Końskie kopyta zadudniły po deskach, gdy ostrożnie zjeżdżali z krypy.

- Dziękuję - rzucił Will, kiedy Wyrwij zszedł na plażę. Przewoźnik znowu zasalutował.

- Do usług, zwiadowco - odrzekł. Stał i patrzył, jak drobna, wyprostowana sylwetka na koniu znika mu z oczu, wtapiając się między drzewa.

Dotarcie pod zamek zajęło Willowi dobre pół godziny. Droga wiła się, biegła pod górę w stronę środka wyspy pomiędzy niezbyt gęsto rosnącymi drzewami. Docierało tu mnóstwo słonecznego światła, inaczej niż w gęstych borach otaczających Zamek Redmont albo w ciemnych sosnowych lasach Skandii, które pamiętał Will.

Liście zbrązowiały, lecz większość wciąż trzymała się na gałęziach. W sumie

przyjemna okolica. Po drodze Will znajdował mnóstwo śladów zwierzyny - królików oraz dzikich indyków. Raz, przelotnie, mignęło mu coś białego, pewnie zad uciekającej sarny. Willowi przyszło do głowy, że chyba roi się tu od kłusowników. Na ogół podchodził do wieśniaków, którzy od czasu do czasu próbowali urozmaicić jednostajną dietę dziczyzną albo ptactwem. Na szczęście, kłusownictwo podlegało prawu lokalnemu, czyli wchodziło w zakres spraw związanych z powinnościami gajowych miejscowego barona. Jednak na własny użytek, w ramach obowiązków zwiadowcy, Will będzie musiał wywęszyć, kto tutaj kłusuje. Kłusownicy mogą stanowić znakomite źródło informacji, oni wiedzą, co w trawie piszczy. Informacja zaś to podstawowe narzędzie przydatne członkom Korpusu.

Drzewa przeredziły się jeszcze bardziej, Will wyjechał na oświetlony słońcem przestwór. Kręta droga pod górę zaprowadziła go na naturalny płaskowyż, rozległą równinę szerokości może kilometra. Pośrodku równiny wznosił się Zamek Seaclyff oraz jego służebna wioska - skupisko krytych strzechą chat ustawionych blisko zamkowych murów.

Kogoś, kto przywykł do imponującego ogromu Zamku Redmont, czy strzelistego piękna królewskiego Zamku Araluen tutejsza budowla na pewno rozczarowywała. Will zdał sobie sprawę, że spogląda na coś niewiele większego niż zwykły fort; otaczające go mury sięgały ledwo wysokości pięciu metrów. Przyjrząwszy się uważniej, dojrzał, że przynajmniej jeden fragment muru został wzniesiony z drewna - wielkie drewniane pnie ułożono poziomo jeden na drugim i spojono żelaznymi kłami. Pomyślał, że to całkiem skuteczna osłona, jednak nie wzbudzała takiego respektu, jak potężne ściany Redmont, wzniesione z twardej, żelazistej skały. W każdym rogu znajdowały się solidnie umocnione wieże, a pośrodku tkwił stołp, który w razie ataku zapewniłby obrońcom bezpieczne schronienie jako ostatni punkt oporu. Nad stołpem Will zauważył porzecz, ozdobiony jelenim łbem, poruszany lekką popołudniową bryzą. Porzecz barona Ergella.

- Jesteśmy na miejscu - Will odezwał się do Wyrwija, a koń, słysząc jego głos, potrząsnął grzywą.

Gdy po raz pierwszy ujrzał zamek, Will zatrzymał się. Lecz po chwili trącił piętami boki Wyrwija. Znowu ruszyli naprzód. Objuczony podjezdek, zgodnie ze swym upodobaniem, człapał nieco wolniej. Chwilami, gdy mijali pola uprawne, kierując się do zamku, napinał sznur, na którym go prowadzono. W powietrzu snuł się zapach dymu. Kopki słomy zostały wyzbierane i spalone po zakończeniu żniw. W powietrzu wciąż jeszcze unosił się dym. Za tydzień lub dwa rolnicy zaorzą popioły, użyźnią nimi glebę i cykl rozpocznie się od nowa. Woń dymu, nagie rżyska i padające z ukosa promienie popołudniowego słońca obudziły w Willu wspomnienia. Wspomnienia o dorastaniu. O żniwach i dożynkowych

igraszkach. O mglistych latach, o jesieniach, pachnących dymem i sypiących śniegiem zimach. A gdy młody zwiadowca przywołał w pamięci ostatnich sześć lat, pojawiła się też refleksja o głębokim przywiązaniu, jakie zrodziło się między nim a Haltem, jego mentorem, zwiadowcą o zwodniczo posępnej twarzy.

Kilku wieśniaków pracowało jeszcze na polach; zatrzymywali się, żeby popatrzeć na okrytą peleryną postać, podążającą ku zamkowi. Will skinął głową jednemu czy drugiemu spośród najbliższych stojących, a oni odклонili się powściągliwie, unosząc dłonie w geście powitania. Prości chłopcy nie rozumieli zwiadowców i przez to nie całkiem im też ufali. Oczywiście, Will wiedział, że w chwili zagrożenia zwrócą się do członków Korpusu po pomoc, ochronę i przywództwo. Ale teraz, gdy nic im nie grozi, będą się trzymali na dystans.

Mieszkańcy zamku to zupełnie inna sprawa. Baron Ergell oraz jego Mistrz Szkoły Rycerskiej - Will przez parę sekund szukał w pamięci imienia, aż przypomniał sobie, że brzmi ono Norris - pojmowali właściwie rolę Korpusu. Mieli świadomość, jak ceni są zwiadowcy, powołani dla ochrony interesów pięćdziesięciu lenn królestwa. Moźni nie obawiali się zwiadowców. Choć to wcale nie znaczyło, że chętnie utrzymywali z nimi bliskie relacje. Ich wzajemne kontakty dotyczyły współpracy i tylko współpracy.

„Pamiętaj”, tłumaczył Halt, „postawiono przed nami zadanie. Każę się nam pomagać baronom, ale lojalność winni jesteśmy przede wszystkim królowi. Jesteśmy bezpośrednimi przedstawicielami królewskiej woli, co może nie do końca pozostawać w zgodzie z miejscowym interesem. Współpracujemy z baronami, doradzamy im. Jednak pozostajemy niezależni. Nie dopuść, by zbyt wiele zawdzięczać baronowi lenna, w którym służysz, albo żeby ludzie z zamku spoufalili się z tobą nad konieczną potrzebę”.

Oczywiście, w lennie takim jak Redmont, gdzie Will przechodził szkolenie, sprawy miały się nieco inaczej. Baron Arald, pan na Zamku Redmont, należał do grona dostojników wchodzących w skład królewskiej rady przybocznej. To pozwalało na większą poufałość między baronem oraz jego urzędnikami a Haltem, zwiadowcą przydzielonym do lenna Aralda. Jednak zwiadowca działający w głębokim terenie pędził z reguły samotniczy żywot.

Rzecz jasna, obecna pozycja Willa miała też dobre strony. Do najważniejszych należało zaliczyć niezachwiane koleżeństwo, jakie łączyło członków Korpusu. W czynnej służbie znajdowało się pięćdziesięciu zwiadowców. Na każdego przypadało jedno lenno w królestwie i każdy potrafiłby wymienić imiona pozostałych. Towarzysza, którego miał zastąpić w Seacliff, Will wcześniej dobrze poznał. Bartell należał do grona egzaminatorów Willa, kiedy chłopak zdawał doroczne egzaminy uczniowskie. Decyzja Bartella o przejściu w stan spoczynku, otworzyła przed Willem szansę na otrzymanie osobistego srebrnego

dębowego liścia, symbolizującego, że uzyskał rangę pełnoprawnego zwiadowcy. Bartell bowiem postarzał się.

Nie dawał już rady sprostać trudom korpusowego życia - wyczerpującej konnej jeździe, nocowaniu gdzie popadnie i nieustannej czujności - zamienił więc własny srebrny liść dębu na złoty, oznaczający przejście w stan spoczynku. Otrzymał inny przydział, do kwatery głównej Korpusu w Zamku Araluen, gdzie pracował w archiwum, spisując dzieje Korpusu.

Will uśmiechnął się przelotnie. Polubił Bartella, oczytanego i o zdumiewająco rozległej wiedzy, choć w trakcie kilku pierwszych spotkań nieźle dał się on Willowi we znaki. Bartell z upodobaniem wymyślał dla czeladników takie próby, które miały uprzykrzyć młodzieńcom życie. Tyle że od tamtej pory chłopak nauczył się doceniać trudne kwestie i kłopotliwe zadania, jakie Bartell przed nim stawiał. Wszystkie one służyły jednemu. Miały pomóc mu w przygotowaniu się do trudów, jakie będą udziałem przyszłego życia zwiadowcy.

Jednakże bycie członkiem Korpusu stanowiło największą osłodę trudów jego losu. Wynagradzało samotniczy charakter codziennej egzystencji. Will odczuwał głęboką satysfakcję i dostrzegał nieodparty urok w tym, że stanowi część elitarniej grupy, wprowadzonej w wewnętrzne mechanizmy działania państwa oraz sekrety polityki całego królestwa. Kandydatów na zwiadowców rekrutowano, dbając o ich fizyczne przymioty - musieli wykazywać się dobrą koordynacją ruchów, zwinnością, szybkością ręki i oka - ale w jeszcze większym stopniu liczyła się w ich przypadku wrodzona niektórym ludziom ciekawość. Zwiadowca zawsze pragnął więcej rozumieć, zadawał więcej pytań i dowiadywał się chętnie o wszystkim, co się działo wokół. Gdy Will był jeszcze chłopcem, zanim Halt go przyjął na ucznia, właśnie niepohamowana ciekawość, a w konsekwencji przedwczesna dojrzałość sprawiały, że nie jeden raz wpadał w tarapaty.

Will wjeżdżał właśnie do małej wioski. Przyglądało mu się teraz więcej gapiów. Przeważnie starali się nie patrzeć chłopcu w oczy. A gdy skinął głową w stronę któregoś z nielicznych odważnych, w odpowiedzi natychmiast spuszczaali wzrok. Salutowali, niezdarnie unosząc dłonie do czoła, i odsuwali się na bok, żeby przepuścić jeźdźca. Choć całkiem niepotrzebnie, bo szerokiej drogi starczyłoby dla wszystkich. Will notował w pamięci mijane tablice ze znakami cechowymi. Same typowe, spotykał takie w każdej osadzie: kowal, cieśla, szewc.

Na końcu drogi znajdował się większy budynek, jedyna zresztą tutaj piętrowa budowla. Szeroki ganek od frontu oraz szyld z kuflem wiszący nad wejściem. Oberża, Will domyślił się bez trudu. Wyglądała na czystą i dobrze utrzymaną; okiennice sypialni na piętrze świeżo pomalowane, a gliniane ściany pobielone. Will wciąż się przyglądał, gdy nagle jedno

z okien na piętrze otworzyło się, a potem wynurzyła się ze środka dziewczęca głowa. Dziewczyna, licząca może dziewiętnaście, a może dwadzieścia lat, miała ciemne, krótko przycięte włosy oraz szeroko osadzone zielone oczy. Cera świeża, uroda wyjątkowa. A co więcej, tylko ona jedna spośród wioskowych nadal patrzyła mu w oczy, gdy on na nią spojrzał. Posunęła się nawet do zuchwałości. Uśmiechnęła się bowiem do Willa, a uśmiech zmienił jej ładną buzię w twarz oszalamiająco piękną.

Will, który był zakłopotany tym, że wszyscy się go trochę boją, teraz poczuł się jeszcze bardziej nieswojo z powodu nieskrywanego zainteresowania jego osobą.

Wyobrażał sobie, że dziewczyna myśli tak: „Aha, zatem ty jesteś nowym zwiadowcą. Z całego Korpusu wybrali chyba największego dzieciucha”.

Will zmieszał się, bo gdy przejeżdżał pod jej oknem i zadarł głowę, by popatrzeć, odrobinę rozdziawił usta. Szybko więc ścisnął wargi i pozdrowił dziewczynę skinieniem. Starał się zachować surowość, bez cienia wesołości. A ona uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Tym razem Will pierwszy odwrócił wzrok.

Wcześniej planował, że zatrzyma się na krótki posiłek w oberży, lecz dziewczyna przyprowadziła go o zmieszaniu. W rezultacie zmienił plany. Przypomniał sobie pisemne instrukcje, które, jadąc tu, otrzymał. Chatka przydzielona zwiadowcy znajdowała się jakieś trzysta metrów za wsią, przy drodze do zamku, osłonięta niewielką kępą drzew. Teraz dojrzał tę kępę. Gdy tylko zostawił wioskę za sobą, trącił piętami boki Wyrwija, pozwalając konikowi przejść w kłus. Po drodze wyczuwał ze dwadzieścia czy trzydzieści par oczu, z zaciekawieniem wpatrujących się w jego plecy. Zastanawiał się, czy dojrzałyby wśród innych zielone tęczęwki, spoglądające z pokoju na piętrze oberży. Ale szybko odpędził tę myśl.

Chatka okazała się typową, zbudowaną z bali siedzibą zwiadowcy. Ukryto ją wśród drzew. Dach przykrywały wielkie płaskie rzeczne kamienie, od frontu dostrzegł nieduży ganek, z tyłu stajnię oraz siodlarnię. Will, podjeżdżając bliżej, zdziwił się bardzo, kiedy dotarło do niego, że z komina ustawionego u jednego krańca chatki snuje się dym.

Zeskoczył z siodła. Czuł w kościach całodzienną podróż na końskim grzbiecie. Teraz zajął się wierzchowcami.

Wyrwija nie krępował, bo i po co, ale wodze podjezdka okręcił wokół jednego ze słupków ganku. Sprawdził, jak się miewa owczarek. Upewnił się, że śpi. Uznał więc, że jeszcze przez kilka minut suka może pozostać w swoim legowisku.

Jeżeli żywiłby jakiegokolwiek wątpliwości, czy trafił do właściwego miejsca pobytu, to rozwiewał je ostatecznie symbol dębowego liścia, wyrzeźbiony nad wejściem. Will stał przez chwilę, drapiąc Wyrwija za uchem. Konik łagodnie trącał go chrapami.

- Cóż, mój druhu - stwierdził młody zwiadowca. - Wygląda na to, że jesteśmy w domu.

Rozdział 3

Will pchnął drzwi i wszedł do chatki. Wyglądała prawie jak ta, która była mu domem przez kilka ostatnich lat. Izba zajmowała mniej więcej połowę powierzchni domku, pełniąc jednocześnie funkcję pokoju dziennego oraz jadalni. Sosnowy stół z czterema prostymi krzesłami po lewej pod oknem, dwa drewniane fotele, wyglądało, że wygodne, i dwuosobowa ława ze skrzynią po przeciwnej stronie, niedaleko ognia wesoło trzaskającego w kominku. Will rozejrzał się po izbie, zastanawiając się, kto zdążył napalić, ale nie dostrzegł żywej duszy.

Kuchnię umieszczono w małym pomieszczeniu, przylegającym do części jadalnej. Miedziane garnki oraz rondle, dopiero co wyszorowane i wypolerowane, wisiały na ścianie obok małego pieca opalanego drewnem. We flakoniku pod oknem stały świeże polne kwiaty - ostatnie w tym roku, pomyślał Will. Domowa atmosfera po raz kolejny przypominała o Halcie. Poczucie osamotnienia ścisnęło chłopcu gardło. Zwiadowca z ponurą twarzą zawsze starał się mieć kwiaty w swojej chacie.

Will ruszył na inspekcję dwóch małych pokoików. Urządzono je skromnie. Przechodziło się do nich z głównego pomieszczenia. Tak jak się spodziewał, w żadnym nie zastał nikogo. Właściwie nie było już szans natknięcia się na kogokolwiek w małej, bądź co bądź, chatce - chyba że osoba, która napaliła w kominku i ustawiła kwiaty, chowała się teraz w stajni na tyłach domu. Mało prawdopodobne.

Zauważył, że chatka musiała zostać niedawno wysprzątana. Bartell opuścił ją z miesiąc temu albo jeszcze dawniej, a jednak, gdy Will przesunął palcami po półce nad kominkiem, nie znalazł śladu kurzu. Kamienne płyty na podłodze przed paleniskiem także niedawno zamieciono. Żadnego popiołu ani drewnianych drzazg z kominka.

- Najwyraźniej w pobliżu mieszka jakiś przyjazny duszek - mruknął sam do siebie. Potem, przypomniawszy sobie o zwierzętach cierpliwie czekających przed chatą, wyszedł do nich. Sprawdził na niebie pozycję słońca. Oszacował, że wciąż została mu ponad godzina dziennego światła. Pora się rozpakować, zanim powiadomi zamek o swoim przybyciu.

Suka już nie spała. Ślepią, każde w innym kolorze, wykazywały żywe zainteresowanie światem. Will uznał to za dobry znak. Tli się w niej silna wola życia. Osłabionemu psu bardzo jej potrzeba. Łagodnie dźwignął owczarka i wniósł go do domu. Już po chwili suka sprawiała

wrażenie całkiem zadowolonej, leżąc na kamiennych płytach w pobliżu kominka i ogrzewając swoje czarne futro. Wróciwszy do jucznego konika, Will wygrzebał z bagażu starą derkę. Zabrał ją do środka, żeby przygotować psu miękkie legowisko. Wymościł derką kawałek podłogi. Obolała suka wstała, przekuśtykała parę kroków, żeby się położyć, zaległa wygodnie, po czym sapnęła z wdzięcznością. Will napełnił miskę z pompy wbudowanej w kuchenną ławę - zauważył, że nie musi nabierać wody ze studni na zewnątrz chatki - i postawił wodę obok psa. Gruby ogon raz czy dwa razy cicho plasnął o podłogę na znak, że zwierzę docenia troskliwość.

Zadowolony, Will wrócił do koni. Rozluźnił popręg przy siodle Wyrwija. Nie miało sensu zdejmowanie siodła, skoro trzeba odbyć jeszcze oficjalną wizytę na zamku. Później wziął się do rozpakowywania skromnego osobistego dobytku. Nie przywiózł ze sobą zbyt wielu rzeczy.

Gdy skończył, rozsiodłał jucznego konia, zaprowadził go do stajni, gdzie wytarł chabetę do sucha i wprowadził do jednego z dwóch boksów. Stwierdził, że żłób w boksie został napełniony świeżym sianem, a w wiadrze czeka woda. Na powierzchni wody nie było ani pyłka kurzu. Ani śladu zielonego osadu na wiadrze. Zabrał wiadro z drugiego boksu i wyniósł je na zewnątrz dla Wyrwija, pozwalając koniowi napić się do woli. Wyrwij z wdzięcznością potrząsnął grzywą.

Will wziął się za układanie dobytku. Swoje poślanie przygotował w większym z dwóch małych pomieszczeń.

Słowo „większym” należało traktować bardzo umownie, jako że miał do dyspozycji ledwo dwie maleńkie dziuple. Zapasową odzież rozwiesił w szafie za zasłoną w tej samej izdebce, która stała się jego sypialną.

W głównym pokoju znajdował się kredens. Na nim Will umieścił zawiniątko z książkami, zamierzając poukładać je później. Przy drzwiach wejściowych znalazł kołki do zawieszania broni, na dwóch powiesił łuk i kołczan. Tylko tymczasowo, potem znajdzie dla broni lepsze miejsce. Noże - sakse, specjalny nóż zwiadowców, oraz nóż do rzucania, wraz z charakterystyczną podwójną pochwą - przez cały czas nosił przy sobie. Zwiadowca odkładał noże wyłącznie na czas snu, a nawet wtedy trzymał je w zasięgu ręki.

Will rozejrzał się. Co prawda przywiózł bardzo niewiele rzeczy, lecz chatka nabrała przytulności - wreszcie do kogoś należała.

Rozmyślenia przerwało ostrzegawcze parsknięcie Wyrwija. Równocześnie pies, leżący przy kominku, podniósł głowę, obracając ją z trudem, żeby spojrzeć w stronę drzwi. Will przemówił uspokajająco. Sygnał od Wyrwija nie sugerował zagrożenia, zawierał zwykłą

wiadomość: ktoś się zbliża. W chwilę później Will usłyszał lekkie kroki na ganku, a w otwartych drzwiach wyrosła kobieca postać. Kobieta zawahała się, nim zapukała w futrynę.

- Proszę wejść - odezwał się Will.

Weszła do pokoju, uśmiechając się niewyraźnie, jak gdyby nie mając pewności, czy mile ją tu przywitają. Gdy znalazła się w środku, Will przyjrzał się bacznie, przedtem oślepiąło go słońce i ledwie widział sylwetkę. Mogła liczyć sobie koło czterdziestki. Najwyraźniej tutejsza wieśniaczka, w każdym razie sądząc po sukni, jaką nosiła. Prosty wełniany ubiór, a na nim czysty biały fartuch. Bez żadnych zdobień, tak lubianych przez moźnych. Wysoka, dosyć silnie zbudowana, o zaokrąglonej macierzyństwie figurze. W ciemnych włosach, krótko przystrzyżonych, zaczynały prześwitywać siwe pasemka. Doskonała cera, uśmiech ciepły, szczery. Coś wydało się w niej Willowi znajome, ale nie umiał dokładnie określić, co.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał.

Dygnęła pospiesznie.

- Wołają mnie Edwina, panie. Przyniosłam ci to.

„To” okazało się małym garnkiem z przykrywką. Kiedy kobieta ją podniosła, Will poczuł smakowity zapach - w środku była potrawka, przygotowana z mięsa oraz warzyw. Ślina sama napłynęła mu do ust. Jednak, pamiętając o napomnieniach Hala, postarał się, by jego twarz pozostała poważna, beznamiętna.

- Widzę - mruknął wymijająco.

Edwina postawiła garnek na stole, następnie sięgnęła do kieszeni fartucha, żeby wyjąć jakąś kopertę. Podała ją Willowi.

- Potrawkę można odgrzać na kolację - stwierdziła. - Tak sobie myślę, panie, że najpierw musisz spotkać się z baronem Ergellem.

- Niewykluczone - odparł Will. Jeszcze nie rozstrzygnął, czy powinien omawiać własne plany z tą akurat kobietą. Dostrzegł, że wieśniaczka wciąż trzyma kopertę w wyciągniętej ręce. Chwycił list czym prędzej. Zaskoczył go widok pieczęci z dębowym liściem, której towarzyszyły znaki z tajnego kodu, oznaczające liczbę 26 - numer Bartella w Korpusie, jak pamiętał Will.

- Zwiadowca Bartell zostawił to dla kogoś, kogo przyślą na jego miejsce - wyjaśniła, ponaglając ruchem dłoni, żeby otworzył list. - Ja zajmowałam się domem i gotowałam dla niego, gdy tu mieszkał.

Will wszystko pojął, gdy otworzył list. Bartell, pisząc do następcy, nie miał jeszcze pojęcia, kto nim będzie, zwracał się więc po prostu do „Zwiadowcy”. Will spiesznie połykał

wiadomość.

Pismo oddaje Edwina Temple, w pełni godna zaufania i sumienna kobieta, która pracowała dla mnie przez ostatnich osiem lat. Mogę ją gorąco polecić każdemu, kto mnie zastąpi. Jest dyskretna, stateczna oraz doskonale gotuje i opiekuje się domem. Edwina wraz z mężem, Clivem, prowadzą oberżę w wiosce Seacliff. Wyświadczyłbyś mnie i sobie przysługę, nadal korzystając z jej usług, gdy przejmiesz moje miejsce.

Bartell, zwiadowca 26.

Will podniósł wzrok znad listu. Uśmiechnął się. Uznał, iż perspektywa, iż ktoś zajmie się gotowaniem, a także sprzątaniami, była kusząca. Ale potem zawahał się. Pozostawała bowiem jeszcze kwestia zapłaty. Nie miał pojęcia, jaka kwota wchodzi w grę.

- Cóż, Edwino - zaczął. - Bartell wyraża się nader pochlebnie na twój temat.

Kobieta znów dygnęła.

- Dobrześmy się dogadywali, panie. Zwiadowca Bartell, zacytował pan. Służyłam u niego osiem lat, o tak.

- Hmm... cóż...

Kobieta, widząc, jak młody jest Will, i domyślając się, że obejmuje pierwszy posterunek, dodała ostrożnie:

- Jeśli chodzi o zapłatę, panie, nie trzeba się kłopotać. Zapłata przychodzi z zamku.

Will zmarszczył brew. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy powinien się zgodzić, by zamek łożył na jego utrzymanie. Miał własne pobory z Korpusu Zwiadowców. Edwina wyczuła, skąd bierze się wahanie, więc prędko odezwała się znowu:

- Wszystko dzieje się, jak należy, panie. Zwiadowca Bartell mówił, że zamek odpowiada za dach nad głową i strawę dla zwiadowcy, co to wypełnia obowiązki. Moje posługi oni opłacają wedle umowy.

Prawda, przypomniał sobie Will. Zamek w ciężar lenna wliczał też utrzymanie zwiadowców, zaliczając wydatek do kosztów, a koszty owe odliczano od podatku, płaconego co roku koronie.

Will znów uśmiechnął się do kobiety. W końcu podjął decyzję.

- W takim razie chętnie skorzystam z twoich usług, Edwino - stwierdził. - Domyślałam się, że ty pod nieobecność gospodarza utrzymywałaś dom w czystości i wcześniej rozpałałaś w kominku?

Przytaknęła.

- Ano. Wypatrywaliśmy cię przez cały ubiegły tydzień, panie - odpowiedziała. - Przychodziłam codziennie, żeby tu trochę ogarnąć, a ogień pomaga powstrzymać wilgoć w domu o tej porze roku.

Will skinął głową z uznaniem.

- Cóż, jestem wdzięczny. A przy okazji, na imię mam Will.

- Witamy w Seacliff, zwiadowco Willu - odparła, uśmiechając się szczerze. - Moja córka, Delia, zobaczyła, jak jechałeś przez miasteczko. Mówiła, że wyglądałeś bardzo poważnie. Jak przystało na zwiadowcę.

Wtedy Willowi nareszcie rozjaśniało się w głowie. Stąd wrażenie, że kobietę jakby już gdzieś spotkał. Teraz dopiero zauważył jej oczy, zielone jak u córki, oraz uśmiech, tak samo promienny i serdeczny.

- Chyba też ją widziałem - oznajmił.

Kiedy kwestia dalszego zatrudnienia została rozstrzygnięta, Edwina z zainteresowaniem zerknęła na skromny dobytek Willa. Jej spojrzenie spoczęło na mandoli opartej o kredens.

- Grywasz na lutni, panie? - spytała.

Will pokręcił głową.

- Lutnia ma dziesięć strun - wyjaśnił. - To jest mandola, taka większa mandolina z ośmioma strunami, strojonymi parami. - Dostrzegł brak zrozumienia na twarzy karczmarki. Tak samo działo się z większością ludzi, kiedy usiłował wytłumaczyć różnicę między lutnią a mandolą. Od razu dał spokój. - Trochę grywam - zakończył.

Pies, dotąd śpiący, teraz właśnie postanowił wydać z siebie przeciągłe westchnienie. Edwina wreszcie zauważyła owczarka. Podeszła bliżej, by mu lepiej się przyjrzeć.

- Trzymasz panie i psa, jak widzę.

- Jest ranna - powiedział Will. - Znalazłem ją przy drodze.

Edwina pochyliła się, delikatnie położyła dłoń na psim łbie. Suka otworzyła oczy i spojrzała na kobietę. Ogon zadrgał jej nieznacznie.

- Dobre psy, te owczarki - stwierdziła gospodyni, a Will skinął głową.

- Niektórzy powiadają, że one najzmyślniejsze - odparł. A po chwili, jakby z namysłem, spytał: - Przewoźnik z promu tłumaczył mi, że mogła należeć do człowieka nazwiskiem Buttle. Wiesz, kto zacz?

Na dźwięk tego nazwiska twarz kobiety natychmiast spochmurniała.

- Ano, wiem - odpowiedziała. - Większość ludzi w okolicy wie. I wołałaby go nie

znać. Zły to człowiek, ten John Buttle. Jeśli znalazłeś, panie, jego sukę, nie oddawaj jej bez rozmysłu.

Will rzucił karczmarce kolejny uśmiech.

- Powoli, powoli z oddawaniem - zapewnił. - Cóż, widzę, że trzeba bliżej poznać owego typa.

Edwina, nim zdążyła ugryźć się w język, wypaliła:

- Lepiej trzymaj się od niego z daleka, panie. - Potem, zawstydzona, zakryła usta dłonią. Młodość chłopaka budziła w niej macierzyńskie odruchy, stąd nadmierna gadatliwość. Ale zdała sobie sprawę, że mówi do zwiadowcy, a oni raczej nie szukają rad u gospodyni. Will, rozumiejąc, co nią kierowało, obdarzył kobietę miłym spojrzeniem.

- Będę ostrożny - zapewnił. - Chociaż coś mi się wydaje, że najwyższy już czas, by ktoś poważnie rozmówił się z tym osobnikiem. Jednak teraz - powiedział, kończąc temat Buttle'a - czekają inne osoby. Z nimi trzeba mi pomówić najpierw, a baron Ergell znajduje się na samym początku listy.

Odprowadził Edwinę do drzwi. Sam zerknął raz jeszcze na sukę, żeby upewnić się, iż pod jego nieobecność nie wydarzy się nic złego. Zdjął z kołków łuk wraz z kołczanem, cicho zamknął wejście. Edwina gapiała się, gdy poprawiał popręg przy siodle, zanim ponownie dosiadł Wyrwija. Bardziej nawykła do przebywania w towarzystwie zwiadowców niż większość ludzi. Od razu więc stwierdziła, że podoba jej się to, co dostrzegła w nowym. A potem, gdy zarzucił na ramiona szaro-zieloną pelerynę i nasunął kaptur, zauważyła, jak zmienia się z pogodnego, przyjaznego młodego człowieka w posępną, bezimienną postać. Spozrzegła długi łuk, trzymany bez wysiłku w lewym ręku, oraz pierzaste bełty strzał wystające z kołczana. Wedle starego porzekadła zwiadowca nosi przy sobie życie tuzina ludzi. Edwina pomyślała, że przed tym młokosem już raczej John Buttle będzie musiał się mieć na baczności.

Rozdział 4

Szambelan barona Ergella, wykonując gest, będący czymś pomiędzy prostym pozdrowieniem a teatralnym ukłonem, zaprosił Willa do gabinetu.

- Nowy zwiadowca, wasza dostojność - oznajmił, jak gdyby osobiście sprowadził go dla przyjemności barona. - Will Treaty.

Ergell, człowiek nadzwyczaj wysoki oraz chudy, podniósł się zza potężnego biurka, które rozmiarami przytłaczało resztę mebli. Na widok długich, jasnych włosów i czarnych szat wielmoży zwiadowca przez chwilę miał nieprzyjemne wrażenie, że wyrosło przez nim nowe wcielenie złego lorda Morgaratha, który zagrażał pokojowi w królestwie we wczesnych latach życia Willa.

Potem uświadomił sobie, iż włosy barona są siwe, nie mlecznobiałe jak u Morgaratha. Zresztą Ergell, chociaż wysoki, nie mógł się równać wzrostem z Morgarathem. Minęła chwila, nim Will zdał sobie sprawę, że wciąż gapi się na barona, który stoi z wyciągniętą ręką. Pospiesznie ruszył do przodu.

- Witam waszą dostojność - odezwał się. Ergell ochoczo potrząsnął jego dłonią. Około sześćdziesięcioletni, nadal poruszał się zwinnie. Will wręczył mu oficjalny pergamin, zawierający jego przydział. Zgodnie z zasadami strażnik przy moście zwodzonym obowiązany był pergamin wziąć, a następnie dostarczyć Ergellowi, by ten przejrzał papiery, zanim Will zostanie wpuszczony do stołpu. Lecz sierżant strzegący wejścia tylko prześlizgnął się wzrokiem po pelerynie zwiadowcy oraz zerknął na długi łuk, po czym od razu machnął, by wjeżdżać. Zaniedbanie, pomyślał Will. Poważne zaniedbanie.

- Witamy w Seacliff, zwiadowco Treaty - odrzekł baron. - Za zaszczyt sobie poczytuję mieć kogoś tak znamienitego w naszej służbie.

Will lekko zmarszczył brew. Zwiadowcy nie służyli baronom, do których lenna otrzymywali przydział. Ergell powinien o tym wiedzieć. Może, pomyślał Will, baron próbuje przejąć go pod własną komendę, sugerując od niechcienia, iż władzę rozkazywania posiada tu wyłącznie on.

- Wszyscy służymy królowi, panie - odparł Will ze spokojem. Przelotny cień, który owionął twarz Ergella, potwierdził, że przecucie nie myliło zwiadowcy. Ergell, widząc, że chłopak jest bardzo młody, zapragnął spróbować szczęścia, jak by to ujął Halt.

- Oczywiście, oczywiście - odparł prędko pan na Seacliff. I od razu wskazał na potężnie zbudowanego mężczyznę, stojącego obok biurka.

- Zwiadowco Treaty, oto Mistrz Szkoły Rycerskiej mojego lenna, pan Norris z Rook.

Will określił w myślach wiek Norrisa na czterdzieści lat, typowy wiek dla Mistrzów Szkół Rycerskich. Ktoś znacząco młodszy nie miałby niezbędnego doświadczenia, żeby poprowadzić do bitwy oddział rycerzy wraz ze zbrojnymi całego lenna. Mając zaś zbyt wiele lat na karku, mógłby nie sprostać zadaniu ze względu na brak sił.

- Panie Norris - rzucił krótko. Uścisk dłoni rycerza okazał się krzepki, ale nic w tym dziwnego. Ten, kto spędzał większość swych dni, dzierżąc miecz albo topór bojowy, zazwyczaj wykształcał sobie potężne mięśnie. Will wyczuł, że Mistrz Szkoły Rycerskiej pragnie go sprawdzić, gdy podawali sobie prawice; dostrzegł prędkie, uważne spojrzenie. Mistrz odnotował jego młody wiek i drobną budowę.

Willowi zdawało się, że dojrzał coś jeszcze we wzroku rycerza - cień satysfakcji z tego, co spostrzegł. Być może, po tym, jak przez lata miał do czynienia ze znającym się na rzeczy, doświadczonym Bartellem, Norris liczył na to, iż łatwiej upora się ze świeżo upieczonym zwiadowcą. Will doznał lekkiego rozczarowania, gdy pojął, w czym rzecz. Halt, a również i Crowley, komendant całego Korpusu, przestrzegali go, iż w niektórych lennach stosunki między baronami a zwiadowcami bywają napięte.

- Zbyt wielu wśród lenników stosuje podział na „my” i „oni” - mówił jeszcze w Redmont Crowley, wprowadzający Willa w szczegóły związane z nową funkcją. - Bądź co bądź, do naszych zadań należy sporządzanie sprawozdań na ich temat, ocena gotowości bojowej, poziomu umiejętności, a także wyszkolenia. Niektórym baronom i Mistrzom Szkół Rycerskich to nie w smak. Woleliby sądzić, że liczą się tylko oni, więc nie pałają ochotą, by zwiadowcy zaglądali któremuś przez ramię.

Will wiedział, że w Zamku Redmont nigdy tak się nie działo. Ale Halta z Araldem łączyły bliskie więzi, oparte na głębokim wzajemnym szacunku. Zachował wszelako te rozważania na później, a teraz wdał się w uprzejmą pogawędkę, wyjaśniając zaciekawionym Norrisowi i Ergellowi, co przydarzyło mu się w trakcie podróży.

Ergell zaprosił zwiadowcę na obiad do zamku. Will uśmiechnął się grzecznie, lecz znalazł wymówkę.

- Któregoś innego dnia, jeszcze w tym tygodniu, wasza dostojność. Nie godzi się, żebym sprawiał zamieszanie. Nie mogłeś wiedzieć, że przybędę dzisiaj, z pewnością więc już poczyniłeś własne plany na dzisiejszy wieczór.

- Oczywiście, oczywiście. Któregoś innego dnia, jeszcze w tym tygodniu, kiedy tylko

się rozgościsz - przytaknął baron. Will uznał, iż trafił na całkiem sympatycznego pana, nawet jeśli ów pan starał się jeszcze przed chwilą umniejszyć autorytet Willa. Twarz barona rozjaśnił uśmiech, chyba nawet ciepły, a może i serdeczny. - Życzyłbyś sobie, byśmy przysłali ci coś z naszej kuchni?

- Nie ma potrzeby, wasza dostojność. Kobieta z wioski, Edwina, przygotowała prawdziwie wyborną potrawkę z wołowiny. Sądząc po aromacie, na dzisiejszy wieczór wystarczy mi specjałów.

Ergell uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Dobra z niej kucharka, fakt - przyznał. - Próbowałem ją skłonić, by pracowała dla nas tutaj, na zamku, ale obawiam się, że nic z tego.

Norris zajął miejsce na jednej z długich ław, ustawionych po bokach biurka.

- Zatem wprowadziłeś się do chaty Bartella?

Will przytaknął.

- Tak, Mistrzu Szkoły Rycerskiej. Jest całkiem przytulna.

Ergell zaśmiał się krótko, chrapliwie.

- Skoro pichci ci Edwina, nie zaprzeczę - zgodził się.

Lecz Norris pokręcił głową.

- O wiele dogodniej byłoby ci mieszkać tutaj, w zamku - powiedział rycerz. - Baron zapewniłby ci, do twojej wyłącznej dyspozycji, sposobniejsze pokoje niż licha chatka. I byłbyś pod ręką, gdybyśmy cię potrzebowali.

Will uśmiechnął się, przejrawszy wybieg, kryjący się za pozornie niewinną propozycją. Wprowadzając się do zamku, uczyniłby pierwszy mały krok, prowadzący do stopniowej utraty niezależności. Wszystko odbyłoby się subtelnie, nie od razu, ale taka rezygnacja z zasad już na samym początku służby z pewnością niesłaby dalsze konsekwencje. Również stwierdzenie, że byłby bliżej, gdyby go potrzebowali, niesło w sobie sugestię, że ma tańczyć, jak mu ludzie z zamku zagrają. Will świetnie wiedział, co w trawie piszczy. Ergell baczenie mu się przyglądał, czekając na odpowiedź.

- Dziękuję, Mistrzu Szkoły Rycerskiej, chatka mi wystarczy - odparł. - Zresztą tradycja nakazuje zwiadowcom posiadanie kwatery poza zamkiem.

- Hmm, no tak, tradycja - rzucił Norris lekceważącym tonem. - Czasami myślę, że zbyt wielką wagę przykładamy do różnych obyczajów, które wynikają z tradycji.

Po słowach Norrisa zapadło nieco kłępujące milczenie. Ergell zaśmiał się znowu.

- Dajże spokój, Norris, wszyscy wiemy, jak zwiadowcy cenią sobie tradycję. Pamiętaj tylko - dodał, zwracając się do Willa - że oferta będzie wciąż aktualna. Jeżeli w mroźną zimę

chatka zrobi się za chłodna, a ciebie zmęczą przeciągi, zawsze stawiam do twojej dyspozycji pokoje w mojej siedzibie.

Szybkim spojrzeniem podpowiedział Mistrzowi Szkoły Rycerskiej, że temat miejsca pobytu zwiadowcy ma już zniknąć. Norris wzruszył ramionami. Zastosował się do życzenia barona, co dobrze o nim świadczyło. Will nie mógł ich obu w gruncie rzeczy winić, po prostu chcieli uzyskać nad nim przewagę. Świetnie rozumiał irytację najważniejszych osób w lennie, skoro ktoś po cichu, dzień za dniem, krąży gdzieś obok, łypie przez ramię notując, jak oni zabierają się do swoich zajęć, no i wreszcie składa raporty królowi o ich umiejętnościach oraz działaniach. Zwłaszcza jeżeli ten ktoś był tak niedoświadczony jak on. Wyglądało jednak, że udało mu się pokrzyżować plany obydwu, żadnego przy tym nie urażając.

- Wedle twojej woli, zwiadowco Treaty... - zaczął Ergell.

Will uniósł dłoń.

- Proszę, wasza dostojność - powiedział - rad wielce byłbym, gdybyś nazywał mnie po prostu Willem.

Co proponując, wykonał naprawdę uprzejmy gest. Tym bardziej, że równocześnie jasno dał do zrozumienia, iż zwracając się do barona, sam nadal zachowa wszystkie wymogi dworskiej etykiety. Ergell uśmiechnął się promiennie. Gest doceniono.

- A zatem, Willu, jak właśnie miałem rzec, zaplanujmy może datę oficjalnego powitalnego obiadu. Za dwa dni od dziś? To pozwoliłoby kuchmistrzowi zyskać trochę czasu na przygotowanie czegoś stosownego.

- Każdy wie, jak kuchmistrzowie potrafią utrudniać życie, jeżeli nie pozwoli się im na zwłokę - odezwał się Norris, wykrzywiając smętnie twarz.

Will, w odpowiedzi, uśmiechnął się od ucha do ucha. Pomyślał, że kuchmistrzowie są tacy sami, jak świat długi i szeroki. Atmosfera w pokoju znacznie się ociepliła.

- Wasza dostojność, jeżeli nie ma innych spraw, pozwolę sobie odejść - zwrócił się Will do barona.

Ergell skinął głową, a Norris ponownie wstał z ławy.

- Oczywiście, Willu - odpowiedział baron. - Jeżeli ci trzeba czegoś w chatce, daj znać Gordonowi. - Gordon, szambelan, wcześniej wprowadzał Willa do gabinetu.

Will zawahał się jeszcze na moment. Potem odezwał się cicho:

- Oto moje pełnomocnictwa, panie. - Wskazał zwój pergaminu leżący na biurku. Ergell kilkakrotnie pokiwał głową.

- Tak, tak. Bądź spokojny. Wkrótce je przejrzę. - Baron uśmiechnął się. - Chociaż trudno przypuszczać, iżbyś okazał się oszustem.

Will przywołał na usta grymas przypominający uśmiech. Ścisłe rzecz biorąc, Ergell powinien był złamać pieczęć, a następnie odczytać pełnomocnictwo od razu, kiedy tylko Will mu je wręczył. Wydaje się, że w lennie Seacliff postępują odrobinę niefrasobliwie, pomyślał. Ech, może zbyt formalistycznie czepiał się szczegółów.

- Skoro taka wola waszej dostojności. - Spojrzał na Norrisa. - Mistrzu - zwrócił się doń z szacunkiem. Rycerz raz jeszcze uściskał mu dłoń.

- Dobrze cię mieć wśród nas, zwiadowco - powiedział.

- Proszę mówić do mnie Will - przerwał chłopak, ciągle uśmiechając się.

Mistrz Szkoły Rycerskiej skinął głową.

- Dobrze cię mieć wśród nas, Willu - poprawił się.

Will złożył nieco sztywny ukłon przed baronem, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Wróciwszy do chatki, zastał sukę leżącą tam, gdzie ją zostawił. Nie spała już. Kiedy wszedł, ogon uderzył o podłogę dwa czy trzy razy. Na stole stała jeszcze jedna miska, Will stwierdził, że pływa w niej rosół, obficie wzbogacony mięsem. Pod miską znajdował się mały kawałek pergaminu z niezdatnym rysunkiem przedstawiającym psa. Edwina, pomyślał Will. Rosół nie wystygł, więc chłopak postawił miskę na podłodze. Suka ostrożnie podniosła się, przekuśtykała kilka kroków, żeby się dostać do miski. Język jej zatańczył w rytmie chlip-chlip-chlip, kiedy zajadała. Will podrapał owczarka za uszami, sprawdził ranę w boku. Szwy wytrzymały.

- Jak to dobrze, że gospodyni zostawiła mi kartkę, moja panno - poinformował zwierzę. - Bo inaczej mógłbym zjeść twój obiad.

Pies wciąż chleptał smakowity, aromatyczny mięsny wywar. Will uświadomił sobie, że burczy mu w brzuchu. Edwina zostawiła także nieduży bochenek chleba, aby miał czym zajeść potrawkę. Odkroił pajdę i pogryzał z apetytem, czekając, aż potrawka podgrzeje się na piecu.

Rozdział 5

Kolejne dni zlewały się w jeden ciąg, gdy Will zapoznawał się z nowym otoczeniem.

Obiad, który Ergell wydał na jego cześć w zamkowej jadalni, okazał się całkiem miłym powitalnym epizodem. Will obejmował funkcję oficjalną, zatem stawili się wszyscy Mistrzowie Sztuk, tacy jak Zbrojmistrz, Mistrz Koniuszy i Mistrz Skrybów. Przybyli również związani z zamkiem rycerze oraz damy dworu. Na razie twarze i imiona mieszały mu się, ale Will wiedział, że przed upływem kilku tygodni zapamięta, kto jest kto, z poszczególnymi osobami wiążąc ich indywidualne cechy charakteru.

Gości barona zaciekał nowy zwiadowca, zwłaszcza że wiele słyszeli o jego zasługach dla królestwa.

Witali wśród siebie ucznia samego Halta. Halta zaliczano do grona najwybitniejszych i najsłynniejszych członków Korpusu Zwiadowców. Już sam ów fakt przysparzał młodzikowi sławy. Poza tym zgromadzeni orientowali się, iż właśnie ten młodzik odkrył, po czym zniweczył tajne plany Morgaratha, niecnego pana Gór Deszczu i Nocy, kiedy zdrajca zaatakował królestwo nieco ponad pięć lat temu. Później Will ochraniał księżniczkę Cassandrę, wziętą w niewolę przez skandyjskich wojowników. Ówczesne wydarzenia dopełniła wielka bitwa z Temudżeinami, wojowniczymi jeźdźcami ze Stepów Wschodu, a zwieńczyło podpisanie paktu o nieagresji ze Skandianami. Traktat obowiązywał po dziś dzień.

Właśnie udział w doprowadzeniu do Traktatu z Hallasholm dał Willowi nazwisko, pod jakim znano go obecnie - Will Treaty, czyli Traktat. W dzieciństwie bowiem, wychowując się jako sierota na Zamku Redmont, chłopak nie znał własnego rodu.

Ludzie wielokrotnie okazywali zaskoczenie, widząc, jaki jest młody. Niekiedy sądzili nawet, że mylą chłopca z jakimś innym zwiadowcą - kimś, kto winien być starszy i o wiele potężniejszej postury.

W ciągu lat spędzonych u Halta Will często obserwował, jak specyficznym reagowali rozmaici ludzie, kiedy po raz pierwszy spotykali drobnego, brodatego osobnika, którego zmierzwiłone włosy wyglądały, jakby obcinał je własną saksą. Na twarzach gapiów malowało się niedowierzanie. Woleliby zapewne, żeby postura ich bohaterów dorównywała romantycznym mitom o herosach. Większość zwiadowców odznaczała się dość niskim

wzrostem. Nieważne, że każdy z członków Korpusu był silny, zwinny i nadzwyczaj sprawny. Ów fakt nie odpowiadał powszechnemu wyobrażeniu.

Na Zamku Seacliff Will również zetknął się z typowym przyjęciem. Już do tego przywykł. Zgromadzeni u barona miejscowi wielmoże okazywali zaskoczenie, a nawet lekkie rozczarowanie - widoczne zwłaszcza wśród wysoko urodzonych dam. Seacliff było zaściankiem, zatem spotkanie oko w oko z tak sławnym przybyszem - któremu król Duncan osobiście składał podziękowania za ochronę córki - musiało rozbudzić wielkie oczekiwania.

Jeżeli zaś chodziło o refleksje samego Willa związane z pobytem tutaj, to im głębiej wnikał w sprawy Seacliff, tym bardziej rosło jego rozczarowanie. Miłe lenno, usytuowane w pięknym rejonie królestwa. Jednak lata pokoju, które ugruntowały w miejscowych poczucie bezpieczeństwa, poczyniły także szkody w zamkowym garnizonie. Z beztroski wynikły zaniedbania. Winą za nie należało obarczyć wyłącznie barona oraz lokalnego Mistrza Szkoły Rycerskiej. Will znalazł się w niezręcznej sytuacji, ponieważ żywił szczerą sympatię, a nawet szacunek dla obydwu. Jednak trudno było zaprzeczyć, że stopień gotowości oraz wyszkolenia rycerzy i poczty zbrojnych, utrzymywanych przez Ergella, prezentował się znacznie poniżej dopuszczalnego poziomu.

Całymi dniami Will rozważał, w jakim trybie zwrócić uwagę na tak drażliwą kwestię bez narażania barona na utratę twarzy. Czynił bardzo przejrzyste aluzje. Stwierdzał, że w lennie jest mu chyba zbyt... wygodnie. Ale Ergell oraz Norris zaśmiewali się z przymówek. Traktowali je jako pochwałę swobodnego, przyjemnego trybu życia w Seacliff.

Wszyscy baronowie królestwa, dla zapewnienia spokoju w swym lennie, musieli utrzymywać na własny koszt poczet konnych rycerzy oraz oddział zbrojnych. Gdyby zaś pojawiło się zagrożenie wojną, każdy zamek miał wysłać szkolonych na miejscu ludzi, by dołączyli do królewskiej armii pod dowództwem króla Duncana i jego rady przybocznej. Od wielkiego lenna, takiego jak Redmont, wymagano utrzymywania oddziałów w sile kilkuset konnych plus piechota. Seacliff, jedno z mniejszych lenn, powinno obowiązkowo wystawiać pół tuzina rycerzy, dziesięciu czeladników Szkoły Rycerskiej, a także oddział piechoty, składający się z dwudziestu pięciu zbrojnych. W razie potrzeby do dyspozycji w odwodzie pozostawał jeszcze nieregularny oddział piętnastu łuczników, którego członków werbowano spośród mieszkających w okolicy wieśniaków.

Mieszkając już od kilku tygodni w Seacliff, Will nie miał dotąd sposobności, by w tym czasie zobaczyć chociażby jedną formalną musztrę rycerzy lub oddziału zbrojnych. Owszem, niby przeprowadzano jakąś szermierkę, zwołując zbrojnych od przypadku do przypadku, ale brakowało precyzyjnego planu zajęć sztabowych oraz bloku zajęć terenowych z prawdziwego

zdarzenia. Nie funkcjonował też ów zestaw stałych ćwiczeń, jakie wojownik powinien wykonywać, żeby utrzymywać formę. Ponadto uczniowie Szkoły Rycerskiej, szkolący się pod ogólnym kierownictwem pana Norrisa, a także dwóch starszych rycerzy, wykonywali swe obowiązki opieszale. Will, choć bardzo młody, bez trudu wychwytywał niski poziom wyszkolenia kadetów z Seacliff w porównaniu z wychowankami innych Szkół Rycerskich.

Jedyną sprawnością, w jakiej celowało Seacliff, okazało się gotowanie. Kuchmistrz Rollo prezentował klasę iście mistrzowską, a jego talent dorównywał geniuszowi Mistrza Chubba z Redmont, od dawna uważanego za jednego z najwspanialszych kucharzy królestwa. Być może po części stąd brał się problem, pomyślał Will. Życie w Seacliff toczyło się nazbyt spokojnie, zbyt przewidywalnie.

Czyli zbyt wygodnie.

Will kilkakrotnie udawał się na stały ląd, odwiedzał też niektóre wioski i osady położone o dzień jazdy konno od zamku. W trakcie kilku takich wypraw skrzętnie ukrywał symbole charakterystyczne dla zwiadowców. Ściągał szaro-zieloną cętkowaną pelerynę, chował długi łuk, zostawiał gdzieś swą podwójną pochwę z nożami, przywdziewając ubiór podróżny zwykłego wieśniaka. Odkrył, że ludziom chętniej rozwiązywały się języki w obecności nieznanego wędrowca niż w towarzystwie jednego z członków tajemniczego Korpusu Zwiadowców. Will wyczuwał, że nie wszędzie w lennie Seacliff dobrze się działo. Jeśli bowiem życie zamkowe płynęło całkiem wygodnym nurtem, los oddalonych osad i gospodarstw przedstawiał się rozmaicie.

Krażyły plotki o rozbójnikach, o zwykłych bandytach, zasadzających się na samotnych podróżnych. Szeptano o napadach na przejezdnych. Po niektórych wszelki ślad zaginał. Will wiedział, jak wieśniacy, wiodący dosyć monotony żywot, lubili wyolbrzymiać wszystko, co niecodzienne. Zwykłe wydarzenia przybierały w ich opowieściach rozmiary kataklizmu. Jednak plotki te powtarzano wystarczająco często, by wyczuł, iż tkwi w nich co najmniej ziarno prawdy. Kilkakrotnie też wymieniano nazwisko Buttle, przeważnie z wahaniem pełnym lęku.

Willa cieszyły za to drobne oznaki pomyślności. Suka z każdym dniem nabierała sił, właściwie już wydobrzała. Teraz, kiedy mogła się swobodnie poruszać, Will zorientował się, że jest bardzo młoda, prawie szczenię jeszcze. Ale reputacja, jaką owczarki cieszyły się dzięki wierności oraz inteligencji, nie była przesadzona. Suka stała się nieodłączną towarzyszką Willa oraz Wyrwija, potrafiła przez cały dzień z wrodzoną owczarkom łatwością biec obok drobnego konika.

Z początku Wyrwij zdawał się co najwyżej rozweselony obecnością czarno-białego

przybysza, ale z upływem czasu polubił towarzystwo drugiego zwierzęcia. Zyskali też obaj z Willem niespodziewaną korzyść, bo owczarek stał się znakomitym stróżem ich nocnych obozowisk, kiedy Will poznawał nową krainę. Wyrwij przywykł służyć Willowi za wartownika, zresztą wszystkie konie zwiadowców zostały w ten sposób wyszkolone. Pies wspomagał go teraz, a zmysł węchu owczarek miał bardziej wyostrzony niż konik. Oba zwierzęta, połączone więzami lojalności wobec młodego pana, prędko poczuły wzajemną sympatię. Dobrze się rozumiały i uzupełniały.

Trzy tygodnie po przybyciu Willa do Seacliff sytuacja dojrzała do jakichś rozstrzygnięć. Nie wolno było już dłużej tolerować istniejącego stanu rzeczy, zwłaszcza zaś przymykać oczu na niezadowalające szkolenie zbrojnych oddziałów, pozostających pod komendą barona.

Pewnego dnia Will obserwował czeladników Szkoły Rycerskiej w trakcie popołudniowych ćwiczeń z mieczem. Owinięty peleryną, z kapturem okrywającym głowę, oparty na łączysku długiego łuku, stał w cieniu niewielkiej kępy drzew za placem ćwiczeń, praktycznie niewidoczny, bo zastygł w miejscu. Pies, który rozumiał już potrzebę pozostawania bez jednego choćby drgnięcia, leżał w wysokiej trawie obok swego pana, z nosem na przednich łapach. Od czasu do czasu owczarkowi zafalowało ucho albo powiódł za Willem ślepiami, żeby sprawdzić, czy zwiadowca nie daje mu jakichś znaków.

Will, zachmurzony, obserwował czeladników oraz ich mistrza podczas szermierki na miecze. Z technicznego punktu widzenia ruchy wykonywali nawet poprawnie. Młodego zwiadowcę niepokoił jednak brak zapału. Ot, ćwiczenie jak ćwiczenie, nic więcej. Żadnego entuzjazmu, żadnego serca do zajęć. Ograniczali się do poprawnego reagowania na komendy, to wszystko. Horace, stary przyjaciel Willa, teraz już rycerz na królewskim dworze Araluenu, jako czeladnik ćwiczył w trakcie niezliczonych lekcji identyczne ruchy. Ale on wykonywał je z pasją, rozumiejąc, iż swoboda w posługiwaniu się mieczem, instynktowny ruch, który później, w bitwie, rycerz wykona bez zbędnego zastanawiania się, może decydować o życiu lub śmierci. Odruchowa, bezbłędna precyzja Horace'a ocaliła Willowi życie choćby wtedy, gdy ramię w ramię bili się pod Hallasholm.

Przyglądając się grupie, Will nie dostrzegał ani krzty podobnego zapału. W przypadku tych czeladników instynkt nie działał. Co gorsza, prowadzący ćwiczenia starsi rycerze również nie wykazywali żadnego animuszu. Will zmarszczył czoło. Pozostał mu tydzień do złożenia pierwszego comiesięcznego raportu dla kwatery głównej zwiadowców. Miał obowiązek raportować, jak się mają w Seacliff. Już wiedział, że raport będzie niepochlebny.

Will usłyszał głos, nim jeszcze dostrzegł krzyczącego człowieka. Parę sekund później

zauważył przysadzistą postać. Ktoś zbliżał się od strony drzew poniżej zamku, biegł, wrzeszczał, wymachiwał ramionami, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nie dawało się jeszcze rozróżnić słów, ale z tonu głosu i z gestów mężczyzny jasno wynikało, że zbliża się jakieś wielkie zagrożenie.

Suka także wyczuła, że coś się święci. Z gardła owczarka dobył się cichy warkot. Uniosła się lekko, na wpół przyczajona.

- Spokój - ostrzegł Will. Posłusznie zastygła. Brzęk broni na placu ćwiczeń zamarł, bowiem coraz więcej osób zwracało uwagę, iż pędzi ku nim wrzeszczący człowiek.

Za moment Will usłyszał gwałtownie wykrzykiwane ostrzeżenie:

- Morskie wilki! Morskie wilki!

Te słowa przez długie wieki ścinały krew w żyłach mieszkańcom Araluenu. Morskimi wilkami zwano łupieżców ze Skandii, którzy przyplływali ze swej pokrytej śniegiem, porośniętej sosnami krainy na Północy, żeby napadać na spokojne wybrzeża Araluenu, Gallii oraz kilku innych krain. W ogromnych rogatych hełmach, siejący straszliwe zniszczenie przy pomocy mocarnych toporów bojowych Skandianie budzili grozę. Wojownicy na wilczych okrętach jawili się jako senny koszmar.

Ale nie tutaj. W każdym razie nie przez ostatnie cztery lata, odkąd Erak Starfollower, obecnie panujący oberjarl Skandian, złożył swój podpis na traktacie z Araluenem. Ściśle rzecz biorąc, treść traktatu zakazywała organizowania masowych napaści Skandian na królestwo Araluenu. Jednak w praktyce położyło to kres również indywidualnym napadom. Erak nie mógł co prawda zabronić swoim szyprom łupieżczych wypraw, lecz wiadomo było, że zdecydowanie jest im przeciwny, uważając, iż zaciągnął honorowy dług wobec nielicznej grupki Araluńczyków, którzy ocalili jego ojczyznę przed inwazją Temudżeinów. A skoro Erak czegoś nie pochwalał, jego ludzie zazwyczaj po prostu tego nie robili.

Sądząc po ubiorze, krzyczący człowiek był rolnikiem. Zbliżał się coraz bardziej do placu ćwiczeń. Chwiał się na nogach, nie mógł złapać oddechu.

- Skandianie - wysapał. - Morskie... wilki... na Bitterroot Creek... Skandianie.

Wyczerpany, oparł się ciężko o ogrodzenie; jego pierś i ramiona drżały z wysiłku. Pan Norris natychmiast pospieszył w stronę przybysza, żeby wypytać go o szczegóły.

- Co takiego? - spytał. - Skandianie? Tutaj?

W zatroskanym tonie rycerza pobrzmiwała nutka niedowierzania. Mimo że Norris nie okazywał jakiegokolwiek zapału w czasie szkolenia czeladników, Will wiedział, że rycerz zna się na swoim fachu. Mógł zgnuśnieć przez lata spokoju, jakim od dawna cieszyło się Seacliff, mógł stać się nadto pobłażliwy, ale - stając w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa - miał

dość doświadczenia, by uzmysłowił sobie, że właśnie znalazł się w tarapatkach. Jego ludzie nie byli gotowi przeciwstawić się zagrożeniu, jakie stwarzał prawdziwy wróg.

Wzburzony rolnik wskazywał za siebie, w kierunku, skąd przybył, kiwając głową na potwierdzenie prawdziwości swych słów.

- Skandianie - powtórzył. - Widziałem ich, tam gdzie Bitterroot Creek wpływa do morza. Przybyły ich całe setki! - uzupełnił. Wśród gromadki czeladników oraz rycerzy, skupionych wokół zwiastuna, rozległy się pomruki zaniepokojenia.

- Cisza! - warknął Norris.

Will, który podszedł niezauważony, odezwał się bezpośrednio do wieśniaka:

- Ile wilczych okrętów widziałeś?

Chłop odwrócił ku niemu głowę. Gdy dotarło doń, że rozmawia ze zwiadowcą, oblicze ściągnął mu grymas nieufności.

- Jeden - odpowiedział. - Olbrzymi był, z wielgachną wilczą głową na dziobie! Widziałem go tak wyraźnie, jak was teraz.

Znowu rozległ się pomruk przestrochu. Zgromadzeni wokół przybysza gubili się w domysłach. Norris odwrócił się, spojrzał gniewnie, wszyscy ucichli. Will napotkał spojrzenie Mistrza Szkoły Rycerskiej.

- Jeden statek - odezwał się. - Czyli najwyżej czterdziestu mężczyzn.

Norris przytaknął.

- Chyba nawet mniej, na brzeg zeszło ich raczej około trzydziestu, jeżeli zostawiają na pokładzie strażę - stwierdził.

Co prawda w niczym nie polepszało to sytuacji. Trzydziestu Skandian napadających na wyspę Seacliff dysponowało w praktyce siłą nie do powstrzymania. Tutejszy, kiepsko wyszkolony, zastęp zbrojnych był nieprzygotowany do poważnej walki. Ludzie pozostający w dyspozycji Norrisa zdołaliby sprostać co najwyżej dzikim piratom. Mistrz Szkoły Rycerskiej przeklinał własną opieszałość. Zdawał sobie przecież sprawę, że sam jest wszystkiemu winny. Jego bowiem obowiązkiem było przedsięwziąć jakieś kroki. Widział też dodatkowy problem. Odpowiadał za coś więcej niż tylko za siebie. Od jego postanowień zależało życie mężczyzn, którym przewodził. Gdyby w obecnym stanie poprowadził ich do bitwy przeciwko zahartowanej, zaprawionej w bojach bandzie Skandian, równałoby się to skazaniu ich na pewną śmierć.

Will wyczuł rozterki rycerza - ich praktyczny oraz moralny aspekt.

- I tak dysponują zdecydowaną przewagą liczebną - odezwał się. Oficjalnie oddział pod wodzą Mistrza Szkoły Rycerskiej skupiał dwudziestu pięciu zbrojnych. Jednak w czasie

tak krótkim, jaki mieli na zebranie sił, Mistrz mógł skrzyknąć co najwyżej dwudziestkę zbrojnych, w tym może trzech czy czterech rycerzy. Will, mając na uwadze nieudolność czeladników, którym się wcześniej przyglądał, aż zadrżał, wyobrażając sobie, że mieliby stanąć naprzeciw bezwzględnych Skandian i ich toporów bojowych.

Norris zawahał się. Wiódł wygodne życie, jak zresztą wszyscy dobrze urodzeni. Lecz przywileje kosztowały, trzeba było na wygody zapracować. Płaciło się w chwilach takich jak ta. Tyle że obecnie, gdy wynikła prawdziwa potrzeba, on nie był gotowy, nie zdołałby obronić tych, którzy mu ufali.

- Poniechaj, nie prowadź ludzi na pewną, bezsensowną śmierć. - Will mówił cicho, tak żeby tylko Mistrz Szkoły Rycerskiej go słyszał. Dłoń Norrisa zacisnęła się, a potem rozluźniła na rękojeści miecza, który nosił u boku.

- Musimy coś uczynić... - odpowiedział niepewnie.

Will odezwał się spokojnie:

- I uczynimy - oświadczył. - Sprowadź wieśniaków w obręb murów, niech wezmą ze sobą tyle dobytku i zapasów, ile zdołają udźwignąć. Każ wygonić zwierzęta na pola. Rozpędź je na wszystkie strony, żeby Skandianie musieli za nimi gonić, gdyby chcieli je ukraść. Niech twoi ludzie czekają z bronią, w pełnej gotowości. I zapytaj Mistrza Rollo, czy zdoła pilnie wymyślić coś naprawdę smacznego. Na ucztę.

Norris zastanawiał się, czy dobrze słyszy.

- Na ucztę? - spytał, całkiem zbity z tropu.

Will skinął głową.

- Na ucztę. Żadne tam frykasy. Jestem pewien, że potrafi szybko upichcić coś pożywnego. Tymczasem ja pojedę, rozmówię się ze Skandianami.

Oczy Mistrza Szkoły Rycerskiej rozszerzyły się, gdy spoglądał na niczym niewzruszoną twarz młodego zwiadowcy.

- Rozmówisz się z nimi? - powtórzył. Odrobinę głośniejszym głosem niż zamierzał. - I to ma ich niby powstrzymać przed atakiem?

Will wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że najpierw poproszę, by nic złego nam nie robili - odpowiedział. - A następnie zamierzam zaprosić ich na ucztę.

Rozdział 6

Rzeka Bitterroot Creek na wschodnim wybrzeżu wyspy uchodziła do oceanu w miejscu osłoniętym, z mnóstwem zwisających tuż nad wodą gałęzi, które zapewniały kryjówkę - nawet obiektowi tak dużemu jak wilczy statek. Woda aż do samego brzegu była głęboka, więc miejsce idealnie nadawało się do rozpoczęcia natarcia z morza.

Will cwałował na Wyrwiju krętą ścieżką przez las w kierunku rzeki. W pewnym momencie z tyłu dobiegł doń tętent galopującego konia.

Dał piętą porozumiewawczy znak Wyrwijowi. Odwrócił się w siodle. Wnet rozpoznał, kto goni. Na bojowym rumaku galopował pan Norris. Mistrz Szkoły Rycerskiej założył zbroję, wziął ze sobą pełen bojowy rynsztunek, zaś podkute kopyta jego potężnego siwka zostawiały za sobą tumany kurzu. Pies cicho biegł wzdłuż traktu. Bez trudu zresztą dotrzymywał kroku Wyrwijowi. Teraz, gdy koń zwiadowcy zatrzymał się, zaległ z brzuchem tuż przy ziemi. Obserwował zbliżającego się rumaka i jeźdźca, z zaciekawieniem przekrzywiając łeb.

Norris, dognawszy Willa, powściągnął ogiera. Bojowy rumak przewyższał Wyrwija co najmniej o cztery dłonie, więc koń oraz jeździec górowali wyraźnie nad poczem zwiadowcy. Will powitał Mistrza Szkoły Rycerskiej skinieniem głowy.

- Panie Norris - odezwał się. - Cóż cię tutaj sprowadza?

Norris zawahał się. Will domyślał się słów rycerza. Norris przez chwilę milczał, następnie stwierdził:

- Nie mogę pozwolić, żebyś jechał zupełnie sam, zwiadowco. - W jego gorzkim tonie przewijała się wyraźna nuta samokrytyki. - Moja to wina, że nie jesteśmy gotowi. Pozwoliłem, by w nasze szeregi wkradło się rozprężenie. Teraz widzę, do czego doprowadziłem. Ja zawiniłem, ja poniosę konsekwencje. Nie zamierzam zostawić na twojej głowie obowiązku ratowania nas z opresji. Bo opresja nadeszła przeze mnie. Staję w potrzebie wraz z tobą.

Will przytaknął z powagą. Do wypowiedzenia takich słów trzeba było nie lada odwagi. Tyleż samo odwagi potrzeba, by zdecydować się na wspólne, tylko we dwóch, spotkanie ze Skandianami. Zwiadowca już przedtem szanował Mistrza Szkoły Rycerskiej, obecnie szacunek ten jeszcze wzrósł. Nie da się wykluczyć, iż gdyby wszystko skończyło się

pomyślnie, incydent przyniesie błogosławione skutki. Pojawienie się wilczego okrętu łupieżców mogło się stać brutalną lekcją. Ujawniało do jakiego stopnia lenno Seacliff jest niegotowe na konflikt. Nauczka działa o wiele skuteczniej niż jakakolwiek krytyka, którą zdołałby wygłosić Will.

- Doceniam twoją propozycję - odpowiedział rycerzowi. - Zakładam jednak, że przyniesie to o wiele większy pożytek, jeżeli zajmę się wszystkim sam.

Ujrzał, jak oblicze Mistrza nabiega krwią, prędko zatem uniósł rękę, żeby załagodzić rodzący się gniew.

- Nie myśl, że wątpię w twoją odwagę albo nie doceniam zdolności - dodał. - Albowiem jest wręcz przeciwnie. Sądzę tylko, że większe szanse uzyskam, postępując po swojemu.

- Nie zamierzasz chyba walczyć z nimi w pojedynkę? - zapytał Norris.

Will pokręcił głową, na ustach zatańczył mu niewielki uśmiezek.

- Nie zamierzam w ogóle z nimi walczyć, jeśli tylko zdołam walki uniknąć - odparł. - Wszelako twoja rycerska obecność, w pełnej zbroi i na tym oto wielkim rumaku, może nie pozostawić mi wyboru. Zastanów się - ciągnął pospiesznie, zanim Norris zdołał coś wtrącić. - Gdy tylko Skandianie cię zobaczą, wyraźnie przygotowanego do boju, najpewniej z miejsca zaatakują.

Norris zagryzał dolną wargę. Uświadomił sobie, że rozumowanie Willa ma sens. Młody zwiadowca ciągnął dalej:

- Z drugiej zaś strony, jeżeli ujrzą mnie samego, raczej zechcą porozmawiać. My, zwiadowcy, zwykle budzimy jakiś tam niepokój. Ludzie nigdy nie są całkiem pewni, co możemy chować w zanadrzu - dodał, uśmiechając się szerzej. Prawda, Norris musiał to przyznać. A jednak nie był skłonny porzucić uzbrojonego tylko w łuk młodzieńca, pozostawiając go na łasce trzydziestu wojowników. Will dostrzegał, w czym rzecz, więc tłumaczył dalej, choć już bardziej rzeczowo, gdyż zdawał sobie sprawę, że czas ucieka.

- Zważ, Mistrzu, jedno jeszcze. Gdyby sprawy przybrały zły obrót, zawsze zdołam im umknąć na moim Wyrwiju i jeszcze ustrzelę paru po drodze. Proszę, panie Norris, najlepiej będzie, jeśli zrobię wszystko po mojemu. - Zerknął na trakt, wypatrując oznak nadejścia Skandian. Wiedział, że mogą pojawić się właśnie tu, ponieważ nie istniała żadna inna ścieżka biegnąca z plaży w głąb wyspy. Norris, niespodziewanie dla samego siebie, podjął decyzję. Na lekkim, zwinnym koniku zwiadowca istotnie miał szansę. W razie potrzeby umknie do lasu. Albo po prostu wyprzedzi Skandian i znajdzie się przed nimi w zamku. Morskie wilki rzadko używały łuków czy innej broni miotającej pociski.

- Niech więc tak się stanie - zgodził się, zawracając wierzchowca.

Will w podzięcie skinął głową. Rycerz spiął konia ostrogami. Niezgrabnym galopem ruszył na powrót tą samą drogą, którą przybył.

Gdy tylko tętent kopyt ucichł, Will uważnie rozejrzał się dokoła. W tym miejscu ścieżka biegła mniej więcej prosto. Drzewa rosły w pewnym oddaleniu, a grunt był równy, pozostawiając otwartą płaską przestrzeń. Zwiadowca uznał, że na spotkanie ze Skandianami to akurat miejsce nada się równie dobrze, jak każde inne. Mógł utrzymać ich na dystans, gdyby zaszła potrzeba, miał też dość przestrzeni, by manewrować koniem.

Wycofał Wyrwija o kilka metrów, po czym zatrzymał się pośrodku ścieżki. Pies, sunąc brzuchem po trawie, dał susa, po czym przypadł do ziemi tuż za koniem. Will spojrzał na słońce. Znajdowało się nieco za nim, będzie więc świeciło prosto w oczy Skandian. Cała jego postawa sygnalizowała gotowość, ale bez złych zamiarów.

Uszy Wyrwija drgnęły. Ułamek sekundy później pies wydał z siebie ostrzegawczy warkot. Will dostrzegł jakiś ruch w cieniu pod drzewami na zakręcie ścieżki.

- W porządku - odezwał się do obydwu zwierzaków. - Spokój. - Wygodniej usadowił się w siodle. Przygarbiony, czekał na Skandian.

Gundar Hardstriker, kapitan „Wilczej chmury”, wyszedł na popołudniowe słońce z cienia pod drzewami. Za nim maszerowało w szyku dwójkowym dwudziestu siedmiu skandyjskich wojowników. Porzuciwszy ciemny las, nieco oszołomiony światłem, Gundar zatrzymał się. Zaskoczył go widok tkwiącej na drodze samotnej postaci.

Stwierdził, że ani to rycerz, ani w ogóle wojownik. Ot, drobna postać i mały, włochaty konik. Na kolanach jeźdźca leżał wprawdzie długi łuk, lecz trzymany jakby od niechcienia. Poza tym Gundar nie widział żadnej innej broni. Ani topora, ani maczugi czy pałki. Ludzie Gundara przystanęli za wodzem. Usunęli się ze ścieżki, schodząc na boki, żeby zobaczyć, co spowodowało zwłokę.

- Zwiadowca - odezwał się Ulf Oakbender, szlakowy na pokładzie „Wilczej chmury”. Gundar pojął, że Ulf ma rację. Słońce, świecące mu w oczy niemal dokładnie zza pleców czekającej postaci, nie pozwoliło wypatrzeć cętkowanej peleryny, będącej znakiem rozpoznawczym zwiadowców. Teraz, gdy oczy się przyzwyczaiły, dostrzegał dziwne, nieregularne wzory, które zdawały się migotać i żyć własnym życiem.

- Szczęsnego dnia - zawołał rzeński głos. - W czym mógłbym pomóc?

Głos brzmiał zaskakująco młodo, co, w połączeniu z faktem, że ktoś tutaj użył tradycyjnego skandyjskiego powitania, sprawiło, iż Gundar zawahał się. Usłyszał za plecami

mamrotanie swoich ludzi, równie jak on zdumionych nagłym spotkaniem. Spodziewali się albo oporu, albo ucieczki na ich widok, lecz na pewno nie uprzejmego powitania.

Zorientowawszy się, że traci inicjatywę, Gundar wrzasnął z gniewem:

- Usuń się! Usuń się, uciekaj albo walcz. Nam bez różnicy. Twój wybór.

Ruszył do przodu. Postać z lekka wyprostowała się w siodle.

- Ani kroku dalej! - Teraz w głosie jeźdźca zabrzmiał ton rozkazujący, bez choćby nutki niezdecydowania.

Gundar znów się zawahał. Za sobą usłyszał szept Ulfa:

- Miej się na baczności, Gundarze. Ci zwiadowcy potrafią strzelać diabelnie skutecznie.

Jak gdyby dosłyszawszy wyszeptane ostrzeżenie Ulfa, zwiadowca ciągnął:

- Idź dalej, a padniesz martwy, nim uczynisz dwa kroki. Lepiej pogadajmy przez chwilę, dobrze?

Gundar, mając świadomość, że oczy wszystkich jego ludzi skierowane są w tej chwili tylko na niego, prychnął pogardliwie. Następnie ruszył w stronę jeźdźca. Raptem coś mu przed oczami zamigotało. Wspominając później, co się wówczas wydarzyło, nie mógł sobie przypomnieć, co to był za ruch. Dziwny migoczący cętkowany wzór na pelerynie zmaćcił wzrok wodza, a sam zwiadowca poruszył się z prędkością błyskawicy. Gundar usłyszał groźne „świst-lup!\", a strzała, wbita w ścieżkę dokładnie między jego stopami, drgała złowrogo. Uskoczył, szarpiąc ciałem do tyłu.

- Mogłaby cię trafić między oczy - stwierdził spokojnie tamten.

Gundar zdał sobie sprawę, że to prawda. Opuścił topór bojowy, który niósł na ramieniu. Wsparł się na rękojeści, gdy ostrze dotknęło ziemi.

- Czego chcesz? - spytał, a postać wzruszyła ramionami.

- Tylko zamienić kilka słów, jak to między przyjaciółmi. Nie wiedziałem, że Traktat z Hallasholm został unieważniony.

- Traktat nie zabrania indywidualnych wypraw - odparł Gundar. Zdawało mu się, że postać skinęła, chociaż trudno byłoby stwierdzić, czy naprawdę, skoro kaptur okrywał jej głowę.

- Być może nie zapisano tego wprost - odpowiedział zwiadowca. - Ale powiadają, że Erak Starfollower jest wyraźnie przeciwny takim wyprawom, zwłaszcza gdy chodzi o jego przyjaciół oraz ich dobytek.

Gundar zaśmiał się ze wzgardą.

- Przyjaciół? Oberjarl nie szuka przyjaciół wśród mieszkańców Araluenu! - stwierdził.

Chociaż, gdy tylko wypowiedział te słowa, zaczęły go ogarniać wątpliwości. Na chwilę zapadła cisza. Zwiadowca nie odpowiedział wprost na jego pytanie. Zamiast tego spojrzął w niebo i popatrzył na jesienne słońce.

- Trochę późno, by się wyprawiać akurat tutaj - odezwał się wreszcie Will. - Jak rozumiem, łupiliście wybrzeża Gallii oraz Iberionu? - Łatwo się było tego domyślić. Nie słyszano ostatnio o żadnych napaściach na południowe wybrzeże Araluenu. Zwiadowca, spoglądając na stojącą przed nim grupę, wiedział, dlaczego się tutaj znaleźli.

- Przeprowa przez Morze Białych Sztormów o tej porze roku sprawia sporo kłopotów - stwierdził, zachowując swobodny, przyjazny ton. - Niedługo zaczną się jesienne wichury. Przechimujecie na Skorghijl, jak przypuszczam?

Dostrzegł poruszenie wśród Skandian. Zaskoczył ich. Wódz łypnął okiem, żeby uciszyć ludzi.

- Skorghijl? A co ty wiesz o Skorghijl?

- Wiem, że to czarna skała, setki kilometrów od wszelkiego lądu. Jest tam mokro i zimno, brak jakichkolwiek wygod, nie ma też żadnej roślinności, chociażby jednego źdźbła trawy - odparł Will. - Ale i tak lepsze to niż przeprowa przez Morze Białych Sztormów przy złej pogodzie. - Zrobił przerwę dla większego efektu, po czym dodał, jakby od niechcenia: - W każdym razie przynajmniej tak to wyglądało, kiedy ja tam podróżowałem na „Wilczym wicherze”.

No, zrobiłem na nich wrażenie, pomyślał Will. Okręt, nazwany „Wilczym wichrem”, należał do Eraka, zanim wybrano go oberjarlem Skandian. Tylko nieliczni mieszkańcy Araluenu o tym wiedzieli. Bowiem skandyjskie okręty nie wypisywały swych nazw na burtach. Zwiadowca odnotował, że w grupie trwa narada. Dobiegły go przyciszone głosy. Zauważył niepewność wodza. Skandianin pojął, że Will tylko w jeden sposób mógł poznać nazwę statku Eraka - od samego Eraka.

Rzeczywiście, ta właśnie myśl zaświtała w głowie Gundara. Jednak wciąż nie dostrzegał oczywistego związku między faktami. Dostrzegł go za to Ulf. Chwycił wodza za ramię.

- To on! - stwierdził z naciskiem. - Ten, co pomógł pokonać jeźdźców ze Wschodu!

Gundar przyjrzał się postaci na koniku. Słyszał już wcześniej o młodym uczniu zwiadowcy, który pięć lat wcześniej walczył ramię w ramię ze Skandianami. Ale nigdy go nie widział. Gundar w trakcie krótkiej, ale krwawej wojny z Temudżeinami przebywał w głębi kraju. Inaczej sprawa miała się z Ulfem. On bowiem zajmował miejsce w murze tarcz podczas ostatecznego starcia. Teraz, kiedy Will odrzucił do tyłu kaptur swojej peleryny i

odstąpił strzechę zmierzwionych włosów, Ulf rozpoznał zwiadowcę.

- On, Gundarze, on! - powiedział do kapitana. Następne zdanie rzucił już z posepnym śmiechem: - Zdażyłeś przystanąć w samą porę. Obserwowałem go, kiedy trwała bitwa. Potrzebował ledwie pięciu sekund, by opróżnić pięć temudżeińskich siodeł.

Ulf wiedział, że to jeszcze nie wszystko. Jeżeli na ich drodze wyrósł ów legendarny uczeń, to znaczy, iż spotkali kogoś, kto zaliczał się do grona bliskich przyjaciół oberjarla. Zatem wypadek na jego terytorium mógł okazać się najbardziej niefortunnym krokiem w karierze skirla wilczego okrętu. Erak słyszał z lojalności wobec przyjaciół oraz z tego, że łatwo wpadał w furję, gdy ktoś im uchybił.

Gundar, obdarzony nie najbystrzejszym umysłem, doszedł do takiego samego wniosku kilka sekund później niż jego zastępca. Zawahał się. Nie wiedział, co teraz. Fakt, iż on i jego ludzie najechali Seacliff, wynikał z palącej potrzeby. Potrzebne im były zapasy, żeby przetrwać długie, mroźne zimowe miesiące na Skorghijl. Pozbawiona roślinności wyspa zapewniała bezpieczną przystań dla wilczych okrętów, lecz nie pożywienie, zaś pod względem zdobywania zapasów wyprawa „Wilczej chmury” okazała się całkowicie nieudana. Gdyby pozełgłowali na Skorghijl z tym, co mieli, niewykluczone, że pomarliby z głodu. A w najlepszym razie bardzo by im burczało w brzuchach. Gundar oraz jego ludzie musieli zdobyć jakieś łupy. Potrzebowali mięsa oraz mąki i ziarna, musieli się czymś żywić przez zimę. Potrzebowali też wina. Na samą myśl o winie Gundar nieświadomie oblizał wyschnięte wargi. Przyjaciele czy nieprzyjaciele, pomyślał, oberjarlowi nie wolno winić współrodaka, że dba o interes własnej załogi.

- Odjedź stąd, zwiadowco - zawołał, podjąwszy decyzję. - Wolałbym nie podnosić broni przeciwko przyjacielowi Skandii. Dam ci więc ostatnią szansę.

Mówiąc to, znów dźwignął na ramię potężny topór bojowy. Lecz uśmiech, jaki ujrział na twarzy młodzieńca, zbił go nieco z tropu.

- Wielce uprzejmie sobie poczynasz - bąknął przyjaźnie Will. - Jeżeli ja „odjadę stąd”, co ty uczynisz?

Gundar wskazał w kierunku zamku oraz wioski, które - jak wiedział - leżały kawałek drogi stąd, za drzewami.

- Po to przybyliśmy - oznajmił. - Zabierzemy, co chcemy. Później odpływamy.

- Nie działasz wiele, mając ledwie dziesięciu ludzi - stwierdził Will rzeczowym tonem. Gundar parsknął ze złością.

- Dziesięciu? Mam za sobą dwudziestu siedmiu dzielnych wojowników! - Rozległ się gniewny pomruk aprobaty ze strony załogi... choć, jak Gundar zauważył, Ulf nie przyłączył

się do reszty.

Kiedy tym razem zwiadowca się odezwał, w jego głosie nie było już śladu po przyjaznym i rzeczowym tonie. Zamiast tego przemawiał twardo, chłodno.

- Jeszcze nie dotarłeś do zamku - stwierdził Will.

- Wciąż mam w kołczanie dwadzieścia trzy strzały, a kolejny tuzin w jukach przy siodle. Ty zaś masz do przejścia jeszcze kilka kilometrów. Chociaż kiepski ze mnie łucznik, powinienem ustrzelić ponad połowę twoich ludzi. Wtedy staniesz twarzą w twarz z całym garnizonem, mając ze sobą ledwie dziesięciu.

Spojrzenie Gundara odruchowo pomknęło ku linii drzew. Uzmysłowił sobie, że zwiadowca nie kłamie. Will mógł zniknąć w lesie i trzymać ich pod nieustającym ostrzałem, gdy będą usiłowali dostać się do zamku.

- Spróbuj pościgu, jeśli pragniesz ułatwić mi zadanie - dodał Will.

Gundar siarczyście zaklął pod nosem. Zwiadowca, dosiadający konia, wyćwiczony w gubieniu przeciwnika wśród drzew, potrafiłby z łatwością umykać, przy okazji roznosząc w pył niewielki oddział Skandian. Skirl wilczego okrętu czuł, jak kipi w nim wściekłość. Został schwyty w pułapkę i nie było z niej dobrego wyjścia. Jeżeli nie złupi wioski, on oraz jego ludzie pomrą z głodu. Z drugiej zaś strony, gdyby się odważył na atak, wystawiłby wielu swych ludzi na pewną śmierć.

Will przyglądał mu się uważnie. Wyczekiwał stosownego momentu, czyli tuż przed tym, jak wściekłość weźmie górę, popychając Gundara do rozpaczliwych działań.

- Ale może uda nam się jakoś dogadać - zaproponował zwiadowca.

Rozdział 7

Nadchodzą!

Okrzyk wartownika, stojącego na najwyższej wieży Zamku Seacliff, odbił się echem po całej okolicy. Baron Ergell spojrział w górę, mrużąc oczy od słońca, po czym podążył wzrokiem tam, gdzie wskazywała ręka mężczyzny.

Grupa skandyjskich wojowników wylewała się spośród drzew na otwartą przestrzeń przed zamkiem. Postać na koniu jechała obok człowieka, który ich prowadził. Czarno-biały pies biegł przy nich na czele grupy.

- Rozmówił się z nimi, powiadasz? - zapytał Ergell, a Norris pokiwał głową, stając na blankach obok swojego pana. Kiedy zostawił Willa na ścieżce, nie odjechał dalej niż za pierwszy zakręt. Ukryty, gotów pospieszyć z pomocą, gdyby zaszła potrzeba, śledził, jak zwiadowca negocjuje ze Skandianami.

- W rzeczy samej. Po prostu zastąpił rabusiom drogę i gadał z nimi. Wystrzelił tylko jedną strzałę jako ostrzeżenie, sam widziałem. No, właściwie tego akurat nie widziałem - dodał, poprawiając się. - To jakoś tak jakby... się stało. Oni są niesamowici, ci zwiadowcy.

- I wspominał coś o uczcie?

Tym razem Norris wzruszył ramionami. Przekazał już stosowne polecenie Willa kuchmistrzowi Rollo, choć sam nie posiadał się ze zdumienia.

- Wspominał o uczcie, wasza dostojność. Zupełnie nie potrafię zrozumieć, o co mu szło.

Rozmawiali. W trakcie rozmowy Ergell liczył, ilu Skandian wchodzi w skład zbliżającego się do zamku oddziału. Stwierdził, iż przybyło ich prawie trzydziestu. Oddziały zbrojne lenna Seacliff nie byłyby w stanie sprostać takiemu zastępowi w walce. Trzeba pogodzić się z faktem, że wioska zostanie splądrowana do gołej ziemi, następnie zaś spalona. Sami wieśniacy są w miarę bezpieczni, albowiem przebywają w obrębie zamkowych murów. Żywy inwentarz rozgoniono, tak jak polecił Will. Jednak jego ludzie, jego poddani, stracą domy, stracą dobytek, a baron wiedział, że zawinił on sam.

Skandianie zatrzymali się o jakieś dwieście metrów od zamku. Baron obserwował, jak zwiadowca pochyła się w siodle, żeby pomówić z wodzem, potężnie zbudowanym mężczyzną w rogatym hełmie, który maszerował obok, dźwigając topór bojowy o podwójnym ostrzu.

Wydawało się, że nastąpiło między nimi jakieś porozumienie, bo Will zwrócił konia w stronę zamku, pozwalając mu przejść do wyciągniętego galopu. Pies, dotąd stojący spokojnie, także w mgnieniu oka przyspieszył. Zajął ulubione miejsce przed końskim pyskiem i śmigał, jak to potrafi tylko owczarek.

- Może powinniśmy zejść na dół i sprawdzić, w czym rzecz - stwierdził baron, po czym wraz z Mistrzem Szkoły Rycerskiej udali się w stronę schodów prowadzących w dół, na dziedziniec.

Zdążyli zejść na najniższy poziom, nim odźwierni wpuścili Willa przez małą furtkę osadzoną w głównej bramie. Will pozdrowił barona, a także pana Norrisa, gdy ci się zbliżyli.

- Zawarliśmy porozumienie ze Skandianami, wasza dostojność - poinformował. Ergell uświadomił sobie, że zwiadowca specjalnie wzmocnił głos, podkreślając równocześnie formę „my”. Chciał, by świadkowie uznali, że działał zgodnie z poleceniami barona. Ergell zdawał sobie sprawę ze szlachetności młodzieńca. Łatwo byłoby mu podważyć autorytet barona przed poddanymi. A jednak postanowił wykazać się taktem.

- Rozumiem - odparł szorstko. Nikomu nic dobrego nie przysłoby z faktu, że jego ludzie dowiedzieliby się, iż nie miał najlepszego pojęcia, o czym mówi Will. Młody zwiadowca podszedł bliżej. Zniżył głos. Tylko Ergell i Norris mogli go teraz słyszeć.

- Potrzebują zapasów na zimę - wyjaśnił cicho. - Dlatego tu przybyli. Obiecałem, że pozwolimy im wziąć pięć wołów oraz dziesięć owiec, no i rozsądną ilość ziarna na mąkę.

- Pięć wołów! - zaczął oburzony Ergell, ale jedno chłodne spojrzenie Willa osadziło go w pół słowa.

- I tak je zabiorą - stwierdził zwiadowca - na dodatek zniszczą wioskę. To dość niewygórowany rachunek do zapłacenia, wasza dostojność.

Stanowczy wzrok utkwiał w baronie. Zwiadowca ani razu nie posłużył się argumentem, że Ergell znalazł się w fatalnej sytuacji z powodu własnego niedbalstwa. Własnego i Norrisa. Biorąc wszystkie okoliczności pod uwagę, cena okazywała się istotnie niewygórowana. Baron spostrzegł, jak Norris kiwa głową, zgadzając się z Willem.

- Woły niech pochodzą z mojego stada, wasza dostojność - zaproponował. Ergell wiedział, że deklaracja Mistrza Szkoły Rycerskiej oznacza, iż bierze on na siebie część odpowiedzialności za zaistniałą sytuację.

- Oczywiście - przytaknął. - A owce z mojego. Rozkazy, Norris.

Will westchnął z ulgą. Miał nadzieję, że obaj mężczyźni rozumieją, iż wybrali najlepsze rozwiązanie. Oczywiście, Will mógł spełnić swoją groźbę, potrafiłby znacząco osłabić siły napastników, lecz nie miał ochoty strzelać do ludzi, znajdujących się w pułapce.

Poza tym wiedział, że nawet dziesięciu Skandian może spowodować nie lada zniszczenia i zadać liczne rany. Zresztą, mówiąc szczerze, skoro Ergell i Norris ponosili winę za zaistniałą sytuację, zasłużyli, by ponieść także konsekwencje.

- Tymczasem, wasza dostojność, zaprosiłem Gundara oraz jego ludzi, żeby z nami ucztowali. Jak rozumiem, pan Norris wspomniał o całym koncepcie kuchmistrzowi?

Ergella najwyraźniej skonsternowały słowa Willa.

- Ucztowali z nami? - spytał z niedowierzaniem. - Skandianie? Chcesz, żebym ich tutaj wpuścił?

Prędko zerknął na grube mury, prześlizgnął się oczami po solidnej drewnianej bramie. Will przytaknął.

- Gundar dał mi słowo sternika, że nie sprawi żadnych kłopotów, wasza dostojność. Skandianin nigdy nie złamie takiego przyrzeczenia.

- Ale... - Ergell nadal się wahał. Myśl o zaproszeniu straszliwych rabusiów do twierdzy wydawała mu się nazbyt dziwaczna. Ergell, zupełnie bezradny, zwrócił się do Norrisa, który, wysławszy jednego z pasterzy, żeby pozaganiał rozproszone zwierzęta, wrócił do nich właśnie.

- Coś mi się zdaje, że trzeba wpuścić piratów za mury i wydać dla nich ucztę! - mruknął. Norris zareagował tak samo jak on. Ale później, gdy przypomniał sobie obraz samotnej, drobnej postaci tkwiącej na gościńcu, czekającej, by stawić czoła Skandianom, zwiesił ramiona.

- Dlaczego nie? - odparł zrezygnowanym tonem. - Nigdy wcześniej nie spotkałem się ze Skandianinem na towarzyskim gruncie. To nawet wcale interesujące.

Will uśmiechnął się do obydwu.

- Czeka nas huczna uczta - stwierdził. A następnie ostrzegł:

- Tylko nie próbujcie dotrzymać im pola w picciu. Nigdy wam się to nie uda.

Rozdział 8

*Halt Siwobrody znany jest,
Ten, co waleczne ma serce,
Z tego, że nożem strzyże się
A czesze się widelcem.
Bywaj zdrów, Halcie Siwobrody,
Bywaj mi, bywaj zdrów,
Bywaj zdrów, Halcie Siwobrody,
Jutro spotkamy się znów.*

Will zagrał finałowy akord na mandoli, dośpiewał ostatnie słowa i pozwolił strunom wybrzmieć. Delia zaklaskała. Zaśmiała się wesoło.

- Jesteś bardzo muzykalny! - przyznała z nutką zdumienia w głosie. - Powinieneś któregoś dnia wpaść do oberży i zaśpiewać.

Will pokręcił głową.

- Raczej nie - odparł. - Twoja matka z pewnością nie byłaby zadowolona, że przez mój śpiew i brzdąkanie jej szynk pustoszeje.

Prawdę mówiąc, Will był całkowicie pewien, iż pomysł zabawiania ludzi w oberży nie przystaje ani do godności zwiadowcy, ani nie licuje z właściwą członkom Korpusu aurą tajemniczości. Nie był nawet do końca przekonany, czy powinien grywać dla Delii. Lecz dziewczyna była śliczna i miła, a on młody i odrobinę samotny, uznał więc, że w tej kwestii może sobie okazać nieco pobłażania.

Siedzieli późnym popołudniem na ganku chaty Willa. Jesienne słońce świeciło z ukosa. Stało już nisko na zachodzie, wpuszczając promienie przez na wpół nagie gałęzie drzew. W ostatnim tygodniu, począwszy od dnia uczyty z załogą skandyjskiego okrętu, Delia zajęła miejsce matki, dostarczając osobiście wieczorny posiłek. Gdy zjawiła się tego wieczora, Will ćwiczył instrumentalny fragment pieśni o Halcie Siwobrodym, skomplikowaną sekwencję szesnastu nut wykonywaną w żywym tempie. Delia poprosiła, żeby zagrał oraz zaśpiewał raz jeszcze. Tak naprawdę wykorzystał do ćwiczeń ludową piosenkę, oryginalnie zatytułowaną „Stary Joe Smoke”, która opowiadała o niedomytym,

rozczochronym pasterzu, śpiającym wśród kóz. Kiedy Will rozpoczął naukę gry na mandoli, dla żartu zmienił tytuł na „Halt Siwobrody” jako aluzję do rozczochronych włosów oraz zarostu swojego mistrza.

- Zwiadowca Halt nie boczy się, kiedy pozwalasz sobie na takie żartowanie? - spytała Delia, otwierając szeroko oczy. Halta w całym królestwie powszechnie uważano za osobnika absolutnie posepnego. Pomysł, by pokpiwać zeń, wydawał się dziewczynie mocno ryzykowny. Will wzruszył ramionami.

- Och, Halt nie jest aż taki poważny, jak ci się wydaje. W rzeczywistości ma wcale niegorsze poczucie humoru - odpowiedział.

- Kiedy ci kazał siedzieć przez całą noc na drzewie za buczenie tej piosenki, rzeczywiście zaśmiewał się do rozpuku - prychnął zza ich pleców jakiś głos. Znajomy głos. Niski, kobiecy, o wyjątkowej intonacji, która przypominała Willowi strumień sunący po gładkich kamieniach. W mgnieniu oka rozpoznał ten głos. Poderwał się na równe nogi, odwracając się w kierunku dziewczyny, która zbliżała się do ganku.

- Alyss! - zawołał, a twarz ozdobił mu szeroki, radosny uśmiech. Wybiegł naprzeciw, wyciągając ręce na powitanie, a ona, wchodząc na ganek, ujęła jego dłonie w swoje.

Ustawiła się naprzeciw zwiadowcy, wysoka, elegancka, odziana w białą, pięknie skrojoną suknię, oficjalną szatę Służby Dyplomatycznej. Prosty fason sukni idealnie podkreślał szczupłą sylwetkę długonogiej Alyss. Jasne, popielate, proste włosy sięgały ramion, spływając wzdłuż policzków i okalając twarz. Szare błyszczące oczy jeszcze cieszyły się żartem, zrozumiałym tylko dla niej oraz dla Willa. Całości dopełniał prosty nos, stanowcza linia podbródka i pełne usta.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa, smakując spotkanie po długim okresie niewidzenia. Alyss należała do grona najdawniejszych przyjaciół Willa, gdyż podobnie jak on, wychowała się w sierocińcu Ienna Redmont. W rzeczy samej, po tym, jak Will powrócił do Redmont ze złamanym sercem, rozstawszy się z księżniczką Cassandrą, stopniowo stawali się dla siebie kimś więcej niż tylko przyjaciółmi. Pełna wdzięku czeladniczka Służby Dyplomatycznej wyczuła w nim potrzebę ciepła i kobiecego towarzystwa. Nie posunęli się jednak poza nieśmiałe przytulanki i pocałunki w świetle księżyca. Pewnie więc dlatego oboje wciąż czuli, że coś między nimi pozostało niedokończone.

Delia natychmiast spostrzegła, że tę parę łączy nie porozumienia. Zatem, choć niechętnie, ustąpiła. Bez zbytnich złudzeń patrzyła na świat, choć przecież zdawała sobie sprawę z walorów własnej urody. Tak, była ładna, pełna życia, zapewne najatrakcyjniejsza wśród rówieśniczek zamieszkujących wyspę. Tylko że elegancja blondynki w delikatnej,

białej sukni kryła coś cenniejszego niż zwyczajną urodę. Prezentowała wytworność i wielką grację. Jednym słowem, piękno. Nie ma się co porównywać, pomyślała zrezygnowana Delia. Lecz dlaczego akurat teraz? Teraz, gdy między nią a tym interesującym, atrakcyjnym młodzieńcem właśnie zaczynały topnieć lody?

- Co ty tu robisz? - Will nareszcie odzyskał głos. Zaprosił Alyss na miejsce, gdzie wcześniej siedzieli z Delią. Dziewczyna z wioski zauważyła, że Will wciąż przytrzymuje dłoń Alyss, a dziewczyna bynajmniej nie próbuje się odsunąć.

- Och, przywiozłam ci zwyczajną przesyłkę dyplomatyczną z królewskiego dworu - odpowiedziała blondynka, wzruszając ramionami, żeby podkreślić, jak nieistotna jest jej misja. - Takie same trafiają do co drugiego lenna. Żadnych dramatycznych wieści. Dowiedziałam się, że przebywasz w Seacliff, więc zamieniłam się na przydziały z innym kurierem. Chciałam się z tobą zobaczyć.

Znacząco zerknęła ponad jego ramieniem, unosząc subtelnie brew, by przypomnieć mu o dobrych manierach. Will uświadomiwszy sobie, że zupełnie zapomniał o Delii, odwrócił się raptownie, przewracając mandolę, którą wcześniej oparł o krzesło. Nastąpiła chwila zamieszania, kiedy podnosił instrument. Delia pomyślała, że przynajmniej puścił dłoń Pani Idealnej.

- Tak mi głupio! - zapewnił z pośpiechem. - Alyss, poznaj Delię, moją przyjaciółkę. Mieszka w okolicy. Delio, to jest kurierka Alyss. Należy do grona moich najdawniejszych, najdroższych przyjaciół.

Delia skrzywiła się w duchu, słysząc słowo „najdroższych”, ale uśmiechnęła się dzielnie. Ujęła dłoń, którą podała jej Alyss. Dłoń oczywiście była gładka i ciepła, lecz uścisk okazał się zaskakująco silny.

- Miło cię poznać - syknęła.

Alyss przywołała na twarz uśmiech. Przecież wiedziała, że Delii nie jest ani trochę miło.

- Dzięki, mnie także jest miło - odparła.

Will spoglądał to na jedną, to na drugą. Niepewnie pocierał dłonią o dłoń. Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić. Wreszcie radość z przybycia Alyss wzięła górę.

- Zostajesz na dłużej? Znajdziesz trochę czasu? Chętnie pokazałbym ci wyspę - dopytywał się.

Alyss z żalem pokręciła głową.

- Mogę tu spędzić najwyżej dzisiejszy wieczór oraz jutro - odparła. - Na jutro co prawda zaplanowano oficjalne przyjęcie, ale dziś wieczorem jestem wolna, więc

pomyślałam... - Urwała w pół zdania.

Will ochoczo skorzystał z okazji.

- Wspaniale, zjesz ze mną wieczerzę! - Wskazał ręką na chatkę. - Zapytam Edwinę, czy zechce przygotować coś dla jeszcze jednej osoby.

- Edwinę? - powtórzyła Alyss, z uśmiechem przyklepionym do ust. Zerknęła na chatkę, zastanawiając się, czy Will trzyma tam cały tabun kobiet. Delia pospieszyła z objaśnieniem, zanim Will zdążył cokolwiek wytłumaczyć.

- To moja matka - powiedziała. - Prowadzimy wioskową oberżę. - Uśmiechnęła się do Willa z przesadnym wdziękiem. - Mogę jej przekazać twoją prośbę, jeśli chcesz. Dla niej to żaden kłopot, a zresztą i tak już pora, bym wracała.

Will zawahał się. Nie za bardzo wiedział, jak poradzić sobie z takim obrotem sprawy.

- Och... no cóż... dobrze. - Potem, po chwili milczenia, odrobinę zbyt długiej, dodał: - Przyłączysz się do nas? Zjedlibyśmy obiad wspólnie?

Delia poczuła przelotny dreszczyk satysfakcji, gdy uśmiech na twarzy Alyss przygasł nieco. Przez chwilę korciło ją, by się zgodzić, ale niemal w tej samej chwili uświadomiła sobie, że to małe zwycięstwo byłoby jedynym, jakim mogłaby się cieszyć tego akurat wieczora.

- Nie. Jestem pewna, że macie sobie mnóstwo do opowiedzenia. Tylko bym wam przeszkadzała.

Alyss nie próbowała zaprzeczać, co Delia oczywiście zauważyła. Will, trochę niezdarnie, bąknął:

- Cóż, skoro tak uważasz. - Rozumiał, że gęstnieje atmosfera, lecz nie miał pojęcia, jak rozładować powstałe napięcie. Delia już uprzątała mały gliniany garnek z wieczornym posiłkiem, który przyniosła wcześniej.

- Zabiorę to - powiedziała - bo przyniosłam ci dziś ledwie zwykłą potrawkę, a matka zechce z pewnością przyrządzić coś specjalnego dla starej przyjaciółki naszego zwiadowcy.

- Wspaniale. - Will przytaknął odruchowo, zupełnie nie słysząc ironii w głosie dziewczyny. Jak zauroczony, wciąż gapił się na Alyss.

Delia odczekała sekundę, dwie, po czym zapytała:

- Na którą godzinę zycycie sobie obiad?

Will znowu nie był pewien, więc Alyss odpowiedziała za niego:

- Najpierw mam spotkanie z baronem - oznajmiła. - Wcześniej chciałabym rozpakować rzeczy w kwaterze, którą zajmuję, i wziąć kąpiel. Może za dwie godziny?

- Dobrze, za dwie godziny - odparła Delia. Później spytała Willa: - Czy mam poprosić

Denisa, żeby przyniósł wam ze dwie butelki wina? - Denis sprawował w oberży pieczę nad piwniczką. Will uśmiechnął się do niej, ucieszony pomysłem.

- Byłoby wspaniale. Dziękuję, Delio - powiedział.

Uśmiechnęła się, skinęła głową Alyss na pożegnanie, odwróciła się i prędko odeszła w kierunku wioski.

Po kiego licha składałaś takie propozycje? - pomyślała, pukając się w głowę. Doszła do wniosku, że chyba usiłuje jeszcze bardziej zagmatwać własną sprawę, więc z goryczą mruknęła sama do siebie: - Pewnie, trzeba jeszcze tam wrócić, zapalić im kilka świec, aby nastrój stał się bardziej romantyczny...

Skręcając za kępę drzew, jeden, jedyny raz obejrzała się. Ale Will z Alyss nie zwracali już na nią uwagi. Z kwaśną miną spostrzegła, że znowu trzymają się za ręce.

- Zyskałeś niemałą sławę - odezwała się Alyss, uśmiechając się do Willa przy obiedzie.

Zawahał się, nalewając kolejny kieliszek wybornego białego wina. Chyba, jak na ironię, Delia wybrała najlepsze, jakie udało jej się znaleźć w matczynej piwnicy.

- Działam odruchowo - tłumaczył. - W gruncie rzeczy trochę mnie to wszystko przytłacza.

Alyss spojrzała nań przenikliwie. Oczy przyjaciółki informowały, że przejrzała, co kryje się za rzekomym brakiem pewności siebie.

- Odruchowo zaprosiłeś załogę wilczego okrętu na ucztę? - zagaiła. - Odruchowo zapobiegłeś krwawej bitwie, poświęcając ledwie kilka zwierząt oraz parę bukłaków wina? Rzekłabym, że poradziłeś sobie całkiem dobrze.

- Och, nie tak trudno radzić sobie ze Skandianami, jeżeli się ich zna - odparł skromnie Will. Potem uśmiechnął się. Bo rzeczywiście, odczuwał dumę z tego, jak poradził sobie z groźną sytuacją. - Zresztą - prychnął - trzeba było widzieć tych wszystkich wyniosłych rycerzy i ich damy, kiedy zasiadali do stołu z hordą rozżartych korsarzy.

Alyss leciutko zmarszczyła brew, przesuwając palcem wokół brzegu kielicha.

- Nie ryzykowałeś aby nad miarę? - spytała. - Bądź co bądź, w tak egzotycznym gronie wszystko mogło się wydarzyć.

Will stanowczo pokręcił głową.

- Bynajmniej. Przecież Gundar dał słowo sternika. Żaden Skandianin nigdy nie złamie danego słowa. I wiedziałem także, iż Norris utrzyma swoich ludzi w ryzach. Przynajmniej tyle mógł działać - dodał znacząco. Alyss pojęła; przekazuje jej jakąś dyskretną wiadomość.

Pytając uniosła brwi. Will wahał się przez krótką chwilę, nieskory do wyciągania na wierzch brudów Seacliff. Jednak później przypomniał sobie, że Alyss należy do Służby Dyplomatycznej i że przywykła wysłuchiwać tajemnic o wiele ważniejszych niż ta.

- Norris z baronem dopuścili do rozprzężenia. Nie mieliby szans w boju. Ich ludzie są kiepsko wyszkoleni, źle wyćwiczeni oraz w słabej kondycji. Dobrze, że Norris uświadomił sobie ten fakt i zgodził się na pomysł z ucztą.

- Czyli wymyśliłeś dobrze - szepnęła.

Will w zamyśleniu zacisnął wargi.

- Wiesz, sądzę, że pomógł mi fakt, iż kiedyś przeprowaiałem się przez Morze Białych Sztormów właśnie o tej porze roku - stwierdził. - Zrozumiałem, że brakuje im zapasów, więc mogą nie przetrwać zimy. Znalazłem wyjście, dzięki któremu nie musieli walczyć o strawę, a do tego jeszcze otrzymali zaproszenie na ucztę. - Po raz kolejny uśmiechnął się od ucha do ucha na samo wspomnienie minionych chwil.

- Czyli już spokojnie odpłynęli? - Alyss pytała jakby od niechcienia.

Will pokręcił głową.

- Nadal kroją i wędzą mięso, szykują prowiant na zimę - zaprzeczył. - Zostaną nad Bitterroot Creek jeszcze ze dwa, trzy dni. Później ruszają w swoją drogę.

- Mam więc rozumieć, że nadal stanowią zagrożenie dla lenna? - spytała. Ale Will natychmiast zapewnił, uspokajając:

- Słowo Gundara wciąż obowiązuje - wyjaśnił. - Ufam mu bez zastrzeżeń. - Uśmiechnął się, a wreszcie dodał: - Zwłaszcza że wie, iż osobiście przyjaźnię się ze skandyjskim oberjarlem.

- Złożysz raport o zaniedbywaniu obowiązków przez Norrisa, nieprawdaż? - zapytała Alyss. Podobnie jak zwiadowcy, kurierzy byli lojalni przede wszystkim wobec króla.

Will skinął głową.

- Będę musiał - odparł. - Ale przynajmniej mogę napisać, że wziął sobie do serca nauzkę. Jego ludzie ćwiczą teraz bez wytechnienia. Rozpoczęli od razu, już pierwszego ranka po uczcie... Wiedz przy tym, że ranków na tutejszym dworze nie lubią. Za miesiąc albo dwa doprowadzi się ich do formy.

- Zatem sprawy w lennie idą bez zgrzytów? - spytała Alyss. I dodała, jak gdyby nigdy nic: - Nie byłoby więc żadnego problemu, gdybyś musiał na jakiś czas stąd wyjechać?

Gdy Alyss wypowiedziała ostatnie słowa, Will właśnie sięgał po butelkę. Ręka zwiadowcy zastygła w pół ruchu. Spojrzał dziewczynie prosto w oczy. Były poważne, bez śladu wesołości i ciepła, którymi tryskały wcześniej. Uzmysłował sobie, że chodzi o sprawy

służbowe.

- Wyjechać? - spytał, a ona skinęła głową.

- Nie przypadkiem znalazłam się tutaj, Willu. Och, istotnie, dostarczyłam na zamek jakieś tam rutynowe dokumenty, lecz Halt oraz Crowley osobno poprosili, żebym udała się właśnie tutaj i przekazała ci wiadomość. Otrzymujesz inne zadanie.

Will lekko zwątpił w siebie, gdy pojął, co oznaczają słowa Alyss. Uznano więc, iż sposób, w jaki rozwiązał problem ze Skandianami, nie okazał się znów tak sprytny, jak mu się zdawało. Alyss dostrzegła troskę, wyraźnie malującą się na twarzy chłopca i pospieszyła z pocieszeniem.

- To nie kara, Willu. Wielce im przypadło do gustu, kiedy usłyszeli, jak sobie poradziłeś. Zwłaszcza Haltowi. Lecz skupiają się obecnie na innym zadaniu, do którego jesteś im na jakiś czas potrzebny.

Poczuł, jak pod wpływem jej słów wątpliwości znikają.

- Na czym polega owo zadanie?

Alyss wzruszyła ramionami.

- Nie znam szczegółów. Wszystko ściśle tajne - stwierdziła. - Jak mówiłam, chcieli, żebym właśnie ja dostarczyła ci wiadomość, ponieważ jestem twoją starą przyjaciółką. Dzięki temu ludzie nie zaczną się zastanawiać, dlaczego nagle, po wizycie kuriera, znikasz. Złożą to po prostu na karb typowego dla zwiadowcy upodobania do sekretów. Miejmy nadzieję, że pomyślą, iż złożyłam ci wizytę wyłącznie towarzyską... zwłaszcza gdy twoja ukochana Delia weźmie się do plotkowania na nasz temat.

Will z lekka się zaczerwienił.

- Ona jest tylko przyjaciółką! - zaprotestował niezdarnie.

Lecz Alyss nie odpowiedziała. Zwróciła za to uwagę Willa na reakcję suki, która, dotąd zadowolona, wylegiwała się na ciepłych kamieniach obok kominka. Teraz wszelako obudziła się, uszy położyła płasko po bokach głowy, wyszczerzyła zęby. Z gardła owczarka dobywał się niski, dudniący warkot. Wzrok utkwiała w drzwiach chatki.

- Ktoś kręci się na zewnątrz - powiedział cicho Will. Dał znak Alyss, by pozostała na miejscu. Wstał bezszelestnie. Począł się skradać do drzwi.

Rozdział 9

Klamka przy drzwiach poruszała się powoli, bardzo powoli. Osoba stojąca na zewnątrz sprawdzała, czy drzwi są zamknięte. Kiedy drewniana zapadka wysunęła się z przytrzymującego ją w miejscu rowka, Will zajął pozycję obok wejścia, od strony klamki, przylegając płasko do ściany.

Ruchem głowy dał znak Alyss. Dziewczyna, jak zawsze bystra, znowu zaczęła coś paplać o Halcie i Crowleyu, że przesyłają mu pozdrowienia. Opowiadała o posiłku, który z przyjemnością razem z nimi zjadła, rozwodziła się z zapalem nad jakością dań i nie żałowała pochwał, wspominając talenty Mistrza Chubba, kucharza z Redmont.

Ten, kto stał za drzwiami, zorientował się od razu, że uprzednio zamilkli, lękając się podsłuchu. Wtedy drzwi znieruchomiały. Teraz, kiedy Alyss znowu zaczęła mówić, klamka drgnęła. Drzwi uchylały się wolno, wolniutko. Dobrze naoliwione zawiasy nawet nie zazgrzytały. Will odnotował w pamięci, by przestać je oliwić. Halc zawsze lubił, kiedy na zawiasach od drzwi wejściowych narosło trochę rdzy. „W ten sposób nikt cię nigdy nie zdoła zaskoczyć”, zwykł mawiać.

Will zmarszczył brew. Uznał, iż jedyną osobą, która zostanie zaskoczona, będzie intruz. Przez chwilę rozważał, czy to nie Delia wróciła, pragnąc podsłuchać, co mają sobie do powiedzenia z Alyss. Jednak odrzucił tę myśl. Pies nigdy nie zachowywałby się w taki sposób, gdyby za drzwiami czaiła się ona. Drzwi rozwarły się już na około piętnaście centymetrów, więc Will mógł dostrzec dłoń na klamce od zewnętrznej strony. Rozpoznał lewą męską dłoń. Prawa ręka zapewne dzierży jakiś oręż. Alyss piskliwie chichotała, starając się przekonać intruza, że oboje całkowicie pochłania lekka konwersacja. Podstęp chyba zadziałał, gdyż drzwi otworzyły się szerzej. Przez szparę dało się już po części dostrzec mężczyznę. Will wykonał błyskawiczny ruch, chwytając go za nadgarstek. Szarpnął ku sobie, obracając w stronę izby. Równocześnie zablokował wejście nogą, tak że nieproszony przybysz został wciągnięty do środka, potykając się o podstawioną goleń.

Krzyknął, zatoczywszy się do środka chaty. Niespodziewane szarpnięcie zaskoczyło go zupełnie, więc zawadził o nogę Willa. Padł z hukiem na podłogę, wywracając przy okazji krzesło tak, że poleciało w kąt.

Intruz pozbierał się jednak natychmiast, prędko rzucił się w bok, a następnie zerwał na

nogi, by stanąć twarzą w twarz ze zwiadowcą. Tak jak przewidział Will, w prawym ręku ścisnął broń - ciężką bojową włócznię z mocnym grotem osadzonym na jesionowym drzewcu. Wysunął ją teraz w stronę Willa. Mocnym zaciśnięciem obu rąk zapewnił chwytowi stabilność. Stał, lekko kołysząc straszliwie ostrym grotem, jak gdyby chciał zahipnotyzować przeciwnika.

Will ani drgnął. Pozostał w miejscu, mocno wsparty piętami o podłogę, gotów do natychmiastowego działania. Miał puste ręce, żadnej broni. Mimochodem odnotował w myślach, jak zachowuje się Alyss. Ciekawe. Powstała od stołu z długim, groźnym nożem w dłoni. Operowała nim pozornie od niechcenia, lecz doskonale wiedziała, co można uzyskać przy pomocy sztyletu.

Suka, zdenerwowana, szczekała jak szalona. Nie odrywając wzroku od nieproszonego gościa, Will kazał jej się uciszyć. Posłuchała. Powarkiwiała tylko ostrzegawczo. Will tymczasem przypatrywał się mężczyźnie z włócznią.

Potęźnie zbudowany, szeroki w barach, zmierzwił, czarne włosy, czarna broda. Oczy mroczne, płonące gniewem, osadzone pod krzaczastymi brwiami. Wielki nos, kiedyś złamany, kiepsko się zrósł i był wyraźnie skrzywiony. Mężczyzna nosił ciemny strój, kamizelę i wełniane spodnie oraz ciemnobrązową opończę z kapturem. Will nigdy wcześniej go nie spotkał. Ale wiedział, kto to taki.

- Johnie Buttle - odezwał się spokojnie. - Czego tu szukasz?

Wredny uśmiech wykrzywił wargi intruza. Głos miał niski, chrapliwy, jego akcent i sposób mówienia zdradzały, że pochodzi z pospólstwa.

- Znasz mnie, he? A to ci heca.

- Wiem, kim jesteś - odparł Will obojętnym tonem. - Zyskałeś sobie w lennie fatalną reputację.

Buttle uśmiechnął się szyderczo.

- Reputację! Nikt mi nigdy nic nie udowodnił! I nie udowodni.

- Niewykluczone, skoro nie zwykłeś zostawiać żywych świadków własnej brudnej roboty. - Po chwili Will dodał stanowczo: - No, miejmy to już za sobą. Gadaj, dlaczego zakradasz się na mój ganek w środku nocy?

Twarzy Buttle'a zmieniła się pod wpływem chwilowego zaskoczenia. Rozkazujący ton Willa zbił go z pantafyku. Bądź co bądź, przecież to on trzymał w ręku dzidę. Drobnego zwiadowcę, który, jak stwierdził Buttle, wciąż wyglądał na młokosa, nie miał broni. Och, tak, dyndało mu przy boku coś, co wyglądało na ogromniasty majcher, lecz Buttle zdążyłby chłystka nadziać na włócznię, zanim ten zdołałby sięgnąć do pochwy. Zaś sztylet jasnowłosej

pannicy w ogóle nie budził w nim respektu.

- Przyszedłem po swojego psa - oznajmił. - Słyszałem, żeś go podwędził. Chcę zwierzaka z powrotem.

Zerknął na sukę, która przylgnęła brzuchem do podłogi. W gardle owczarka narastał warkot.

- Stul pysk, ty...! - wrzasnął.

Zawarczała głośniej, wyszczerzając na niego kły.

- Widzę, że umiesz się z nią obchodzić - stwierdził ironicznie Will. Wykonał szybki gest dłonią i pies natychmiast ucichł.

- Bardzo sprytnie! - parsknął Buttle, teraz rozzłoszczony nie na żarty. - Nauczę ją manier, tak jak ostatnio. Wredna suka, próbowała mnie ugryźć, no to jej dałem nauczkę.

- Tą wielką włócznią, jak sądzę? - spytała Alyss. - Ależ ty jesteś niesłychanie dzielny.
- Oparta nonszalancko o oparcie krzesła, na którym uprzednio siedziała, taksowała napastnika chłodnym wzrokiem.

Will, obserwując jej opanowanie, uśmiechnął się w duchu. Zdaje się, że zimna krew kurierki jeszcze bardziej rozwścieczyła Buttle'a.

- Daruj sobie głupie gadki, pannico. Nie zadzieraj nosa! - krzyknął. - Nie przestraszysz mnie byle nożykiem i tymi kurierskimi sztuczkami! - Zniżył głos i mówił dalej: - Przywieźliśmy tajne zadanie dla naszego zwiadowcy, co? Założę się, że znajdą się tacy, co zapłacą, żeby o waszych sekretach to i owo usłyszeć.

Will z Alyss pospiesznie wymienili spojrzenia. Buttle dostrzegł reakcję obojga, więc znowu groził, z rosnącą pewnością siebie:

- Och tak, podsłuchałem was, znam takie kombinowanie. Zwiadowcy, kurierzy, wiecznie czaicie się gdzieś z jakimiś sekretami, no nie? Lepiej nauczcie się ćwierkać ciszej, kiedy w pobliżu czeka John Buttle.

Panował teraz nad sytuacją. Ucieszył się, spostrzegłszy, że burzy ich niewzruszoną obojętność. W jednej chwili pojął, że czając się za drzwiami, podsłuchał coś naprawdę istotnego. Przestępczy umysł już pracował, rozważał, jakie zdołałby osiągnąć korzyści. Lata doświadczeń podpowiadały: skoro jakieś fakty warte są utrzymania ich w tajemnicy, nieuchronnie znajdzie się ktoś skory do zapłaty, żeby owe fakty poznać.

- Nie jest dobrze. - Alyss spojrzała na Willa. - Ten człowiek podsłuchał naszą rozmowę.

Buttle zarechotał.

- Podsłuchałem, a jakże. Nic już nie da się odwrócić.

Alyss przez chwilę rozważała w skupieniu słowa opryszka. Potem stwierdziła bardzo rzeczowym tonem:

- Na to wygląda. Chyba że cię zabijemy.

Kończąc zdanie, błyskawicznie obróciła długi sztylet, chwyciła za ostrze od góry, następnie lekkim, płynnym ruchem odchyliła ramię do tyłu. Buttle w jednej chwili skupił na niej całą uwagę, skulony w obronnym geście, z włócznią gotową do zadania ciosu...

...i wtedy usłyszał dziwny szelest, jakby stuknięcie. Zaraz potem nieprzyjemne zaswędziały go obie dłonie, bo saksa Willa chyba sama wyprysnęła z wyścielonej runem pochwy. W mgnieniu oka nóż, zatoczywszy łuk, trafił we włócznię tuż pod stalowym grotem.

Specjalnie hartowane ostrze saksy, masywne niczym topór, ostre niby brzytwa, przecięło twarde drewno jakby wchodziło w ser. Masywny grot huknął o podłogę. Zbir miał może pół sekundy na ocenę sytuacji, tyle bowiem mniej więcej czasu zabrało Willowi, by doń przypaść, obrócić Buttle'a ponownie, a na końcu grzmotnąć mosiężną głowicą noża w jego skroń.

W tym momencie John Buttle stracił dalsze zainteresowanie światem, bowiem zwałił się na podłogę niczym worek kartofli.

- Nader zgrabnie - przyznała Alyss, zachwycona szybkością reakcji Willa. Ponownie odwróciła sztylet, chowając go do futerału, przymocowanego w specjalnym rozcięciu w fałdach sukni.

Uśmiechnęli się oboje. Zaskoczona suka skomlała, dopraszając się uwagi. Alyss schyliła się, uspokoiła owczarka, tarmosząc mu futro za uszami.

- Nie wiedziałem, że przechodzicie szkolenie w rzucie sztyletem - przyznał Will. Kurierka wzruszyła ramionami.

- Bo nie przechodzimy. Ostrza naszej broni są zbyt delikatne, by ciskać nimi, jak popadnie, naśladując zwiadowców. Chciałam tylko odwrócić uwagę naszego przyjaciela, żebyś ty mógł się z nim uporać.

Will podszedł do komody stojącej pod ścianą chatki, poszperał w jednej z szuflad. Alyss obserwowała, jak wyciąga kilka rzemieni, a później podchodzi do postaci rozciągniętej na podłodze. Przetoczył Buttle'a na brzuch, następnie przełożył jego obie ręce za plecy. Śledziła z zaciekawieniem, jak Will nakłada skórzane pęta na kciuki bandyty. Zaciągnął rzemienie ciasno, dla bezpieczeństwa przekładając je przez drewniany bloczek z dwoma otworkami.

Następnie spętał kostki Buttle'a.

- Nader zgrabnie - przyznała raz jeszcze.

Will ocenił własne dzieło, pokiwał głową.

- Wymyślił to jeden ze zwiadowców. Pętle trzymają kciuki oraz kostki, a drewniane oczka pozwalają zamocować rzemień bez szamotaniny przy wiązaniu węzłów.

Alyss usiadła bokiem na krześle, chmurnym wzrokiem obrzuciła nieprzytomnego Buttle'a. Uniosła kielich z winem.

- Cóż, nadal mamy problem. Co my z nim teraz zrobimy?

Will już miał odpowiedzieć, ale powstrzymał się. Zdał sobie sprawę, co Alyss ma na myśli.

- Ten drań naprawdę mógł podsłuchać naszą rozmowę - powiedział.

Alyss przytaknęła.

- Właśnie. Podjęliśmy tyle starań, by nikt się nie dowiedział, że zostajesz wysłany z misją. A teraz dureń wypapla sekret każdemu, kto zechce go słuchać.

Will przyglądał się Buttle'owi. Zbir leżał wciąż nieruchomo.

- Oczywiście, mogę sprawić, że baron go uwięzi. Groził ci. Nastawanie na kurierów oznacza poważne przestępstwo.

Alyss stanowczo pokręciła głową.

- To nie wystarczy. Wciąż bowiem istnieje możliwość, że nawiąże kontakt z innymi więźniami albo nawet ze strażnikami. Nie możemy ryzykować. Każde słowo musi pozostać tylko między nami. Przeklęty łotr! Chyba należy go zabić, Willu.

Ostatnie słowa wypowiedziała niechętnie, ale jednak bez żadnych emocji. Will zdębiał. Spojrzał na kurierkę, jak gdyby oglądał Alyss po raz pierwszy. Uświadomił sobie, iż dawna towarzyszka z sierocińca przeszła szkolenie równie trudne jak jego własne. Wróciło doń echo ich wcześniejszej rozmowy.

I właśnie wtedy coś wpadło mu do głowy.

- Nie sądzę, byśmy musieli posuwać się do morderstwa - oznajmił. - Mam pewien pomysł. Pomóż mi osiodłać konie. W drodze powiem ci, co wymyśliłem.

Gundar Hardstriker nachylił się nad dymiącym mięsiwem. Odciął kawał cielęciny wędzonej nad węglami. Ostrożnie podmuchał na gorący kęs, ugryzł. Pokiwał głową, uznał, że mięso jest smaczne. W sam raz. Tak, oto więc kosztował pieczeni z rocznego cielaka, delikatnej, przerośniętej tłuszczem. Dymny posmak ogniska nasycił mięso.

Gundar rozejrzał się po polance. Wędzili wołowe tusze w pobliżu miejsca, gdzie „Wilcza chmura” cumowała przy brzegu. Jego ludzie zajęci byli pieczeniem oraz wędzeniem ostatnich polci. Baranina już została pocięta i nasolona. Za parę godzin, jak sobie obliczył,

czas wyruszać w drogę. Przed odpłynięciem załoga prześpi się trochę. Później skorzystają z wysokiej fali, która pozwoli im wyruszyć w spóźnioną podróż przez Morze Białych Sztormów.

Płomienie z pół tuzina dymiących ognisk rozświetlały polanę, rzucając przedziwne, ruchome cienie na okoliczne drzewa. Groźnie wyglądający galion „Wilczej chmury” zdawał się unosić w dymie, kolebiąc się bez żadnej podpory, a blask płomieni tańczył po rzeźbionych zębiskach drewnianego wilczego łba.

- Gundarze! - Jon Tarkson, jeden z żeglarzy, przywoływał jarla z krańca polany od strony lasu. Głowa szypra obróciła się. Gundar, zaciekawiony, dostrzegł niewyraźny cień wyłaniający się z mroku. Zmarszczył brew, gdyż zdał sobie sprawę, że to zwiadowca. Młokos jechał naturalnie konno, lecz prowadził i drugiego wierzchowca, objuczonego wielkim pakunkiem przerzuconym przez grzbiet.

Gundar wznosił dłoń na powitanie. Ruszył ku przybyszowi. Zdażył już polubić młodego zwiadowcę. Szanował jego pomysłowość, umiejętność znajdowania wyjścia z trudnych sytuacji. Wyciągnął z opresji również i Gundara. Jarl podziwiał jego brawurową odwagę.

- Witaj! - zawołał. Will odwzajemnił powitanie, po czym zsunął się z siodła. Kiedy Gundar podszedł, lawirując wśród ognisk i rozwieszonych wszędzie połci wędzącego się mięsiwa, zauważył, że pakunkiem przewieszonym przez grzbiet drugiego konia był człowiek. Nieprzytomny, ze skrepowanymi rękoma oraz nogami. Wycelował kciukiem w nieruchomą postać.

- Ktoś ci chyba zalazł za skórę, zwiadowco? - spytał.

Will w odpowiedzi uśmiechnął się nieznacznie.

- Można by tak rzec. Ten ktoś stał się utrapieniem dla całej tutejszej okolicy. Przyszło mi więc do głowy, że mógłby ci się przydać.

Gundar zmarszczył brew, wierzchem dłoni otarł tłuszcz z brody.

- Przydać? - powiedział. - Mam tylu załogantów, ilu mi trzeba, uprzejmie dziękuję. Nie potrzebuję niewyszkolonych południowców na pokładzie „Wilczej chmury”. - Zawahał się, a potem dodał: - Bez urazy.

Will pokręcił głową.

- Oczywiście. Właściwie nie miałem zamiaru proponować ci go na członka załogi. Pomyślałem, że może chciałbyś zabrać go w charakterze niewolnika. Nadal trzymacie niewolników w Skandii, czyż nie?

Hardstriker spojrział na młodzieńca ze zdwojonym zainteresowaniem. Zwiadowca

chowa w zanadru mnóstwo niespodzianek, wie też, co gada, pomyślał. Will od razu pojął, gdy tylko po raz pierwszy zetknął się z jarlem, że ta akurat wyprawa okazała się dla „Wilczej chmury” kiepska. Dobry, zdrowy niewolnik byłby wartościowym łupem, da się go sprzedać, gdy nareszcie przybiją z powrotem do portu w Hallasholm.

- Tak. Wciąż trzymamy niewolników - przytaknął wódz. Podszedł bliżej do jucznego konia, przyjrzał się uważniej nieprzytomnemu. Chwycił garścią za włosy, uniósł głowę, żeby popatrzeć mu w twarz. Około trzydziestki, rosły i silny.

- Zdrow? - spytał, a Will skinął głową.

- Jeśli nie policzysz, że oberwał po łbie, to zdrow jak ryba. - Will przypomniał sobie okrutną ranę na psim boku oraz pogłoski, że za sprawą Buttle'a doszło do licznych morderstw.

- Nada się do harówki przy wiosłach.

Wiosła. Ciężka kara dla skandyjskich niewolników. Chodziło o ogromne drewniane szpachle, które zawieszano zimą wewnątrz studni. Niewolnicy poruszali nimi tam i z powrotem, w górę i w dół, aby nieustannie mącić wodę, co zapobiegało tworzeniu się na powierzchni studzien zbyt grubej lodowej warstwy. Brańców, wprawiających wiosła w ruch, nieuchronnie ochlapywały przy robocie lodowate bryzgi, więc przemakali do suchej nitki. Gdy Will sam był niewolnikiem u Skandian, przydzielono go właśnie do wiosł. Harówka omal go nie zabiła, nim Erak ulitował się nad więźniem i dopomógł mu w ucieczce.

Gundar pokręcił głową.

- Oberjarl zniósł wiosła jako formę kary - powiedział. - Poza tym, szkoda byłoby marnować na nie cennego niewolnika, takiego jak ten. - Raz jeszcze przyjrzał się nieruchomej postaci Buttle'a. Podjął decyzję. - Niech będzie - powiedział. - Ile za niego chcesz?

Will obrócił się, sięgnął ręką, rozwiązał węzeł, przytrzymujący Buttle'a na końskim grzbiecie.

- Przyjmij go jako podarek - powiedział, pociągając bandytę za kołnierz, żeby zsunął się z konia, bezwładnie waląc o ziemię. Buttle stęknął cicho, potem znowu zamilkł.

- Podarek?

Will potwierdził skinieniem głowy.

- Straszne z nim tutaj utrapienie, a mnie brak czasu, żeby sobie zawracać głowę. Zabierz go, oby ci się przydał. Kiedyś mi się odwdzięczysz.

Skandyjski kapitan popatrzył na zwiadowcę w zamyśleniu.

- Jako żywo, wciąż mnie czymś zaskakujesz - stwierdził. Następnie przywołał dwóch żeglarzy, którzy stali w pobliżu, przyglądając się scenie z zaciekawieniem. - Ładunek na pokład - rozkazał im. - Upchnijcie go w forpiku.

Szczerząc zęby od ucha do ucha, podnieśli nieprzytomnego i zanieśli na statek. Gundar wyciągnął rękę do Willa. Zwiadowca chwycił dłoń jarla, wymienili silny uścisk.

- Cóż, słusznie prawisz, zwiadowco. Istotnie będę ci winien przysługę. Zapewnię moim ludziom stawę na zimę. I jeszcze, dzięki tobie, zyskaliśmy jakiś pożytek z wyprawy.

Will wzruszył ramionami.

- Gundarze Hardstrikerze, wyświadczasz mi również przysługę, zabierając go - powiedział. - Rad będę wiedzieć, że opuścił Araluen. Wiatrów pomyślnych, wioślarzy mocarnych - dodał, wypowiadając tradycyjne skandyjskie pożegnanie.

- I prostej drogi dla ciebie, zwiadowco - odparł Gundar.

Will wskoczył na grzbiet Wyrwija. Odjeżdżając, wyobrażał sobie przyszłość Buttle'a jako niewolnika w Skandii. Nawet bez wiosła ciężki czeka go los, pomyślał.

Uznał, że nie ma nic przeciwko temu.

Rozdział 10

Will zatrzymał Wyrwija. Rozejrzył się po niemal opustoszałym miejscu zgromadzeń. Pomyślał, że wygląda ono dziwnie, bez mała melancholijnie, kiedy jest prawie puste.

Łąka, z rzadka porośnięta drzewami, zwykle byłaby wypełniona gęstwą zielonych namiocików, z których każdy należał do innego spośród pięćdziesięciu czynnych członków Korpusu Zwiadowców. Tutaj bowiem zbierali się wszyscy na swój doroczny Zlot. Pewnie gotowano by coś na ogniskach, brzękałyby ćwiczebna broń, jej szczęk mieszałby się z gwarem tuzina lub więcej rozmów, z salwami śmiechu wybuchającego w gronie starych przyjaciół.

Dzisiaj jednak obozowisko wśród drzew było niemal puste. Will dojrzał tylko dwa namioty, rozbite na odległym skraju polany, w miejscu, gdzie zazwyczaj ustawiano wielki namiot komendanta. Zatem Halt oraz Crowley już są.

Od wizyty Alyss w lennie Seacliff upłynął tydzień. Elegancka kurierka przekazała mu ostatnie instrukcje. Nakazywały odczekać kilka dni po jej odjeździe, a potem wyruszyć dyskretnie, nikogo o niczym nie informując. Will miał udać się na miejsce zgromadzeń, gdzie Halt z Crowleyem objaśnią, w czym rzecz. Odjeżdżając, położyła dłonie na ramionach chłopaka, zajrzała mu głęboko w oczy. Przewyższała Willa o pół głowy, lecz wiedziała, że on akurat z powodu wzrostu się nie peszy. Lubiła tę jego śmiałość. Prawdę mówiąc, większość ludzi była wyższa od Willa, ale się tym nie przejmował. Will z kolei doceniał, że Alyss nigdy nie usiłuje się garbić czy choćby ukrywać swojego wzrostu. Dumnie wyprostowana, nieodmiennie przyjmowała stanowczą postawę. Trzymała głowę wysoko, co tylko przydawało jej wdzięku.

Gdy spojrzenia ich się skrzyżowały, dostrzegł w jej oczach cień. Schyliła się, jej wargi dotknęły jego ust - lekkie jak skrzydła motyla, zachwycająco miękkie w dotyku. Stali tak przez długą chwilę, aż wreszcie Alyss zrobiła krok w tył. Uśmiechnęła się do Willa ze smutkiem. Ogarnął ją żal, że znów trzeba wyruszać w drogę. Za prędko, po zbyt krótkim spotkaniu.

- Uważaj na siebie - westchnęła.

Potrząsnął czupryną. Coś ścisnęło go za gardło, bał się odezwać, głos go opuścił. W końcu zdołał wykrztusić:

- Ty również.

Śledził przez chwilę, jak odjeżdża w towarzystwie swej dwuosobowej eskorty, aż wreszcie drzewa zakryły kurierkę przed oczami zwiadowcy. Długo jeszcze tkwił tam nieruchomo, spoglądając w dal.

Lecz teraz znajdował się już tutaj, gotów dowiedzieć się więcej o nowym zadaniu - zaniepokojony, niepewny oraz przygnębiony widokiem opustoszałego miejsca zgromadzeń. Szybko jednak niepewność się rozviała, melancholia znikła. Dojrzał bowiem wreszcie znajomą kręłą sylwetkę, uwijającą się w pobliżu jednego z namiotów.

- Halt! - krzyknął radośnie. Lekko ścisnął Wyrwija kolanami, dając znak, żeby ruszał galopem przez opustoszałą polanę. Owczarek, zaskoczony, szczeknął tylko raz i śmignął wraz z nimi niczym strzała wypuszczona z łuku.

Zwiadowca o posępnej twarzy, usłyszawszy znad ogniska głos swego byłego ucznia, wyprostował się. Stał z marsową miną, podparłszy się pod boki, a Will i Wyrwij pędzili w jego stronę. Jednak czuł w sercu ciepło. Zawsze je odczuwał w towarzystwie tego chłopca.

Chłopca? Halt prędko się poprawił. Choć młody i niedoświadczony, Will nie był już chłopcem.

Nikomu nie wolno nosić srebrnego liścia dębu, dopóki nie udowodni, że stał się mężczyzną.

Wyrwij, zapierając się na sztywno wyprostowanych przednich nogach, wrył się w ziemię tuż obok zwiadowcy, wzbijając w powietrze gęsty obłok kurzu. Will, chyżo zeskoczywszy z siodła, wyściskał z całych sił Halta.

- Halt! Jak się miewasz? Co porabiasz? Gdzie Abelard? Jak Crowley? Co tu się właściwie dzieje?

- O mojego konia pytasz wcześniej niż zadajesz pytanie o komendanta całego Korpusu. Pewnie cenisz Abelarda wyżej. To mnie cieszy - mruknął Halt, unosząc jedną brew. Will świetnie znał ów nawyk. Na początku ich znajomości sądził, że wyraża niezadowolenie. Dawno jednak pojął, iż Halt tym sposobem okazuje radość.

Wreszcie Will wypuścił mistrza z uścisku. Cofnął się, by mu się przypatrzeć. Minęło zaledwie parę miesięcy, odkąd widział Halta ostatni raz. Tym bardziej czuł się zaskoczony, bo siwizna oprószyła włosy oraz brodę starszego zwiadowcy mocniej, niż pamiętał.

- Po to zadaliśmy sobie mnóstwo trudu, po to zadbaliśmy o zachowanie naszego spotkania w tajemnicy, wszystko po to, żebyś ty wpadał tu jak wariat, wrzeszcząc, ile sił w płucach? - fukał Halt. Will uśmiechnął się doń promiennie, zupełnie nie zbity z tropu.

- W pobliżu nie spostrzegłem nikogo, kto by zdołał nas usłyszeć - odparował. -

Okrążyłem polanę, zanim na nią wjechałem. Jeżeli w promieniu pięciu kilometrów ktokolwiek się przyczaił, zjem własny kołczan.

Halt przyjrzał mu się, znowu unosząc brew.

- Ktokolwiek?

- Ktokolwiek, poza Crowleyem - poprawił się Will, machnąwszy z lekceważeniem ręką. - Widziałem go, obserwował mnie z tej kryjówki, której zawsze używa, o dwa kilometry stąd. Sądziłem zresztą, że do tej pory już wrócił.

Halt głośno odchrząknął.

- Och, dostrzegłeś go! W rzeczy samej? - spytał. - Jak przypuszczam, Crowley niekoniecznie zacznie skakać do góry z radości, kiedy się o tym dowie. - W głębi ducha był naprawdę zadowolony z wychowanka. Nawet ciekawość, w połączeniu z widocznym podekscytowaniem, nie przeszkodziły Willowi w zachowaniu czujności. Wpojono mu kiedyś, by nieodmiennie, przede wszystkim, nim zajmie się czymkolwiek, najpierw zadbał o niezbędne środki ostrożności. Więc zadbał. Haltowi przyszło na myśl, że dobrze to wróży przysłemu zadaniu. Nagle ogarnął go smutek.

Will nie zauważył chwilowej zmiany nastroju. Rozluźniał popręg przy siodle Wyrwija. Gdy się odezwał, jego głos brzmiał niewyraźnie zza końskiego boku.

- Staje się zbyt łatwo przewidywalny - wyjaśnił. - Korzysta z tej samej kryjówki przez wszystkie trzy ostatnie Złoty. Pora poprobować czegoś nowego. Teraz już chyba każdy w Korpusie wie, gdzie chowa się komendant.

Zwiadowcy bezustannie konkurowali między sobą, starając się wytropić innych, zanim sami zostaną wytropieni, więc doroczny Złot oznaczał czas nasilonej rywalizacji. Halt przytaknął, zamyślony. Jakies cztery lata temu Crowley zbudował punkt obserwacyjny, praktycznie nie do wykrycia. Spośród grupy zwiadowców młodszych tylko Will natknął się na niego i to zaledwie po roku. Halt nigdy nie wspomniał Willowi, iż tylko on jeden wywęszył kryjówkę Crowleya. Chytrze zamaskowany posterunek był bowiem dumą i radością Mistrza Korpusu Zwiadowców.

- Cóż, chyba jednak nie każdy potrafi wytropić kryjówkę Crowleya - odparł.

Will wyszedł zza konia, chichocząc. Bawiło go, iż sam szef Korpusu Zwiadowców uważał kryjówkę za bezpieczną i czuł się swobodnie, obserwując nadjeżdżającego młodzieńca.

- Wytropi, nie wytropi. Być może Crowley za bardzo się posunął w latach, więc może lepiej, aby zrezygnował z leśnych podchodów i nurkowania w krzakach. Nie sądzisz? - odezwał się Will pogodnie.

Halt przez chwilę zastanawiał się, jak odpowiedzieć.

- Za bardzo posunął się w latach? Jedni sądzą tak, inni inaczej. Zważ, że komendant nic nie stracił z umiejętności bezszelestnego skradania się w terenie. Wedle mnie potrafi czynić to równie skutecznie teraz, co i kiedyś - podkreślił, z dodatkowym naciskiem.

Uśmiech na twarzy Willa powoli gasł. Oparł się pokusie, by łypnąć do tyłu przez ramię.

- Stoi za mną, prawda? - spytał Halta.

Starszy zwiadowca potakująco skinął głową.

- Jest tu już od jakiegoś czasu, czyż nie? - pytał dalej Will, a Halt znowu przytaknął.

- On... znajduje się na tyle blisko, że zdołał usłyszeć, co ja tu wygadywałem? - Will zdobył się wreszcie na odwagę. Zadał pytanie, obawiając się najgorszego. Tym razem Halt nie musiał facytować się z odpowiedzią.

- Och, dobry Boże, wcale nie - rozległ się znajomy głos zza pleców Willa. - Ostatnio posunął się w latach, zniedołężniał, jest głuchy jak pień.

Will skulił ramiona. Odwrócił się. Tylko po to, by popatrzeć na komendanta o rudawych włosach, który stał tuż obok. Dzielilo ich ledwie kilka kroków.

Młody zwiadowca spuścił wzrok.

- Witaj, Crowleyu - jęknął i wymamrotał: - Oj,... przepraszam cię bardzo.

Crowley jeszcze przez moment piorunował wzrokiem dawnego ucznia Halta. Lecz niezbyt długo zdołał hamować uśmiech, który już po chwili rozświetlił jego oblicze.

- Drobnostka - stwierdził, dorzucając z nutką triumfu w głosie: - Ostatnimi czasy nieczęsto udaje mi się przechytrzyć kóregoś z was, młodych.

Choć nie dał tego po sobie poznać, wiadomość, iż Will odkrył jego kryjówkę, zrobiła na komendancie spore wrażenie. Jedynie najbystrzejsze oczy potrafiły dostrzec, gdzie się chowa. Umiejętność obserwowania bliźnich, samemu pozostając dla nich niewidzialnym, stanowiła dla Crowleya chleb powszedni. Sztuką kamuflażu zajmował się od trzydziestu lat albo i dłużej. Wbrew mniemaniu Willa komendant nadal był niedościgłym mistrzem zacierania śladów, a poruszał się jak duch. Jednak teraz zwrócił uwagę na coś specjalnego. Odnotował mianowicie w pobliżu siebie merdanie. Przyklęknął na jedno kolano, żeby obejrzeć sobie psa.

- Witaj - mruknął łagodnie. - Kim ty jesteś?

Wyciągnął rękę, zwracając dłoń palcami do dołu i lekko zginając kłykie. Pies podszedł, obwąchał dłoń, znowu zamachał ogonem, czujnie stawiając uszy na sztorc. Crowley kochał psy, a one to wyczuwały. Zdawało się, że od pierwszego zetknięcia rozpoznają w nim

przyjazną duszę.

- Znalazłem ją przy drodze, podążając do Seacliff - wyjaśnił Will. - Leżała w wysokiej trawie ranna, bliska śmierci. Poprzedni właściciel usiłował ją zabić.

Twarz Crowleya spochmurniała. Dręczenie zwierząt uważał za wyjątkową ohydę.

- Mam nadzieję, że rozmówiłeś się z tym osobnikiem? - spytał.

Will przestąpił z nogi na nogę. Nie był całkiem pewien, jak zwierzchnicy ocenią postępek, dzięki któremu uporał się z Johnem Buttle'em.

- Owszem, tak, w pewnym sensie - zająknął się. Zauważył, że Halt unosi brwi. Dawny nauczyciel zawsze potrafił wyczuć, kiedy Will nie mówił do końca prawdy. Crowley, tarmosząc psie futro, także podniósł wzrok.

- W pewnym sensie?

Will nerwowo odchrząknął.

- Musiałem coś z nim zrobić, ale nie z powodu psa. No, nie bezpośrednio z powodu psa. To znaczy, z powodu psa pojawił się tamtej nocy w mojej chacie, a potem podsłuchał, o czym rozmawialiśmy, i wtedy... Cóż, wiedziałem, że muszę coś przedsięwziąć, ponieważ usłyszał zbyt wiele. Wtedy Alyss powiedziała, że może będziemy musieli go... no wiecie... ale ja pomyślałem, że to może odrobinę zbyt drastyczne. A zatem, w końcu, to było najlepsze wyjście, jakie przyszło mi do głowy.

Przerwał, świadom, że obaj mężczyźni wpatrują się w niego z wyrazem całkowitego osłupienia.

- Chcę powiedzieć - powtórzył - że to tak jakby dotyczyło psa, ale tak naprawdę nie całkiem, jeżeli rozumiecie, co mam na myśli.

Nastąpiła bardzo długa chwila ciszy, aż wreszcie Halt wymruczał powoli:

- Nie, prawdę rzekłszy, ja nic nie rozumiem.

Crowley, przyjaźniący się z Haltem od niepamiętnych czasów, łypnął nań i spytał:

- Miałeś u siebie tego młodzieńca przez... ile, sześć lat?

Halt wzruszył ramionami.

- Prawie sześć - odparł.

- A czy kiedykolwiek udało ci się zrozumieć choć słowo z tego, co mówił?

- Niezbyt często - stwierdził Halt.

Crowley pokręcił głową z zadumą.

- Jakie to szczęście, że nie poszedł do Służby Dyplomatycznej. Bylibyśmy już w stanie wojny chyba z pół tuzinem krajów, gdyby ktoś go spuścił z oka. - Przeniósł wzrok z powrotem na Willa. - Opowiedz nam teraz prostymi słowami i, jeśli to możliwe, kończąc

każde rozpoczęte zdanie, co mają ze sobą wspólnego pies, ów osobnik, a także Alyss.

Will, szykując się do zdawania relacji, zauważył, iż obaj przełożeni odruchowo postąpili krok w tył. Uznał, że trzeba wyrażać się możliwie najprościej.

- Poprzednim właścicielem tej suki był miejscowy opryszek, nazwiskiem John Buttle. Zranił ją i porzucił. Znalazłem ją przy drodze. Zaopiekowałem się nią.

Zrobił przerwę, spojrzął na Halta i Crowleya, szukając potwierdzenia, czy jak dotąd za nim nadążają. Obaj skinęli mu na znak potwierdzenia, więc kontynuował:

- Siedzieliśmy razem z Alyss w mojej chacie. Właśnie przekazywała mi wiadomość od was, kiedy ten Buttle postanowił się zjawić z żądaniem zwrotu psa. Przez chwilę podsłuchiwał pod drzwiami. Zbyt późno zdaliśmy sobie sprawę, że się tam szwenda.

Tym wyznaniem zasłużył sobie na karcące spojrzenie ze strony Halta. Gestem poprosił o wybaczenie.

- Wiem. Powinienem być przyłapać go wcześniej. Ale mnie z Alyss łączy stara przyjaźń, więc chyba okazałem się nieco zbyt roztargniony. - Umilkł na chwilę. Halt nieznacznie skinął dłonią, co miało oznaczać, by nie rozwodził się nad tego rodzaju szczegółami. Will ciągnął więc relację: - W każdym razie, gdy był na zewnątrz, usłyszał, jak Alyss wspomniała, że mam wyruszyć z misją.

Teraz uwaga obu przełożonych skupiała się wyłącznie na nim. Halt, jak zwykle, zachowywał kamienną twarz, ale zatroskanie wyraźnie odbijało się na obliczu Crowleya.

- Jak więc z nim postąpiliście? - spytał.

Will wzruszył ramionami.

- No, miał włócznie, zatem ją zabrałem i dałem mu po głowie rękąjescią saksy. Alyss mi pomogła - dodał, nie chcąc, żeby wyglądało, iż przypisuje sobie wszystkie zasługi. - Odwróciła jego uwagę, więc zyskałem dobrą sposobność. Obezwładniłem przeciwnika. Później go skrepowałem za kciuki. Należało postanowić, co z nim robimy dalej. Alyss nie wykluczyła konieczności zastosowania rozwiązań ostatecznych.

Crowley, wciąż zachmurzony, przytaknął.

- Miała słuszność. Nie wolno nam ryzykować. Każde słowo na temat, o który chodzi, musi pozostać wyłącznie między nami - stwierdził. - A więc co z nim zrobiliście?

Will zawahał się raz jeszcze. Potem wziął głęboki wdech i zakończył:

- Wilczy statek Skandian wciąż jeszcze znajdował się na wyspie. Zawiozłem go do nich. Zabrali go ze sobą jako niewolnika.

Zdenerwowany, czekał na reakcję mężczyzn. Bądź co bądź, niewolnictwo zostało zakazane w Araluenie.

Alyss zwróciła mu uwagę na ten fakt, kiedy przedstawiał jej swój pomysł.

- Sprzedałeś go? - zapytał Halt.

Will pokręcił głową.

- No, nie. Nie sprzedałem. Ja., tak jakby... oddałem go w niewolę.

- Oddałeś go w niewolę? - powtórzył Crowley, sprawdzając, jak te słowa brzmią w jego własnych uszach.

- Gundar był całkiem zadowolony, że go dostał - bąknął Will, który miał nadzieję, że dzięki takiemu postawieniu sprawy dowódca Korpusu ujrzy cały epizod w lepszym świetle. - Chodzi o to, że wiedziałem, iż odpłynie, więc tym samym nie zdoła wypaplać czegokolwiek o mojej misji. Jeżeli nawet zdradzi coś Skandianom, to również bez znaczenia. Zapewne nie będą go słuchali, a nawet jeśli, i tak przez następne trzy miesiące utkną na Skorghijl.

Zapadła cisza. Crowley z Haltem rozważali to, co im powiedział. Will nie mógł się powstrzymać, by nie dorzucić:

- Nie uważam, by naprawdę zasłużył na śmierć.

- Ale uważasz, że zasłużył, by... trafić... w niewolę? - wyrecytował Crowley.

Will odpowiedział z wyrazem stanowczości na twarzy:

- Tak, Crowleyu, tak właśnie uważam. Ten człowiek ma na sumieniu długą listę brutalnych przestępstw. Prawdopodobnie odpowiada za więcej niż jedno morderstwo, choć nie istnieje żaden dowód, który wytrzymałby próbę w sądzie - dodał.

Halt podrapał się po brodzie. Chyba się zadumał.

- Bądź co bądź - ujął to łagodnie - do naszych obowiązków należy podejmowanie decyzji w sprawach, gdzie brak dowodów uniemożliwia skazanie. Crowley obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Świetnie rozumiesz, że nikt nigdzie tego tak nie zapisał, a już z pewnością nie oficjalnie - zwrócił uwagę Halta.

Halt przytaknął, przyznając mu rację. Perswadował jednak dalej, wciąż łagodnym tonem:

- Zatem twierdzisz, iż przypadek Arndora z Crewse nie stanowi precedensu? - zapytał. Zmieszany Crowley przestąpił z nogi na nogę. Will patrzył na nich obu, zdziwiony nietypowym przebiegiem rozmowy.

- Arndora z Crewse? - spytał. - Kimże on był? Halt uśmiechnął się do przyjaciela.

- Olbrzym, ponad dwa metry wzrostu. I bandyta. Terroryzował miasteczko Crewse przez wiele miesięcy, aż wreszcie pewien młody zwiadowca się z nim rozprawił... w dość niekonwencjonalny sposób.

Dostrzegając zaciekawienie Willa i zmieszanie Crowleya, Halt kontynuował z ledwie widocznym cieniem uśmiechu:

- Ten zwiadowca przykuł olbrzyma do młyńskiego koła w miasteczku i pozwolił, by ludzie z Crewse wykorzystywali go jako zwierzę pociągowe we młynie przez okres pięciu lat. Najwyraźniej miało to zbawienny wpływ na duszę zbira, a miasteczku przyniosło trochę dobrobytu. Mąka z Crewse słynie odtąd z delikatności.

Wreszcie Crowley przerwał opowieść.

- Słuchajcie, to była inna sytuacja, a ja... - Poprawił się odrobinę zbyt późno: - Ten zwiadowca, o którym mowa... nie przyszedł mu do głowy żaden inny pomysł, jak ma wybrnąć z sytuacji. Bandzior przynajmniej odkupił swoje winy wobec ludzi, których skrzywdził. Nie został tak po prostu sprzedany jako niewolnik do obcego kraju.

- Cóż - odezwał się Halt - ów Buttle także nie. Ściśle rzecz biorąc, jak wyjaśnił Will, on w ogóle nie został sprzedany. Został podarowany. Zręczny jurysta prawdopodobnie zdołałby wykazać, że skoro żadne pieniądze nie przeszły z rąk do rąk, to prawo naszego kraju nie zostało złamane.

Crowley parsknął.

- Zręczny jurysta? - zadrwił. - No dobrze, młody Willu, przyjmuję, że działałeś w sytuacji szczególnej, broniąc dobra wyższego rzędu. Jak wskazuje ten tu oto twój jurysta, w ścisłym rozumieniu omawianego przypadku nie zostało popełnione przestępstwo. Może lepiej już idź, rozstaw sobie namiot. Porozmawiamy po kolacji.

Will skinął głową, posłał szeroki uśmiech Haltowi. Mentor znowu uniósł jedną brew. Kiedy Will oddalił się, żeby rozbić zielony namiocik, Crowley podsunął się nieco bliżej do swego starego przyjaciela i odezwał się przyciszonym głosem, tak, żeby Will nie mógł go usłyszeć:

- Wiesz co, to wcale nie jest najgorszy sposób radzenia sobie z trudnymi przypadkami. Może warto skontaktować się z twoim przyjacielem Erakiem. Sprawdzilibyśmy, czy nie dałoby się tak częściej.

Halt przez długą chwilę spoglądał w milczeniu na komendanta.

- Oczywiście. Bądź co bądź, w naszym kraju nie mamy aż tylu młynów, czyż nie?

Rozdział 11

Trzej zwiadowcy zasiedli wygodnie wokół roznieconego przez Willa ogniska. Wieczorny posiłek okazał się całkiem smaczny. Crowley przywiózł ze sobą steki z sarniny, przyrządzili je więc na płaskich, rozgrzanych na ogniu kamieniach. Mięso skwierczało, przyskałał tłuszcz. Zjedli również gotowane ziemniaki, obficie doprawione masłem oraz pieprzem i zieleninę zblanszowaną w garnku z wrzątkiem. Teraz, ściskając w dłoniach kubki aromatycznego napoju zaparzonego przez Halta, siedzieli w przyjaznym milczeniu.

Will uśmiechał się sam do siebie. Pilno mu było poznać szczegóły misji, która go czekała, lecz ponaglanie nie miałooby najmniejszego sensu. Wiedział, że Crowley z Haltem wyjaśnią mu, co trzeba, w odpowiednim czasie. Żaden postępek lub perswazja nie skłonią dowódców, by uczynili to choćby o moment wcześniej, niż sobie zaplanowali. Parę lat temu gorączka oczekiwania rozgrzałaaby go do czerwoności, wierciłby się, nie potrafiłby spokojnie usiedzieć. Ale obok innych umiejętności, niezbędnych w fachu zwiadowcy, cierpliwość należała do najważniejszych. Gdy tak siedział oczekując, aż zwierzchnicy poruszą kwestię, dla której go wezwali, czuł na sobie aprobujące spojrzenie Halta. Jego mistrz doceniał nowo opanowaną umiejętność. Will tylko raz podniósł wzrok. Uchwyciwszy spojrzenie Halta, pozwolił sobie na jawny uśmiech. Cieszył się, że potrafi udowodnić, jaki jest cierpliwy.

Pierwszy poruszył się Halt. Sapnął poirytowanym tonem:

- Och, starczy już, Crowley! Na Boga, miejmy to wreszcie za sobą!

Komendant Korpusu uśmiechnął się do starego przyjaciela ze złośliwą satysfakcją.

- Popatrz, a ja myślałem, że wystawiamy tu na próbę cierpliwość Willa, nie twoją - zachichotał.

Halt machnął ręką.

- W porządku, zatem uznajmy, iż próbę cierpliwości zdał.

Uśmiech Crowleya powoli gasł. Komendant zbierał myśli. Will wychylił się do przodu, nie mogąc już doczekać się ważnych wieści. Za chwilę wszystko się wyjaśni, młody zwiadowca pozna szczegóły nowego zadania. Przez kilka ostatnich dni bardzo starał się trzymać w ryzach ciekawość. Obecnie, kiedy nadszedł kluczowy moment, Will poczuł, że nie wytrzyma już ani chwili. Od dłuższego czasu zachodził przecież w głowę, snując domysły, czego powinno dotyczyć zadanie. Zakładał kilka wariantów, z których większość opierała się

na związku z jego przeżyciami w Skandii. Już pierwsze słowa Crowleya przekreśliły wszystkie czynione uprzednio domysły.

- Wygląda na to, że na Północy pojawił się jakiś problem z magią - oznajmił Mistrz Korpusu.

Will ze zdumienia aż podskoczył.

- Z magią? - spytał. Jego głos zabrzmiał odrobinę głośniejsz, niż zamierzał.

Crowley skinął głową.

- Tak właśnie nam się zdaje - odrzekł, kładąc nacisk na każde słowo.

Will spoglądał raz na Crowleya, raz na Halta. Twarz dawnego nauczyciela pozostawała nieruchoma niczym maska.

- To my wierzymy w magię? - zapytał Halt.

Starszy zwiadowca tylko wzruszył ramionami.

- Dziewięćdziesiąt pięć procent przypadków, jakie widziałem, nie oznacza nic innego, jak tylko hokus-pokus i czary-mary - rzucił pogardliwie. - Nic, czego nie zdołałaby załatwić celnie wypuszczona strzała. W mniej więcej trzech procentach mamy do czynienia z kontrolą umysłów i manipulowaniem słabszą wolą przez silniejszy umysł. Tak Morgarath panował nad swoimi wargalami.

Will powoli skinął głową. Morgarath, dawny baron, który wzniecił bunt przeciwko królowi, dowodził armią zwierzęcych wojowników, całkowicie podporządkowanych jego woli, bezwiednie wykonujących przekazywane telepatycznie rozkazy.

- Na jeden procent, następny, składają się przypadki zbiorowej halucynacji. Niektórzy są w stanie ją wywołać - ciągnął Crowley. - Zjawisko zbiorowej halucynacji również kojarzy się z panowaniem nad umysłami, lecz tutaj ludzie „widzą” albo „słyszą” rzeczy, które w rzeczywistości nie istnieją.

Zapadło chwilowe milczenie. Will znowu popatrywał to na jednego, to na drugiego. W końcu sam się odezwał:

- Pozostaje jeszcze jeden procent.

Obaj mężczyźni przytaknęli.

- Poczyniłeś spore postępy w dodawaniu - zażartował Halt. Po chwili, nim Will zdążył wtrącić własny komentarz, ciągnął: - Jest tak, jak mówisz. Istotnie. Pozostaje ów jeden jedyny procent przypadków.

- Czyżby, waszym zdaniem, chodziło tutaj o skuteczne praktyki magiczne? - dopytywał się Will. Halt natychmiast stanowczo i z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Chcę stwierdzić, iż dla pewnej grupy zjawisk nie potrafimy znaleźć logicznego

wytłumaczenia - odparł.

Will wiercił się niecierpliwie, szukając sposobu, by wyciągnąć więcej z dawnego wychowawcy.

- Halt! - Chłopak popatrzył brodatemu zwiadowcy prosto w oczy. - Ty wierzysz w magię?

Halt zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi. Był człowiekiem, który przez całe swoje życie miał do czynienia z konkretami. Jego praca polegała na zdobywaniu faktów oraz informacji. To, co niezrozumiałe, traktował jako dopust boży. Jednak, w tym przypadku...

- Nie twierdę, by jakakolwiek magia działała. - Bardzo starannie dobierał słowa. - Ale też nie twierdę, że nie działa. Jeśli wydaje mi się, że napotykam zjawiska, dla których nie znajduję wytłumaczenia albo logicznej przyczyny, wolę zachować w tej kwestii otwarty umysł.

- Wedle mnie chyba najlepiej określiłeś punkt widzenia, który trzeba przyjąć - wtrącił Crowley. - Mam na myśli następujący pogląd: istnieją otóż wyraźnie dostrzegalne złe moce, które wpływają na nasz świat. Każdy z nas oglądał mnóstwo przykładów zbrodniczych zachowań, zbyt wiele, by wątpić w działanie czarnej magii. Któż odpowiedzialnie stwierdzi, że na pewno nie pojawił się ktoś wyjątkowy, jakaś osoba dysponująca zdolnością wzywania złych mocy albo taka, która umiałaby wykorzystywać je dla osiągnięcia własnych korzyści?

- Wszelako - podkreślił stanowczo Halt - pomnij, Willu, rozważamy jeden przypadek na sto. Stosując tak ostrożne szacunki, nawet wówczas twierdzimy tylko tyle: coś tu może jest na rzeczy, choć niekoniecznie prawdziwa magia. Jeżeli w ogóle istnieje prawdziwa magia.

Will potrząsnął głową. Następnie upił spory łyk napoju.

- Nie wiem, co o tym myśleć - wyznał.

Halt uśmiechnął się ponuro.

- Po prostu, na zawsze sobie zapamiętaj: istnieje ponad dziewięćdziesiąt procent szans, że sprawa, z którą mamy do czynienia, to nie czary, a tylko zjawiska, których nie potrafimy jeszcze wytłumaczyć. Trzymaj się tego poglądu, w innych kwestiach zachowując otwarty umysł. Dobrze?

Will skinął głową. Wziął głęboki wdech.

- Doskonale - powiedział. - Proszę zatem o dalsze informacje. O co dokładnie chodzi w tej akurat sprawie? I jakie plany macie wobec mnie?

Crowley dał Haltowi znak. Niech teraz on weźmie na siebie główny ciężar wyjaśnień. Wiedział, że mistrza nadal łączy z uczniem bardzo silna więź. Dzięki zdolności rozumienia w pół słowa tego, co mówi mentor, zmniejszyła się ryzyko, że cokolwiek zostanie

niezrozumiane albo przekłamane. Ci dwaj niemal czytali sobie w myślach.

- Bardzo dobrze - zaczął Halt. - Zaczniemy więc od stwierdzenia, że chodzi o lenno Norgate.

- Norgate? - przerwał Will, wyraźnie zaskoczony.

- Czyż nie mamy zwiadowcy przydzielonego do tego lenna?

- Owszem, mamy - potwierdził Halt. - Ale jego tam znają. Wiedzą, czym się zajmuje. Mieszkańcy Norgate pogubili się, są przerażeni. Ostatnią osobą, z jaką zechcieliby rozmawiać, byłby członek Korpusu. Połowa bowiem sądzi, że my sami jesteśmy czarnoksiężnikami - dodał pośpiesznie.

Will skinął głową. Wiedział, że to prawda.

- Dlaczego w takim razie mieliby zaufać mnie? - zapytał. - Nie znają mnie co prawda, ale natychmiast zauważą, że kontaktują się ze zwiadowcą.

- Nikt się nie dowie, że jesteś zwiadowcą - powiedział Halt. - Wyruszysz w przebraniu.

Ta krótka informacja skutecznie powstrzymała lawinę dalszych pytań Willa. Prawdę mówiąc, zapomniał języka w gębie, usłyszawszy, co mu każą zrobić. Odczuwał wielką dumę z tego, że stał się pełnoprawnym członkiem Korpusu i radował go szacunek, jaki się z tym wiązał.

Ludzie czuli się nieswojo przy zwiadowcach. Fakt. Jednak członkowie Korpusu cieszyli się niekwestionowanym prestiżem. Drzwi domostw stały przed nimi otworem. Na opinie każdego z nich bardzo wyczekiwano; zdanie zwiadowców szanowali rycerze oraz baronowie całego królestwa, a także sam król. Ich umiejętność swobodnego posługiwania się dowolną bronią była wręcz legendarna. Will niekoniecznie chciałby rezygnować z autorytetu, jaki posiadali członkowie Korpusu, zastanawiając się czy zdoła sobie poradzić z trudną, niebezpieczną misją. A wyglądało na to, że misja zalicza się do takich właśnie.

- Nadto wybiegamy do przodu - osadził Halta Crowley. - Zarysowaliśmy ogólny obraz sytuacji, skupmy się na szczegółach.

- Słusznie mówisz - zgodził się Halt. Posłał Willowi wymowne spojrzenie. Młodzieniec skinął głową. Wiedział, że nadeszła pora, by zamienić się w słuch.

- Dobrze więc. Lenno Norgate stanowi pewien wyjątek wśród ziem całego królestwa. Oprócz bowiem Zamku Norgate, który wzniesiono pośrodku baronii, istnieje tam jeszcze jeden zamek, usytuowany w jednym z hrabstw na Północy.

Halt mówił, a tymczasem Crowley rozwijał i układał na trawie między nimi mapę dalekiej okolicy. Will przyklęknął. Przyjrzał się uważnie mapie. Tak, Halt miał rację. Tuż przy najdalszej północnej granicy królestwa zaznaczono warowną budowlę.

- Zamek Macindaw - mruknął, a Halt przytaknął.

- Bardziej forteca niż zamek - stwierdził. - Trochę brakuje w nim wygod, ale ma niewątpliwie wielkie strategiczne znaczenie. Jak sam widzisz... - Sięgnął po jedną z czarnych strzał z leżącego obok kołczana. Użył jej, by wskazać dzikie góry, oddzielające Araluen od Piety, sąsiadującej z nim na północy. - Spójrz, gdzie został wzniesiony. Wybrano miejsce, z którego dominuje nad okolicą, kontrolując przełęcz Macindaw prowadzącą przez góry.

Umilkł na chwilę, obserwując młodzieńca. Will rozważał sytuację, uważnie wpatrując się w mapę. W końcu skinął potakująco. Halt kontynuował:

- Gdyby nie Zamek Macindaw, musielibyśmy bezustannie odpierać najazdy Skottów, dzikiego plemienia, władającego południowymi prowincjami Piety. Skotci to łupieżcy i złodzieje, ale wojownicy z nich przedni. W rzeczy samej, bez Macindaw niełatwo by nam było utrzymać Skottów z dala od lenna Norgate. To już daleka północ, każdej armii trudno jest w takim terenie manewrować zimą, zwłaszcza że nasi zbrojni pochodzą na ogół z lenn południowych. Nie nawykli do surowych warunków, jakie tam napotkasz.

Kiwnąwszy głową, Will odsunął się od mapy. Obraz został wryty w pamięci. Przeniósł wzrok z powrotem na Halta. Jego mistrz kontynuował:

- Rozumiesz zatem, dlaczego spędza nam sen z powiek coś, co zdaje się burzyć porządek panujący w lennie Norgate - powiedział.

Will skinął głową.

- Kiedy lorda Syrona, władającego Macindaw, powaliła tajemnicza przypadłość, ogarnął nas zrozumiały niepokój. Zaniepokoił się jeszcze bardziej, gdy zaczęły do nas docierać plotki o czarach. Okazuje się, że jeden z przodków Syrona jakieś sto lat temu miał zatarg z miejscowym czarnoksiężnikiem. - Halt przeczuł pytanie, cisnące się Willowi na usta. Uniósł dłoń, by powstrzymać młodzieńca. - Nie wiemy, w czym rzecz. Może chodziło o kontrolowanie umysłu? Może ów czarnoksiężnik w istocie był kuglarzem? Ale może coś naprawdę w tym było? Wszystko działo się przed ponad stu laty, co należy podkreślić. Posiadamy niewiele wiarygodnych świadectw, natomiast wciąż krąży mnóstwo straszliwych opowieści. Według wszelkich znanych źródeł istniał wtedy autentyczny czarnoksiężnik, toczący przez setki lat spór z rodziną Syrona. Czarnoksiężnik raz pojawiał się, raz znikał. Lecz gdy tylko zjawiał się w lennie Norgate, jego obecności towarzyszyły dziwne, niewytłumaczalne zdarzenia. Każdorazowo zahaczały o rodzinę Syrona. Zważ, że chodzi o przekazywany z pokolenia na pokolenie mit, więc nie doszukuj się w plotkach zbyt dużego sensu.

- Co się stało z czarnoksiężnikiem? - zapytał Will, a Halt wzruszył ramionami.

- Tego nie wie nikt. Wygląda na to, że czarnoksiężnik sprowadził na przodka Syrona cały łańcuch tajemniczych dolegliwości. Uzdrowiciele nie potrafili żadnej z nich rozpoznać ani wyleczyć. Jak zwykle - prychnął, z nutą wzgardy w głosie. - Po jakimś czasie pewien młody rycerz z dworu barona Norgate podjął się uwolnienia prowincji od czarnoksiężnika. Spełniał wszelkie warunki, jakich wymagają wierzenia związane z magią: miał czyste serce i cechowała go wielka szlachetność charakteru. Dzięki swym niezwykłym przymiotom pokonał czarnoksiężnika, następnie zaś go wypędził.

- Ale czarnoksiężnik przeżył? - spytał Will.

Halt pokiwał głową.

- Niestety. Czarnoksiężnik pozostał przy życiu i stało się to pożywką dla późniejszych legend. Rodzą się i potężnieją z biegiem lat. Obecnie sytuacja przedstawia się następująco: Syrona, który jakieś sześć tygodni temu wybrał się na konną przejażdżkę, nagle zwała z konia dziwna przypadłość. Kiedy zjawili się towarzysze, leżał na ziemi, siny na twarzy, toczył pianę i wrzeszczał z bólu. Ludzie zabrali go do zamku. Tamtejsi uzdrowiciele nie mieli bladego pojęcia, co baronowi dolega. Ograniczyli się jedynie do podawania leków sprowadzających lekki sen oraz łagodzących cierpienie. Stan barona nie poprawił się od tamtej pory. A teraz już śmierć zagląda mu w oczy. Kiedy budzą Syrona, żeby go nakarmić albo napić, ból narasta, Syron zaczyna krzyczeć, na jego ustach znów pojawia się piana. Kiedy natomiast utrzymują go w uśpieniu, coraz bardziej słabnie.

- Niech zgadnę - wtrącił Will, kiedy Halt zrobił przerwę. - Identyczne objawy choroby występowały w przypadku jego przodka. Czy tak głosi legenda?

Halt wycelował palec w młodzieńca.

- Trafiłeś w sedno - powiedział. - W rezultacie narastają plotki, jakoby Malkallam powrócił.

- Malkallam? - zapytał Will.

- Czarnoksiężnik z legendy - wyjaśnił Crowley. - Nikt nie wie, skąd biorą się owe plotki, ale występują i inne... znaki. Światła w lesie, znikające, gdy ktoś się zbliża, dziwne sylwetki, widywane nocami na drodze, głosy, które słyszano w zamku. I tak dalej. Dzieją się tam zaiste dziwne rzeczy. Jakby ktoś pragnął śmiertelnie przerazić okolicznych wieśniaków. Miejscowy zwiadowca, Meralon, stara się zdobyć więcej informacji, ale ludzie trzymają gęby na kłódkę. Doszły go jakieś pogłoski o czarnoksiężniku, mieszkającym w głębokim lesie, padało imię Malkallam. Lecz gdzie dokładnie miałby mieszkać, tego Meralon nie zdołał się wywiedzieć.

- Kto włada na zamku, gdy Syron jest niezdolny do wypełniania swych obowiązków? -

zapytał Will.

Halt z aprobatą skinął głową, chwając przenikliwość wychowanka. Will umiał odrzucić pozory, od razu sięgał do jądra problemu.

- Formalnie rządy sprawuje syn Syrona, Orman. Lecz żaden z niego żołnierz. Według raportu Meralona, Orman pograżył się w nauce. Bardziej interesuje się studiowaniem historii niż obroną granic królestwa. Na szczęście przebywa tam także bratanek Syrona, Keren. W praktyce to właśnie on pełni obowiązki komendanta garnizonu. Odznacza się większym niż Orman poczuciem realizmu. Wychowano go na wojownika. Zdaje się również, że jest lubianym wodzem.

- Na razie Orman jakoś tam sobie radzi - dodał Crowley - ale jeżeli Syron umrze, będziemy mieli problem z sukcesją. Orman, słaby i nienadający się na wodza, odziedziczy lenno. To mogłoby zachwiać istniejącą obecnie równowagą i narazić nas na atak z północy. Zaś groźby napadu musimy unikać za wszelką cenę. Macindaw ma dla nas ogromne znaczenie strategiczne.

Will w zamyśleniu skubał podbródek.

- Rozumiem - odezwał się wreszcie. - Co więc chcecie, żebym uczynił?

- Jedź tam - odparł Crowley. - Poznaj miejscowych ludzi i wywiedz się tyle, ile zdołasz. Zobaczmy, co uda ci się znaleźć na temat owego Malkallama. Czy naprawdę istnieje, czy raczej chodzi wyłącznie o tubylcze bajania. Zyskaj ich zaufanie. Spraw, żeby mówili.

Will zmarszczył brew. Pomyślał, że w ustach Crowleya wszystko wydaje się dziecinnie proste.

- Łatwiej powiedzieć, niż wykonać - mruknął. Halt odpowiedział z ledwie widocznym uśmiechem:

- Tobie będzie łatwiej niż innym - stwierdził. - Ludzie lubią z tobą rozmawiać. Jesteś młody. Masz taki niewinny, rozbrajający wyraz twarzy. Oto, dlaczego właśnie ciebie wybraliśmy. Przez myśl im nie przejdzie, że jesteś zwiadowcą.

- A za kogo mają mnie wziąć? - zapytał Will.

W tej chwili na twarzy Halta wykwitł uśmiech. Nareszcie nieklamany.

- Wezmą cię za rybałta.

Rozdział 12

Will siedział sztywno, nie posiadając się ze zdumienia. Dzień pełen niespodzianek, stwierdził w duchu.

- Za rybałta? - powtórzył. - Mnie?

Halt spojrział na niego spod ciemnych brwi.

- Za rybałta. Ciebie - potwierdził.

Will bezradnie zamachał rękoma, bo na chwilę zapomniał języka w gębie.

- Ale... - zaczął szybko. I szybko zamilkł.

- To idealne wcielenie - oznajmił Crowley. - Rybałci nieustannie podróżują. Wszędzie są ciepło przyjmowani, od zamków po najbardziej liche gospody. A na takim odludziu jak Norgate będziesz po dwakroć mile widziany. Lecz, co najważniejsze, ludzie rozmawiają z rybałtami. I rozmawiają przy nich - dodał znacząco.

Will wreszcie znalazł słowa, których szukał.

- Czy nie zapominasz wszelako o pewnym drobnym szczególe? - spytał. - Ja przecież nie jestem rybałtem. Nie potrafię opowiadać dowcipów. Nie potrafię wyczyniać magicznych sztuczek ani fikać koziołków. Skręciłbym kark, gdybym spróbował.

Halt skinął głową, przyznając wychowankowi rację.

- Nie wiesz, że istnieją rybałci różnego rodzaju? Napotkasz wśród nich też zwyczajnych minstreli.

- Halt mówił mi - wtrącił Crowley - że całkiem dobrze grasz na lutni.

Will spojrział na Crowleya ze zmieszaniem.

- To mandola - powiedział. - Ma osiem strun, strojonych parami. Lutnia ma dziesięć strun, z których część to...

Urwał, dostrzegając kompletny brak zainteresowania w oczach obu starszych zwiadowców. Lutnia, mandola, wielki bęben, im było obojętne. O ile tylko ktoś grał na tym należycie.

Nagle zrobiło mu się ciepło na sercu, gdy dotarło do jego świadomości, co Crowley przed chwilą powiedział.

- Naprawdę sądzisz, że gram wystarczająco dobrze? - zapytał Halt.

Ilekcje Will ćwiczył grę na mandoli, jego mistrz nieodmiennie przybierał cierpiętniczą

minę. Will czuł niemalą satysfakcję, słysząc, że Halt w gruncie rzeczy podziwia jego sprawność. Satysfakcja nie trwała jednak długo.

- A mnie za jedno - odparł Halt, wzruszając ramionami. - Jedno kocie miauczenie brzmi dla mnie zupełnie tak samo jak inne.

- Och - westchnął Will, któremu zrzędała mina. - Przypuszczalnie inni ludzie są bardziej wybredni w wychwytywaniu różnic. Nie dałoby się wejść w skórę kogoś innego? - zwrócił się do Crowleya.

Teraz z kolei komendant zwiadowców wzruszył ramionami.

- Czyją na przykład...? - spytał.

Will podumał przez chwilę, nim znalazł odpowiedź.

- Druciarza - zasugerował. Bądź co bądź, w opowieściach i legendach, które Murdał, nadworny gawędziarz barona Aralda, zwykł był recytować w Zamku Redmont, bohaterowie często przebierali się za druciarzy.

Halt parsknął pogardliwie.

- Druciarza? - zdziwił się Crowley.

- Tak - odpowiedział Will, zapalając się do pomysłu. - Podróżują z miejsca na miejsce. Ludzie z nimi rozmawiają i...

- Wszyscy traktują druciarzy jak drobnych złodziejasków - dokończył za niego Crowley. - Przedzierzgnięcie się w kogoś, kto w każdym napotkanym człowieku natychmiast wzbudzi podejrzenia, nie wydaje mi się najlepszym pomysłem. Ludzie będą się przy tobie porządnie pilnować, spodziewając się, że spróbujesz podwędzić im sztucce.

- Złodziejasków? - odparł Will, zbity z tropu. - Naprawdę?

- Druciarze są znani ze skłonności do kradzieży - potwierdził Halt. - Nigdy nie potrafiłem pojąć, dlaczego ten nudziarz i idiota Murdał stale się upierał, żeby jego postaci przebierały się za druciarzy. Sam nie zdołałbym wymyślić niczego głupszego.

- Och - westchnął Will, czując pustkę w głowie. Zawahał się. Po chwili znowu zapytał:

- Czy naprawdę uważacie, że moja gra jest wystarczająco dobra? Uda mi się?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - powiedział Crowley. - Masz przy sobie lutnię. Posłuchajmy jakiejś melodii.

- To nie jest... - zaczął Will, ale dał spokój. Sięgnął do siodła, do którego wraz z innymi manatkami, przytroczył również futerał z mandolą. - Nieważne - mruknął.

Wydobył instrument z futerału, wyjął szylkretową kostkę spomiędzy strun. Spróbował zagrać. Tak jak się spodziewał, podskoki na grzbiecie juczej chabety oraz nocny chłód całkowicie rozstroiły mandolę. Will dostroił instrument, wypróbował kolejny akord, z

zadowoleniem pokiwał głową. Potem znowu zagrał akord, stwierdził, że skrajną strunę naciągnął odrobinę za mocno i poluzował naciąg. Lepiej, pomyślał.

- No, dalej. - Crowley zachęcił go ruchem dłoni. Will zagrał akord A-dur. I zawahał się. W głowie pustka. Nie potrafił sobie przypomnieć ani jednej melodii. Wypróbował D-dur, potem e-moll i b-moll, mając nadzieję, że kolejne dźwięki poddadzą mu jakiś muzyczny pomysł.

- Czy tej melodii towarzyszą jakieś słowa? - spytał przesadnie uprzejmy Halt.

Will odwrócił się do mistrza.

- Nie znajduję chwilowo w głowie żadnej pieśni - powiedział. - Wszystko mi uciekło.

- Napytasz sobie biedy, jeżeli zdarzy ci się to samo w jakiejś zaplutej karczmie - rzekł Halt.

Will rozpaczliwie usiłował przypomnieć sobie cokolwiek. Byle co.

- Może „Stary Joe Smoke”? - podsunął radośnie Crowley.

Halt raptownie odwrócił głowę, łypiąc podejrzliwie w kierunku Mistrza Korpusu Zwiadowców.

- „Stary Joe Smoke”? - spytał Will. Oczywiście, dowódca wybrał właśnie tę piosenkę, którą młodzian zmienił w parodię na temat Halta. Zastanowił się, czy Crowley o tym wie. Mina zwiadowcy sprawiała wszelako wrażenie najniewinniejszej w świecie.

Crowley przytaknął. Zaśmiał się na zachętę, nie zważając na piorunujące spojrzenie starego przyjaciela.

- To moja ulubiona piosenka - oznajmił Crowley. - Za młodu zwykłem do niej tańczyć.
- Powtórzył zachęcający gest.

Will, chcąc nie chcąc, pociągnął na mandoli wstęp, stopniowo zwiększając tempo. Grał z coraz większą wprawą, wiedział jednak, że musi bezustannie zważać, by używać tekstu oryginalnego, nie wersji humorystycznej. Odrzucił lęki, zaczął śpiewać:

Stary Joe Smoke to przyjaciel mój, co mieszka na wyżynie.

Stary Joe Smoke nigdy nie kapie się, i mówi, że prędzej zginie.

Bywaj zdrów, stary Joe Smoke,

Bywaj mi, bywaj zdrów.

Bywaj zdrów, stary Joe Smoke,

I w drogę ruszaj znów.

Crowley uderzał dłonią w kolano, wystukując rytm. Uśmiechał się i kiwał w rytm melodii.

- Chłopak jest dobry! - zwrócił się do Halta.

Will, ośmielony pochwałą, kontynuował. Zagrał złożony motyw, składający się z szesnastu nut jako interludium, po czym zaśpiewał kolejną zwrotkę.

Stary Joe Smoke przegrał zakład raz, i zimowy płaszcz postradał.

W zimie Joe'emu ciepło jest, bo sypia pośród koziego stada.

Bywaj zdrów, stary Joe Smoke,

Bywaj mi, bywaj zdrów.

Bywaj zdrów, stary Joe Smoke,

I w drogę ruszaj znów.

Rozśpiewał się już na dobre, ponownie zagrał przerywnik, tym razem próbując ambitniejszego motywu. Palce zadrżały mu co prawda na trzecim progu, ale zręcznie, zatuszował pomyłkę. Rozpoczął trzecią zwrotkę:

Halt Siwobrody wśród kóz ma swój dom, tak ludzie powiadają.

Od lat nie zmieniał skarpet on, lecz kozy nie narzekają.

Bywaj zdrów, Halcie Siwobrody,

Bywaj mi, bywaj zdrów...

I umilkł. Bo nagle uświadomił sobie, co właśnie zaśpiewał. Oto mimowolnie, zajęty olśniewającą prezentacją własnej biegłości w grze na mandoli, powrócił do parodystycznej wersji. Crowley przechylił głowę na bok, marszcząc brwi w udawanym zaciekawieniu.

- Pasjonujący tekst - powiedział. - Zdaje się, że nigdy wcześniej nie słyszałem tej akurat wersji.

Zakrył usta dłonią, jego łopatki zaczęły się trząść.

- Bardzo zabawne, Crowley - Halt syczał poirytowanym tonem. Mistrz Korpusu Zwiadowców wydawał z siebie dziwne, stłumione odgłosy. Z pochyloną głową i jeszcze bardziej trzęsącymi się barkami. Will spoglądał na Halta z przerażeniem.

- Halt... Przepraszam... Nie chciałem...

Crowley w końcu zaprzestał daremnych zmagania z samym sobą i ryknął

niepohamowanym śmiechem. Will bezradnie zamachał do Halta. Jego mistrz w odruchu rezygnacji wzruszył ramionami, a później wściekle łypnął na Crowleya. Pochylił się i dał dowódcy Korpusu bolesnego kuksańca w zębra.

- To wcale nie jest zabawne! - warknął.

Crowley złapał się za bolący bok i wycelował palcem w Halta.

- Ależ jest! Jest! Powinieneś zobaczyć swoją minę! - wysapał. Potem zwrócił się do Willa, mówiąc: - Dalej! Jest więcej zwrotek?

Will się zawahał. Halt piorunował wzrokiem Crowleya, a Will - chociaż był już pełnoprawnym zwiadowcą, noszącym srebrny liść dębu i, formalnie rzecz biorąc, dorównującym rangą Haltowi - wiedział, że nierozsądnie byłoby narażać się jeszcze bardziej. Bardzo nierozsądnie.

- Myślę, że usłyszeliśmy dosyć, żeby wydać osąd - fuknął Halt. Odwrócił się w stronę trzech małych namiotów, które wcześniej rozbili. Blask bijący od ogniska sprawił, że namiociki znalazły się na skraju świetlnego kręgu. Halt zawołał nieco głośniejszym głosem: - Co o tym sądzisz, Berrigan?

Zza namiotów dobiegł szelest. Ktoś tam pomału wyłonił się z zarośli i podszedł do ogniska. Kuśtykał. Pies, dotąd leżący za plecami Willa, zjeżył grzbiet, powarkując z cicha. Will uspokoił owczarka ruchem ręki. Zwierzę posłusznie zaległo na trawie.

Jeszcze nim Will dostrzegł sześciostronną gitarę, którą mężczyzna trzymał w ręku, rozpoznał utykanie. Wcześniej już kilkakrotnie widywał Berrigana. Zazwyczaj podczas dorocznych zlotów zwiadowców kuternoga zabawiał śpiewem zgromadzonych członków Korpusu. Berrigan niegdyś sam nosił srebrny dębowy liść, ale został zmuszony do rezygnacji z czynnej służby po utracie nogi w zażartej bitwie podczas któregoś najazdu Skandian. Od tamtej pory zarabiał na chleb jako minstrel, prezentując niemały talent jako muzyk oraz pieśniarz. Will podejrzewał, że od czasu do czasu korzystano z jego usług również przy zbieraniu tajnych informacji dla potrzeb Korpusu.

Teraz dotarło do Willa, że dawny zwiadowca przysłuchiwał się, by ocenić jego grę. Berrigan, uśmiechnawszy się do Willa, rozsiadł się przy ognisku. Drewniana noga, nieco utrudniła siadanie.

- Witaj, Willu - odezwał się. Pokiwał głową, następnie spojrzał na mandolę, spoczywającą teraz na kolanach młodzieńca. - Nieźle. Całkiem nieźle.

Minstrel miał szczupłą twarz o wydatnych kościach policzkowych i wielki, orli nos. Jednak najbardziej wyróżniały się w twarzy Berrigana jasnoniebieskie oczy oraz szeroki, przyjazny uśmiech. Długie, brązowe włosy, jak przystało w jego profesji, opadały na ramiona.

Przywdziewał typowy strój rybaka, opończę upstrzoną rozmieszczonymi przypadkowo jaskrawymi plamami. Wzory zdawały się migotać, gdy muzykant się poruszał. Will wiedział, że każdy rybak ma swój własny, wyróżniający go, zestaw barw i plam. Teraz obejrzał sobie dokładnie wzór na opończy Berrigana. Przypominał on układ maskowania, charakterystyczny dla okryć noszonych przez wszystkich zwiadowców - chociaż kolory prezentowały się bardziej żywo niż bure brzozy, szarości oraz zielenie na typowej pelerynie zwiadowcy.

- Berrigan. Miło cię widzieć - powiedział. Po chwili uderzyła go pewna myśl. Zwrócił się do Crowleya z pytaniem: - Crowley, czy nie byłoby rozsądniej, gdyby Berrigan podjął się tej misji? Bądź co bądź, jest zawodowym minstrelem, a wszyscy wiemy, że nadal od czasu do czasu współpracuje z Korpusem.

Trzej pozostali wymienili spojrzenia.

- Och, wszyscy to wiemy, naprawdę? - spytał Crowley.

Will nieśmiało wzruszył ramionami.

- Hmm, właściwie nie mam pewności. Ale czyż się mylę?

Przez krótką chwilę panowało niezręczne milczenie. Jednak Berrigan rozładował napiętą atmosferę, przytakując z pogodnym uśmiechem:

- Masz słuszność, Willu. W dalszym ciągu, kiedy mnie poproszą, wykonuję pewne zadania dla Korpusu. Lecz do tej akurat misji nie dorastam mniej więcej o stopę.

- Ale ty jesteś o wiele wyższy ode mnie... - Will zaczął tłumaczyć. Nagle uświadomił sobie, że Berrigan znacząco spogląda na wyciągniętą przed nim drewnianą protezę. Urwał, zakłopotany. - Och, miałeś na myśli swoją... - Nie potrafił tego wykrztusić. Wydawało mu się, że popełniłby jakąś rażącą nieuprzejmość. Berrigan tylko rozciągnął wargi w jeszcze szerszym uśmiechu.

- Moją drewnianą nogę, Willu. Wszystko w porządku. Zdążyłem się już do niej przyzwyczaić. Nie warto udawać, że ona nie istnieje. Z tego, co wiem od Crowleya na temat zadania, trzeba tu kogoś, kto umie działać szybko jak strzała. Obawiam się, że mnie to już nie dotyczy.

Crowley odchrząknął. Cieszył się, że niezręczny moment już minął.

- Berrigan potrafi wszakże zawyrokować, czy nadasz się na minstrela. Twoja opinia, Berrigan?

Berrigan przechylił głowę. Zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

- Jest całkiem dobry. Głos miły, niezłe gra. Umiejętności starczy mu z pewnością na potrzeby dalekich odludzi i na występy w wiejskich gospodach. Nie ryzykowałbym natomiast popisów przed dworską publicznością królewskiego Zamku Araluen. - Uśmiechnął się

porozumiewawczo do Willa, nie chcąc go peszyć. Młody zwiadowca zrewanżował się uśmiechem. Zadowalała go ocena. Lecz Berrigan wciąż jeszcze nie skończył.

- Jedno, co go zdradza, to brak przygotowania. Zawsze widoczny u amatorów.

Crowley zmarszczył brew.

- Że niby co? Mówisz przecież, że dostatecznie dobrze gra i śpiewa. Jakiego jeszcze przygotowania mu potrzeba?

Berrigan nie odpowiedział wprost, natomiast zwrócił się do Willa.

- Zagraj coś jeszcze, Willu. Sam wybierz melodię. Byle prędko - zaproponował.

Will uniósł mandolę i...

I znowu pustka. Berrigan zamachał obiema rękoma.

- Właśnie tu cię mam - powiedział. - Amatorowi zawsze odbiera głos, gdy słuchacze proszą o bis. - Odwrócił się do Willa. - Znasz „Jenny z Doliny”, „Przy kołowrotku”, „Młyn w Cobbington” albo „Nad strumieniami południa”?

Pospiesznie, jeden za drugim, rzucał tytuły piosenek. Will ponuro potakiwał przy każdym. Berrigan uśmiechnął się, wzruszył ramionami.

- Każda z nich się nada - powiedział. - Sztuka nie na tym polega, żeby je znać. Sztuką jest stale pamiętać, że się je zna. Ale nad tym możemy popracować.

Will spojrzał na Halta. Dawny nauczyciel wskazał na rybałta.

- Berrigan wyrusza z tobą. Będzie ci towarzyszył przez jakiś czas. Odbędziesz szkolenie w drodze - wyjaśnił.

Will uśmiechnął się do wysokiego minstrela. Zaczynał coraz bardziej oswajać się z pomysłem. Już nie czuł się tak, jakby ciśnięto go na głęboką wodę i kazano uczyć się pływać bez żadnego przygotowania.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, byście zaczęli od razu. - Crowley ponownie napełnił swój kubek aromatycznym napojem. Oparł się wygodnie o zwałony pień. - Z przyjemnością posłuchamy was obu.

Berrigan spojrzał na Willa pytająco.

- „Lasy dalekich krain” - odpowiedział Will bez wahania.

Berrigan przytaknął. Uśmiechnął się.

- Prędko się uczy - odezwał się do Halta, który przyznał mu rację ledwie widocznym skłonieniem głowy.

Obaj zaczęli grać wstęp do uroczej starej pieśni, sławiącej czar powrotu do domu. Nagle Berrigan przerwał. Zmarszczył czoło, popatrzył na mandolę Willa.

- Struna A troszkę ci nie stroi - oznajmił.

- Wiedziałem - Halt poinformował Crowleya wszystkowiedzącym tonem.

Rozdział 13

Następnego ranka Will przekształcił się ze zwiadowcy w minstrela. Cętkowaną brązowo-szaro-zieloną pelerynę zamieniono mu na opończę, która bardziej przystawała do jego nowego, artystycznego wcielenia. Ucieszył się, że Halt z Crowleyem nie upierają się przy wyborze kolorów. Od razu zrezygnowali z wszelkich wściekłych pstrokacizn, wybierając prosty, czarno-biały wzór. Will zarzucił na ramiona okrycie z obszernym kapturem. Doszedł do wniosku, że prezentuje się ono znajomo. Bo nieregularny czarno-biały deseń, w jaki utkano materiał, spełniał tę rolę, co cętki na pelerynie zwiadowcy. Miał zniekształcać sylwetkę, sprawiać, że jej zarys tracił wyrazistość. Poza tym jakby zacierał kontury.

Obserwator, chcący coś wypatrzeć, miałby utrudnione zadanie. Halt złowił ukryte w spojrzeniu wychowanka pytanie. Od razu przytaknął, potwierdzając domysł.

- Naturalnie, to opończa kamuflująca - powiedział.

- Może nie do końca tak znakomita, jak peleryna zwiadowcy, ale tam, dokąd się udajesz, barwy opończy lepiej się sprawdzą.

Will w lot pojął, o co chodzi. Lenno Norgate zimą otuli przecież gruba warstwa śniegu. Pozbawi krajobraz kolorów. Przyjrzał się uważniej. Dostrzegł, że czarne cętki na opończy wcale nie są tak naprawdę czarne, wpadają bowiem w ciemny odcień szarości. Jeśli ktoś posiadał umiejętność kamuflażu, bez większego trudu rozplynie się w zimowym wiejskim krajobrazie. Oczywiście, w zamkniętych pomieszczeniach opończa wyda się ledwie teatralnym kostiumem, z kontrastowymi kolorami wzorów pacniętych tu i tam na chybił trafił.

- Bardzo sprytnie - oznajmił, uśmiechając się do Halta i Crowleya.

Starsi zwiadowcy przytaknęli. Następnie Crowley wręczył mu kamizelę, uszytą z delikatnej, szarej skóry.

- Nie wolno ci nosić przy sobie podwójnej pochwy - oznajmił, wskazując głową wybrzuszenie futerału chroniącego oba noże Willa. - Powstałoby pole do rozmaitych spekulacji. Tylko zwiadowcy używają takiego sprzętu.

- Och - Will zaniepokoił się nie na żarty. Jak się bronić, skoro w zasięgu ręki zabraknie dużej saksy, a także mniejszego noża, służącego do rzucania.

Crowley prędko go uspokoił.

- Sakse wolno ci zatrzymać bez najmniejszych problemów - stwierdził. - Mnóstwo ludzi nosi takie noże. A bezrękawnik ma wszytą wewnątrz pochwę na twój nóż.

Zademonstrował ukrytą skórzaną kieszeń, zakonspirowaną w podszewce kamizeli, pod kołnierzem. Will wyciągnął nóż bojowy i na próbę wsunął ostrze do pochwy. Pasował idealnie. Za chwilę wszelako Halt znowu zburzył dobry nastrój młodego zwiadowcy.

- Obawiam się, że długi łuk musi jednak zostać tutaj. Rybąłci po prostu takich nie noszą - stwierdził. Wziął od Willa masywny sprzęt i odłożył na bok. W zamian podał wychowankowi mały łuczek myśliwski, broń strzelecką o niewielkiej donośności, oraz kołczan pełen strzał. Will krytycznym okiem przyjrzał się niezbyt imponującemu łączysku. Naciągnął łuczek z wielką łatwością. Wątpił, by siła naciągu przekraczała choćby dwadzieścia kilogramów.

- Równie dobrze mogę nie brać nic - zasmucił się. - Mój cień rzucany w południe sięgnąłby dalej niż strzała wystrzelona z tego czegoś. Zresztą - dodał, baczniej przyjrzaawszy się strzałom - są one o wiele za ciężkie do takiej broni.

Obrót sprawy stanowczo mu się nie podobał. Łuk uważał za swój główny oręż od chwili gdy, przed wielu laty, rozpoczął termin u Halta. Will uważał, że bez masywnej broni staje się nagi i bezbronny.

Halt z Crowleyem wymienili dyskretne uśmieški.

- Łuczek nie służy w gruncie rzeczy do strzelania - wyjaśnił Crowley. - Stanowi pretekst, dzięki któremu nikt się nie zdziwi, że nosisz w kołczanie strzały. Podejdz tutaj - rzekł, dając Willowi znak, by ruszał za nim.

Na polance, gdzie konie skubały trawę, wskazał Willowi juki.

- Nowe - powiedział z nutką wyczekiwania z głósie.

Will zmarszczył brew.

- Dotychczasowe uważam za całkiem dobre - odparł chłopak, nie pojmując, dokąd to wszystko zmierza. Przyjrzał się nowym jukom. Wyglądały na zupełnie zwyczajne, jeśli nie liczyć nietypowego łęku. Przy starych jukach Willa były dwa wystające drewniane drążki, przytwierdzone w kształcie litery V, do których dawało się przywiązywać przedmioty wożone przy siodle. Przy nowych do tego samego celu służyły dwa wygięte kawałki płaskiej metalowej listwy. Zaginały się ku sobie, a następnie odchylały na zewnątrz. Will przyznał, że ozdoba prezentuje się efektownie, ale nie doszukiwał się w takich drążkach większej użyteczności niż w starych.

- Jesteśmy z nich bardzo dumni - stwierdził Crowley.

Sięgnął w dół, chwycił za jedną z płaskich listew i wysunął ją z obrysu siodła. Teraz

dopiero Will dostrzegł, że listwę przytwierdzała ciasno dopasowana osłona, będąca częścią kulbaki. Metalowa listwa, którą mógł już lepiej widzieć, miała nieco ponad pół metra długości. Wygięto ją w kształt spłaszczonej litery „S”, dolne zakrzywienie stanowiło dwukrotność długości zakrzywienia górnego. Przy dolnym końcu wyłobiono w metalu rowek. Tak jak w przypadku opończy, coś wydawało się znajome. Crowley uśmiechnął się do Willa, po czym złapał za uchwyt w tylnej części siodła. Przekręcił go do tyłu, on również oddzielił się od kulbaki. Okazało się, że chodzi co prawda o zwykłe drewno owinięte skórą, lecz zaopatrzone dodatkowo w dwie przykręcane gałki, po jednej na każdym końcu.

Gdy zafascynowany Will przyglądał się manipulacjom Crowleya, dowódca Korpusu wsuwał część metalowego ramienia z rowkiem w wąski otwór wywiercony w uchwycie. Potem, nagłym ruchem, dokręcił jedną z gałek, żeby mocno przytrzymała metalowe ramię. Will zdał sobie sprawę, że widzi łeb wielkiej śruby.

- Mój Boże - szepnął Will, gdy wszystkie elementy układanki złożyły się w całość. Już rozumiał, dlaczego płaski kawałek metalu wydawał mu się znajomy. Na samym początku, kiedy dołączył do Halta, był jeszcze za mały, żeby posługiwać się długim łukiem normalnych rozmiarów, więc starszy zwiadowca ofiarował mu łuk refleksyjny, w którym każde z ramion miało kształt litery „S”. Podwójne wygięcie potęgowało siłę łuku oraz lepiej rozpędzało strzałę przy słabszym naciągu cięciwy. Gdy teraz Crowley błyskawicznie osadził drugie metalowe ramię, Will pojął, że patrzy na łuk refleksyjny - który można złożyć z trzech elementów.

- Zbrojmistrze wykonali go specjalnie dla nas - wyjaśnił cicho Halt.

- Na nasze polecenie pracowali od jakiegoś czasu nad koncepcją takiej broni. Metalowe ramiona są niesamowite. Będziesz dysponował siłą naciągu prawie trzydziestu kilogramów. Choć to nadal nie tyle, co przy długim łuku, ale i tak całkiem przyzwoicie.

Crowley wręczył broń Willowi. Młodzieniec obrócił łuk w dłoniach, oswajając się z jego ciężarem oraz wyważeniem. Rzemieślnicy, którzy wykonywali saksy - noże dla Korpusu Zwiadowców - słynęli ze swego kunsztu.

Nie jeden miecz stępił się i wyszczerbił na ostrej klindze saksy, nie pozostawiając na niej żadnego śladu. Biegłość w obróbce metalu wykorzystano teraz najwyraźniej do stworzenia tego oto giętkiego łuku. Crowley podał Willowi gruby pleciony sznur. Dał znak ręką, by chłopak nałożył cięciwę.

Will zamocował cięciwę przy dolnym zakończeniu łączyska, osadzając ją w wycięciu. Następnie ustawił prawą stopę między łączyskiem a cięciwą. Opierając wygięcie na kostce drugiej stopy, prostował łuk i osadzał cięciwę. Stęknął, zaskoczony, ile trzeba włożyć

wysiłku, by osiągnąć efekt. Naciągnął łuk na próbę i z zadowoleniem pokiwał głową do Halta.

- To mi się podoba znacznie bardziej - stwierdził.

Halt wręczył mu strzałę z kołczana.

- Wypróbuj - polecił, wskazując jaśniejszą plamę na korze drzewa rosnącego jakieś czterdzieści metrów dalej.

Will osadził strzałę, spróbował naciągnąć cięciwę raz czy dwa, a potem, ze wzrokiem utkwionym w cel, uniósł łuk, naciągnął, wystrzelił, wszystko jednym płynnym ruchem.

Strzała z trzaskiem utkwiała w pniu, prawie dziesięć centymetrów powyżej miejsca, w które celował Will. Kiepski strzał, zważywszy klasę łucznika. Jednak Halt tylko machnął ręką, jakby nic się nie stało.

- Nie dziw się. Strzała leci z początku bardziej płasko niż wystrzelona z twojego długiego łuku, dopiero później zaczyna tracić moc. Po czterdziestu czy pięćdziesięciu metrach lotu obniży pułap. Dlatego na krótkim dystansie trafiłeś troszkę za wysoko.

Zadumany Will pokiwał głową. Strzała wbiła się w drzewo z całkiem znaczną siłą.

- Sprawdza się też na dystansie stumetrowym? - zapytał, a jego dawny nauczyciel skinął głową.

- Trafnie wycelujesz, mierząc nieco dalej. Długiemu łukowi ten, co prawda, nie dorównuje, lecz przynajmniej nie będziesz zupełnie pozbawiony broni. Zachowasz, oczywiście, również swoje hantle.

Will skinął głową. Hantle posiadał każdy zwiadowca. Były kolejnym elementem bojowego wyposażenia. Starannie wyważone cylindry z mosiądzu pasowały do dłoni zaciśniętej w pięść. Po obu stronach pięści wystawały zaokrąglone gałki. Cios w szczękę albo w podstawę czaszki zadany przy użyciu hantli gwarantował powalenie nawet najsilniejszego przeciwnika. Oprócz tego hantle odpowiednio wyważono, przystosowując je do miotania. W rękach kogoś wyszkolonego w celnym rzucaniu nożem - czyli każdego zwiadowcy - hantle potrafiły ogłuszyć przeciwnika znajdującego się w odległości do sześciu metrów.

- Bardzo dobrze. - Crowley po kupiecku zacierał ręce. - To wszystko, co dla ciebie mamy. Jeszcze jedno: kiedy już znajdziesz się w Zamku Macindaw, podeślemy agenta, który się z tobą skontaktuje. Na wypadek gdybyś miał jakieś wiadomości do przekazania.

Will podniósł wzrok, słysząc tę wiadomość.

- Kto się zjawi? - zapytał.

Komendant zwiadowców wzruszył ramionami.

- Tego jeszcze nie postanowiono. Ale postaramy się, żeby to był ktoś, kogo

rozpoznasz.

Halt położył dłoń na ramieniu swego ucznia.

- Oczywiście, jeżeli będziesz potrzebował pomocy, gdy się tam znajdziesz, zawsze możesz się skontaktować z Meralonem. Jednak czyń to tylko w nagłym wypadku. Niedobrze, by widywano was razem. To szalenie ważne, żebyś utrzymywał prawdziwą tożsamość w sekrecie. W rzeczy samej, Meralon otrzyma stosowne rozkazy. Musi trzymać się od ciebie z daleka. Jeżeli będzie często widziany w okolicy, gdzie ty się zaczniesz pojawiać, ludzie mogą ogłuchnąć i zaniemówić, a wtedy niczego się nie dowiesz.

Will skinął głową.

- Rozumiem. - Pojął, że czeka go samotnicza misja. Lecz dla zwiadowcy taka sytuacja to chleb powszedni. Zwiadowcy przeważnie działali w pojedynkę.

Crowley spojrział na słońce, którego pozycja wskazywała, że niedawno minęło południe.

- Zjedźmy coś - zaproponował. - Później ty i Berrigan możecie ruszać w drogę. Jeżeli pojedziecie prędko, dotrzecie do Marrowdale przed zachodem słońca.

Rozdział 14

Bywalcy szynku i oberży „Pod Pękniętym Dzbanem” podnieśli wzrok, kiedy drzwi się otworzyły, lodowaty podmuch wtargnął do zadymionego pomieszczenia, niosąc ze sobą tuman śniegu.

- Zamykaj - warknął barczysty woźnica przy kontuarze. Nawet nie zadał sobie trudu, by się odwrócić i spojrzeć, kto wszedł. Jednak inni tak właśnie zrobili. Ludzie z zaciekawieniem gapili się na nieznanego. Podróżnych zjawiało się tutaj niewielu, zwłaszcza kiedy zima opasywała lenno Norgate lodowatym uściskiem. Pola i drogi przykrywał głęboki śnieg, a nieustający chłodny wiatr nie pozwalał ustąpić tęgim mrozom.

Drzwi trzasnęły, powstrzymując lodowaty podmuch. Płomyki świec oraz ogień w kominku uspokoiły się po chwili szaleńczego tańca, w jaki wprawił je wiatr. Przybysz zsunął kaptur opończy w czarno-białe wzory, strząsnął z ramion grubą warstwę śniegu. Jakiś młodzik - pomyśleli zapewne siedzący w szynku mężczyźni. Meszek na twarzy wskazywał, że ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Wzrostu nieco niższego niż przeciętny, drobnej budowy. Czarno-biały owczarek cicho wślizgnął się tuż za nim. Łypał co chwila na swego pana. Czekał na polecenia. Młodzieniec wskazał ręką wolny stół, ustawiony niedaleko wejścia, pies poczłapał tam posłusznie. Przy stole zwierzę wyciągnęło przednie łapy i zaległo całkiem płasko na brzuchu. Jednak psie spojrzenie czujnie przesuwano się po izbie, jakby na przekór rozleniwionej pozie. Młody nieznajomy zdjął opończy, rozłożył ją na oparciu ławy, żeby wyschła w bijącym od ognia ciepłe. Kilka płatków śniegu, wciąż jeszcze uczeponych materiału, prędko zmieniło się w wodę, a potem wyparowało.

Kolejny pomruk zainteresowania wywołało to, co młodzik dobył spod opończy. Był to bowiem futerał z twardej skóry, kryjący instrument. Zimową porą na dalekiej północy tylko od wielkiego dzwonu trafiał się w ogóle jakiś podróżny, tym więc rzadziej znajdowano sposobność, by się nieco rozerwać. Bywalcy oberży zorientowali się w mig, iż wieczór zapowiada się znacznie lepiej, niż przypuszczali. Nawet gburowata twarz woźnicy pojaśniała.

- Muzyk z ciebie, he? - spytał z nadzieją, a Will skinął głową, uśmiechając się w odpowiedzi.

- Uczciwy minstrel, przyjacielu, przemierzający waszą piękną krainę w ten piekielny ziąb. - Posłużył się luźną, żartobliwą ripostą w stylu tych, jakich uczył go Berrigan podczas

dwóch tygodni wspólnej podróży. A zatrzymywali się po drodze w ponad tuzinie karczm i oberży takich jak ta.

Niektórzy z bywalców przysunęli się bliżej.

- A więc posłuchajmy jakiejś melodii - zaproponował woźnica. Rozległ się ogólny pomruk aprobaty.

Will uniósł dłonie do ust, ogrzał je chuchaniem, po czym rzucił wesoło:

- Mroźny wieczór na dworze, przyjacielu. Ręce omal mi nie skostniały.

- Możesz je rozgrzać tym - odezwał się kolejny głos.

Will spostrzegł oberżystę. Właściciel szynku osobiście pofatygował się z za kontuaru, żeby postawić przed nim kielich grzanego wina. Will ujął gorące naczynie i z wdzięcznością pokiwał głową. Wciągnął w nozdrza aromatyczną, pachnącą przyprawami mgiełkę, unoszącą się nad kielichem.

- Tak. To na pewno przemoże ziąb - uznał.

Oberżysta mrugnął do niego.

- Na mój koszt, ma się rozumieć - stwierdził.

Will skinął potakująco. Zwyczajowa powinność oberżysty, nic więcej.

Obecność minstrela z pewnością przyniesie gospodzie doskonałe obroty. Bywalcy zostaną dłużej, więcej wypiją. Will wziął porządny łyk, westchnął z rozkoszą, po czym poluzował pasy spinające futerał mandoli. Drewniane pudło instrumentu było zimne. Will poświęcił kilka minut, by przywrócić dźwiękowi mandoli głębię. Raptowna zmiana ciepłoty otoczenia beznadziejnie rozstroiła struny.

Wreszcie uznał, że instrument jest gotów. Zagrał próbny akord, dokonał jeszcze jednej drobnej poprawki, po czym rozejrzał się po izbie, z uśmiechem przyklepionym do twarzy. Napotykał pełne wyczekiwania spojrzenia bywalców.

- Może zagram kilka melodii przed kolacją - rzucił w powietrze. Po czym dodał: - Bo domyślałam się, że będzie kolacja?

- Tak, w rzeczy samej, przyjacielu - przytaknął prędko oberżysta. - Wyborna potrawka z jagnięciny, przyrządzona przez moją żonę, do tego świeży chleb i gotowane ziemniaki z pieprzem. I oczywiście więcej wina.

Will skinął głową. Umowa została zawarta.

- A zatem kilka pieśni, potem moja kolacja, a później znacznie więcej muzyki. Jak wam się widzi mój plan? - spytał. Z głębi szynku dobiegł chór aprobaty. Zanim głosy ścichły, Will już grał skoczne wprowadzenie do „Słonecznej panny”.

*Słoneczna panno,
Twe włosy są barwy słońca,
Ze szczęścia masz suknię utkaną,
Szedłbym za tobą bez końca,
Moja słoneczna panno.*

Wzniósł głowę, kiwnął na zachętę, więc ludzie przyłączyli się do refrenu lubianej ludowej piosnki miłosnej, wystukując kuflami o stoły rytm i wyśpiewując ochryple:

*Rozsiewasz światło wokół,
Słoneczna panno,
Czy nie jest tak?
Kocham cię, la la la la la.
Rozsiewasz miłość wokół,
Słoneczna panno,
To dzięki tobie słońce
Świeci tak wesoło.*

Kiedy przeszedł do drugiej zwrotki, ludzie umilkli, pozostawiając śpiewanie rybałtowi. Aż znowu rozległ się refren i głosy z sali ponownie dołączyły. Wspólnie wykonywali żywą, skoczną piosenkę. Doskonałą na początek, jak wcześniej wyłuszczył Berrigan.

„To nie będzie najlepsza pieśń w twoim repertuarze”, tłumaczył. „Lecz płynie wartko, jest wesoła, dobrze znana. Nadaje się świetnie na przełamanie pierwszych lodów. Pamiętaj, nigdy nie wykonuj na samym początku tego, co w twoim repertuarze najlepsze. Deser pozostaw na ukoronowanie występu”.

Will doszedł do ostatniego refrenu, zebrani znowu się przyłączyli. Czuł, jak wzbiera w nim ciepła fala dumy, kiedy wybrzmiewał ostatni akord, a bywalcy oberży głośno chwalili muzykanta. Wolał na wszelki wypadek od razu przypomnieć sam sobie, i to nie po raz pierwszy, że tylko gra rolę prawdziwego minstrela. Nie chodziło mu przecież w istocie o poklask, choć to miłe, że doceniano jego talent. Tylko że chwilami, jak dzisiaj wieczorem, naprawdę z trudem zachowywał trzeźwość umysłu.

Will wykonał dla gości szynku jeszcze cztery utwory - „Dożynkową niedzielę”, „Jessie z gór”, „Pamiętaj tę chwilę” oraz „Uciekającą klaczkę”, porywającą piosenkę w galopującym

rytmie, który wystukiwano w całym szynku, bijąc pięściami o stoły i głośno tupiąc. Kiedy Will zakończył, zerknął na sukę. Leżała, nie spuszczać z niego oczu. Wyszeptał do niej: „Smoki”.

W mgnieniu oka poderwała się, odrzuciła łeb do tyłu, zaszczekała. Szczekała długo, donośnie. Dokładnie tak, jak ją wcześniej wyuczył przez tygodnie wspólnej wędrówki. „Smoki” to było ich hasło, sygnał, żeby szczekała, aż do chwili, kiedy Will rozkaże jej przestać. Tak jak teraz.

- Co jest, Harley? - spytał. Nie miała na imię Harley. Wciąż jeszcze nie zdecydował, jak się będzie wabiła. Harley oznaczało nie psie imię, lecz kolejne hasło. W ten sposób informował, że dobrze się spisała i może przestać. Umilkła od razu; tylko ogon dwa razy trzepnął o drewnianą podłogę na znak, że zrozumiała, iż dobrze wykonuje swe psie zadanie. Will łypnął po sali, przepaszającym gestem wznosił ręce, uśmiechnął się do gapiów, którzy wyczekiwali dalszych popisów.

- Wybaczcie, przyjaciele. Oto mój zwierzchnik powiada, że pora, abym coś przekąsił. Mamy za sobą długi dzień spędzony na mrozie, a jej należy się dziesiąta część moich zarobków... i mojego obiadu.

Oberża zatrzęsała się od rechotu. Wieśniacy potrafili rozpoznać dobrze wytresowanego psa. Docenili też uprzejmy sposób, w jaki Will przypomniał oberżystce, że należy mu się posiłek.

Nie czekali długo. Jedna z dziewcząt służebnych pospieszyła do stołu minstrela z talerzem parującej jagnięcej potrawy. Od razu też postawiła miskę z kawałkami mięsa, kości oraz tłustym sosem dla owczarka. Will podziękował uśmiechem, skinął głową mężczyźnie za kontuarem. Oberżysta, na nowo zajęty napełnianiem kufli, bo ludziom od śpiewania zaschło w gardle, rozpromienił się.

- Pewnie trzeba się zająć twoimi końmi, młodzieńcze? - zawołał.

Will natychmiast, wciąż z ustami pełnymi potrawy, wyjaśnił:

- Pozwoliłem sobie wprowadzić konie do twojej stodoły, oberżysto. Za mroźna noc, żeby stały na dworze. - Oberżysta przytaknął. Will ponownie sięgnął do talerza. Jagnięca potrawka smakowała wybornie.

Woźnica, który początkowo wydawał się w gorącej wodzie kąpany, podszedł teraz do stołu, przy którym jadł Will. Zwiadowca zauważył z ciekawością, że mężczyzna nie próbuje się dosiadać i zakłócać mu spokoju. Przekonał się już, że w oberżach takich jak ta bywalcy okazywali rybałtom pewien szacunek. Barczysty woźnica postawił przed Willem pełen kielich grzanego wina.

- Dobra muzyka, chłopcze - powiedział. - To dla ciebie.

Will, wciąż z pełnymi ustami, skinął w podzięcie. Kilku innych gości zbliżyło się także, każdy wrzucał po parę monet do otwartego futerału mandoli leżącego na stole. Will zauważył, iż pośród miedziaków znalazło się nawet kilka srebrnych monet. Raz jeszcze poczuł przyływy satysfakcji.

- Zręcznie grasz na tej swojej lutni, młodzieńcze - pochwalił któryś.

- To mandola - Will odparł odruchowo. - Ma osiem strun, podczas gdy lutnia... - Ugryzł się w język. - Dziękuję - powiedział, słysząc wokół śmiech.

Kiedy skończył jeść, ukradkiem dał znak suce. Znow zaczęła czekać.

- Harley? Co tam gadasz? - spytał. Pies od razu się uciszył. - Pora, żebym zabawił tych dobrych ludzi? - Rozejrzał się po uśmiechniętych twarzach, wzruszył ramionami, sam się do nich uśmiechnął. - Surowy z niej pryncypał - oznajmił, sięgając po mandolę.

Grał jeszcze przez godzinę. Pieśni o miłości, skoczne piosenki, niemądre przyśpiewki, a także ulubione „Zielone oczy miłości”. Była to przejmująca, smętna ballada. Will wykonał ją całkiem dobrze, chociaż, ku własnej irytacji, przy instrumentalnym fragmencie odrobinę zdrząły mu palce na środkowych progach. Kiedy skończył, miał okazję zaobserwować, że ten i ów chyłkiem ociera oczy. Znowu poczuł satysfakcję, znaną tylko tym artystom, którzy potrafią zmiękczyć serca publiczności. Kiedy grał, monety bezustannie lądowały w futerale mandoli. Z pewnym zdumieniem zdał sobie sprawę, że nie będzie musiał sięgać po pieniądze, w które Crowley wyposażył go na podróż. Mógł z powodzeniem sam zarobić na swoje wydatki.

Oberżysta powierzył szynk jednej z dziewcząt służebnych i podszedł, by usiąść obok Willa. Rzucił okiem na gzyms kominka. Ustawiony tam zegar wodny, kropla za kroplą, odmierzał czas.

- Może jeszcze jedną - zaproponował. Will przytaknął ochoczo.

Teraz dopiero przyszło prawdziwe napięcie. Oto bowiem zbliżał się ów moment, na który szykował się przez cały wieczór. Pojawiła się wreszcie sposobność, żeby wyciągnąć z miejscowych coś na temat dziwnych wydarzeń, jakie zachodzą w lennie Norgate. Następna korzyść, wynikająca z przebrania minstrela. Jak zapewniał go Berrigan: „Wieśniacy są podejrzliwi w stosunku do nieznanym. Ale pośpiewaj dla nich przez godzinę czy dwie, a pomyślą, że znają cię całe życie”.

Zagrał więc serię molowych akordów i zaczął śpiewać dobrze znaną, choć głupią piosenkę:

*Z samego rana raz wiedźma pijana
Głosem zgrzytliwym wielce
Zaśpiewała jak wrona, by wszystkich przekonać
Że zezowaty mag skradł jej serce.*

Od razu, gdy tylko zaczął śpiewać, wyczuł zmianę nastroju. Ludzie w oberży wymieniali między sobą lękliwe spojrzenia. Spuszczali kolejno wzrok, a kilku nawet odsunęło się od minstrela.

Will zaczął refren:

*A zezowaty mag zwał się Pampucho,
Cuchnął jak kozioł i miał wielkie brzucho,
A nochal jak...*

Urwał, nie skończył. Udawał, że dopiero teraz zauważa, niepokój, ogarniający słuchaczy.

- Wybaczcie - powiedział, szczerząc się do zebranych. - Coś się stało?

Ludzie znowu wymienili spojrzenia. Ci, którzy jeszcze przed chwilą śmiali się w głos i oklaskiwali Willa, teraz ani myśleli spojrzeć mu w oczy. Barczysty woźnica, wyraźnie zatroskany, odezwał się przepaszajaco:

- Nie miejsce to ani pora, żeby stroić sobie żarty z czarnoksiężników, chłopcze.

- Tyle że ty, oczywiście, nic nie mogłeś wiedzieć - wtrącił właściciel oberży. Natychmiast rozległ się chór potakiwań. Will wyszczerzył się jeszcze szerzej, starając się przybrać możliwie najbardziej naiwny wyraz twarzy.

- Nie mogłem wiedzieć? A o czym? - spytał.

Nastała chwila milczenia. Potem woźnica wziął byka za rogi.

- Dziwne rzeczy wyprawiały się ostatnio w naszym lennie, ot co. Nadeszły niespokojne dni.

- I noce też - wtrąciła jakaś niewiasta. Chór potakiwań znów się wzmógł. Ukryty pod maską, cały czas starający się zachować niewinną minę kogoś po prostu ciekawskiego, Will zdumiewał się trafnością osądu Berrigana.

- Chcecie mi wmówić, że... to ma coś wspólnego z czarnoksiężnikami? - zapytał przytłumionym głosem. W oberży zapanowała cisza. Strwożeni ludzie oglądali się przez

ramię, zerkali w kierunku drzwi, jak gdyby spodziewając się w każdej chwili ujrzeć czarnoksiężnika. Odpowiedział oberżysta:

- Nie nam sądzić, co to takiego. Ale dziwne rzeczy się dzieją. Dziwne wizje.

- Zwłaszcza w Lesie Grimsdell - dopowiedział wysoki rolnik. Pozostali znów przytaknęli. - Dziwne wizje, odgłosy nie z tej ziemi, mówię wam. Mrozą krew w żyłach. Raz je słyszałem i wystarczy.

Kiedy wreszcie początkowa niechęć została przełamana, ludzie zapragnęli pomówić na temat niepokojących zdarzeń. Jak gdyby odczuwali fascynację, którą chcieli się podzielić.

- A cóż takiego tam widujecie? - zapytał Will.

- Światła, przede wszystkim światła. Małe, kolorowe kulki błyszczące między drzewami. I ciemne kształty. Kształty, co to migają tak, że tylko kątem oka je dostrzeżesz.

Polano w kominku osunęło się do ognia. Will poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Pomyślał, że zaczyna ulegać wpływowi bajęd o odgłosach i kształtach. Dwieście kilometrów stąd, na południu, umiał o dziwach Norgate żartować sobie z Haltem oraz Crowleyem. Ale tutaj, w ciemną noc, kiedy samotnie przebywał pośrodku mroźnej, przysypanej śniegiem krainy Północy, wśród tych ludzi, wszystko zdawało się bardzo prawdziwe i bardzo wiarygodne.

- No, jeszcze Nocny Wojownik - rzucił woźnica. Tym razem w izbie zapanowała cisza jak makiem zasiał. Kilkoro ludzi uczyniło znak odpędzający złe moce. Woźnica spojrzął po gościach, cały czerwony na twarzy.

- Och, uwierzcie, ja go widziałem, a juści. Tylko przez moment, fakt. Ale on tam był.

- A właściwie, kto on taki? - dopytywał się Will.

- Właściwie? Nikt tego nie wie. Lecz ja go widziałem. Olbrzymi. Wojownik w zbroi, wysoki na dwie chaty. I można patrzeć przez niego. Coś jakby przezroczysty. Jest, za chwilę znika, zanim się zastanowisz, czyś go naprawdę widział. Ale ja wiem. Widziałem go, a juści.

- Spojrzenie woźnicy ponownie omiotło izbę, rzucając wyzwanie. Niech mu ktoś zarzuci, że się pomylił.

- Wystarczy na dziś gadaniny, Barney - mruknął oberżysta. - Ludzie mają kawał do domów, w dodatku po nocy. Lepiej w ogóle nie rozprawiać o takich rzeczach.

Zgodny pomruk usławił Willowi, że tego wieczora już nie powinien oczekiwać dalszych pogaduszek. Zadzźwięczały struny mandoli.

- Cóż, racja, nie czas teraz, żeby śpiewać o czarnoksiężnikach. Może więc zakończmy wieczór piosnką o pijanym królu i smoku, co się potykał o własne łapy?

Suka, w lot chwytając wskazówkę, znowu się rozszczękała. Ponury nastrój ulotnił się

w jednej chwili.

- No, co tam, Harley? Zgadzasz się? Dobra, zaczynamy. - I Will od razu zaśpiewał:

*Och, w Angledart żył król pijaczyna,
co pierdnięciem knoty świecom ucinał,
Lecz jego stawa się rozpoczyna
od dnia, gdy usiekł Smoka-Kulasa...
Och, Smok się na krzywych łapach przewalał,
zataczał się tak, że drzewa obalał,
gdy kichał, to kuper sobie przypalał
płomieniem smoczego dechu!*

Rechot na nowo rozbrzmiewał w całej izbie. Mroczna atmosfera została odegnana. Will snuł opowieść o smoku potykającym się o własne łapy i o królu cierpiącym na poważne problemy z trawieniem. Muzyce wtórował entuzjastyczny psi szczek za każdym razem, kiedy rozlegało się słowo „smok”, co jeszcze bardziej wszystkich bawiło.

Willowi przyszło na myśl, że ta piosenka przenigdy nie nadałaby się dla potrzeb Zamku Araluen. Ale na pewno spełnia swoje zadanie tutaj, w oberży „Pod Pękniętym Dzbanem”.

Rozdział 15

Wiatr ucichł tuż przed świtem, jak gdyby spełnił wyznaczone zadanie oczyszczenia nieba z chmur i uznał, że pora przenieść się gdzie indziej. Dzień wstał zimny, jasny. Kiedy Will wyszedł z małego pokoiku, jaki zaoferował mu właściciel oberży, poranne słońce odbijało się jaskrawo od zaśnieżonego krajobrazu i wpadało przez okna do przestronnej izby gospody.

Will przywitał się z szynkarzem. Podkuchenna podała śniadanie, złożone z przypieczonego chleba oraz plastrów zimnej szynki. Lecz - jak zawsze - to kawy Will potrzebował najbardziej. Oberżysta był w przyjacielskim nastroju. Sobie również nalał do kubka kawy, siadł naprzeciw Willa, upił łyk i westchnął z zadowoleniem.

- Udał się ci wczorajszy wieczór - rzucił. W jego słowach kryło się pytanie, którego nie wypowiedział wprost.

Will przytaknął.

- Nam obu, jak sądzę - odparł. Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Oberżysta nasłuchiwał, czy Will powie coś jeszcze. W końcu, uznawszy, że minstrel jemu pozostawia kierowanie rozmową, wyciągnął rękę ponad stołem.

- A przy okazji, Cullum Gelderris, tak mnie zwał. Wczoraj się sobie nie przedstawiliśmy.

Will uściśnął mu dłoń.

- Will Barton - odrzekł. Oberżysta kilkakrotnie pokiwał głową, jak gdyby nazwisko Barton cokolwiek dlań znaczyło.

- Tak, udany wieczór - powtórzył. Will bez słowa łyknął kawy. W końcu Gelderris poruszył temat, który nie dawał mu spokoju.

- Dzisiejszy uda się jeszcze lepiej. Na koniec tygodnia zwykle ściąga do mnie spory tłumek. A okaże się jeszcze większy, jeśli się rozniesie, że w wiosce pojawił się minstrel. - Łypnął na Willa znad swojego kubka z kawą. - Zamierzasz popasać w oberży przez jeszcze jedną noc, prawda?

Will spodziewał się tego pytania. Mimo że spieszno mu było ruszać dalej, by dotrzeć do Zamku Macindaw, wiedział, że lepiej zostać przynajmniej jeszcze dobę. W wiosce dawało się niezgorzej zarobić, jak przekonał się zeszłego wieczora. Jeżeli Gelderris nie mylił się - a

trudno zakładać, iż się myli - dziś wieczorem grosz popłynie znacznie obficie. Will doskonale rozumiał, że wydałoby się mocno podejrzone, gdyby przepuścił okazję do napełnienia kieski. Właściciel oberży spodziewał się, rzecz jasna, targów.

- Właściwie ciągle nie zdecydowałem - odpowiedział Will. - Chyba ruszam dalej.

- A dokąd? - zapytał prędko Gelderris.

Will wzruszył ramionami, jak gdyby ta kwestia nie miała większego znaczenia.

- W końcu i tak trafię do Zamku Macindaw. Słyszałem, że lord Syron serdecznie podejmuje rybałtów. Ludziom zazwyczaj brakuje rozrywek, kiedy nadchodzą śniegi - dodał.

Jednak Gelderris zaprzeczył ruchem głowy.

- Ze strony Syrona nie czeka cię serdeczne przyjęcie - westchnął. - Nie odezwał się ani słowem od dwóch miesięcy. Albo i dłużej.

Will lekko zmarszczył czoło. Zdawał się nie pojmować.

- A co, mnichem został i złożył śluby milczenia? - Will uśmiechnął się szeroko, żeby Gelderris na pewno pojął, że żartuje. Jednak szynkarz nie zrewanżował się uśmiechem.

- Mało w tym religii - odrzekł pośpiesznie. - Wręcz przeciwnie, w rzeczy samej.

- Nie masz chyba na myśli czarnej magii? - rzucił Will niby od niechcienia, używając terminu, jakim miejscowi ludzie określali czarnoksiężstwo. Tym razem Gelderris pospiesznie rozejrzał się dokoła, zanim odpowiedział.

- Tak powiadają - wyjaśnił przyciszonym głosem. - Powaliło go, a jakże. W jednej chwili, choć człek zdrów był jak ryba. W następnej już leżał bliski śmierci. Teraz ledwie dycha, oczy ma szeroko otwarte, ale nic nie widzi, nic nie słyszy i nic nie mówi.

- A uzdrowiciele, co oni gadają? - zapytał Will.

Gelderris parsknął pogardliwie.

- Co oni tam wiedzą? Nie potrafią wytłumaczyć jego stanu. Ani nie potrafią nic wskórać, żeby mu się poprawiło. Od czasu do czasu budzi się na chwilę i coś je, jeno że nawet wtedy ledwo rozumie. A potem odpływa z powrotem w ten swój trans.

Will odstawił pusty kubek po kawie, pomyślał o kolejnym. Niechętnie odsunął od siebie pokusę. Odkąd mieszkał sam, prawie nie mógł żyć bez kawy. Pora, by powściągnąć to przyzwyczajenie.

- Niemoc Syrona nie wzięła się znikąd. Coś tam prawilo się o tym w oberży wczorajszego wieczora - mruknął. - O tajemniczym wojowniku i o całej reszcie. W tym rzecz?

I znowu Gelderris zawahał się, nim udzielił odpowiedzi. Jednak w jasnym świetle poranka rozmowa o dziwnych sprawkach wydawała się łatwiejsza.

- Na mój rozum, owszem - potwierdził. - Ludzie plotkują, że Malkallam powrócił do Lasu Grimsdell.

- Malkallam? - powtórzył Will.

- Czarodziej, od czarnej magii. Czarnoksiężnik. Jeden z najgorszych, można by rzec. Miał zwadę z przodkiem Syrona, dwieście czy trzysta lat wstecz...

- Trzysta lat wstecz? - Will powtórzył raz jeszcze, przybierając niedowierzający ton. - A w ogóle, to jak długo wedle was żyje czarnoksiężnik?

- Nie paplaj po próżnicy, skoro nic nie rozumiesz. - Gelderris uniósł palec karzącym gestem. - Nikt nie wie, jak długo zdolni są żyć czarnoksiężnicy. Myślę, że zależy to od samego czarnoksiężnika. Ale dla spraw, co się wyprawiają w Grimsdell, nie znajdziesz żadnego innego wytłumaczenia. I dla dziwnej choroby lorda Syrona również. Legenda głosi, że taka sama choroba powaliła jego przodka, kiedy walczył z Malkallamem.

- Skoro wasz Malkallam przebywa w Lesie Grimsdell, dlaczego ktoś z Macindaw nie weźmie paru żołnierzy i nie da mu do wiwatu? - zapytał Will. - Mają tam chyba człowieka, który dowodzi, skoro Syron nie daje rady?

- Nie da się tak po prostu pomaszerować do Lasu Grimsdell, Willu Bartonie. To płatanina drzew i poszycia, ze ścieżynami, które same się wiją i skręcają, z gałęziami wiszącymi nad głową, tak grubymi, że słońce widać tylko w południe. Jest tam jezioro. Wejdziesz do niego, a opadniesz na samo dno i nikt nigdy już cię nie ujrzy.

Will przez chwilę rozmyślał. Oberzysta okazał się kopalnią informacji.

- Zatem nikt nie sprawuje władzy w Macindaw? - spytał. I dodał: - Złe nowiny. Miałem nadzieję spędzić zimę w zamku. Albo przynajmniej parę tygodni.

- Och, pewnikiem znajdziesz sobie miejsce. Syn Syrona przejął ster rządów. Z niego też dziwny człek - dodał ponuro szynkarz.

Will szybko podniósł oczy.

- Dziwny, powiadasz? - zachęcił oberzystę.

Gelderris energicznie pokiwał głową.

- Są tacy, którzy szeptają, że młody pan może nawet stać za chorobą własnego ojca. Jest bardzo zamknięty w sobie. Tajemniczy. Nosi się na czarno niczym mnich, chociaż nie jest człowiekiem kościoła. Sam siebie nazywa uczonym. Ale co on takiego bada, ja się pytam?

- Sądzisz, że syn Syrona może być tym... - Will zawahał się, pozornie usiłując sobie przypomnieć imię, choć dobrze je znał. - Malkallamem? - zakończył.

Gelderris, poproszony wprost o wypowiedzenie jednoznacznego osądu, zmieszał się

nico. Pokręcił się na krześle.

- Nie mówię, że tak - odparł w końcu. - Mówię tylko, że nie byłbym bardzo zdziwiony, gdyby tak było. Krążą plotki o Ormanie. Młody pan spędza całe dnie zamknięty w komnacie w wieży, studiuje księgi i bada stare zwoje, które wpadły mu w ręce. Może i jest panem na Macindaw, ale żaden z niego przywódca, żaden wódz. Całe szczęście, że Keren tam siedzi. Ten sprawuje pieczę nad codziennymi sprawami.

Will uniósł brew, słysząc nowe imię. Gelderris nie potrzebował dalszej zachęty.

- Bratanek Syrona, kuzyn Ormana. Znakomity wojownik, trochę młodszy od Ormana, ale urodzony przywódca, lubiany przez żołnierzy. Często sobie myślę, że pewnie lord Syron wolałby mieć Kerena za syna, nie Ormana.

- Blisko od was do granicy z Pietą, zatem trzeba na zamku dobrego wojownika - Will dumiał głośno.

Oberżysta przytaknął.

- Wiadoma rzecz. Niejeden z nas cieszy się, że Keren nam się tu zdarzył. Gdyby Skottowie zwąchali, że rządzi taki słaby przywódca jak Orman, pewnie nie minąłby miesiąc, a już wszyscy nosilibyśmy kilty i jedli haggisy.

Will wstał i przeciągnął się.

- Ano, cóż, wszystko to polityka. Nic do niej takiemu szarakowi jak ja. Dopóki mogę liczyć na łożo oraz michę w zamku Ormana, a do tego zarobić parę groszy na drogę, nie narzekam. Jednak dzisiejszą noc, oczywiście, spędzę w twoim szynku.

Usłyszawszy, że Will zostaje, Cullum rozpromienił oblicze. Wskazał na dzbanek z kawą, grzejący się przy ogniu.

- Mnie pasuje. Łykniesz jeszcze kawy, póki świeża?

Plany na temat walki z kawowym nałogiem rozwiały się w jednej chwili. Will uznał, że zbieranie informacji to ciężka praca, od której zasycha w gardle. Podniósł kubek.

- Czemu by nie? - powiedział.

Rozdział 16

Następnego dnia, późnym rankiem, Will odjechał z sakiewką znacznie cięższą, niż kiedy przyjeżdżał. Oberżysta miał rację. Kiedy tylko rozeszła się wieść, że w wiosce gości minstrel, ludzie z całej okolicy nadciągnęli tłumnie. Oberża zanotowała zawrotny utarg, a Willa zatrzymano, by śpiewał nawet po północy, choć zdążył już przedtem wyczerpać cały swój repertuar. Ludzie prosili o powtarzanie piosenek, które wcześniej wykonywał. Skorzystał z jeszcze jednej sztuczki Berrigana.

Gelderris stał obok, gdy Will dopinał popręg juczej chabety.

- Udał się nam wieczór - stwierdził. - Odwiedź nas, kiedy ruszysz z powrotem na południe, Willu Bartonie.

Nie żałował, że Will wyjeżdża. Miał tyle rozsądku, żeby wiedzieć, iż prości wieśniacy nie mogą sobie pozwolić na więcej niż jeden wieczór dodatkowych wydatków w oberży.

- Tak uczynię - odpowiedział Will, z lekkością wskakując na siodło.

Wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Gelderrisa.

- Dziękuję, Cullumie. Zobaczymy się, gdy będę wracał.

Oberżysta wciągnął w nozdrza woń wilgotnego powietrza. Z niepewną miną łypnął na chmury, zbierające się na północy.

- Bacz na pogodę. Chmury niosą śnieg. Jeżeli zacznie się zadymka, szukaj schronienia wśród drzew, dopóki nie ścichnie. Człowiek aż nazbyt łatwo może zgubić drogę w zamieci.

- Ano, trzeba uważać - westchnął Will. Sam też rzucił okiem na niebo. - Postaram się dotrzeć do Macindaw, nim się rozpęta porządna śnieżycą. - Trącił Wyrwija piętą. Konik ruszył, zaś juczny podjezdek bezwiednie podążył za nim. Pies wybiegł naprzód, z pochylonym łbem i brzuchem nisko przy ziemi. Nieustannie oglądał się, by mieć pewność, iż Will jedzie za nim.

- Może dasz radę - przytaknął Gelderris, bardziej zwracając się do samego siebie niż do Willa, który już się oddalał. W głosie oberżysty nie uświadczyłbyś wcale pewności.

Will przebył ledwie trzecią część drogi, kiedy niebo zaczęło ronić ogromne, płaskie płatki śniegu. Poczul narastający chłód, a zaraz potem nastał ów szczególny, niewytłumaczalny moment, gdy temperatura podnosi się o kilka stopni, sygnalizując zbliżanie się zawiei. Bez żadnego ostrzeżenia, w jednej chwili z nieba runął śnieg. Will nasunął kaptur,

otulił się ciepłą opończą. Śnieg zagłuszał wszelkie odgłosy. Wielkie, zbijające się w bryłki płatki, nawet nie pacnęły, uderzając o ziemię. Śnieg wcale nie szeleścił, co stwarzało iluzję wszechogarniającej ciszy. Im biała warstwa na ziemi stawała się grubsza, tym bardziej tłumiała odgłosy końskich kopyt. W powietrzu dawał się teraz słyszeć wyłącznie dźwięk suchych, miążkich śniegowych kryształków, zgniatanych z chrzęstem przy każdym stąpaniu.

Zauważywszy, że z każdą chwilą końskie kopyta coraz głębiej się zapadają, Will cicho zagwizdał na psa. Wskazał mu ręką juczną chabetę. Pies zareagował od razu. Czujnie nastawił uszu, zaczekał, aż koń się z nim zrówna, po czym wskoczył na legowisko wymoszczone wśród juków. Koń, przywykły do takich manewrów, nie okazał najmniejszego przestachu ani nie zaprotestował.

Will podążał dalej. Śnieg padał gęsto, ale gdzie mu tam do prawdziwej zamieci. Will nie wątpił, że bez trudu zdoła odnaleźć drogę. Owszem, trakt zawiało, ale szlak wycięty wśród drzew odcinał się wyraźnie wśród bieli.

Od czasu do czasu warstwa śniegu, zalegającego na konarach stawała się zbyt ciężka i ześlizgiwała się na ziemię pod drzewami. Raz rozległ się trzask, gdy jakieś drzewo, osłabione surowym mrozem, ugięte pod ciężarem śniegu, wreszcie poddało się, bezradnie szukając oparcia o sąsiednie pnie. Czarno-biały łeb wysunął się z juków, łowiąc dźwięk. Owczarek nastawił uszu, począł węszyć.

- Spokój - odezwał się Will. Zachichotał, bo nawet jego własny głos dziwnie brzmiał wśród panującej wokół ciszy. Suka wydała ciche sapnięcie, z powrotem ułożyła łeb na łapach, zamknęła ślepia. Po chwili otworzyła je znowu, w zabawny psi sposób potrząsnęła łbem, zamachała uszami, strząsając z futra śnieg. Zadowolona, umościła się na nowo.

Twarz Willowi marzła, ale poza tym chłód się go właściwie nie miał. Wiatr ścichł; warstwy ciepłego odzienia chroniły wystarczająco. Dzięki mrozowi śnieg, który zbierał się na ramionach oraz kapturze, nie topniał i nie wsiąkał w materię opończy. Co jakiś czas Will strzepywał śniegowe płaty. Na myśl, że wygląda jak pies, strząsający śnieg z futra, parsknął uradowany.

Dwie godziny później przekroczył górski grzbiet. I wreszcie ujrzał Zamek Macindaw. Masywna, szpetna budowla. Mury z ciemnego kamienia, jakby poczerniałe na tle czystej bieli krajobrazu skąpanego w śniegu. Wedle zwyczaju, zamek wzniesiono na niewielkim wzgórzu. Po czterech stronach wykarczowano las, by żaden najeźdźca nie mógł podkraść się niepostrzeżony. Will uznał, że zamek może i jest brzydki, ale zaprojektowany rozsądnie. Mury solidne, wykonane z kamienia, wzniesione na co najmniej pięć metrów. Wieże w każdym z czterech narożników przydawały im jeszcze trochę wysokości. W samym środku

znajdowała się typowa, górująca nad pozostałymi wieża stołpu. Od południowej strony umieszczono bramę główną z mostem zwodzonym, przerzuconym nad suchą fosą. Fosa nie okalała zbyt szeroko bocznych murów. Will uznał, że wykopano ją tam tylko po to, by jeszcze bardziej utrudnić dostęp do głównego wejścia.

Halt oraz Crowley wytłumaczyli mu, że zazwyczaj garnizon składa się z trzydziestu zbrojnych plus pół tuzina konnych rycerzy. Will ocenił, że aż nadto ich dla ochrony twierdzy przed wszelkimi zakusami Skottów.

Zsunął kaptur z głowy, sięgnął po kapelusz z wąskim rondem, który ofiarował mu Berrigan. Kapelusz, przystrojony ufarbowanym na zielono łabędzim piórem, informował, iż nosi go minstrel, powinien zatem gwarantować swobodny wjazd na zamkowy dziedziniec. Will mocniej naciągnął kapelusz i ruszył w kierunku bramy. Uszy, pozbawione nagle ciepła, jakie zapewniał kaptur, piekły na mrozie niemiłosiernie. Zbłąkany płatek śniegu od czasu do czasu wpadał pod rondo i topniał Willowi za kołnierzem. Od zamku dzieliło go już tylko parę minut.

Rozdział 17

Kopyta Wyrwija zadudniły na masywnych deskach zwodzonego mostu, kiedy Will przejeżdżał pod podniesioną kratą. Na bruku dziedzińca głuchy dźwięk zmienił się w ostry stukot. Zaaferowani ludzie spieszyli z miejsca na miejsce lub krzatali się przy codziennych zajęciach. Ledwo ten czy ów podniósł oczy, by spojrzeć, na przybysza. Zresztą nawet nieliczni ciekawscy niemal natychmiast odwracali głowy.

Will doszedł do wniosku, że czegoś mu tutaj wyraźnie brak. Po chwili uświadomił sobie, czego. Znikąd nie dobiegał gwar charakterystyczny dla ludzkich skupisk, nie słyszało się nagłych wybuchów śmiechu ani okrzyków, którymi przyjaciele witają przyjaciół, dzieląc się z nimi żartem lub anegdotą. Mieszkańcy lenna Norgate milczeli. Chodzili ze spuszczonej głowami, pozornie obojętni na wszystko, co działo się wokół. Will z takim zachowaniem stykał się po raz pierwszy. Jako zwiadowca ściągał powszechną uwagę, okazywaną chociażby dyskretnie, ilekroć pojawił się w nowym miejscu. Również jako minstrel wzbudzał powszechne zainteresowanie.

W zapadłej dziurze, takiej jak Macindaw, spodziewał się przychylnego, wręcz serdecznego powitania. Z ciekawością rozglądał się wokół, lecz nie potrafił dostrzec nikogo, kto ośmieliłby się spojrzeć mu prosto w oczy.

Pojał, że to strach. Tutejsi ludzie żyli w pobliżu niebezpiecznej granicy. Ich pan został powalony przez tajemniczą przypadłość, a oni najwyraźniej wierzyli, że w grę wchodzi praktyki czarnoksiężskie. Trudno więc się dziwić, że nie okazywali entuzjazmu nieznanemu. Will zawahał się, nie mając pewności, czy zsiadać z konia, czy nie. Po chwili odpowiedź znalazła się sama. Ze stołpu wytoczył się pulchny człowieczek z niezmiernie zatroskanym obliczem. Nosił na szyi łańcuch oraz klucze, oznaczające godność szambelana.

Will wiedział, że szambelan, w imieniu swego pana, zajmuje się codziennością zamkowej egzystencji. Człowieczek, dostrzegłszy chłopaka, ruszył w jego stronę.

- Rybał? - spytał.

Dość opryskliwe powitanie, pomyślał Will. Ale przynajmniej ktoś go w ogóle wita. Uśmiechnął się zatem.

- W rzeczy samej, szlachetny szambelanie. Will Barton. Przybywam z południa, spieszę do zamków Północy, niosąc wam odrobinę radości.

Posłużył się kwiecistym stylem, którego nauczył go Berrigan. Szambelan przytaknął, ale widać było, że myślni jest już gdzie indziej. Will domyślił się, że musi dopatrzeć mnóstwa spraw.

- Przyda się tego trochę. Niezbyt nam tutaj do śmiechu, tyle ci powiem.

- A czemuż to, jeśli wolno spytać? - udał naiwnego Will.

Szambelan zerknął badawczo.

- Nie słyszałeś, co się tu wyprawia?

Will zdał sobie sprawę, że udawać całkowitą niewiedzę, byłoby niemądrze. Wędrowny artysta przemierzający kraj musiał słyszeć miejscowe pogłoski. Rzeczywiście, słyszał. Will wzruszył ramionami.

- Dotarli do mnie pewne opowieści. Ale każda wioska w każdym zakątku każdej okolicy nieodmiennie tętni od plotek, a ja przywykłem nie zważać na plotki.

Pulchny człowieczek westchnął ciężko.

- Wszelako w tym wypadku nie zdziwiłbym się, gdybyś dał wiarę ludzkiemu gadaniu. Nawet sam dorzucisz to lub owo. Trudno przesadzić, opisując naszą sytuację.

- Zatem pan tego zamku jest naprawdę... - Will zawahał się, bo mężczyzna spojrzał na niego ostrzegawczo.

- Jeżeli nadstawiałeś ucha, to znasz sytuację - odpowiedział pospiesznie. - Są tematy, których lepiej zbyt szczegółowo nie poruszać.

- Ma się rozumieć - przytaknął Will. Poprawił się w siodle. Dopadało go już znużenie. Nadeszła pora, aby szambelan, zatroskany czy nie, okazał mu nieco więcej zwyczajnej uprzejmości.

Mężczyzna, widząc, że Will kręci się na koniu, ruchem ręki dał znak, by zsiadał.

- Wybacz. Wkrótce sam pojmiesz, ile teraz mam na głowie. Zaprowadź konie do stajni. Pies twój?

Owczarek leżał na bruku, obserwując rozmawiających. Will potwierdził z uśmiechem. Zsunął się z siodła. Wreszcie wyciągnął zdrętwiałe nogi oraz rozprostował plecy.

- Towarzyszy mi zawsze podczas występów - wyjaśnił.

Szambelan skinął głową.

- Zatrzymaj go tedy. Otrzymasz pokój tylko dla siebie, masz szczęście. Nie przebywa u nas akurat zbyt wielu gości. Choć bynajmniej się temu nie dziwię.

Wydarzenia, jak na razie, rozwijały się nad podziw dobrze. Will spodziewał się dostać co najwyżej jedno z posłań odgradzonych od siebie zasłoną. Takie legowiska rozmieszczano wzdłuż ścian, w dobudówkach do głównych zespołów zamkowych komnat. Lokowano tam

pośledniejszych gości zimą, kiedy w zamkach bywało tłoczno.

- Niezbyt wielu gości? - spytał Will.

- Owszem - tłumaczył szambelan. - Nic w tym dziwnego. Oczekujemy tylko lady Gwendolyn z Amarle. Będzie tędy przejeżdżała za tydzień lub dwa. Udaje się do pobliskiego lenna na spotkanie ze swoim narzeczoną. Przesłała nam wiadomość, żądając kwatery do czasu, aż śnieg ustąpi z przełęczy. Jednak poza nią spotkasz w zamku wyłącznie jego stałych mieszkańców. A i miejscowych mniej u nas niż normalnie - dodał ponuro.

Will uznał, że lepiej nie drażnić tematu. Zabrał się do luzowania popręgów przy siodłach obu koni. Szambelan rozejrzał się.

- Wybacz, że cię teraz opuszczę - powiedział. - Drwa na opał nigdy nie zostaną poukładane, jeżeli osobiście tego nie dopilnuję. Stajnie są tam. - Wskazał prawą stronę dziedzińca. - Kiedy już twoje konie znajdą się gdzie należy, pytaj w zamku o panią Barry. To gospodyni. Przekaż jej moje życzenie. Masz dostać jeden z pokoi w wieży na trzeciej kondygnacji. Tak przy okazji, zważ mnie Agramond.

Will skinął głową w podzięcie.

- Pytać o panią Barry - powtórzył.

Szambelan już jednak przestał zwracać nań uwagę. Odwrócił się, pokrzykując na dwóch drabów w rogu dziedzińca, którzy z ociąganiem układali drewno opałowe.

- Chodź, Wyrwiju - powiedział Will. - Poszukamy ci noclegu.

Konie zostały oporzędzone, Will odszukał gospodynię. Co częste w jej profesji, okazała się niewiastą krępa oraz rezolutną. Will stwierdził, że jest tyleż uprzejma, co równie zatroskana jak Agramond. Pokazała mu pokój, całkiem przeciętną kwaterę, zważywszy rangę zamku. Podłogi i ściany wykonano z kamienia, a sufit z drewna. Znajdowało się tam wąskie okno z dopasowaną ramą, pokrytą półprzezroczystą skórą, która pozwalała światłu przenikać do środka. Na wypadek pogorszenia pogody zainstalowano drewniane okiennice. Mały kominek ogrzewał izbę, w oddzielonej zasłoną alkowie stało łóżko. Kilka drewnianych krzeseł, plus dywanik na podłodze, dopełniały kompletu mieszkalnych wygod. Umywalka znajdowała się na drewnianym stoliku przy zaokrąglonej ścianie. Wcześniej Willowi nie zdarzało się zbyt często mieszkać w wieży. Rozglądając się wokół, uświadomił sobie, że to niełatwe zadanie, znaleźć meble pasujące do pomieszczeń o półokrągłych ścianach.

Will zaczął wypakowywać mandolę. Pani Barry zerknęła na futerał.

- Grasz na lutni, he? - spytała.

- Właściwie to jest mandola - odparł. - Lutnia ma dziesięć str...

- Możliwe. Pewnie zagrasz dziś wieczorem?

- Czemu by nie? - odrzekł z entuzjazmem. - To piękna noc, sposobna na muzykę i śmiech.

- Ciężko ci tu będzie znaleźć śmiech - odpowiedziała smętnie. - Choć, moim zdaniem, dobrze nam zrobi odrobina muzyki.

I po tej niezbyt radosnej uwadze skierowała się w stronę drzwi.

- Jeżeli czegoś ci trzeba, proś którąś ze służebnych. A łapy trzymaj przy sobie. Już ja wiem, jakie ziółka z was, rybałtów - dodała groźnym tonem.

„Zatem dobrą masz pamięć”, pomyślał Will, kiedy gospodyni wyszła. Zastanawiał się, ileż to lat upłynęło, od dnia, w którym ostatni swawolny minstrel zdecydował się uszczyptać ją w pulchny zadek. Wykrzywił się w stronę suki. Leżała na podłodze obok kominka, bacznie mu się przyglądając.

- Przytulny kącik, piesku? - spytał z powątpiewaniem.

Suka tylko pacnęła ogonem o podłogę.

Wieczorny posiłek w sali jadalnej zamku okazał się ponurą stypą, której przewodził syn lorda Syrona, Orman.

Wzrost średni, na oko trzydziestolatek, oszacował Will. Chociaż przerzedzone na czole włosy sprawiały, że wyglądał starzej. Odziany był w ciemnoszarą szatę, jaką nosili uczeni. Humor Ormana zdawał się pasować do barwy jego stroju. Cera ziemista, charakterystyczna dla człowieka, który większość życia spędza w zamknięciu. Jednym słowem, nie był to ktoś, kto wzbudzałby zaufanie gromady, żyjącej w ciągłym strachu.

Zasiadając u szczytu stołu, nawet najdrobniejszym gestem nie dał po sobie poznać, że dostrzega obecność Willa. Wedle zwyczaju stoły ustawiono w kształt litery „T”. Lord Orman oraz jego towarzysze, w tym Agramond, zajmowali miejsca przy górnej poprzeczce „T”. Will zauważył, że przy owym głównym stole pozostało kilka pustych krzeseł.

Reszta biesiadników została usadzona w porządku malejącym, wedle ważności, przy stole, który tworzył pionową kreskę litery „T”. Willa ulokowano nieco powyżej połowy stołu. Normalnie, jako zwiadowca, otrzymałby miejsce u samego szczytu. Musiał więc pohamować odruchową chęć skierowania się w tamtą stronę. Pani Barry, nadzorująca rytuał posiłku, wskazała mu odpowiednie miejsce.

Will przekonał się, iż zasiada pomiędzy kilkoma pośledniejszymi Mistrzami Sztuk oraz ich żonami. Nikt się do niego nie odzywał. Jednak, jak zauważył, biesiadnicy nie rozmawiali także między sobą, nie licząc mrukliwych prośb o podanie przypraw czy

przesunięcie dalej półmisków.

Po raz kolejny Will przeklinał w duchu ekstrawagancki strój rybałta z szerokimi powiewającymi rękawami, który nosił. Nie jeden raz unurzał je w sosie.

Serwowane jadło pasowało do ogólnej atmosfery. Prosta potrawka z baraniny, dosyć żyłasta pieczeń z sarniny, półmiski włóknistych gotowanych warzyw, co to zdawały się mieć za sobą długi pobyt w piwnicy. Wino, łagodnie mówiąc, kwaśnawe. Cierpki smak trunku zdawał się nie przeszkadzać towarzyszom Willa. Ilekroć służebna z dzbanem pojawiła się w pobliżu, ochoczo dawali znaki, by raz po raz napełniała im kielichy.

Posiłek, bez rozmów czy jakichkolwiek innych rozrywek, wkrótce dobiegł końca. Agramond opuścił swoje miejsce. Szepnął coś do ucha Ormana. Tymczasowy pan zamku wysłuchał, skrzywił się lekko, po czym przesunął wzrokiem wzdłuż stołu, aż dojrzał Willa.

- Jak mi się zdaje, mamy zaszczyt gościć w swoim gronie rybałta - odezwał się.

Słowami przywitał co prawda gościa, lecz ton głosu na pewno przeczył treści słów. Młody pan okazywał wyraźne znużenie. Nie było wątpliwości, że popisy minstrela nie wzbudzały w nim najmniejszego zainteresowania. Jednak Will postanowił zlekceważyć obraźliwy tryb, w jakim został zaprezentowany zebranym. Wstał, odsunął się od stołu, złożył dworny, głęboki, złożony z mnóstwa przesadnych gestów ukłon. Następnie szeroko uśmiechnął się do Ormana.

- Ku łaskawej ucieście waszej dostojności - powiedział. - Jestem skromnym minstrelem, który przynosi pieśni o miłości, radości i o przygodach, by się nimi z wami podzielić.

Orman głęboko westchnął.

- Bardzo wątpię, żeby to ucieszyło mnie w jakikolwiek sposób - odparł. Jego głos brzmiał zarazem nosowo i piskliwie.

Will wyrobił już sobie zdanie na temat Ormana. Miał przed sobą ludzki okaz pozbawiony choćby jednej pozytywnej cechy, osobnika wysoce nieprzyjaznego.

- Przypuszczam, że zaprezentujesz nam typowy repertuar minstrela? Czyli złożony z ludowych tańców, wiejskich przyśpiewek oraz rymowanek? - mówił dalej Orman.

Will za najlepszą odpowiedź uznał kolejny ukłon.

- Wasza dostojność. - Ledwie powstrzymał zgrzytanie zębów. Spuścił wzrok albowiem z chęcią podszedłby do szczytu stołu, by udusić indywiduum o ziemistej cerze.

- Nie sądzę, bym mógł żywić choćby cień nadziei, że znasz coś z repertuaru klasycznego? Jakaś bardziej wytworną muzykę? - pytał Orman. Z tonu jasno wynikało, iż z góry zakłada treść odpowiedzi.

Will znów rozciągnął wargi w uśmiechu. Żałował, że brak mu umiejętności, by gwałtownie uderzając w struny, zagrać pierwsze tony „Letnich ód wraz z objaśnieniami” Saprivala.

- Choć boleję nad tym, wasza dostojność, nie odebrałem klasycznego wykształcenia - odparł, z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Orman lekceważąco machnął dłonią.

- Ja też boleję - odparł zmęczonym głosem. - Zatem cóż, sądzę, że trzeba jakoś znieść nieuniknione. Być może moi ludzie znajdą przyjemność w twoim popisie.

„Nie po takim wstępie”, pomyślał Will, przekładając nad głową pas od mandoli. Zawahał się, rozejrzał po sali, zauważył kwaśne miny obecnych. „Przyszła chyba pora, bym się dowiedział, jak to jest, umrzeć na scenie”, jęknął w duchu, zagrawszy pierwsze takty „Chodź tu, Kasiu, i znajdź mnie” - skoczego ludowego tańca z Hibernii. Wybrał bezpieczną dla siebie piosenkę, jedną z pierwszych, jakich się nauczył. Wstęp instrumentalny był prosty, choć porywający.

I, jakże mogło być inaczej, wciąż wściekły z powodu fochów Ormana, zdołał kompletnie zepsuć utwór. Grał tak niezdarnie, że musiał w końcu zarzucić linię melodyczną. Brał wyłącznie akordy. Uszy płonęły mu ze wstydu, kiedy rozpaczliwie brnął do końca piosenki, dokładając jedną pomyłkę do drugiej, gubiąc nutę za nutą. Zakończył fałszywym przydźwiękiem na basowej strunie. Tak ukoronował fatalny swój występ.

Grobowa cisza zdawała się trwać co najmniej kilka minut. I wtem z końca sali rozległy się grzmiące oklaski.

Rozdział 18

Will odwrócił się, żeby sprawdzić, kto klaszcze. W trakcie występu do komnaty jadalnej wkroczyła grupka pięciu mężczyzn w myśliwskich strojach. Oni właśnie oklaskiwali minstrela, najwyraźniej zachęceni przez jednego, który sprawiał wrażenie przywódcy.

Mężczyzna był krępy, muskularny, o kwadratowej, szczerzej twarzy, na której gościł szeroki uśmiech. Szedł przez salę w kierunku Willa. Nie przestawał klaskać, nawet gdy podszedł bliżej. Potem wyciągnął dłoń.

- Dobra robota, minstrele, zwłaszcza jeśli zważyć na lodowate powitanie, jakim cię tu uraczono!

Will ujął podaną rękę. Uścisk okazał się mocny, a ręka twarda oraz poznaczona odciskami. Will wiedział, co to znaczy. Oto dłoń wojownika, odciski powstały na skutek długich lat ćwiczeń.

- Jak cię zwa, minstrele? - zapytał mężczyzna. Był gładko wygolony, o ciemnych, kręconych włosach i wesołych brązowych oczach. Znacznie przewyższał wzrostem Willa. Liczył sobie mniej więcej trzydzieści lat. Jego czterej towarzysze ustawili się nieco za nim. Także wojownicy, jak zauważył Will.

- Will Barton, wasza dostojność. - Elegancja ubioru nie pozostawiała wątpliwości, jak należy się zwracać do przybyłego. Tytuł został jednak skwitowany śmiechem.

- Ceremoniał nam tu niepotrzebny, Willu Bartonie. Nazywam się Keren. Przy oficjalnych okazjach może być „pan Keren”. Ale na co dzień samo „Keren” w zupełności wystarczy. - Odwrócił się w stronę szczytu stołu. Podniósł głos, gdy zwracał się do Ormana.

- Wybacz, że się tak późno zjawiamy, kuzynie. Mam nadzieję, że zostały jakieś resztki żarcia?

Keren, pomyślał Will, bratanek Syrona który, według wszystkich doniesień, dba o zamek pod nieobecność lorda. Powszechnie uważany za sprawnego wojownika oraz dobrego przywódcę. I, jeśli można wierzyć pierwszemu wrażeniu, ulepiony z całkiem innej gliny niż jego kuzyn.

Orman przemówił z wyraźną niechęcią:

- Komnata jadalna nawykła już do twego nieokrzesanego zachowania, kuzynie - stwierdził.

Keren przeniósł wzrok z powrotem na Willa. Rzucił mu porozumiewawczy uśmiech, któremu towarzyszyło teatralne uniesienie brwi.

- Zechciej zająć należne ci miejsce. Każę służbie przynieść potrawy - mówił dalej Orman.

Najwyraźniej puste krzesła u szczytu stołu były przeznaczone dla Kerena oraz dla jego towarzyszy. Keren tylko machnął ręką.

- Siadamy tutaj - oznajmił, wskazując miejsca obok Willa. - Będziemy jeść, jednocześnie rozkoszując się muzyką Willa Bartona. Najwyższa pora wpuścić nieco zabawy w te zapuszczone stare mury - dodał z błyskiem w oku. - Posłuchajmy czegoś żywego, Willu! Znasz może pieśń „Stary Joe Smoke”?

- W rzeczy samej, znam - odparł Will. Ucieszył się, że poświęcił minione tygodnie na przećwiczenie właściwego tekstu piosenki. Teraz był pewien, że nie wyrwie mu się przez pomyłkę wzmianka o „Siwobrodym Halcie”. Bądź co bądź, Halta znali w całym królestwie, więc nie byłoby wskazane sugerować, iż Willa łączy cokolwiek z legendarnym zwiadowcą.

Zdumiewające, co może spowodować grupka zainteresowanych słuchaczy. Teraz kiedy zaczął grać, palce poruszały się już pewnie, biegle. Keren razem z przyjaciółmi tupali, klaskali w dłonie, przyłączając się w refrenie. Stopniowo i inni zgromadzeni w sali zaczęli zachowywać się bardziej swobodnie.

Oczywiście, nie Orman. Gdy tylko ucichły oklaski po „Starym Joe'em Smoke'u”, Will usłyszał szuranie krzesła przy wysokim stole. Rzucił okiem w tamtym kierunku tylko po to, by zobaczyć, jak pan zamku z nachmurzoną miną opuszcza salę bocznymi drzwiami.

- Ha, to nam poprawia humor! - odezwał się pogodnie Keren. Will nie był pewien, czy wojownik ma na myśli piosenkę, czy odejście kuzyna. - Posłuchajmy następnej pieśni, co wy na to?

Obejrzał się na towarzyszy. Przez chwilę milczeli. Keren nachylił się w ich stronę. Uśmiechnął się szeroko i przemówił nieco głośniejszym głosem:

- Powiedziałem, posłuchajmy następnej pieśni. Co wy na to?

Rozległy się entuzjastyczne okrzyki, w jednej chwili wyrażali zgodę, jeden przez drugiego. Will przyjrzał im się z pewnym zdziwieniem. Keren zdawał się cieszyć wielką sympatią wśród swoich zwolenników. Jeśli czegoś zapragnął, oni natychmiast wprowadzali to w czyn. Tak czy owak, Will stracił powód do zmartwień. Impertynenckie uwagi Ormana przyćmił entuzjazm życzliwej publiczności.

Uśmiechnął się szeroko, rozprostował palce. Pomyślał, że noc zapowiada się lepiej, niż się początkowo spodziewał. O wiele lepiej.

Wieczorny występ trwał jeszcze półtorej godziny. Później ludzie zaczęli wymykać się do swoich komnat. Will, zadowolony ze swojej pracy, spakował mandolę. Już gotował się do wyjścia, kiedy powstrzymał go Keren. Rozbawiony uśmiech znikł z twarzy wojownika. Kiedy chwycił Willa za ramię, miał poważną minę.

- Cieszę się, żeś się u nas zjawił, Willu Bartonie - rzucił przyciszonym głosem. - Ludzie tutaj potrzebują jakiejś odskoczni od codziennych trosk. A mój ponury kuzyn zapewnia im bardzo mało radości oraz spokoju. Daj mi znać, jeżeli będziesz czegoś potrzebował.

- Dziękuję, panie Kerenie - zaczął Will, ale dłoń na jego ramieniu zacisnęła się mocniej, więc poprawił się: - Kerenie. Zrobię, co w mojej mocy, żeby podnieść ludzi na duchu.

Keren znów uśmiechał się z sympatią.

- Nie wątpię, że tak właśnie się stanie. Pamiętaj, gdy czegoś ci trzeba, proś mnie.

Po tych słowach opuścił salę na czele swoich towarzyszy.

Willa ogarnęło nagłe zmęczenie. Powłókł się schodami do pokoju. Owczarek powitał go pytającym spojrzeniem i zwyczajowym pacnięciem ogona o podłogę.

- Nie najgorszy wieczór - wyjaśnił suce Will. - Naprawdę nie najgorszy. Jutro możesz popracować razem ze mną.

Pies opuścił nos na przednie łapy, utkwiał wzrok w Willu. Uparte ślepia bez wątpienia przekazywały pewną wiadomość.

- Chodzi ci o to, że nie chcesz pracować? - zapytał Will.

Oczy psa pozostały nieugięte, więc Will cicho westchnął. Przypiął do pasa sakse, otulił się czarno-białą oponczą.

- Już dobrze - odezwał się do suki. - Chodźmy.

Posłusznie człapała za nim, gdy schodził po schodach i dalej, na zamkowy dziedziniec. Noc była pogodna, lecz pochłodziło, wyraźnie podchodził mróz. Nad głową Willa iskrzyły gwiazdy, na zachodnim horyzoncie rogał księżyc zwiślał nisko.

Ożywiony rześkim powietrzem, Will oddychał głęboko, rozglądając się po dziedzińcu. Księżyc i gwiazdy świeciły wystarczająco mocno, by rzucać na dziedziniec wyraziste cienie. Will postanowił rozpatrzeć się w okolicy.

Cieniutka warstewka świeżego śniegu zaścielającego bruk skrzypiała mu pod butami, kiedy kierował się w stronę furtki za potężną kratą. Musiało padać, gdy on przebywał w sali jadalnej; obecnie niebo już prawie zupełnie się przetarło.

Will zbliżył się do posterunku przy bramie. Natknął się na wartownika.

- A dokąd to, minstrelu? - zapytał żołnierz ani przyjaźnie, ani wrogo.

Will wzruszył ramionami.

- Nie mogę spać - odpowiedział. Wskazał na psa.

- Ona zawsze ma ochotę na spacer. Strażnik popatrzył ze zdziwieniem.

- To nie jest dobre miejsce, żeby spacerować po nocy - powiedział. - Ale jeżeli musisz iść, lepiej trzymaj się z dala od Lasu Grimsdell.

- Lasu Grimsdell? - powtórzył Will, przybierając lekko rozbawiony, sceptyczny ton. - Czy to nie tam, gdzie gromadzą się upiory i duchy? - Uśmiechnął się przyjaźnie do strażnika, żeby mu pokazać, iż nic sobie nie robi z przesądów.

Strażnik pokręcił głową.

- Naigrawaj się, jeśli chcesz. Ale człek rozumny omijałby Las Grimsdell szerokim łukiem.

- Pewnie tak właśnie uczynię - odparł Will, starając się, by jego głos brzmiał zupełnie szczerze. - Gdzie to właściwie jest, bym mógł mieć pewność, że trzymam się z daleka?

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Żołnierz gapił się na Willa. Dostrzegł niedowierzanie i żartobliwy ton, ukryty w słowach minstrela. „Rybałci”, pomyślał, „zawsze tacy sprytni, zawsze tacy spieszni, zawsze gotowi ze wszystkiego żartować”. W końcu wskazał na lewo.

- Tam - warknął, powstrzymując gniew. - Około kilometra stąd. Zorientujesz się, kiedy go zobaczysz, uwierz mi. Powiem strażnikom na murach, że wychodzisz - dodał. - Na wypadek, gdybyś wrócił.

Rezygnując ze strzeżenia języka po próżnicy, strażnik otworzył małą furtkę obok wielkiej kraty, pozwalając Willowi wymknąć się za mury. Furtka trzasnęła z hukiem. Will niemal natychmiast usłyszał zgrzyt zasuw. W krainie takiej jak ta po zachodzie słońca nie zostawia się bram otwartych ani o chwilę dłużej, niż to absolutnie konieczne.

Ta sama zasada dotyczyła potężnego zwodzonego mostu, który również został podniesiony. Nie opuści się go aż do świtu. Jednak nad fosą chroniącą tę stronę zamku pozostawiono wąską kładkę, szeroką na dwie deski. Will przeszedł po niej z łatwością. Owczarkowi nie było tak lekko. Will już wcześniej zauważył, że pies nie lubi, gdy pod nogami brakuje mu pewnego gruntu.

Obejrzał się w stronę zamku. Przysadzista czarna bryła dominowała nad okolicą. Wypatrzył jeden czy dwa ciemne kształty poruszające się na blankach; domyślił się, że to nocna straż.

Opierając się pokusie, by pomachać wartownikom, ruszył w kierunku, który wskazał mu strażnik. Suka podążała za nim. Kiedy Will pstryknął palcami i wypowiedział hasło „wolna”, pognała naprzód szerokim łukiem.

Wysunęła się o jakieś dwadzieścia metrów, zatrzymując się i wietrząc nowe zapachy. Nasłuchiwała nieznanych odgłosów, lecz stale sprawdzała, czy Will podąża jej tropem.

Krajobraz, oprószony bielą, krył w sobie dzikie piękno. Na drodze zalegała cienka warstewka śniegu, który napadał tej nocy. Jednak pola i przydrożne drzewa wciąż spowijał gęsty, gruby śnieg pozostały po poprzednich opadach. Will, uwielbiał widok zaśnieżonego nocnego krajobrazu. Szedł więc z przyjemnością. Rozmyślał o wydarzeniach minionego wieczoru i o tym, jak bardzo różne charaktery posiadają lord Orman oraz jego kuzyn.

Stopniowo otwarta przestrzeń i szerokie pola zaczynały ustępować drzewom, a także krzakom, rosnącym coraz bliżej drogi. Robiło się coraz ciemniej. Will miał wrażenie, że okolica zaczyna go przytłaczać. Dusić. Śledzić. Poluzował w pochwie sakwę, zacisnął dłoń na głównej noży do rzucania. Odrzucił myśl o jakichkolwiek zabobonach. Po prostu, zdrowy rozsądek nakazywał mu zachować wzmożoną czujność w prawdopodobnie niebezpiecznej okolicy. Zauważył, że pies obiega go od pewnego czasu mniejszym łukiem. Zwierzę także najwyraźniej wolało otwarte pole. Jednak Will wytłumaczył sobie, że suka wyczułaby każdą zasadzkę, jaka mogłaby na nich czyhać. Ostrzegłaby go. Brnął więc dalej.

Aż dobrnął na skraj Lasu Grimsdell.

Rozdział 19

Las Grimsdell zamajaczył przed Willem. Drzewa wznosiły się wyżej, mroczniej, rosły bliżej siebie. Nieprzeniknione cienie pod nimi kładły się gęsto. Las stał posepny, czarny, jakby za wszelką cenę postanowił skrywać własne sekrety przed obcymi.

Strażnik miał rację, pomyślał Will. Kiedy tylko zobaczył to miejsce, od razu je rozpoznał.

Ruszył wzdłuż linii drzew, pstryknawszy raz palcami, żeby przywołać sukę. Uszy nastawiła czujnie, spoglądając to na las, to na swego pana. Jak gdyby wyczuwała, co przykuwa uwagę Willa.

W pewnej chwili nastroszyła sierść na karku. Cicho warknęła. Ślepia wpiła w jeden punkt. Will zerknął w tamtą stronę, ale niczego nie zauważył wśród płataniny drzew i poszycia. Przykucnął. Przez moment obserwował słaby czerwony poblask, pełgający wśród cieni. Trwało to zaledwie chwilę. A potem nic.

Gdy znów się podnosił, czuł, że czupryna staje mu dęba. Pokręcił głową, zaśmiał się cicho.

- To coś błyszczący - tłumaczył sam sobie. - Po prostu, zwyczajnie błyszczący.

Pies znowu warknął. Will kątem oka zaobserwował jakiś ruch. Tym razem światło o barwie niebieskiej. Zamigotało na moment w koronach drzew i od razu zniknęło. Zgasło, nim Will zdołał mu się przyjrzeć. Może złudzenie? Nie dałby głowy, czy w ogóle cokolwiek tam migotało. Choć zachowanie psa potwierdzało obecność czegoś dziwnego.

A potem powrócił czerwony blask. I znowu zgasł, nim Will zdołał skupić uwagę. Tym razem las poczerwieniał kilkaset metrów od miejsca, w którym zwiadowca dostrzegł pierwszy rozbłysk. Serce Willa biło szybciej, dłoń sięgnęła po sakwę.

- Chodźmy, panienko - szepnął do suki. - Gdzieś tu musi być ścieżka, prowadząca w głąb lasu.

Po chwili natrafił na dróżkę, która wiła się mniej więcej trzydzieści metrów dalej, szeroka ledwo na tyle, by mógł przecisnąć się nią pojedynczy wędrowiec. Pewnie szlak wydeptały zwierzęta, pomyślał. A może jednak człowiek? Tak czy siak, Will ruszył przed siebie. Pies wyprzedzał go o krok albo o dwa, wciąż z nosem przy ziemi.

Po dwudziestu krokach Will obejrzał się. Nie widział już prześwitu, którym przed

chwilą szedł. Ścieżka kurczyła się w gęstych zwojach, poszycie, pnącza oraz drzewa były ściśle splecione. Wolna przestrzeń zawężała się do kilku metrów. Szedł dalej, wciąż z dłonią zaciśniętą na głównej saksy. Lata zwiadowczych ćwiczeń pozwoliły mu poruszać się niemal bezszelestnie. Instynktownie wykorzystywał plamy cienia jako osłonę dla kolejnych ruchów.

Nie dostrzegał już żadnych innych błysków. Pomyślał, że ten, kto nosił światło, wystraszył się, kiedy Will, wszedł do lasu. Chłopak rozluźnił się trochę. Może nie tylko on czuje się tutaj nieswojo. Uśmiechnął się, ruszył dalej.

Wtedy zaczęły się szepty. Bardzo ciche, na granicy słyszalności. Z początku Will nie miał pewności, czy rzeczywiście coś słyszy, potem starał się tłumaczyć dziwne dźwięki szelestem wiatru w listowiu. Tyle tylko, że w lesie nie było żadnego wiatru. Łowił ulotne szmery, one zaś zdawały się dobiegać zewsząd, a zarazem znikąd. Spojrzał na sukę. Przystanąła, nastawiła uszu, przechyliła łeb. Nasłuchiwała. Will zrozumiał, że dźwięki są prawdziwe. Nie zdołał co prawda ustalić, skąd dobiegały szepty, więc nie potrafił stwierdzić, czy słyszy realny głos, czy tylko przypadkowe szmery. Szum narastał, potem oddalał się, ledwie uchwytny dla zmysłów, chwilami zagłuszany przyspieszonym biciem serca, czasami całkiem wyraźny. Aż nagle, pośród niewyraźnego mrużenia, Will zaczął wyławiać pojedyncze słowa.

Słowa nieprzyjemnie oddziałujące na wyobraźnię. Raz zdało mu się, że głos wyjęczał: „ból”. Potem przycichł. Will za chwilę usłyszał albo wydawało mu się, że usłyszał, słowo „śmierć”. A także: „cierpienie”, „ciemność”, „strach”. Później notował już wyłącznie bełkotliwe szepty, niezrozumiałe, bez sensu.

Raz jeszcze spojrzał na sukę. Wciąż była zaniepokojona, choć słowa, rzecz jasna, nie miały dla niej znaczenia. Reagowała wyłącznie na dźwięk. Will przypomniał sobie strachy, jakie dręczyły go przed laty, kiedy on, Halt oraz Gilan tropili okrutne bestie, kalkary, na Samotnej Równinie. Dopadła go wówczas paralizująca trwoga, wywołana nieznanymi odgłosami. Jednak wówczas Will miał obok siebie Halta, a teraz zdany był wyłącznie na siebie.

Wziął głęboki wdech. Saksa cicho świsnęła, wysuwając się z dobrze naoliwionej pochwy. Will odezwał się wyraźnie, stanowczym tonem, zwracając się w stronę cieni:

- Stal.

Szepty ustały.

Suka spojrzała na pana. Jej ogon lekko się zakołysał. Sierść na karku owczarka nieco już opadła, więc Will z wolna odzyskiwał pewność siebie. „Trzeba sprostać własnym lękom”, zawsze pouczał go Halt, „a one ulotnią się niczym mgłą w promieniach słońca”. Z jednej

strony szepty i słowa, pomyślał. Z drugiej - ostra jak brzytwa, ciężka saksa. Bardziej praktyczna. Bardziej prawdziwa. Bardziej namacalna.

A tym samym bardziej groźna.

- Prowadź, piesku. Znajdźmy tych szeptaczy. - Dłonią pokazał zwierzęciu, że idą dalej. Sam pozostał kilka kroków z tyłu, polegając na psiej zdolności wyczuwania zagrożeń.

Już po chwili pojął, iż decyzja, by puścić owczarka przodem, okazała się słuszna. Gdyby nie suka, Will wpadłby w otchłań czarnego jeziora, które wyłoniło się przed nimi nagle, gdy tylko skręcili.

Ścieżka biegła przy brzegu, odbijając w prawo, ciągle wzdłuż ukrytej wśród drzew tafli ciemnej wody. Jezioro miało średnicę około trzydziestu metrów. Drzewa i pnącza rosnące na jego brzegu zwieszały się do wody, pochylały się ku sobie, stykały, niektóre tak wysokie, że niemal złączone z roślinnością przeciwnego brzegu. Niebo odbijało się tylko w samym środku tafli.

Powierzchnia wody parowała, pasma przejrzystej mgiełki rozpraszały się wśród wysokich drzew. Na powierzchni pękały gazowe bąble, powstające z gnijącej na dnie roślinności albo wydychane przez jakieś żyjące w wodzie monstrem. Po drugiej stronie jeziora, naprzeciw miejsca, w którym stał Will, mgła zdawała się gęstnieć, tworzyła coś w rodzaju zasłony. Zatrzymał się. Przypatrywał się temu zjawisku, zastanawiał się nad przyczyną jego powstania. Pies zaległ przy ziemi, obserwując pana uważnie, gotów w każdej chwili ruszyć w dalszą drogę.

Raptem krew w żyłach zwiadowcy zmroziło potworne przerażenie. Bo oto z mgły wyłoniła się olbrzymia postać. Wzniosła się nad jeziorem, jak gdyby ulepiona z czarnej wody.

Wszystko stało się nagle. Jeszcze przed chwilą wokół panowała pustka. A potem, w mgnieniu oka, zwiadowcę przytłoczył wyrazisty koszmar. Potężny, złowieszczy, czarny. Mroczna sylwetka na tle mgły, mocarny wojownik w starożytnej zbroi najeżonej kolcami, w ogromnym, rogowym hełmie. Wznosi się chyba na dwanaście metrów, pomyślał Will, zamarzył z przerażenia. Hełm zakrywał całą twarz stwora, z otworów na oczy ziała pustka.

Postać zdawała się lekko drżeć. Przez jedną upiorną chwilę Will sądził, że olbrzym podsuwa się ku niemu.

Później dopiero uświadomił sobie, iż to tylko drgania kurtyny utkanej z kłębow mgły. Serce Willa waliło jak oszalałe, ze strachu zaschło mu w ustach. Wiedział, że nie chodzi o żadnego śmiertelnika. To coś pochodziło z mrocznego świata czarnej magii i zaklęć. Instynkt podpowiadał mu, że żadna ludzka broń nie zdoła wyrządzić stworowi krzywdy.

Postać unosiła się, niewzruszona, delikatnie kołysana falowaniem mgły. Puste

oczodoły zdawały się wpijać w młodego zwiadowcę. A potem usłyszał niski głos.

Wydawało się, że ów głos obiega echem czarne jezioro. Will miał wrażenie, że pochodzi raczej z przestronnej jaskini niż z leśnego matecznika.

- Strzeż się, śmiertelny! - huczał. - Nie budź cienia Nocnego Wojownika. Opuść to miejsce, dopóki jeszcze zdołasz!

Na dźwięk tubalnego głosu suka powstała. Z jej gardła dobył się warkot. Will uciszył owczarka.

- Spokój, panienko! - wychrypiał. Warkot ustał. Jednak Will ciągle obserwował sierść zjeżoną w pierwotnym odruchu gniewu lub strachu. Włosy na jego własnym karku też stały dęba. Po drugiej stronie jeziora mgła zdawała się jeszcze bardziej gęstnieć. Wyglądało to tak, jakby przerażająca postać także gęstniała, nabierała ciała, jak gdyby czerpała swą moc właśnie z mgły. Gdy odezwała się ponownie, jej głos zagrzmiął znacznie potężniej niż poprzednio.

- Ruszaj! W tej chwili odejdz, póki daję ci szansę! Odejdz!

Ostatnie słowo odbiło się echem od drzew rosnących wokół jeziora. Will zdał sobie sprawę, że, chcąc, nie chcąc, mimowolnie cofa się tą samą drogą, którą przyszedł, że odsuwa się od czarnej tafli, że ucieka od mrocznego wojownika. Potknął się o korzeń, spojrzał w dół, by nie upaść, a kiedy podniósł wzrok, po Nocnym Wojowniku nie pozostał żaden ślad.

Ot, tak. Zniknął w mgnieniu oka, niczym zdmuchnięty płomień świecy. Will lękliwie rozejrzał się dokoła, zastanawiając się, czy wojownik nie pojawi się ponownie, tym razem gdzieś bliżej. Potem znowu rozległ się głos. Brzmiał jednak cicho, nie przypominał uprzedniego ryku. Ale teraz nie padły żadne słowa. Tylko niski, złowrogi śmiech. Wydawało się, że ten, kto się śmieje, zna strach Willa i własną nad nim przewagę. Pies znów zawarczał. A Willa opuściły resztki śmiałości.

- Chodź tu, panienko! - zawołał. Odwróciwszy się, gnał na łeb na szyję ku wyjściu z Lasu Grimsdell. Pies minął go, pobiegł przodem i zatrzymał się na bezdrzewnej polance. Nad głowami znów mieli czyste nocne niebo. Dopiero wtedy Will odetchnął głęboko. Serce waliło mu dwa razy szybciej niż normalnie. Odczekał kilka minut, uspokoił oddech na tyle, by złapać trochę swobodniejszy rytm. Lecz wiedział, że czas jakiś potrwa, nim serce przestanie mu walić jak młotem.

Czarna bryła Zamku Macindaw, która wyłoniła się z mroku, sprawiała wrażenie przyjaznej, nawet przytulnej. Płomień pochodni przy furcie kojarzył się z blaskiem latarni morskiej wskazującej bezpieczny szlak. Will pospieszył w kierunku furty. Nie mógł się doczekać, kiedy znów znajdzie się w obrębie zamkowych murów.

Rozdział 20

Przez resztę nocy Will spał źle, snem urywanym, niespokojnym. Nocny Wojownik nie dawał mu spokoju. Dopiero tuż przed świtem udało mu się zapaść w głęboki sen. Ale wkrótce obudziły go odgłosy normalnej porannej zamkowej krzątaniny.

Marudził trochę w łóżku. Nie wstał od razu. Zastanawiał się, czy zeszłej nocy naprawdę widział oraz słyszał przerażającego stwora. Przez moment, gdy umysł chłopaka wciąż jeszcze spowijały resztki snu, wydało mu się, że Nocny Wojownik to tylko senna mara. Lecz gdy już się do reszty obudził, jasno pojął, że spotkanie z monstrem wydarzyło się naprawdę. Zwlókł się z posłania, rozprostował zeszywniałe kończyny, rozruszał mięśnie, które przez całą noc musiały pozostawać w ogromnym napięciu. Owczarek wygrzewał brzuch na ciepłych kamiennych płytach przed kominkiem, w którym wciąż tlił się żar. Łeb złożył na łapach, opuścił uszy. Na powitanie pana delikatnie pacnął ogonem o podłogę.

- Tobie to dobrze - mruknął posepnie Will. - Nawet nie masz pojęcia, jak straszne rzeczy wyprawiały się zeszłej nocy.

Otworzył okiennice, wyjrzał. Spoglądał w nowy dzień. Jasny, słoneczny.

Poranek aż lśnił. Promienie słońca ślizgały się po śniegu, okrywającym wiejski pejzaż wokół Macindaw. Halt nauczył Willa, by zawsze na spokojnie przemyśleć minione wydarzenia. Należało, póki wciąż jeszcze obrazy ostatniej nocy nie zatarły się w pamięci, poszukiwać dla nich logicznego wyjaśnienia. Will poświęcił dziesięć minut na analizę faktów. Niechętnie przyznał, iż rzeczywiście widział postać. Słyszał jej głos. I był przerażony. Jak jeszcze nigdy w życiu.

Światło dnia nie przyniosło żadnych racjonalnych wyjaśnień. Nie naprowadziło na żadne dające się ogarnąć rozumem rozwiązania. W Lesie Grimsdell spotkało go coś niewytłumaczalnego.

Will westchnął przeciągle. Raz jeszcze pomyślał o ostatniej rozmowie z Haltem i Crowleyem. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto istniało normalne wytłumaczenie wszelkich zjawisk.

- Chyba trzeba wrócić i dowiedzieć się, co tam jest - przyznał cicho. Lecz na samą myśl o ponownej wizycie w Lesie Grimsdell młodego zwiadowcę przebiegł zimny dreszcz.

Nic dziwnego, że apetyt miał kiepski, kiedy zszedł na śniadanie do sali jadalnej. Zdołał jednak wcisnąć w siebie dwie ciepłe bułeczki, posmarowane malinowym dżemem. Kiedy

dopił do połowy drugi kubek kawy, jego skołatane nerwy niemalże wróciły do normy. Nie szukając towarzystwa, Will usiadł samotnie przy jednym z długich stołów. Wolał trzymać się z dala od ciasno zbitej grupki ludzi gawędzących cicho przy śniadaniu. Tam znalazł go paź.

- Minstrelu? - odezwał się chłodno. Mężczyzna wydawał się zbyt dorosły jak na pazia. Musiał być już po trzydziestce, co oznaczało, że nie znalazł dotąd uznania w oczach swoich przełożonych. Większość młodych paziów zatrudnionych na zamku z czasem obejmowało nowe stanowiska, takie jak giermkowie lub pomocnicy Mistrzów Sztuk. Ci, którzy nie awansowali, zazwyczaj bywali leniwi, kłótlivi albo głupi. Lub posiadali wszystkie te cechy naraz. Po kolejnej wypowiedzi pazia Will stwierdził, że tu najwyraźniej zachodzi właśnie czwarta możliwość. Gdy podniósł wzrok znad kubka z kawą, paź rozkazał:

- Bądź u lorda Ormana o dziesiątej.

Odwrócił się, odszedł. Przez chwilę Willa korciło, żeby przywołać ordynusa z powrotem i złać go za brak manier. Bądź co bądź, Will był zwiadowcą, przywykł więc do okazywanego zwiadowcom szacunku.

Potem dotarło doń, że w chwili obecnej nie był jednak zwiadowcą. Był minstrelem. Stwierdził z przykrością, że jawna pogarda Ormana okazywana wiejskim rybałtom musiała udzielić się także jego służbie. Wzruszył ramionami, postanowił puścić incydent w niepamięć.

W sali jadalnej znajdował się zegar wodny, więc Will sprawdził, że ma jeszcze ponad godzinę do spotkania z Ormanem. Przez moment zastanawiał się, dlaczego pan zamku pragnie go widzieć. Najpierw przyszło mu do głowy, że wezwanie ma coś wspólnego z wydarzeniami w Lesie Grimsdell, ale uświadomił sobie, że zapewne wciąż męczy go nazbyt rozbudzona wyobraźnia.

Uznał, że bardziej prawdopodobne jest, iż Orman chce widzieć minstrela w związku z wcześniejszym incydem zwanym z jego kuzynem, Kerenem. Im bardziej się zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że o to właśnie chodzi. Orman został zawstydzony przed całym zgromadzeniem. Możliwe, że bierze go chęć, by wyładować swój gniew na Willu. Młody zwiadowca podszedł do sprawy filozoficznie. Skoro nic nie mógł poradzić, nie było sensu się zamartwiać. Wiedział jednak, że w przyszłości przyjdzie mu ostrożnie stawiać każdy krok. Zrażanie do siebie pana zamku, byłoby nierozsądne. Nawet jeśli okazał się on wyjątkowo niemiły.

Wolną godzinę Will spędził w małej zamkowej bibliotece, mieszczącej się w jednej z narożnych wież, na przeszukiwaniu zakurzonych półek z księgami i zwojami. Chciał sprawdzić, czy natknie się na jakieś informacje dotyczące Nocnego Wojownika oraz

poszukać czegoś o sztuce czarnoksięskiej i zaklęciach. W obu przypadkach jego poszukiwania spełzły na niczym. Znalazł tylko niewielką księgę o czarach, chociaż zauważył kilka pustych miejsc na półce obok niej. W kilku pobieżnych opisach, dotyczących miejscowych dziejów, nie wspomniano o żadnym Nocnym Wojowniku. Sfrustrowany i zaaferowany wydarzeniami ubiegłej nocy, udał się do apartamentów Ormana na czwartym piętrze stołpu.

Gdy wszedł do pierwszego z pomieszczeń, sekretarz Ormana, niski mężczyzna, całkiem łysy, jeśli nie liczyć kępek siwych włosów nad uszami, podniósł wzrok. Przypominał zwiadowcy łysą wiewiórkę. Prędko poruszał głową z boku na bok, jakby chciał lepiej obejrzeć sobie gościa.

- Lord Orman mnie wzywał - rzucił Will. Nie było powodu przedstawiać się sekretarzowi.

- Aaach tak, tak, minstrel, nieprawdaż? Tędy, tędy. Lord Orman jest akurat wolny.

Wyskoczył zza stołu zasypanego papierzyskami, na wpół rozwiniętymi zwojami oraz grubymi księgami rachunkowymi i zniknął za solidnymi drzwiami, które wiodły do komnaty Ormana. Will usłyszał, jak w odpowiedzi po drugiej stronie odzywa się piskliwy, nosowy głos.

- Wejść.

Dając Willowi znak ręką, by szedł za nim, sekretarz otworzył drzwi komnaty i młodzieniec wkroczył do środka.

Orman stał przy oknie, wyglądając na znajdujący się poniżej zamkowy podwórzec. Komnata była wielka, pomimo dziennego światła oświetlona także świecami i oliwnymi lampami. Ogień na kominku w jednym z narożników ogrzewał salę, której ściany zasłaniały rzędy półek z książkami i ciężkie drewniane szafy. Jedna z nich była otwarta, Will zobaczył w jej wnętrzu zbiór zwojów. Przypomnił sobie, że Ormana otaczała sława uczonego. Jego pokój na pewno odzwierciedlał takie mniemanie.

- Minstrel, wasza dostojność - powiedział sekretarz, wskazując na Willa.

Orman odwrócił się od okna, przez kilka sekund w milczeniu przypatrywał się Willowi.

- To wszystko, Xanderze - rzekł, a sekretarz uklonił się i cicho wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Orman, który wciąż przyglądał się badawczo Willowi, nawet nie mrugnął. Usiadł przy stole w pobliżu okna. Obok stołu stały jeszcze dwa krzesła, ale nie dał znaku, żeby minstrel zajął któreś z nich, więc zwiadowca stał nadal. Czuł, jak na jego szyję i twarz wypęła rumieniec wywołany tak aroganckim traktowaniem. Zmuszając się, by wyglądać, jak

gdyby nic się nie stało, Will odwrócił oczy od Ormana i pozwolił spojrzeniu wędrować po pokoju. Wzrok zwiadowcy spoczął w końcu na stercie otwartych ksiąg i papierów zawałających olbrzymie biurko przy wewnętrznej ścianie.

- Mój kuzyn Keren wywiera negatywny wpływ na innych - Orman odezwał się wreszcie. - Lepiej zapamiętaj to sobie na przyszłość.

Will nic nie odpowiedział, tylko skłonił się, przyjmując słowa pana zamku do wiadomości. A zatem jego przeczucie okazało się słuszne.

Orman nie spodziewał się żadnej odpowiedzi, bo mówił dalej:

- Oczywiście, łatwo jest być „lubianym”, kiedy nie ma się obowiązków. A są w tym zamku tacy, którzy woleliby widzieć Kerena dzierżącego tu władzę... - Zawahał się. Will miał dziwne poczucie, że ten człowiek oczekiwał od niego, by skomentował ostatnie zdanie. Zachował jednak milczenie.

- Ale on jej nie posiada - ciągnął Orman. - Ja sprawuję tu rządy. Nikt inny. Czy to jasne?

Orman niemal wypuł z siebie ostatnie słowa z mocą, która zaskoczyła Willa. Odrobinę zbity z tropu, napotkał żarliwe, gniewne spojrzenie mężczyzny i skłonił się.

- Oczywiście, wasza dostojność - odpowiedział.

Orman pokiwał głową raz czy dwa, po czym podniósł się z krzesła. Zaczął krążyć po pokoju.

- Tedy zważaj w przyszłości na swoje maniery, minstrelu. Należy mnie traktować z respektem, jakiego wymaga moja pozycja. Może i jestem tylko tymczasowym panem zamku, ale nie wolno tego umniejszać ani tobie, ani Kerenowi. Czy to jasne?

- Tak, lordzie Ormanie - Will odpowiedział spokojnie. Był zaskoczony. Miał dziwne przeczucie, że pomimo okazywanego gniewu, Orman zdaje się niemal błagać o szacunek i uznanie.

Orman przystanął i wziął głęboki wdech.

- Bardzo dobrze. A skoro o tym mowa, mam świadomość, że nie jest twoją winą, iż nie dorastasz do standardów, jakie uważam za normę dla minstrela. Nie mam nic przeciwko wiejskim rymowankom i ludowym przyśpiewkom, ale nie mogą one równać się z klasyką. Piosenki dla prostaczków tylko ogłupiają umysły gminu. Uważam, że rolą śpiewaka jest uszlachetnienie ludzi. Wznoszenie ich ducha ku wyżynom. Ukazywanie słuchaczom wielkości kryjącej się poza ich własnym ograniczonym horyzontem.

Urwał, spojrzał na Willa i lekko pokręcił głową. Chłopak nie miał wątpliwości, że Orman uznał jego potencjał w uszlachetnianiu innych za żałośnie nieskuteczny. Ukłonił się po

raz kolejny.

- Żałuję, że jestem tylko prostym grajkiem, wasza dostojność - powiedział.

Orman przytaknął z niesmakiem.

- Z naciskiem na „prostym”, jak się obawiam - odparł.

Stojąc z pochyloną głową, Will czuł, jak jego policzki zaczynają płonąć. „Sza, wytrzymaj to”, powiedział sobie w duchu. „Skoro zamierzasz być minstrelem, musisz uodpornić się na krytykę”. Wziął kilka głębokich oddechów, odzyskując panowanie nad sobą. Orman bacznie mu się przypatrywał. Will zdawał sobie sprawę, że zniewagę zadano rozmyślnie. Pan zamku chciał zobaczyć, jak Will zareaguje.

- A jednak - Orman powiedział z niemal niechętnym uznaniem - grasz na instrumencie nadzwyczaj dobrym. Nie jest to może przypadkiem Gilperon, hm?

- To mandola - Will zaczął swoją typową odpowiedź. - Ma osiem strun, strojonych po... - Nie dane mu było mówić dalej.

- Wiem, że to mandola, na litość boską! - przerwał mu Orman. - Pytałem, czy została wykonana przez Axela Gilperona, zapewne najwybitniejszego lutnika w królestwie. Można by sądzić, że każdy zawodowy muzyk o nim słyszał. Nawet ty.

Will uświadomił sobie, że popełnił głupi błąd. Usiłował zamaskować go najlepiej, jak potrafił.

- Proszę o wybaczenie, wasza dostojność. Przesłyszałem się. Mój instrument wykonał dla mnie miejscowy rzemieślnik z południa, ale słynie on z kopiowania stylu mistrza. Oczywiście, ubogi wiejski grajek, taki jak ja, nigdy nie mógłby sobie pozwolić na prawdziwego Gilperona.

Will zaśmiał się kpiarsko sam z siebie, ale Orman nie przestawał się w niego wpatrywać, a podejrzliwość w jego oczach była aż nadto wyraźna. Zapadła niezręczna cisza, przerwana w końcu pukaniem do drzwi.

- Czego tam? - Orman rzucił gniewnie i drzwi uchyliły się nieznacznie. Sekretarz zajrzał do środka.

- Proszę o wybaczenie, lordzie Ormanie - powiedział - ale lady Gwendolyn z Amarle właśnie przybyła i nalega, żeby się z tobą zobaczyć.

Orman skrzywił się.

- Czy nie widzisz, że jestem zajęty?

Xander uchylił drzwi odrobinę szerzej, wykonując ukradkowe ruchy rękoma i wskazując na przedpokój za jego plecami.

- Ona jest tutaj, wasza dostojność - powiedział, zniżając głos.

Orman wykonał gniewny gest, gdy dotarło do niego, że składająca mu wizytę szlachetnie urodzona dama znajduje się już w jego przedpokoju.

- Dobrze więc, wprowadź ją - powiedział.

Łypnął okiem na Willa, który przesunął się w kierunku drzwi.

- A ty czekaj. Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Xander z wdzięcznością skinął głową i wycofał się.

Parę sekund później znów otworzył drzwi na oścież. Wkroczył do środka, po czym stanął z boku, przepuszczając gościa.

- Lordzie Ormanie, niech mi będzie wolno przedstawić lady Gwendolyn z Amarle. - Ukłonił się nisko, kiedy dama weszła do pokoju. Jasnowłosa, wysoka i piękna, odziana w kunsztowną jedwabną suknię barwy morskiej zieleni. Nosiła się z naturalną godnością i gracją osoby szlachetnie urodzonej. Will stłumił okrzyk zaskoczenia.

Lady Gwendolyn z Amarle była mu niewątpliwie lepiej znana jako Alyss.

Rozdział 21

Alyss sunęła w kierunku ubranego w szarą szatę pana zamku, ignorując Willa.

- Lordzie Ormanie - powiedziała. - Jakże to uprzejmie z twojej strony, że udzielasz mi schronienia na tych kilka tygodni!

Wyciągnęła ku niemu dłoń, wierzchem do góry, nie pozostawiając wątpliwości, kogo uważa za wyższego rangą. Orman z niechęcią pochylił się nad jej dłonią i musnął ją ustami.

- Tygodni, pani? - spytał. - Myślałem, że to kwestia kilku dni? Najwyżej tygodnia?

- Ależ z pewnością nie! - Alyss wzdrygnęła się lekko, wzburzona jego nieokrzesaniem.
- Drogi do zamku mojego narzeczonego są całkiem zasypane śniegiem, do tego słyszałam, że w tej okolicy grasują wilki i niedźwiedzie! Nie mogę przecież ruszać dalej, dopóki drogi nie staną się przejezdne, choć tak mi pilno spotkać się już z moim umiłowanym lordem Farrellem. Jestem pewna, lordzie Ormanie, że nie odmówisz mi gościny obiecanej przez twego nieszczęsnego, wielce mi drogiego ojca.

Orman znalazł się w pułapce. Interesujące, pomyślał Will, jak działała hierarchia wśród szlachetnie urodzonych. Choć tak zgorzkniały i gburowaty, Orman został zmuszony przez Alyss do uznania, że przewyższa go rangą.

- Oczywiście, że nie, lady Gwendolyn! - odpowiedział. - To było tylko pytanie, nic więcej.

Jednak Gwendolyn już z nim skończyła, i teraz przypatrywała się Willowi, jakby był jakimś niegodnym robakiem.

- A kogóż my tu mamy? - spytała, unosząc jedną brew.

- To minstrel, pani, przybył do nas samotnie zaledwie wczoraj.

- Czy ten minstrel jakoś się nazywa? - odparła, nie spuszczać oczu z Willa.

Will zawahał się. Przedstawienie go należało do Ormana. Ktoś z gminu nie mógł rozpocząć rozmowy ze szlachetnie urodzoną damą taką jak Gwendolyn. Obserwując grę sił pomiędzy tą dwójką, Will był pod wielkim wrażeniem, jak umiejętnie Alyss ciągnie rolę, której się podjęła.

- Will Barton, pani - powiedział Orman. Zmuszając lorda, żeby to on przedstawił jej Willa, ponownie podkreśliła swoją wyższą pozycję.

Will złożył głęboki ukłon.

- Do usług - rzekł.

Alyss przyglądała mu się w zamyśleniu, podpierając dłonią łokieć. Jej długie, smukłe palce gładziły policzek.

- Jesteś zdolnym muzykiem, Willu Bartonie?

Will zerknął z ukosa na Ormana.

- Jestem prostym grajkiem, pani - odpowiedział.

Orman pokręcił głową z lekceważeniem.

- Obawiam się, że ludowe piosenki i wiejskie przyśpiewki to kres jego możliwości. Trudno to nazwać sztuką wysokiego lotu.

- Ludowe piosenki? - powtórzyła Alyss i zaniósła się piskliwym śmiechem. - Ależ to będzie zabawne! Znakomicie, minstrelu, możesz mnie odwiedzić w moim apartamencie za godzinę. Być może twoje przyśpiewki pomogą mi zapomnieć o żalości, jaką napawa mnie rozłąka z ukochanym. - Rzuciła przelotne spojrzenie Ormanowi. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, Ormanie?

Orman wzruszył ramionami.

- Ani trochę, pani - powiedział. - Proszę, korzystaj ze wszystkich naszych zasobów.

Brew Willa uniosła się do góry. A więc stał się zamkowym „zasobem”? Czyżby? Na szczęście, zdążył opanować mimikę, zanim Orman coś zauważył. Uwaga pana zamku była bez reszty skupiona na Alyss, gdy ta odgrywała dalej rolę szlachetnie urodzonej damy.

- Zatem może mógłbyś rozkazać też w kuchni, żeby podano mi do pokoju lekki posiłek, Ormanie? - spytała. - Jestem zmęczona i głodna po podróży przez tę twoją ponurą wiejską okolicę. Jutro możesz mi przedstawić swoich domowników, ale przez resztę dnia wolę odpoczywać.

Orman skłonił się.

- Oczywiście, pani.

Will zauważył, że Alyss spojrzała na niego ponownie.

- Jednak zanim udam się na spoczynek, pozostaje jeszcze jedna czy dwie kwestie, o których moglibyśmy pomówić, Ormanie... - urwała znacząco, a Orman zrozumiał aluzję.

Przegonił Willa dyskretnym ruchem ręki.

- Dobrze, Barton, możesz iść. Dokończymy naszą rozmowę innym razem.

Will złożył głęboki ukłon.

- Lady Gwendolyn, wasza dostojność - powiedział i wycofał się do drzwi. Zignorowali go, jak należało się spodziewać, a Orman zaproponował Alyss, żeby usiadła.

- Pamiętaj, minstrelu - zawołała władcym tonem, kiedy Will był już przy drzwiach. -

W moich pokojach za godzinę. Być może nie będę gotowa cię przyjąć, więc będziesz musiał zaczekać, ale i tak tam bądź.

Will znów się uklonił.

- Oczywiście, pani - powiedział.

Gdy wychodził, usłyszał, jak szepcze do Ormana:

- A teraz, Ormanie, musisz mi opowiedzieć, na co cierpi twój nieszczęsny drogi ojciec!

Czy mogłabym jakoś pomóc?

Xander zamknął za Willem ciężkie drzwi, zanim zdążył usłyszeć odpowiedź Ormana.

Jak przystało na wielką damę, Alyss podróżowała ze znaczną świtą. Na jej asystę składali się: szambelan, dwie pokojówki i pół tuzina zbrojnych. Żołnierze zostali zakwaterowani w zamkowej sali sypialnej, podczas gdy sama Alyss i pozostali zajęli wielki apartament w stołpie. Will stanął w jej przedpokojach o wyznaczonej porze. Nie był pewien, czego się spodziewać, nie wiedział bowiem, ile osób ze świty Alyss zna jej prawdziwą tożsamość. Szambelan przywitał go chłodno i wskazał mu, żeby usiadł.

- Lady Gwendolyn powiedziała, że masz czekać - oznajmił wyniośle. Zerknął na futerał z instrumentem, który Will odłożył na bok. - Przyniosłeś swoją lutnię, czyż nie?

Will nabrał powietrza, szykując się do przemowy, ale postanowił dać temu spokój. Skoro wszyscy mieszkańcy świata chcieli myśleć, że grał na lutni, to kimże on był, by się z nimi sprzeczać? Szambelan przestał się nim interesować i zniknął w jednym z pokoi, zostawiając go samego.

Alyss kazała mu czekać przynajmniej z pół godziny. Zdawał sobie sprawę, że zwłoka całkowicie pasuje do charakteru roli, jaką odgrywała - lordowie i damy rzadko poświęcali choć jedną myśl niższym istotom, którym mogli kazać czekać - ale miał poczucie, że odrobinę przesadziła. W końcu szambelan pojawił się i skinął na niego, żeby wszedł.

- Lady Gwendolyn jest teraz gotowa cię przyjąć - oznajmił.

Will mruknął coś pod nosem. Ktoś o dobrym słuchu mógłby rozróżnić słowa: „Nie spieszyło jej się”, ale szambelan zdawał się niczego nie usłyszeć.

Will poszedł za nim do wielkiego pokoju dziennego. Alyss stała przy oknie, twarz miała niczym maskę, dopóki szambelan nie zamknął ciężkich drzwi. Wtedy jej wargi rozciągnęły się w ciepłym uśmiechu, i Alyss zbliżyła się, żeby ująć jego dłonie w swoje, muskając ustami jego policzek.

- Willu! - odezwała się cicho. - Jak cudownie znowu cię widzieć!

Jego złość ulotniła się w mgnieniu oka, odpowiedział uściśnięciem dłoni.

- Sam inaczej bym tego nie ujął - odpowiedział. - Ale co, u licha, cię tu sprowadza?

Alyss wyglądała na zaskoczoną. - Jestem twoją łączniczką - powiedziała. - Halt ci nie mówił?

Cofnął się o krok, zmieszany.

- Mówił, że to będzie ktoś, kogo rozpoznam. Nie miałem pojęcia, że zjawisz się ty. Nie miałem pojęcia, że ty... - Zawahał się, nie wiedząc, co dalej.

Alyss zaśmiała się łagodnie. To był jej naturalny śmiech, a nie piskliwe zanoszenie się rozbawionym chichotem, które odgrywała jako lady Gwendolyn.

- Nie miałeś pojęcia, że wplątałam się w tę szpiegowską historię? - powiedziała. Kiedy przytaknął, uśmiechnęła się i mówiła dalej: - Cóż, sam widziałeś mój sztylet. Czy sądziłeś, że kurierzy tak po prostu rozwożą wiadomości po całym królestwie?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Ehm... Tak, prawdę mówiąc. Ale to moje pierwsze zadanie tego rodzaju.

Puściła jego rękę i raptem przybrała bardzo rzeczowy ton.

- Marnujemy czas. Później wyjaśnię ci więcej. Ale najpierw musimy posłuchać, jak grasz.

To go zaskoczyło.

- Posłuchać, jak gram? - powtórzył, a ona szybko przytaknęła, wskazując ręką na futerał.

- Na swojej mandoli. To mandola, czyż nie? - dodała.

Skinął głową. Jakoś wcale go nie zdziwiło, że Alyss potrafiła właściwie nazwać instrument.

Rozpiął pasy spinające futerał, wciąż zadziwiony. Kątem oka zobaczył szambelana, który podszedł bliżej i przyglądał się uważnie, jak Will dostraja instrument. Zagrał akord.

- Tylko melodię. Nie kłopotz się śpiewaniem - powiedziała Alyss.

Marszcząc czoło, Will zaczął grać wstęp do „Góry Wallerton”. Szambelan jeszcze się zbliżył, przekrzywił głowę, uważnie się przysłuchując. Spojrzenie Alyss było utkwione w tym człowieku. Po jakichś szesnastu taktach starej ludowej melodii szambelan spojrzał na Alyss i krótko skinął głową, a ona ruchem dłoni dała Willowi znak, żeby przerwał. Wciąż niczego nie rozumiejąc, Will zagrał parę ostatnich nut i pytająco zmarszczył brew. Alyss odezwała się przyciszonym głosem, wskazując na szambelana.

- Oddaj mandolę Maksowi - poleciła. - On będzie grał, a my porozmawiamy.

Nareszcie Willowi rozjaśniło się w głowie, gdy przekazał instrument starszemu mężczyźnie. Maks wziął mandolę i bez typowego dostrajania czy drobnych poprawek, które

wykonywała większość muzyków, kiedy pożyczali od kogoś instrument, od razu zaczął grać. Will zdał sobie sprawę, że ten człowiek naśladuje jego własny styl. Wśród niższych dźwięków pojawiała się od czasu do czasu fałszywa nuta, a do tego lekkie zawahanie, gdy przesuwał się w górę, by zagrać wysokie arpeggio - czyli błędy, które Will nieustannie usiłował korygować.

Alyss odciągnęła go na bok, bliżej okna, lecz nie na tyle, by byli widoczni z zewnątrz.

- Teraz możemy pomówić - powiedziała - gdyby ktoś, nas podsłuchiwał, usłyszy tylko minstrela, wygrywającego serenady dla tej nadętej pannicy, lady Gwendolyn.

- A przy okazji, kto wymyślił lady Gwendolyn? - spytał Will.

Alyss pokręciła głową.

- Och, ona jest całkiem prawdziwa. Ma nieco mierny intelekt, ale jest niesłychanie lojalna. Kiedy dowiedzieliśmy się, że zaaranżowała przyjazd tutaj w tym miesiącu, zgodziła się, żebym to ja zajęła jej miejsce. To była idealna okazja, naprawdę. Zanim to wszystko się zaczęło, została zaproszona przez lorda Syrona, żeby spędzić tu zimę. Orman nie mógł sprzeciwić się decyzji ojca. Wiesz, straciłam sporo czasu, ćwicząc jej niemądry chichot - dodała.

Will uśmiechnął się.

- Czy to wszystko jest naprawdę konieczne? - zapytał, wskazując na Maksa, teraz lekko fałszującego wprowadzenie do „Serca Wildwood”.

Alyss wzruszyła ramionami.

- Może i nie. Lecz nie możemy być pewni, że nikt nas nie podsłuchuje albo nie obserwuje. To dlatego uznałam, że powinnam kazać ci czekać. Przepraszam cię za to.

Will wzruszył ramionami na znak, że przeprosiny są zbyteczne. Jej wyjaśnienia miały sens. Przypomniał sobie zamkową służbę, która widziała go w przedpokoju.

Każde z nich mogło w tej chwili składać raport Ormanowi. Zerknął na Maksa.

- Jest bardzo dobry - powiedział, a po chwili uściślił swoją opinię: - Chcę powiedzieć, że jest bardzo dobry w kiepskiej grze. - Uśmiechnął się szeroko. - Czy ja naprawdę gram aż tak źle?

Alyss dotknęła jego dłoni.

- Och, daj spokój. Nie jesteś znowu aż taki kiepski. Jednak nie mogliśmy pozwolić, żeby grał jak wirtuoz, i spodziewać się, że ludzie uwierzą, że to ty. A teraz powiedz mi, czego dowiedziałeś się do tej pory?

Will pokręcił głową.

- Niewiele ponad to, co już wiemy. Cała okolica jest przerażona nie na żarty. Nikt nie

puszcza pary z gęby. Nie widziałem Syrona, lecz Orman wydaje się być paskudnym typkiem.

Alyss przytaknęła.

- Zgadzasz się. Czy zauważyłaś księgi na jego biurku? - spytała. Will pokręcił głową, więc mówiła dalej: - Jedna to „Uroki i zaklęcia”. Druga to „Czary i czarna magia”. Były jeszcze inne, ale zdołałam dostrzec tylko te dwa tytuły.

Will skinął głową, nagle rozumiejąc.

- To tłumaczy puste miejsca na półkach w bibliotece - powiedział.

Alyss usiadła na dwuosobowej kanapie, podciągając stopy pod siebie. Willowi wydało się to wyjątkowo urocze.

- A co z jego kuzynem? Kerenem? - spytała. - Czy go spotkałeś?

- Tylko raz. Wydaje się, że to ktoś, kogo dobrze mieć w pobliżu. Prostolinijny. Rzeczowy. I nie lubią się z Ormanem. Zanim się zjawiłaś, Orman ostrzegł mnie, żebym trzymał się od niego z daleka - dodał.

Twarz Alyss przybrała wyraz zadumy.

- Byłoby ci niezręcznie utrzymywać z nim kontakty? - powiedziała.

Will skinął głową, a ona ciągnęła dalej:

- Być może ja mogłabym to robić. Przypuszczam, że flirtowanie z nim pasowałoby do lady Gwendolyn, zwłaszcza że jego pozycja jest niższa niż jej własna. Mogłaby mieć pewność, że nic by z tego nie wynikło.

Will trochę się zdziwił, gdy poczuł, że ten pomysł nie za bardzo przypadł mu do gustu. Keren był przystojny, sympatyczny, i jak zakładał Will, atrakcyjny dla kobiet, z tym swoim otwartym, niefrasobliwym sposobem bycia. Zobaczył, że Alyss uśmiecha się, jak gdyby potrafiła czytać w jego myślach.

- To lady Gwendolyn, a nie ja, będzie flirtować, Willu - wyjaśniła. - A ona jest zaręczona, więc tak jak mówiłam, i tak nic z tego nie wyniknie.

Ona może być zaręczona, ale ty nie jesteś, pomyślał Will. Po chwili otrząsnął się, odpędzając niemłą myśl. Uzmysłowił sobie, że Alyss tylko wykonywała swoje aktorskie zadanie.

Dziewczyna mówiła dalej:

- Zostawiłam człowieka za murami, w wiosce, przez którą przejeżdżałeś, na wypadek gdybyśmy musieli skontaktować się z Haltem i Crowleyem. Rozbił obóz w lesie i ma ze sobą pół tuzina gołębi pocztowych, jeżeli będziemy mieć do przesłania jakąś wiadomość.

Will odchrząknął nerwowo.

- Właściwie to jest coś, o czym, jak mi się zdaje, powinniśmy ich powiadomić -

przyznał.

Alyss umilkła i spojrzała na niego z zaciekawieniem. Will zawahał się, wiedząc, że to, co zamierza powiedzieć, zabrzmie dziwnie, ale i tak kontynuował:

- Zeszłej nocy w Lesie Grimsdell widziałem Nocnego Wojownika - powiedział.

Rozdział 22

Alyss słuchała uważnie, gdy Will relacjonował wydarzenia ubiegłej nocy.

W jakiejś chwili pomyślał, że Maks chyba także bacznie nadstawia ucha. Kiedy bowiem doszedł do momentu, kiedy olbrzymia postać wyłoniła się z mgły, zauważył, że muzyk opuścił kilka taktów. Uśmiechnął się z goryczą. Nie miał mu tego za złe.

Gdy opowiadał swoje przeżycia, Alyss od czasu do czasu robiła notatki w małym dzienniczku oprawionym w skórę. Teraz uważnie je przeczytała, lekko marszcząc brwi, dłonią podpierając podbródek. W końcu spojrzała na Willa.

- To musiało być straszne - powiedziała.

- I było. - Will nie wahał się przyznać do lęku. Znali się zbyt długo, żeby miał przed nią udawać. Poza tym, jego wyszkolenie oraz uczciwa natura nakazywały mu zdać prawdziwą i dokładną relację z tego, co zaszło, wliczając w to także własne odczucia.

Alyss przez parę sekund stuknęła palcami w stół, ponownie wpatrując się w swoje notatki. Potem przytknęła pióro do jednego z zapisanych punktów.

- Twój pies... - zaczęła. - A przy okazji, jak ona ma na imię?

- Jeszcze jej nie nazwałem. Wołam na nią po prostu „piesku” albo „panienko”.

Alyss kontynuowała:

- Mniejsza z tym. Powiedziałeś, że warczała, kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś poruszające się światło?

- Tak. - Czoło Willa zmarszczyło się, usiłował się domyślić, do czego zmierza Alyss.

- A kiedy usłyszałeś szepczące głosy, ona znów zareagowała?

Wrócił myślami do sceny w lesie, starając się odtworzyć to, co się naprawdę wówczas wydarzyło.

- Tak - odparł wreszcie. - Miała przechyloną głowę w taki sposób, jak to robią psy, gdy usłyszą dziwny dźwięk.

- A potem... - urwała i wróciła do czytania notatek. - Zobaczyłeś Nocnego Wojownika, dopiero później usłyszałeś jego słowa, zgadza się?

Przytaknął.

- Ile czasu upłynęło pomiędzy chwilą, gdy zobaczyłeś postać jeszcze milczącą, a następną chwilą, kiedy już usłyszałeś, że się odzywa? Między tymi dwoma momentami

nastąpiła może jakaś wyraźna przerwa?

Will raz jeszcze się zawahał, by wszystko sobie przypomnieć. Wiedział, jak istotne mogą być drobne szczegóły, chciał mieć całkowitą pewność, że właściwie je zapamiętał.

- Nastąpiła wyraźna przerwa - odpowiedział. - Może ze dwadzieścia uderzeń serca? Nie mniej. Trudno mi to dokładnie stwierdzić, umierałem ze strachu - dodał, a ona skinęła głową ze zrozumieniem.

- Nie winię cię. Ja uciekłabym znacznie wcześniej niż ty - odparła. Potem wróciła do punktu, który nie dawał jej spokoju.

- Stwierdziłeś, że kiedy postać przemówiła, pies poderwał się i zawarczał?

- Zgadza się. - I wtem coś go olśniło, na ułamek sekundy przed tym, nim Alyss wypowiedziała to na głos.

- A zatem wizja jej nie zaniepokoiła?

Will pokręcił głową.

- Nie. W chwili, gdy pojawiła się postać, moja suka wcale się nie przejęła. Wstała, lecz dopiero kiedy razem usłyszeliśmy głos. Do tej chwili leżała na ziemi... odprężona.

Alyss pokiwała głową.

- A zatem zareagowała na dźwięki i na światła... czego należy się spodziewać po psie, jeżeli były prawdziwe... lecz gdy pojawiła się wysoka na dwanaście metrów postać Wojownika...?

Urwała w pół słowa, a Will dokończył myśl:

- Nie zwróciła na nią uwagi. Nie widziała jej. Albo, jeśli ją zobaczyła, to nie zaniepokoiła się ani trochę, nie wywęszyła zagrożenia.

Alyss poprawiła się na krześle.

- Wiesz co, Willu, nie jestem ekspertem w dziedzinie zjawisk nadprzyrodzonych, ale wielokrotnie słyszałam, że zwierzęta wyczuwają obecność duchów na długo przed tym, nim zobaczą je ludzie. Jednak twój pies po prostu sobie leżał, niczym się nie przejmując, podczas gdy ty widziałeś olbrzymiego wojownika na tle mgły.

- Sądysz, że dopadły mnie jakieś majaki? - zapytał Will. Wypowiadając te słowa, poczuł falę gniewu. Alyss łatwo tu siedzieć w świetle dnia i tak myśleć. On wiedział, co zobaczył. Jednak Alyss już kręciła przecząco głową i wyciągała rękę, by dotknąć jego ramienia.

- Wiem, że widziałeś, co widziałeś. I wiem, że nie jesteś bojaźliwy. Twierdzę jednak, że nie natknąłeś się na żadnego ducha. Ten duch to jakaś sztuczka. Pies go zignorował, ponieważ wyczuł, że nie chodzi o coś realnego. Dźwięki, głosy, światła... One tworzą

prawdziwe zjawiska fizyczne. Ale postać powstała w wyniku jakiejś sztuczki, jakiegoś rodzaju iluzji.

Zapadła długa cisza, spoglądali na siebie nawzajem. Will wiedział, że oboje myślą o tym samym.

- Będę musiał tam wrócić i to zbadać, nieprawdaż? - powiedział.

- Będziemy musieli tam pójść i to zbadać - poprawiła go Alyss.

Will z wdzięcznością przyjął pomysł, by mu towarzyszyła, tak jak i myśl, że jej analityczny umysł zaangażuje się w to zadanie. Jednak, mimo wszystko...

- Następnym razem zamierzam się tam wybrać w biały dzień - stwierdził.

Alyss odpowiedziała uśmiechem.

- Po tym, co opowiedziałeś, stado koni nie zaciągnęłoby mnie do tego lasu po zmroku - przyznała.

Wieczorem Will znowu grał w sali biesiadnej. Alyss, jak wcześniej zapowiedziała Ormanowi, pozostała w swoim apartamencie. Rzekomo odzyskiwała siły po podróży. Jej przyjazd wzbudził spore zainteresowanie, zwłaszcza wśród pań na zamku. Szlachetnie urodzona dama z południa zapewne nosiła suknie projektowane wedle wymogów najnowszej mody, więc miejscowe niewiasty nie mogły się już doczekać, by je obejrzeć na własne oczy. Rozczarowała je mocno nieobecność nowo przybyłej, pewnie dlatego atmosfera nieco się zwarzyła. Orman opuścił salę jadalną wkrótce po zakończeniu posiłku, nim Will rozpoczął występ. Nie zjawiał się także Keren ani jego towarzysze. Zwiadowca zastanawiał się, czy sympatyczny młody wojownik również otrzymał ostrzeżenie od kuzyna.

Will uznał swój występ za całkiem znośny. Do tej pory oswoił się z publicznymi popisami, umiał już samokrytycznie oceniać poziom własnej gry. Publiczność okazywała zadowolenie, choć bez przesadnego entuzjazmu, co znakomicie pasowało do jego planów. Umówili się bowiem z Alyss na spotkanie następnego ranka, więc nie na rękę byłby mu długi występ w dusznej atmosferze sali biesiadnej.

Tak jak uzgodnili, godzinę po wschodzie słońca Will przejechał pod kratą zwodzonego mostu. Potężna brama otwierała się codziennie o świcie, gdy tylko straż zyskała pewność, że w najbliższej okolicy nie widać śladu żadnego nieprzyjaciela. Strażnik przyjrzał się Willowi mijającemu linię zamkowych posterunków.

- Na polowanie, minstrelu? - spytał, zauważywszy łuczek myśliwski, który Will przewiesił sobie przez ramię, oraz przytwierdzony przy siodle kołczan pełen strzał.

- Dla urozmaicenia posiłku nie ma jak dwa zające albo kuropatwa - odparł Will.

Strażnik uniósł brew, wskazując na łuczek.

- Z takim maleństwem trzeba podchodzić bardzo blisko - ocenił klasę broni. - Ale uprzedzam cię, że w tej chwili niewiele tu biega zwierzyny.

Will uśmiechnął się pogodnie.

- Ach, powiadają, że polowanie to nic więcej, jak tylko sposób pozwalający zepsuć rozkosz przejażdżki - zażartował.

Strażnik skrzywił się w uśmiechu, słysząc stary dowcip.

- W każdym razie powodzenia. I miej się na baczności. Chodzą słuchy, że niedaleko stąd widziano niedźwiedzia.

- Nie jadam niedźwiedzi - odpowiedział Will z całkiem poważną miną. Przez chwilę strażnik nie rozumiał, że minstrel żartuje. Potem jednak szczerze się roześmiał.

- Uważaj, żeby on przypadkiem nie zjadł ciebie - odparł, pokiwawszy głową.

Will ruszył na północny zachód od zamku, dumając w drodze, jak bardzo wygląda inaczej w oczach innych, odkąd wcielił się w postać rybaka. Nosząc strój zwiadowcy, przywykł zachowywać rutynowe milczenie. Zwiadowca nieodmiennie powściągał język, unikał wszelkich zbędnych uwag, a już na pewno nie zwykł był żartować. Nauczono go, że dzięki milkliwości, wpojonej każdemu członkowi Korpusu, zwiadowcy w oczach zwykłych ludzi stają się istotami jeszcze bardziej tajemniczymi. Dzięki milczeniu zyskiwali zresztą wiele. Każdy, kto sam powstrzymuje się od mówienia, łatwiej usłyszy, co mówią inni. Zdobywanie informacji stanowiło zaś specjalność zwiadowców. Jednak teraz Will, przywdziawszy szaty minstrela, wszedł w nową rolę. Teraz oczekiwano po nim skłonności do częstego żartowania. Fundował tedy żarty przy każdej nadarzającej się okazji. Nawet kiepskie. Zazwyczaj kiepskie, poprawił sam siebie.

Ujechał kilka kilometrów na północny zachód od zamku. Pies biegł w podskokach, jak zwykle z przodu, zerkając od czasu do czasu za siebie, by się upewnić, że Will z Wyrwijem za nim nadążają. Konik spoglądał na młodego owczarka z życzliwą tolerancją.

Poprzedniego wieczora, studiując w komnacie Alyss mapę okolicy, którą łączniczka ze sobą przywiozła, zaplanowali poranne spotkanie. „Wyjadę o pierwszym brzasku i udam się na wschód”, zaproponowała. „Ty ruszaj godzinę później, na północny zachód. Potem zatocz koło tym oto szlakiem. Spotkamy się na skraju Lasu Grimsdell”.

Odnalazł wąski szlak, który mu wskazała na mapie, i skierował tam Wyrwija. Dzień wstał pochmurny, wiatr lamentował w nagich koronach drzew, ale wciąż dawało się dostrzec przebłyski bladego słońca. Will, który właśnie je zauważył, stwierdził, że jest nieco spóźniony. Lekko ścisnął kolanami boki Wyrwija, konik przeszedł od wyciągniętego kłusa do

zebranego galopu. Suka, słysząc, że zmieniło się tempo, przyspieszyła, by odpowiednio dostosować własny bieg. Will patrzył na nią z zainteresowaniem. Ruchy owczarka były znakomicie wyważone - nigdy nie biegała szybciej niż potrzeba. Domyślał się, że, podobnie jak konik zwiadowcy, zdołałaby utrzymywać równe tempo przez cały dzień, gdyby ją o to poprosił.

Zbliżali się do Lasu Grimsdell. Pies pierwszy zauważył obecność Alyss. Puszysty ogon z białym czubkiem zamachał na powitanie, suka podbiegła do dziewczyny, na wpół ukrytej w cieniu pod drzewami. Wyrwij poruszył się, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ja też ją widziałem”. Will poklepał konika po szyi.

- Wiem - potwierdził.

Poprzedniego dnia Alyss, przyobleczona w piękną, modną suknię, olśniewała jako dama ze szlchetnego rodu. Teraz po wytwornej pani nie pozostał nawet ślad. Założyła krótką tunikę, szare rajtuzy oraz wysokie do kolan buty. Na ramiona zarzuciła opończę sięgającą bioder, myśliwska czapka z piórkiem okrywała lśniąco jasne włosy. Szare rajtuzy opinały długie, bardzo zgrabne nogi. Wąski sztylet w pięknie wykończonej skórzanej pochwie kołysał się przy szerokim skórzanym pasie, zbierającym tunikę w talii. Will stwierdził, że woli tę Alyss od idealnie ufryzowanej, dostojnie eleganckiej lady Gwendolyn. Dziewczyna uśmiechnęła się, a on podjechał bliżej.

- Spóźniłeś się - wyciągnęła ku Willowi rękę. Chwycił ją za nadgarstek i podciągnął. Wskoczyła na konika, sadowiąc się za plecami zwiadowcy, w okolicach kłębu. Objęła Willa rękoma w pasie.

- Gdzie twój koń? - zapytał Will. Bynajmniej nie przeszkadzało mu, że Alyss jedzie przytulona do niego. Nie przeszkadzały mu też jej zaciśnięte wokół niego ręce.

- Wyruszył dalej w drogę, wraz z moją świtą - odpowiedziała. - Oraz z kukłą lady Gwendolyn przytroczoną do siodła, osłoniętą płaszczem, którego nasza dama zazwyczaj używa jeżdżąc konno.

Will obrócił się odrobinę, żeby na nią spojrzeć.

- To naprawdę konieczne? - spytał.

Alyss wzruszyła ramionami.

- Może niekonieczne. Choć ledwie ujechaliśmy kawałek drogi, a już minęło mnie dwóch zbrojnych z zamku, podążających trop w trop za moim orszakiem. Nie wykluczam zbiegu okoliczności, ale kto wie? Grimsdell? - Wskazała niezbyt odległą, posępną, ciemną linię drzew. Will przytaknął.

- Zgadza się, Grimsdell - odpowiedział, czując w żołądku ucisk.

Pojechali z powrotem na południe, wzdłuż granicy lasu, aż znaleźli rozłupany dąb, wyróżniający miejsce, gdzie Will, dwie noce wcześniej, wkroczył do Grimsdell. Przy dziennym świetle nie uznali za konieczne, by zsiadać z wierzchowca. Wjechali między drzewa, co jakiś czas pochylając się ku przodowi, by uniknąć gałęzi oraz pnączy, wyrastających w poprzek wąskiej ścieżki. Pies cicho biegł przed nimi.

Wraz z zagłębianiem się w nieprzyjazny gąszcz niepokój zwiadowcy narastał. Zbyt dobrze został jednak wyszkolony, aby nie odnaleźć ścieżki, którą szedł tamtej nocy.

- Gdzie dostrzegłeś pierwsze światło? - zapytała Alyss.

Will przez moment wahał się, namyślał, wreszcie wskazał kierunek.

- Przesuwało się w tamtą stronę - powiedział. - Trudno mi ocenić dystans.

Alyss przyjrzała się krytycznie płataninie drzew oraz pnączom owijającym pnie.

- Nie sądzę, aby w grę wchodziła zbyt duża odległość między tobą a światłem. W przeciwnym wypadku nigdy nie przebiłoby się przez te chaszczki. Chodź - dodała, zsuwając się z siodła.

Will także zeskoczył. Dłoń Alyss wskazywała kierunek, który on wcześniej wyznaczył.

- Rozejrzyjmy się w tamtej części lasu - zaproponowała.

Will polecił Wyrwijowi zostać na ścieżce. Pstryknięciem palców nakazał psu, żeby pobiegł przodem w wybraną stronę. Owczarek z łatwością prześlizgiwał się przez poszycie, nurkując pod niskimi gałęziami. Jednak Will z Alyss przemieszczali się z większym trudem, więc po niedługiej chwili zdecydowali się skorzystać z obnażonej saksy do wyrąbywania szlaku w gąszczu. Alyss z pewnym zadziwieniem obserwowała, jak ciężkie ostrze tnące pnącza, grube pędy, radzi sobie nawet z młodnikiem.

- Dobrze mieć taką broń pod ręką - westchnęła.

Will przytaknął, stękając, bo akurat przerąbał grubą gałąź i odrzucił ją na bok.

- Saksa służy zwiadowcy za oręż oraz jako narzędzie - wyjaśnił.

Raptem, właściwie nagle, otworzyła się przed nimi jakaś droga, całkiem dobrze oczyszczona, zupełnie przejezdna.

- No, co teraz sądzisz? - Alyss z zadowoleniem kiwnęła głową.

Pies już czekał na nich, siedząc pośrodku wąskiej, ale niewątpliwie stworzonej ręką człowieka ścieżki. Biegła równoległe do szlaku, którym wcześniej jechali.

Rozdział 23

Alyss przebiegła wzrokiem po wąskiej ścieżce wyciętej wśród drzew.

- Pamiętasz, w którą stronę płynęło światło? - spytała.

Will, spodziewając się tego pytania, już kiwał głową.

- Nie mam absolutnej pewności - stwierdził - ale według mnie poruszało się właśnie wzdłuż tej ścieżki.

Alyss wskazała na ziemię.

- Nie jestem tropicielem - mruknęła. - Podobno zwiadowcy na tym się znają. Dostrzegasz tu jakieś ślady? Ktoś może tędy niedawno przechodził?

Will przyklęknął na jedno kolano, wpatrywał się w poszycie. Po chwili zmarszczył brwi.

- Niewykluczone - odpowiedział. - Trudno orzec. Widzę jakiś zatarty ślad. Jednak na szlaku można się spodziewać śladów, czyż nie?

- Owszem, choć nie zawsze ślad wskazuje, iż ktoś latał tam i z powrotem z latarnią. - Will w głosie łączniczki wyczuwał nutkę rozczarowania.

Przytaknął. Potem zastanowił się jeszcze raz. Przypominały mu się pierwsze lekcje u Halta. Zadarł głowę. Omiatał spojrzeniem korony drzew. „Na zawsze zapamiętaj, że trzeba sprawdzać dokładnie wszystko, co zdołasz zauważyć ponad czołem”, podszeptował mu w duchu mistrz. „Większość tropicieli pomija sprawdzanie tego, co ich przewyższa. Ten akurat kierunek poszukiwań mało komu przychodzi na myśl”.

Oczy Willa zwięziły się, gdy zauważył między drzewami coś, czego tam nie powinno być. Alyss, widząc zmienioną twarz zwiadowcy, także popatrzyła w górę.

- Co dostrzegłeś? - spytała.

Will ruszył w stronę potężnego drzewa, wpatrywał na nim chwytów dla dłoni oraz stóp. Znalazł.

- Pędy - odpowiedział. I wyjaśnił: - Pędy często zwisają z wyższych partii drzew. Tyle że jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się napotkać pędów, które by rosły prostopadle do pnia.

Wspinaczkę miał we krwi, więc wspiał się na drzewo w mgnieniu oka. Alyss odnosiła wrażenie, że sunie w górę po całkiem gładkiej powierzchni. Cztery metry nad ziemią zastygł. Alyss stwierdziła, iż jej przyjaciel przypatruje się zielonemu pnączu, które rosło wzdłuż

jednej z dłuższych gałęzi, następnie zaś przewieszało się w kierunku sąsiedniego drzewa, kołysząc się między obydwoma.

- Znalazłem sznur - zawołał do niej z góry. - Ufarbowany na zielono, ma wyglądać jak pnącze, ale to na pewno sznur. - Usatysfakcjonowany, przytaknął własnym słowom, po czym, bez żadnego wysiłku, zsunął się na ziemię. Po chwili znów stał obok Alyss.

- Nie ma potrzeby, by ktoś biegał tam i z powrotem ze światłem - powiedział. - Można je zawiesić na sznurze i używając bloczka, przeciągać w dowolną stronę.

Alyss czule tarosiła futro na głowie owczarka.

- Twoja młoda dama wywęszyła, a może nawet usłyszała kogoś, kto wprawiał sznur w ruch. Właśnie dlatego warczała. Idę o zakład, że gdybyśmy dobrze poszukali, znaleźlibyśmy więcej ścieżek takich jak ta i więcej pnączy rosnących poziomo.

- To ciągle jeszcze nie rozstrzyga problemu Nocnego Wojownika - wskazał Will, lecz Alyss tylko zachichotała.

- Zapewne. Z jednym wszelako zastrzeżeniem. Skoro straszliwy Nocny Wojownik istnieje naprawdę, dlaczego właściwie musi posługiwać się banalnymi sztuczkami ze światłem? Prawdopodobnie duch wywołany został przy pomocy kolejnej sztuczki. Takiej, która wymaga wprawy w stosowaniu efektów świetlnych. Ludzki tłum do tego zbędny. Jeśli mam wnioskować po psiej reakcji, nie sądzę, aby przedwczoraj w nocy ktoś się tu kręcił. Teraz pokaż mi, dokładnie, miejsce, z którego zobaczyłeś ducha.

Wrócili na główny szlak, gdzie Wyrwij czekał na nich spokojnie. Konik spojrzał z zainteresowaniem, jakby zastanawiał się, co go ominęło. Will sięgnął po zwinięty, umieszczony za siodłem koc, odwiązał, zaczął manipulować przy siodle. Alyss przyglądała się z ciekawością, jak Will wysuwa i dopasowuje do siebie części łuku refleksyjnego. Kiedy skończył, kilkoma zręcznymi ruchami założył cięciwę na łączysko. Potem wypróbował naciąg. Wreszcie spojrzał na Alyss z niezwykle zadowoloną miną.

- Uff, czuję się o niebo lepiej - sapnął, nakładając strzałę na cięciwę. - Skoro mamy ruszać na poszukiwanie tego przekłętego Nocnego Wojownika, wolę w rękach trzymać łuk.

Ruszył przodem. Prowadził. Przemierzywszy wspólnie nocny szlak Willa, dotarli nad brzeg jeziora. Także w świetle dnia prezentowało się złowieszczo. Przeciwległy brzeg zasnuwały welony falujących mgieł. Wodna toń, gładka, nieprzenikniona, przypominała czarny marmur. Bąbelki unosiły się ku powierzchni i pękały, jakby dawały znak, że w głębinie czają się dziwaczne stwory.

- Jesteśmy - oznajmił Will. - Stoimy najbliżej miejsca, które pamiętam. A postać wyrosła, o tam... - Patrzył teraz w stronę drugiego brzegu jeziora.

Alyss skierowała uważne spojrzenie w kierunku, który jej wskazał, następnie powiodła wzrokiem wzdłuż brzegu. Badala oczami odcinek, na którym ścieżka biegła tuż przy wodzie. W jednym miejscu wchodziła na mały cypek, porośnięty drzewami i krzewami.

- Popatrzmy sobie na cypek - zaproponowała.

Will poszedł za nią, coraz bardziej zaintrygowany.

- Co ci chodzi po głowie? - spytał. Było dlań jasne, że Alyss stworzyła jakąś teorię, a teraz ją sprawdza. Łączniczka milczała i uniosła dłoń, by powstrzymać go od zadawania pytań.

- Rozpatruję możliwości, nic więcej - rzuciła wymijająco. Jej oczy badawczo wpatrywały się w grunt przed nimi oraz prześlizgiwały wzdłuż obu poboczy ścieżki.

- Ty sobie poradzisz lepiej niż ja - stwierdziła w końcu.

- Spróbuj wytropić jakiś wyłysiały skrawek ziemi.

Will usłuchał. Omiatał grunt wywiczonym wzrokiem tropiciela, miejsce przy miejscu. Dostrzegł jakiś nikły ślad, który mógłby wskazywać, iż ktoś kręcił się tu przed nimi. Wcale nie da się wykluczyć, że dwie noce temu, pomyślał Will.

- Czy trzeba zwracać uwagę na coś szczególnego? - spytał, przeszukując systematycznie powierzchnię cypelka.

- Szukaj śladów spalenizny - poinformowała Alyss. W tym samym momencie Will zauważył wielką plamę. Zdziwiło go jeszcze bardziej, że trawa wokół plamy jest zniszczona i sucha, całkowicie niezgodnie z naturą podmokłego, jak cały las przy jeziorze, miejsca.

- Tutaj - wskazał.

Alyss przyklękła i po chwili rozcierała w palcach wysuszoną, kruszącą się trawę. Mruknęła do siebie z zadowoleniem.

- No dobrze - odezwał się Will. - Prosiłaś, bym znalazł wypaloną trawę, więc ją znalazłem. Teraz ja poproszę o wnioski.

- Pamiętasz pokazy latarni magicznej? - spytała. Gdy oboje byli jeszcze dziećmi, często oglądali w sierocińcu Zamku Redmont występy wędrownego sztukmistrza. Wykorzystując światło świecy, sztukmistrz przenosił na ścianę pokoju cienie rzucane przez różne wycinanki, takie jak gwiazdy, półksiężycy, czarownice i ich koty. - Zgaduję - ciągnęła - że twój Nocny Wojownik powstał na tej samej zasadzie.

- Przecież on był ogromny! - zaprotestował Will. - Wznosił się nade mną, lecz wyrósł z wody nie bliżej niż jakieś trzydzieści lub czterdzieści metrów od miejsca, gdzie teraz stoimy. Trzeba by potężnego źródła światła, żeby uzyskać tak niezwykły efekt. Alyss przytaknęła.

- Właśnie. Potężne źródło światła wymaga mnóstwa ciepła. Stąd wypalona ziemia.

- Jednak dystans... - zaczął Will. Bądź co bądź, pokazy, jakie oglądali w dzieciństwie, odbywały się wewnątrz pomieszczeń, a cienie padały ledwo o parę metrów od źródła światła.

- Istnieją sposoby, żeby skupić światło. Daje się stworzyć świetlny snop, Willu. Daje się, uwierz mi. Jest to wielce kosztowne i zaledwie kilku rzemieślników potrafi wykonywać niezbędne przyrządy. Jednak ci nieliczni potrafią. Weź potężne źródło światła, dodaj urządzenie skupiające, wytnij z czegoś sylwetkę. I oto, proszę, olbrzymi wojownik powstaje trzydzieści metrów przed nami.

- Na czym powstaje? - Will wciąż jeszcze rozważał teorię Alyss. - Brakuje tu ściany, na którą przenosisz obraz.

- Na mgle - wyjaśniła. - Gęsta mgła tworzy swojego rodzaju zasłonę. Zobacz, jak paruje. Mgła unosi się nad jeziorem. Drga. Dzięki drganiom obraz sprawia wrażenie, jakby migotał, pulsował. Zauważ, że i wtedy, nocą, mgła kłębiła się, poruszała.

Will pojął sens teorii Alyss. Gotów był uwierzyć w jej słowa. Tak, to wykonalne. Jeśli zatem ktoś napędził mu stracha za pomocą kuglarskich sztuczek, chętnie i z nawiązką odpłaci temu komuś za przerażenie, jakiego doświadczył dwie noce wcześniej.

- Ktoś zadaje sobie mnóstwo trudu, żeby utrzymać wszystkich z dala od Lasu Grimsdell. - Alyss zadumała się. - Tylko, dlaczego?

Willa ogarnął nagły gniew, łagodzony trochę poczuciem narastającej ulgi. Skoro cała sprawa daje się logicznie wytłumaczyć, skoro za wszystkim stoi realna osoba, skoro kuglarstwem trudni się człowiek z krwi i kości... Zwiadowcy spadł kamień z serca. I pragnął już tylko jednego. Trzeba tego kogoś przykładowo ukarać.

- Znajdźmy go. Wkrótce dowiemy się, w czym rzecz - zapewnił z ponurą zawziętością. Jednak Alyss, która przez cały czas zerkiała na słońce, pokręciła głową przecząco.

- Nie zdążymy teraz - stwierdziła. - Moja świta wraca za kilka minut po lady Gwendolyn. A skoro są śledzeni, trudno, żeby krążyli bez celu, czekając, aż ja się wyhasam w lesie.

- Świetnie - odpowiedział Will. - Ty wracaj. Ja od razu biorę się za szukanie tego...

Alyss położyła mu dłoń na ramieniu. Nie odrywała jej do chwili, kiedy chłopak, dygocząc z wściekłości, spojrzał na przyjaciółkę. Rozumiała stan młodego zwiadowcy. Wstrząsnęła głową prosząco.

- Nie teraz, Willu - szepnęła. - Nie teraz. Wrócimy tu później. Razem.

Will nic nie odpowiadał, więc ciągnęła łagodnie:

- Poszperajmy jeszcze trochę, dowiedzmy się kto, co i jak. Im więcej będziemy

wiedzieć, gdy znów wyruszymy na poszukiwania, tym lepiej. Przecież wiesz.

Z niechęcią przytaknął. Lata zwiadowczych szkoleń nauczyły go rozsądku. Rozumiał zasadę. Nim wkroczysz na terytorium nieprzyjaciela, powinieneś wcześniej starannie sprawdzić, jakie mogą się tam zdarzyć niespodzianki. Alyss, która nie odrywała oczu od zwiadowcy, spostrzegła, jak w jego źrenicach powoli gasną gniewne iskierki. Wreszcie zdjęła rękę z ramienia Willa.

- A teraz odwieź mnie z powrotem na skraj lasu - poprosiła.

- Racja - parsknął, wskakując na grzbiet Wyrwija. Następnie schylił się ku niej i pomógł wskoczyć na siodło za sobą. - Tylko że dałbym bardzo wiele, aby ten ktoś, kto ośmielił się upokorzyć mnie przedwczoraj w nocy, by ten... jak najszybciej otrzymał stosowną zapłatę.

Alyss opasała go ramionami. Ścisnęła lekko.

- Nie mam do ciebie żadnych pretensji - odrzekła. - I zyskasz jeszcze swoją szansę, uwierz mi. - Milczała później przez dłuższą chwilę. W drodze powrotnej Alyss od czasu do czasu nisko pochylała się ku grzbietowi Wyrwija. Starła się unikać pnączy wiszących nisko nad ścieżką i gałęzi tarasujących drogę. Wreszcie odezwała się znowu:

- Willu, proponowałabym wysłanie raportu. Warto przekazać Haltowi oraz Crowleyowi uzyskane do tej pory informacje. Może oni nam coś podsunąć?

Gołębie pocztowe używane dla potrzeb Służby Dyplomatycznej podlegały specjalnej tresurze. Zawsze umiały powrócić do ostatniego miejsca postoju. Gołąb powracający do swojego gołębnika był nadal gotów frunąć do punktu, z którego go wypuszczono. Nikt nie wiedział, jak ptakom udaje się zapamiętać trasę, ale okazywały się niezastąpione w charakterze skrzydlatych kurierów.

Alyss planowała dalej:

- Ja jestem śledzona, więc muszę wracać do zamku. Jednak ty mógłbyś skontaktować się z opiekunem gołębi i wysłać raport.

Will skinął głową na znak, że się zgadza. Miał mnóstwo do opowiedzenia swoim przełożonym, nawet jeśli brakowało jeszcze wniosków.

- Jak rozpoznasz twojego człowieka? - spytał.

- On rozpozna ciebie. Wie, co ma robić, kiedy cię ujrzy.

Powrócili na skraj lasu. Teraz łatwiej im było się przemieszczać. Will trącił Wyrwija piętami, konik zerwał się do kłusu. Wkrótce znaleźli się w małym zagajniku, skąd uprzednio wyruszali w głąb Grimsdell. Alyss prędko zsunęła się z siodła, przeczesując nerwowo wzrokiem drogę w tym miejscu, gdzie powinna stawić się jej swita. Na razie nie spostrzegła

kawalkady. Czyli śledzący orszak lady Gwendolyn szpiedzy również jeszcze nie nadjechali.

- Lepiej zejdź wszystkim z oczu - poprosiła.

Will przytaknął. Wycofał Wyrwija w cień pod drzewami. Pies, który pobiegł za nim, zaległ od razu w wysokiej śnieżnej zaspie.

Dwieście metrów dalej szlak zakręcał. Will uważnie obserwował zakręt. W pewnej chwili dojrzał wyłaniającego się pierwszego jeźdźca ze świty Alyss.

- Już są - rzucił cicho.

Alyss spiesznie pobiegła na skraj lasu, ku gęstej kępie krzewów. Rozpięła krótką opończę, ściągnęła przez głowę tunikę. Pod tuniką nosiła tylko krótką koszulkę. Will, zauważywszy nagie barki i ramiona łączniczki, odwrócił się prędko. Od strony krzaków dobiegał gorączkowy szelest, potem Alyss zawołała:

- Możesz otworzyć oczy. - Wydawała się nieco rozbawiona zmieszaniem Willa.

Spoglądał na biały strój do konnej jazdy, wypuszczony na rajtuzy, oraz na buty lady Gwendolyn. Opończa, tunika, pas ze sztyletem leżały zwinięte u jej stóp. Will zerknął na drogę. Czterooosobowa świta, ciasno otaczająca kukłę przywiązanej do konia Gwendolyn, już niemal się z nimi zrównała. Alyss, skulona wśród krzewów, dała znak swoim ludziom. Odwróciła się, pomachała Willowi z porozumiewawczym uśmiechem.

- Zobaczymy się w zamku - zachichotała.

Później, gdy orszak znalazł się w pobliżu kryjówki, doszło do małego zamieszania. Konie wierzgały, kręciły się, zamęt trwał przez dłuższą chwilę. Aż któryś jeździec rozwiązał węzeł podtrzymujący kukłę, która zsunęła się na ziemię. Zanim upadła, Alyss już wskoczyła na siodło. Kolejny dworzanin pospiesznie nachylił się i schwycił kukłę. W mgnieniu oka została zwinięta. Zniknęła. Orszak ruszył w drogę powrotną.

Odjechali. Will chwilę odczekał. Nie porzuczał jeszcze kryjówki w cieniu drzew. Orszak lady Gwendolyn nie zdążył zniknąć za horyzontem, kiedy Wyrwija zastrzygł uszami. Pies cicho warknął.

- Spokój - nakazał Will swym czworonożnym towarzyszom.

I dobrze uczynił, bo dwóch zbrojnych właśnie wyłaniało się zza zakrętu. Ostrożnie przepatrywali drogę, by zyskać pewność, iż zachowują bezpieczny dystans, nie zbliżając się do kawalkady, którą śledzili. Will zastygł, gdy go mijali. Odczekał parę minut, po czym wyjechał na drogę i skierował się na południe, żeby odnaleźć opiekuna gołębi Alyss.

Rozdział 24

Tego wieczora Will występował w kwaterze zbrojnych.

Minstrel, przybywszy do zamku, odwiedzał wedle przyjętego powszechnie obyczaju przeróżne miejsca. Zresztą, gdyby miał występować każdego wieczora w wielkiej sali, zgromadzeni już wkrótce znudziliby się wysłuchiowaniem ciągle tych samych pieśni. Od zbrojnych zaś minstrel miał prawo oczekiwać hojności, niekiedy nawet nadzwyczajnej. Skoro bowiem kwatrowali w małym, prowincjonalnym lennie, na takim odludziu jak Macindaw, nie za bardzo znajdowali okazję, by szastać pieniędzmi. Will liczył więc, że jego sakiewka stanie się znacznie cięższa, jeżeli występ przypadnie wojakom do gustu.

Każdy wędrowny rybałt spodziewał się od pana zamku drobnego wspomnienia gotówką na odjeździe, ale przedtem wynagradzano go głównie bezpiecznym schronieniem, stawą oraz dachem nad głową. Goniąc za żywym groszem, zazwyczaj mógł go znaleźć pośród żołnierzy albo w miejscowej oberży, o ile jakaś znajdowała się w pobliżu.

Will miał jeszcze inny powód, żeby odwiedzić kwaterę zbrojnych. Postanowił mianowicie nakłonić wojaków do zwierzeń. Pragnął poznać lokalne plotki, zwłaszcza jeśli dotyczyły przekłętego Lasu Grimsdell oraz czarnego jeziora. A nic tak skutecznie nie rozwiązuje języków, jak wieczór przy muzyce i szklanicy z trunkiem, pomyślał cierpko Will.

Siedział już na tyle długo w Macindaw, że miejscowi przywykli do obecności minstrela. Ludzie chętniej otwierali się przed nim niż przed kimś zupełnie obcym. Ponadto wojacy, dobrze uzbrojeni, stosunkowo bezpieczni za solidnymi murami zamku, czuli się pewniej od wieśniaków, którzy każdej nocy wracali spod „Pękniętego Dzbana”, brnąc w stronę samotnych domostw czy gospodarstw. Już samo to stanowiło wystarczający powód, by języki nieco łatwiej rozwiązywały się żołnierzom.

Will został przyjęty radośnie, gdy tylko się pojawił wśród zbrojnej załogi zamku. Tym bardziej, że dla ożywienia atmosfery wyciągnął od razu wielką flachę jabłkowej brandy. Jego typowy repertuar, złożony z ludowych piosenek, tańców oraz przyśpiewek, okazał się dokładnie tym, czego pragnęli ci akurat słuchacze. Dołożył kilka swawolniejszych utworów, których Berrigan także go nauczył, między innymi „Córkę starego Seully'ego” i rubaszną parodię pieśni „Rycerze, co się złą sławą okryli”, zatytułowaną „Rycerze, co portki pogubili”. Wieczór udał się nadzwyczajnie, a wraz z upływem godzin do futerału mandoli sypał się

gęstniejący deszcz monet.

Wreszcie na placu boju pozostał tylko on i pół tuzina wojaków, kiwających się wokół dogasającego ognia, ze szklaneczkami brandy w dłoniach. Will odłożył na bok mandolę. Dawał w ten sposób sygnał, że już koniec ze śpiewaniem, ale żołnierze i tak byli zadowoleni. Zapewnił im sporo uciechy. I znowu, kolejny raz, ogarnęło go dziwne wrażenie. Oto, występując ledwie godzinę lub dwie, zostawał przyjęty do grona słuchaczy jako znajomek od niepamiętnych czasów.

Gwarzyli teraz bez pośpiechu, podejmując tematy, które potrafiły ożywić znudzonych żołnierzy. O niedoskonałościach kobiet w okolicy. O monotonii zamkowego życia na odludziu. O tym, że zimowe śniegi odcięły ich od świata. Wojacy nudzili się, lecz spod nudy przebijał strach. Bo nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy plemiona Skottów zechcą przypuścić atak, naruszając granicę.

No, i w rozmowie wypłynęła wreszcie dręcząca zbrojnych tajemnicza choroba lorda. W miarę jak rozwiązywały się języki, Will dyskretnie próbował ich podpytywać o najważniejsze osoby i odkrył, że nie darzą nadmiernym szacunkiem syna władcy zamku.

- Żaden z Ormana wojownik - rzucił któryś pogardliwym tonem. - Wątpię, czy potrafiłby utrzymać miecz w prawicy, a co dopiero się zamachnąć.

Rozległy się pomruki na znak poparcia.

- Keren to wódz dla nas - odezwał się kolejny. - Prawdziwy mężczyzna, nie jakiś tam napuszony mól książkowy, z nosem wiecznie utkwionym w zwojach.

- Jednak Orman odziedziczył zamek, więc trzeba go znosić - westchnął inny.

- Co sądzicie o Syronie? - Will wreszcie odważył się zapytać.

Spojrzenia zbrojnych skupiły się na osobie minstrela. Czekali, aż odpowiedzi udzieli starszy sierżant, najwyższy wśród nich ranga.

- Dobry to człek. Dobry pan. Dzielny wojownik. I sprawiedliwy wódz. Ale obecnie przykuty jest do łoża. Trudno sądzić, że wyzdrowieje.

- Potrzebujemy go teraz bardziej niż kiedykolwiek, skoro Malkallam znowu grasuje w okolicy - dopowiedział kolejny żołnierz.

Will rozpoznał w nim strażnika, z którym rozmawiał, wyjeżdżając za mury parę nocy wcześniej.

- Malkallam? - spytał Will. - Ten mag, o którym wspominałeś, prawda?

Na chwilę zapadła cisza. Kilku obejrzało się za siebie, wlepiając wzrok w ciemność gęstniejącą poza migotliwym kręgiem paleniska. Później strażnik odpowiedział:

- Ano. Rzucił urok na naszego pana, Syrona. Czai się w tym przeklętym lesie,

otoczony przez te przeklęte stwory... - Zawahał się, nie wiedział, czy aby nie powiedział za dużo.

- Wybrałem się do Lasu Grimsdell owej nocy, choć uprzedzałeś - przyznał Will. - Twoje przestrogi tylko zaostrzyły moją ciekawość. I powiem ci, że tego, co zobaczyłem i usłyszałem, starczy, żebym na przyszłość trzymał się z dala.

- Tak też i ja pomyślałem - zgodził się strażnik. - Wy, młodzi, zawsze wszystko wiecie lepiej niż starsi, co wam dobrze radzą. Ciesz się, żeś uszedł cało. Inni nie mieli tyle szczęścia - dodał złowieszczo.

- Ale skąd się wziął ten cały Malkallam? - Will kuł żelazo, póki gorące. Kolejny żołnierz przyłączył się do rozmowy. Siwa broda i białe włosy świadczyły o jego długiej służbie na zamku.

- Mieszkał wśród nas przez lata - wyjaśnił. - Wszyscyśmy myśleli, że całkiem on niegroźny, ot, zwykły zielarz, normalny uzdrowiciel. Jednak tylko czekał na odpowiedni moment, pozwalając nam zatracić czujność. Wreszcie pojawiły się dziwne znaki. Umarło dziecko, chociaż wszyscy wiedzieli, że Malkallam był w stanie je uleczyć. Malkallam pozwolił mu umrzeć, tak powiadają. A inni gadają, że wykorzystywał duchy dla swoich niecnym celów. Byli tacy, którzy chcieli mu odpłacić za wstrętne czyny, ale zanim zdolał coś zrobić, uciekł do lasu.

- I na tym poprzestał? - drążył Will.

Żołnierz pokręcił głową.

- Krążyły opowieści... mroczne opowieści... że otacza się potworami. Koślawymi, szkaradnymi istotami. Stworami o złym oku, noszącymi piętno diabła, jak garbusy i karty, i nawet jeszcze gorszymi. Czasami widywano ich na skraju lasu. Wiedzieliśmy, że odprawia diabelskie czary. Kiedy na lorda Syrona spadł zły urok, zaraz zrozumieliśmy, kto go rzucił.

- To nie przypadek - dodał strażnik. Inni przytaknęli.

- A czym zajmuje się Orman? - ciągnął dalej stary wyga. - Do późna w noc gapi się w dziwaczne zwoje, kiedy porządni ludzie już dawno śpią w łóżkach. Trzeba nam przywódcy, kogoś, kto miałby odwagę stawić czoła Malkallamowi i wygnać go z Grimsdell raz na zawsze.

- Potrzeba nam większej załogi, jeżeli mamy być tu bezpieczni - stwierdził starszy sierżant. - Nie dalibyśmy rady szkaradom Malkallama, kiedy jest nas tylko dwunastu. Orman powinien zwerbować więcej ludzi. Dobrze, że przynajmniej Keren coś robi.

Wysłuzony żołnierz pokręcił głową.

- Nie jestem pewien, czy mi się podoba to, co on tu wyprawia - powiedział. -

Niektórzy z tych, których zwerbował, to bandyckie nasienie, gdyby mnie kto pytał.

- Kiedy trzeba ci mężczyzn zdatnych do walki, Aldousie Almsleyu, wybierasz z tego, co jest - odpowiedział starszy sierżant. - Chłopców z kościelnego chóru wokół siebie nie skrzyknął, jasne to jak słońce. Ale Keren potrafi nad rekrutami zapanować. Tak mniemam.

Will usłyszał właśnie coś całkiem nowego. Pilnie nadstawił ucha. Starannie jednak zważał, by jego twarz nie wyrażała nadmiernego zainteresowania. Udało mu się nawet ziewnąć, nim spytał tonem tak obojętnym, na jaki tylko potrafił się zdobyć:

- Rekruci Kerena?

Starszy sierżant skinął głową.

- Jak mówi Aldous, lepiej nie wnikać, co porabiali w przeszłości. Lecz nadejdzie czas, kiedy potrzeba nam będzie twardzieli. Wtedy nie będziemy się o nich spierać.

Will rozejrzał się po kwaterze.

- Oni tu nie mieszkają? - spytał.

Tym razem odpowiedział Aldous:

- Keren trzyma ich osobno. Kwaterują w stołpie. Powiedział, że tak lepiej, bo uniknie się okazji do sporów.

Było jasne, że żołnierze zamkowego garnizonu przyjęli tłumaczenie lubianego dowódcy bez zbędnych pytań. Will w zamyśleniu postukał szklaneczką o zęby. Może to i ma sens, pomyślał. Łączenie dwóch odrębnych oddziałów, trzymanie ich wspólnie w dość skromnych warunkach gwarantowało niechybne kłopoty. Jednak coś w tym wszystkim nadal wydawało mu się niepokojące.

- Pewnie ma rację - odparł starszy sierżant. - Kiedy rozważyć, co się dzieje między sir Kerenem i lordem Ormanem, to chyba trzeba sądzić, iż sir Keren myśli, że rozsądnie skupić wokół siebie grupę ludzi lojalnych. Nie, żeby miał się spodziewać jakichkolwiek kłopotów z naszej strony, ale...

- Chociaż - dodał Aldous - wiąże nas przysięga, musimy wypełniać rozkazy prawowitego pana zamku. A kiedy lord Syron nie jest zdolny do działania, panem jest tu Orman, czy nam się to podoba, czy nie.

- Przysięga przysięgą - wtrącił trzeci żołnierz - wątpię, żeby któryś z nas chciał walczyć przeciwko Kerenowi.

Mruknięciami wyrażali swoje poparcie. Ociągali się wszelako, wyrażając własne zdanie cichym pomrukiem. Ten i ów obejrzał się przez ramię. Mieli świadomość, jak niebezpieczne są opinie, które przed chwilą wyrazili. W końcu zapadło milczenie. Will uznał, że najlepiej już sobie pójść. Nie chciał, by później zastanawiali się, czy aby minstrel nie

wyciągał z nich podstępem informacji.

- Et - westchnął Will. - Jedno jest pewne. Skoro ludzie sir Kerena mieszkają w stołpie, to wystarczy nam resztką brandy. W butli zostało ledwie co na dzień.

Zarechotał, puścił w ruch butlę. Ochoczo napełniali podsunięte szklaneczki. Nastrój zdecydowanie się poprawił. Zwiadowca udał, że napełnia także własną szklanicę, chociaż przez cały wieczór unikał trunku. Sam przed sobą przyznał, że postępował bardzo dobrze, nie przesadzając z wysuszaniem butelki. Bo wiele faktów, które zgromadził tego wieczora, wymagało przemyślenia. Zaczął żałować, że nie zaczekał jeszcze jednego dnia, nim wysłał raport do Halta i Crowleya.

Kiedy Will zastanawiał się, czy nie pospieszył się zbyt, dwaj starsi zwiadowcy uważnie studiowali treść raportu, który znużony gołąb dostarczył im zaledwie pół godziny wcześniej. Lecący trasą na południe ptak walczył z burzami, zmagął się z wichurami, ale dał sobie radę w trudnych warunkach pogodowych, choć przybył do Zamku Araluen mokry, wycieńczony. Opiekun skrzydlatego kuriera delikatnie uwolnił mu nóżkę od pakieciku z wiadomością, następnie zaś umieścił wiernego posłańca w ciepłym gołębniku, który znajdował się w jednej ze strzelistych wież. Teraz, gdy już wypełnił powierzone zadanie, gołąb spał, nastroszywszy pióra, z łebkiem wetkniętym pod skrzydło.

Ale Halt i Crowley nie spali. Komendant zwiadowców przemierzał komnatę wzdłuż i wszerz. Halt po raz kolejny odczytywał skrótowy zapis Willa. W końcu siwobrody zwiadowca z chmurną miną łypnął w stronę przełożonego.

- Wolałbym, żebyś przestał tak chodzić - zaczął łagodnie.

Crowley gestem wyraził irytację.

- Martwię się, do licha - wypalił.

Halt uniósł brew.

- Doprawdy? - rzucił, z delikatną nutą ironii. - Cóż, skoro już zgodnie ustaliliśmy stan twoich uczuć, stwierdzając, iż rzeczywiście się martwisz, może zechciałbyś wreszcie zaprzestać tej nieustannej wędrówki.

- Jeżeli zaprzestanę, już nie będzie nieustanna, prawda? - Crowley szukał chyba zaczepki.

Halt wskazał krzesło po drugiej stronie stołu.

- Daj spokój, zrób mi przyjemność, usiądź.

Crowley wzruszył ramionami. Zrobił to, o co go poproszono. Usiadł aż pięć sekund, po czym poderwał się i znowu ruszył na wędrówkę. Halt mruknął coś pod nosem. Crowley

założył, zresztą słusznie, iż treści zawarte w Haltowym mruczeniu niekoniecznie zawierają pochlebstwa, więc wołał po prostu nie zwracać na nie uwagi.

- Sęk w tym - stwierdził - że raport Willa przynosi więcej pytań niż odpowiedzi.

Halt odruchowo przytaknął. Wprawdzie już się szykował, by stanąć w obronie dawnego ucznia, ale zdał sobie sprawę, że Crowley wcale nie krytykuje raportu Willa. Stwierdzał fakt, nic więcej. Zwięzła wiadomość rodziła mnóstwo pytań, na które brakowało odpowiedzi. Należało się zastanowić. Dziwne wizje, odgłosy w lesie, najpewniej wywołane przez nieznaną osobę lub osoby; napięcie w zamku wynikłe pomiędzy Ormanem i jego kuzynem; rzucająca się w oczy niezdolność Ormana do sprawowania rządów oraz fakt, że ktoś, zapewne Orman, kazał śledzić Alyss, gdy wybrała się na poranną przejażdżkę. Gdyby to wszystko zdarzyło się w jakiejś innej okolicy, zapewne potraktowaliby ów ciąg zdarzeń jako serię interesujących zbiegów okoliczności. W Macindaw, miejscu strategicznie tak ważnym, znajdującym się tuż przy granicy, należało uznać, iż aktualna sytuacja rysuje się groźnie. A jednak...

- Will przebywa tam od niedawna - burknął w końcu Halt.

Crowley ponownie opadł na krzesło. Rozsiadł się bokiem, z jedną nogą przewieszoną przez poręcz. Westchnął głęboko. Wiedział, że Halt ma słuszość.

- Wiem - odparł. - Ja tylko się zastanawiam, czy Will z Alyss zdołają to wszystko udźwignąć - wyjaśnił.

Halt starannie rozważał wątpliwości przełożonego.

- Ufam Willowi - stwierdził po chwili milczenia. Crowley dał znak, że się zgadza. Will, choć młody, już miał wysokie notowania w Korpusie Zwiadowców. Ceniono go znacznie wyżej, niż przypuszczał. - Pomnij na jeszcze jedno. Zdaniem Pauline, Alyss zalicza się do grupy jej najlepszych agentek. - Lady Pauline kierowała Korpusem Służby Dyplomatycznej. To ona przyjęła Alyss, to ona nadzorowała początki szkolenia łączniczki. Dbła o Alyss tak samo, jak Halt o Willa.

- Owszem. Oboje nadają się do tej misji, wiem. Zresztą, wysyłając zbyt wielu ludzi, ryzykujemy ujawnienie gry. Z tego wynikłaby raczej szkoda niż pożytek. Tyle że... męczy mnie dziwne odczucie. Jakby ktoś stał mi za plecami i choć go wyczuwam, nie umiem drania dostrzec. Rozumiesz?

Halt skinął głową.

- Mam takie samo wrażenie. Jednak, jeżeli przesadzimy z nadmiarem działań, zniszczymy całą przykrywkę.

Zapadło długie milczenie. Obaj się ze sobą zgadzali. Obu wszelako nadal dręczył ten

sam niepokój.

- Oczywiście, zawsze dałoby się podesłać jeszcze kogoś, tak na wszelki wypadek - zasugerował Halt. Crowley łypnął na przyjaciela.

- Uhm, gdyby wprowadzić jeszcze jedną osobę, nie uznałbym tego za przesadę.

- Kogoś, kto gwarantowałby silne ramię - ciągnął Halt. - Żeby ich osłaniał, gdyby było trzeba.

- Tak, też tak sędzę, poczułbym się lepiej, gdybym zyskał pewność, że w potrzebie otrzymają choć odrobinę wsparcia - przytaknął Crowley.

- No, rzecz jasna - dodał Halt - jeżeli podesłemy im właściwego człowieka, taki ktoś zdoła zapewnić trochę więcej niż tylko odrobinę wsparcia.

Spojrzenia starych towarzyszy broni i odwiecznych przyjaciół spotkały się nad stołem. Znali się od dziesiątków lat, przebyli wspólnie tyle kampanii, że żaden już ich nie umiał spamiętać. Jeden wiedział, co myśli drugi, zgadzali się ze sobą bez zbędnych słów.

- Horace? - zapytał Crowley.

Halt przytaknął.

- On - odparł.

Rozdział 25

Will nie miał pojęcia, że dowódcy Korpusu zdecydowali się wysłać pomoc. Gołąb, który zaniósł raport, jako jedyny wyuczył się trasy między lennem Norgate i Zamkiem Araluen. Tylko ten ptak więc zdołałby przynieść odpowiedź. Lecz potrzebował co najmniej trzech lub czterech dni, by nabrać sił niezbędnych do kolejnego przelotu. Wtedy, oczywiście, powróciłby do ostatniego miejsca pobytu, trafiłby zatem do człowieka pracującego dla Alyss w okolicy Macindaw. Dopóki Will by się z tym człowiekiem nie skontaktował, nawet by nie wiedział, że pomoc jest w drodze.

Gdyby jednak wiedział, mógłby się poczuć nieco pewniej. Horace, służący równie długo w Korpusie Rycerskim, jak Will w Korpusie Zwiadowców, po wielokroć dowiódł, ile jest wart. Jako czeladnik okazał się nadzwyczaj utalentowanym wojownikiem, urodzonym rycerzem, co przyznawali nauczyciele. Pokonał w pojedynku buntowniczego wodza Morgaratha, później nadzwyczajnie zasłużył się w wojnie z konną armią Temudzeinów. I więcej jeszcze. Budził grozę jako szermierz. Zaskarbił sobie sławę niepokonanego rębajły dzięki talentowi wykazanemu w dawnym pojedynku. Cała Gallia imię Rycerza Dębowego Liścia wypowiadała z podziwem. Położył zasługi tak wielkie, że król Duncan nie wahał się oficjalnie pasować go na rycerza, choć Horace odbył zaledwie połowę szkolenia rycerskiego.

Owego pogodnego zimowego poranka wieść, że Horace wyruszył w drogę, mogłaby z pewnością złagodzić niepokój, jaki wciąż nękał Willa. Nadał rozmyślał o tym, co usłyszał w kwaterze zbrojnych. Zamierzał spotkać się pod jakimś wiarygodnym pretekstem z Alyss, by wszystko z nią dokładnie omówić. Rozważał nawet, czy nie poszukać wsparcia u sir Kerena. Skoro młody dowódca garnizonu wyraźnie nie był w najlepszych stosunkach ze swoim kuzynem oraz utrzymywał pozostający tylko na własne rozkazy oddział, mógłby okazać się cennym sprzymierzeńcem. Jednak, nim Will zdecydowałby się na tak radykalny krok, musiał go najpierw przedyskutować z Alyss.

Pilnie też pragnął ustalić, kiedy wspólnie wezmą się do dalszych poszukiwań tajemniczego Malkallama. On to bowiem musiał stać za sztuczkami świetlnymi, on musiał wywoływać wizje, on również usiłował zniechęcić ciekawskich, powstrzymując każdego przed zaglądaniem do Lasu Grimsdell. Lecz Will wiedział, że zanim zdecyduje się na jakiś krok, powinien wymyślić sposób, żeby Alyss po niego posłała. Jako minstrel niskiego stanu

nie mógł wkroczyć do komnat damy bez uprzedniego zaproszenia.

Tymczasem ruszył do stajni, żeby sprawdzić, czy Wyrwij znajduje się pod dobrą opieką. Zabrał ze sobą z wieży sukę, gdyż zaczynała się wiercić niecierpliwie w czterech ścianach nieco zagraconego pokoju Willa. Niech dotrzymuje towarzystwa konikowi, postanowił. Zostawił je razem, a oba zwierzęta wydawały się zadowolone z odmiany. Wyrwij przybrał wobec psa postawę nacechowaną lekkim rozbawieniem, połączonym z poczuciem wyższości, podczas gdy pies zaakceptował kudłatego konika zwiadowcy jako zastępcę samego Willa. Zwiadowca wiedział, że suka się nie oddali, w pobliżu zaś czekało ją mnóstwo pasjonujących woni, odgłosów oraz zakamarków, więc w zamkowych stajniach nie groziła jej nuda.

Całe szczęście, że zostawił tam sukę. Kiedy bowiem przechodził przez dziedziniec, ujrzał znajomo wyglądającego mężczyznę, który właśnie mijał bramę, maszerując w stronę stołpu. Wysoki, ciemnowłosy, ciemnobrody. Z oddali Will nie potrafiłby dostrzec rysów. Jednak mężczyzna poruszał się w sposób, który Willowi nie był obcy. Wyglądał bardzo znajomo. Młody zwiadowca spostrzegł włócznię w prawej ręce przybysza. Choć niewątpliwie bardzo ciężka, nowo przybyły niósł ją niczym piórko. Will, pomyślawszy chwilę, wreszcie skojarzył. Znał tego człowieka.

John Buttle. Przekazał go załodze skandyjskiego okrętu w dalekim lennie Seacliff.

- Co on, do diabła, tu robi? - Will mruknął sam do siebie. Odwrócił się pospiesznie i uklęknął na jedno kolano, udając, że zawiązuje rzemyk przy bucie. Na szczęście Buttle nie patrzył w stronę zwiadowcy. Wszedł do stołpu. Will się wyprostował, rozmyślając gorączkowo. Buttle wciąż jeszcze powinien był bezpiecznie zimować na Skorghijl wraz z załogą morskich wilków, setki kilometrów na północny wschód, daleko stąd. Jednak pojawienie się zbira tutaj stwarzało prawdziwy problem. Skoro on podsłuchiwał rozmowę między Willem i Alyss w Seacliff, oraz skoro wiedział, że...

Will zastygł. Alyss! Buttle ją spotka, a wtedy z łatwością rozpozna łączniczkę. Oczywiście, Will przekonywał sam siebie, wyszukane uczesanie i takiż strój zmieniły Alyss w wysoko urodzoną damę. Kiedy Buttle śledził ją w Seacliff, nosiła prostą, choć elegancką szatę kurierki, a włosy miała rozpuszczone. Lecz nikt nie zdołałby zapomnieć wyjątkowej figury Alyss. Jeśli tylko starczy mu czasu, rozpozna dziewczynę. A gdyby do tego doszło, zorientuje się natychmiast, że nie ma do czynienia z trzpiotowatą lady Gwendolyn, tylko z wyszkoloną kurierką Służby Dyplomatycznej.

Willa raczej nie rozpozna. Nie spodziewa się go w jaskrawym, krzykliwym odzieniu minstrela. Buttle wiedział, że Will należy do Korpusu Zwiadowców, oczekiwałby więc kogoś

noszącego prosty strój o przygaszonych barwach. Jak nauczał Halt, ludzie często widzą to, co zamierzają zobaczyć. Zresztą, uprzednio walczyli w cieniu drzew, a tam światło nie było najlepsze. Rozpoznawszy wszakże Alyss, szybko skojarzyłyby jej wizytę w zamku z obecnością innego obcego.

Pierwszy krok Willa wydawał się zatem oczywisty. Musiał natychmiast ostrzec Alyss. Będzie zmuszona trzymać się na uboczu, dopóki jakoś nie uporają się z nową przeszkodą.

Ruszył w stronę wejścia do stołpu. Ale się zawahał. Buttle wszedł tam przed chwilą, Will nie miał pojęcia, gdzie może teraz przebywać. Może jest tuż przy wejściu, w wielkiej sali. A może gdzieś się oddalił. Zwiadowca rozejrzał się dokoła, szukając innego sposobu dostania się do środka. Wiedział, że kucharze wychodzą drzwiami prowadzącymi na tyły dziedzińca. Postanowił przejść tamtędy.

Nim zdążył choćby drgnąć, na jego ramieniu spoczęła czyjaś ciężka dłoń.

Will odwrócił się i stwierdził, że spogląda prosto w srogą twarz starszego sierżanta. Dwaj inni zbrojni z garnizonu czekali nieopodal, dłonie zaciskali na główkach mieczy. Z przyjaznej atmosfery poprzedniego wieczora nie pozostał nawet ślad. Trzem zbrojnym nie było do żartów.

- Stój, minstrelu - odezwał się starszy sierżant. - Lord Orman pragnie zamienić z tobą słówko.

Will ocenił sytuację. Starszy sierżant, poruszał się wolno. Pozostali dwaj to zwykli zbrojni, ich sprawność w fechtunku zapewne nie stała na zbyt wysokim poziomie.

Will niewątpliwie poradziłby sobie co najmniej z dwoma, nim zdążyliby sięgnąć po broń. Jednak nadal pozostałby jeden, ten zaś zdążyłby podnieść alarm. Brama i most zwodzony znajdowały się trzydzieści metrów dalej, obsadzone przez kolejnych trzech lub czterech zbrojnych. Will nigdy nie wydostałby się z zamku, gdyby teraz spróbował stawiać opór. Jedyne, co mógł zrobić, to użyć podstępny. W ciągu mniej niż pół sekundy wiedział, co powinien czynić.

- W porządku, panie sierżancie - odparł, uśmiechając się. - Złożę mu wizytę, gdy tylko dokończę to, co mam akurat do zrobienia.

Dłoń przytrzymująca ramię zwiadowcy ani drgnęła.

- Teraz - powiedział stanowczym tonem sierżant.

Will poniechał sprzeciwu.

- Oczywiście, skoro ma być teraz, niech będzie teraz - odpowiedział. - Prowadź.

Pokazał żołnierzowi, by ruszał przodem. Doświadczony wojak ani drgnął. W jego oczach nie było ni krzty rozbawienia.

- Ty pierwszy, minstrele - warknął.

Will miał nadzieję, że drgnięcie jego ramion wyglądało na gest obojętności. Pierwszy ruszył przez dziedziniec. Trzej zbrojni zajęli miejsca wokół - starszy sierżant z tyłu, pozostali dwaj po bokach. Ciężkie buciory tupotały na bruku, gdy zbliżali się do wejścia.

Will odmówił w duchu bezgłośnie modlitwę, błagał by po drodze nie natknęli się na wychodzącego z zamku Buttle'a. Ktoś ostentacyjnie prowadzony przez uzbrojonych żołnierzy z pewnością przyciągnąłby uwagę. Gdyby Buttle przypatrzył się uważniej, mógłby go rozpoznać, niezależnie od stroju minstrela.

Weszli. Na szczęście po dawnym więźniu Willa ślad zaginął. Starszy sierżant dźgnął więźnia twardym, tępo zakończonym przedmiotem. Will zdał sobie sprawę, że tamten wyciągnął ciężką pałę, którą nosił za pasem.

Skierowali się ku schodom prowadzącym do pokoi Ormana.

Wedle zwyczaju, schody skręcały w prawo, tak by napastnik mieczem torujący sobie drogę w górę musiał odsłonić całe ciało, by posłużyć się bronią, podczas gdy obrońca, znajdujący się wyżej mógł zadawać ciosy, odsłaniając tylko prawą rękę i bok. Kiedy wspinali się w górę, Will słyszał, jak za jego plecami starszy sierżant, zaczyna ciężko sapać, zaś dwaj mężczyźni, pilnujący go po bokach, zostają na wąskich schodach w tyle. Will uzmysłowił sobie, że tutaj umknąłby im z łatwością. Jednak pozostawało w mocy pytanie, dokąd się później uda? Raz jeszcze postanowił grać na zwłokę, wypatrując lepszej okazji. Wiedział, że gdyby spróbował ucieczki, wszelkie pozory niewinności wzięłyby w łeb. Postanowił zaczekać, aż szanse wzrosną. Tutaj, w samym sercu zamku Ormana, w asyście zbrojnych, na schodach wiodących w górę, bez odwrotu, sytuacja nie wyglądała zbyt różowo.

Dotarli do komnat na czwartym piętrze. Will zawahał się przy drzwiach do przedpokoju lorda, ale pała ponownie wbiła mu się w plecy.

- Naprzód! - nakazał ponury głos starszego sierżanta.

Nie mając innego wyboru, Will uczynił, co mu kazano.

Xander siedział przy swoim biurku w poczekalni. Podniósł wzrok, kiedy wkroczyli bez pukania. Nawet jeśli widok minstrela prowadzonego przez trzech zbrojnych zaskoczył łysą wiewiórkę, sekretarz zachował kamienny spokój. Uniósł rękę, dając znak, żeby stanęli, po czym wysunął się zza zaszypanego papierami stołu i otworzył drzwi do gabinetu. Will usłyszał jego spokojny głos.

- Żołnierze przyprowadzili Bartona, wasza dostojność - poinformował.

Z wnętrza pokoju dobiegło niewyraźne mruknięcie. Xander uklonił się prędko, natychmiast wyszedł, dając znak starszemu sierżantowi oraz Willowi.

Pała znowu dźgnęła Willa w plecy. Irytujący nawyk. Willa ogarnęła pokusa, by odebrać oręż starszemu sierżantowi, a następnie samemu dźgnąć go raz i drugi. Jednak stłumił chętkę. Prawdę mówiąc, był ciekaw, czego Orman od niego chce. Zresztą, jeśli lord nie zamierzał wzywać więcej strażników, Will był spokojny, bo wiedział, że w każdej chwili zdoła uciec.

Orman siedział za biurkiem. Will zauważył, że księgi poświęcone magii wciąż znajdowały się wśród papierów. Jedna z nich otwarta była na stronicy zaznaczonej skórzaną zakładką. Orman, ubrany w charakterystyczną dlań ciemną szatę, zdawał się schylać nad wielkim, drewnianym fotelem, jak gdyby coś go bolało. Poruszył się niezdarnie, gdy dawał Xanderowi znak ręką, żeby wyszedł. A kiedy się wreszcie odezwał, głos lorda potwierdził pierwsze wrażenie. Wypowiadał słowa z trudnością, oddychał ciężko, z przerwami.

- Dobrze się spisałeś, starszy sierżancie. Sprawiał jakież kłopoty?

- Żadnych, panie. Szedł zupełnie spokojnie - oznajmił żołnierz.

Orman powoli skinął głową.

- Dobrze. Dobrze - mruknął sam do siebie.

Nastała chwila milczenia, gdy z trudem łapał oddech. Wreszcie pstryknął palcami na starszego sierżanta.

- Świetnie. Możesz nas zostawić. Czekać na zewnątrz, proszę.

Stary wojak zawahał się.

- Wasza dostojność jest pewny? - spytał z wahaniem. - Więzień może próbować... -

Urwał w pół zdania. Nie wyobrażał sobie, co Will mógłby właściwie zrobić. W rzeczy samej, nie orientował się nawet, czy Will faktycznie został uwięziony. Rozkazano mu wziąć ze sobą dwóch ludzi, natychmiast sprowadzić minstrela, więc sierżant założył, że szykują się kłopoty. Teraz, kiedy Orman go odprawił, zaczął się zastanawiać, czy nie chodzi po prostu o towarzyskie spotkanie, i przypomniał sobie z niepokojem, jak przez całą drogę po schodach dźgał Willa pałą.

- W porządku. Wyjdz. - Orman z trudem szeptał, ale w jego głosie słyhać było wielkie rozdrażnienie.

Will pomyślał, że z całą pewnością lorda nieźle łupie ból. Zbrojny stanął na baczność, po czym rozległ się tupot buciorów, gdy maszerował w stronę drzwi. Tam sierżant zatrzymał się, wciąż niepewny, co dalej robić.

- Poczekać na zewnątrz, wasza dostojność - bąknął, po czym dodał: - ...z moimi ludźmi.

- Tak. Tak. Uczyn tak, skoro chcesz - odpowiedział Orman.

Drzwi zamknęły się, starszy sierżant wyszedł. Orman wstał chwiejnie, wyraźnie oszczędzając lewą stronę ciała. Will dostrzegł, że lewą rękę przyciska do boku, jakby dokuczały mu połamane żebra. Skrzywił się, gdy obchodził stół. A potem stanął przed Willem. Z trudem łąpał oddech. Pokonanie nawet tak krótkiego dystansu okazało się dla niego niesłychanym wysiłkiem. Will ruszył w stronę dostojnika.

- Lordzie Ormanie, wszystko w porządku? - zapytał, ale tamten tylko uniósł dłoń, przerywając minstrelowi.

- Nie. Jak sam widzisz, nie. Jednak niewiele możesz na to poradzić.

- Jesteś ranny? - spytał Will. - Posłać po uzdrowiciela?

Orman pokręcił głową, z jego ust dobiegł chrapliwy śmiech.

- Wątpię, by którykolwiek z uzdrowicieli w tym zamku zdołał poradzić sobie z moimi dolegliwościami - jęknął. - Nie. Potrzebna mi pomoc innego rodzaju. - Przerwał. Jego oczy wpijały się w Willa. Zapłonęły niczym węgle, gdy dodał: - Potrzebna mi taka pomoc, jakiej udzielić mi może tylko zwiadowca.

Rozdział 26

Przez chwilę w komnacie panowała cisza. Willowi odebrało mowę. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewałby się usłyszeć od Ormana. Opanował się, choć wiedział, że zareagował zbyt późno. Ale postanowił nadal zachowywać pozory.

- Jaki zwiadowca, lordzie Ormanie? - udał zdziwionego. - Dlaczego sądzisz, że ja wiem cokolwiek o zwiadowcach? Rozmawiasz przecież ze zwykłym minstrelem. - Zmusił się do kpiarskiego uśmiechu. - W dodatku, jak sam podkreślałeś po wielokroć, minstrel ze mnie bardzo kiepski.

Orman lekceważąco machnął ręką. Osunął się na jedno ze stojących przy biurku krzeseł. Krzywił się z bólu.

- Nie próbuj mnie zagadać. Brak mi już sił. Słuchaj, potrzebuję pomocy. I to szybko. W końcu mnie dopadli, tak jak mojego ojca. Sam widzisz, że jestem chory. Nie minie wiele czasu, nim pograżę się w śpiączce. A wtedy nic ich nie powstrzyma.

- Ich? - zapytał Will. - Kim są „oni”?

Orman znowu jęknął, trzymając się za bok i brzuch. Kolejna fala bólu zgięła go wpół. Will zobaczył, że pot spływa po obliczu lorda. Było z nim źle.

- Keren! - Orman wystękał w końcu. - A myślałeś, że kto, u diaska? To on jest odpowiedzialny za chorobę mojego ojca. To on usiłuje przejąć zamek!

- Keren? - powtórzył Will. - Ale... - Urwał.

Orman, przez chwilę nieco silniejszy, gdyż ból odrobinę zelżał, syczał dalej ze złością:

- Och, niewątpliwie. Oczarował cię, jak wszystkich innych. Pewnie wyobrażałeś sobie, że to ja stoję za spiskiem, mającym na celu pozbycie się mojego ojca? - Spojrzał w twarz Willowi, szukając potwierdzenia. Ujrzawszy je w oczach młodzieńca, zrezygnowany skinął głową. - Większość ludzi tak uważa. Łatwo jest podejrzewać kogoś, kto nie jest lubiany, czyż nie?

Will nie znajdował odpowiedzi. Gdy teraz się zastanowił, to rzeczywiście, dostrzegwał w słowach lorda jakąś logikę. Nie lubił Ormana, niechęć zatem doprowadziła go do wniosku, że tymczasowy lord Macindaw to osoba, której nie należy ufać. Prawem kontrastu, otwarta i przyjazna natura sir Kerena sprawiła, że Will potraktował go jako potencjalnego sojusznika. Był jednak ostrożny, aktualne wnioski opierał przecież wyłącznie na słowach Ormana.

Mężczyzna o ziemistej cerze ciągnął:

- Posłuchaj, możesz sobie być, kim chcesz, ale wątpię, żebyś naprawdę był minstrelem. - Podniósł dłoń, żeby powstrzymać odruchowy protest Willa. - Masz niemały talent, jak sądzę, chociaż twoja muzyka nie przypadła mi do gustu. Jednak zdradziłeś się tego dnia, gdy wezwałem cię tu na rozmowę.

- Zdradziłem się? - Umysł Willa przywołał wspomnienie pierwszej rozmowy z Ormanem, tuż przed przyjazdem Alyss.

- Spytałem cię o twoją mandolę, pamiętasz? Zapytałem, czy to Gilperon.

- Tak - Will odpowiedział powoli. Zastanawiał się, dokąd to wszystko zmierza. Przypomniawszy sobie chwilę zakłopotania, kiedy Orman zadał mu pytanie o lutnika, który zbudował mandolę. Starał się ukryć fakt, że nigdy nie słyszał o mistrzu nazwiskiem Gilperon. - Jego nazwisko po prostu wyleciało mi z pamięci, lordzie Ormanie - wyjaśnił. - Jak wspominałem, wiejski muzykant nigdy nie zdołałby sobie pozwolić na prawdziwy instrument Gilperona, więc zwyczajnie na chwilę zapomniałem, o jakie chodziło ci nazwisko.

- Nie istnieje żaden Gilperon. Nazwisko mistrza brzmi „Gilet” - odparł chłodno Orman. - Każdy prawdziwy minstrel powinien to wiedzieć.

Rozgniewany Will na moment zamknął oczy. Podstęp, na jaki złapał go Orman, był stary jak świat. Ale zadziałał. Teraz Will nie wiedział, jak wygrzebać się z tej sytuacji.

Orman wyjaśniał dalej:

- Potem obejrzałem twojego konia. Bardzo kojarzy się z rasą, jakiej używają zwiadowcy. Został też, zdaje się, znakomicie wytresowany. Nawet twój ubiór dostarcza poszlak. - Wskazał na jarmarczną, czarno-białą opończę Willa. - Przypomina kamuflujące peleryny noszone przez zwiadowców. Oczywiście, barwy są inne, ale w zimowym krajobrazie, takim jaki ten tutaj, czerń i biel sprawdzają się idealnie. Domyślam się, że na wolnym powietrzu potrafiłbyś w mgnieniu oka wtopić się w otoczenie, gdybyś tylko zechciał.

- Fascynująca teoria, wasza dostojność - odparł Will. - Ale, niestety, oparta w gruncie rzeczy tylko na serii zbiegów okoliczności. - Dostrzegł przelotny gniewny błysk w oczach Ormana. Lord odrzekł:

- Nie marnuj mojego czasu. Niewiele mi go zostało. Udało im się mnie otruć, tak samo jak mego ojca. Ból staje się coraz dotkliwszy, za parę godzin stracę przytomność. A wtedy oni zdobędą wszystko, czego pragną. Musisz mnie stąd wydostać.

- Chcesz się stąd wydostać? - powtórzył Will tonem, który wyrażał zdumienie. To była ostatnia rzecz, jakiej by się teraz spodziewał.

- Muszę, czy nie rozumiesz? - rzucił Orman z rozpaczą. - Przez kilka ostatnich tygodni

próbowałem z nimi walczyć, ale oni, krok za krokiem, stopniowo przeniknęli do każdego miejsca w zamku. Keren werbuje własnych ludzi, pozbywając się tych, którzy są lojalni wobec mnie. Dziś mogę polegać już ledwie na tuzinie, na jego zaś rozkazy staję chyba ze dwudziestu.

Szarpnął nim kolejny spazm bólu. Zgiął się wpół, rozpaczliwie jęcząc. Przez jakiś czas nie był w stanie mówić, ale potem przemógł niemoc, choć głos miał słaby:

- Keren pragnie zamku. Jako kuzyn, pochodzący z nieprawego łoża, nie ma szans, żeby kiedykolwiek legalnie położyć łapę na Macindaw. Od jakiegoś czasu podejrzewam, że zawarł porozumienie z wodzem Skottów. Gotów jest oddać mu kraj, o ile ten pozwoli Kerenowi zatrzymać zamek. Jeżeli mam rację, Skottowie, gdy tylko stopnieją śniegi, przekroczą przełęcz i zajmą całą krainę. Skoro Macindaw nie zagrozi ich liniom zaopatrzenia, bez problemu zajmą całe lenno Norgate. Nim nadejdzie wiosna, lenno padnie. Tego chcesz? - dodał z goryczą. Dostrzegł, że Will się zastanawia, więc naciskał dalej: - Keren, trzymając mnie oraz mojego ojca w garści, nie zawaha się zabić nas obu i przejąć władzę. Och, nie uczyni tego jawnie. Nie jest na tyle potężny, żeby mu to uszło na sucho... jeszcze nie. Oto, dlaczego posłużył się starą legendą o czarnoksiężniku. Otruł mojego ojca. Utrzymuje go w stanie śpiączki, teraz to samo planuje wobec mnie. Jeżeli umrzemy obaj z powodu rzekomej klątwy czarnoksiężnika, będzie miał wolną rękę. Bez problemów przejmie rządę, nikt mu się nie sprzeciwi. Nikt bowiem nie ośmieli się stanąć na drodze jedynemu żyjącemu spadkobiercy rządzącego tu rodu. Lecz gdybym ja umknął, Keren straci prawo do tytułu lorda Macindaw. Dopóki ja żyję, on znajduje się w szachu. Nawet zabijając mojego ojca, nadal niczego nie zyska. Postąpi zatem wręcz przeciwnie. Najpewniej utrzyma go przy życiu jako zakładnika. Dopóki nie dotrą tu Skottowie, Keren musi ostrożnie rozgrywać swoją grę. Gdyby działał zbyt jawnie, kraj powstałby przeciwko niemu. Ale skoro opanuje Macindaw, sytuacja ulegnie zmianie. Skottowie się tu zjawią, żeby go poprzeć. Wtedy będzie już za późno.

- W jaki sposób Keren cię otruł? - zapytał Will, a Orman wzruszył ramionami.

- Muszę coś jeść i pić. Kto go zresztą wie? Usiłowałem zachowywać ostrożność, kazałem, by posiłki dla mnie przygotowywano osobno. Jednak mogli przeciągnąć moje sługi na swoją stronę. Albo zatruli wodę jakimś świństwem. - Wskazał ręką rozłożone na stole księgi o czarnej magii. - Od wielu dni czułem, że nadchodzi zagrożenie. Bo widzisz, oni działają powoli. Studiowałem te przekłete księgi, starając się znaleźć jakąś wskazówkę, jakąś odtrutkę. Jak dotąd bez powodzenia.

Will spojrzął na książki, które wskazywał Orman.

- Och, rozumiem - mruknął. - Myślałem, że... - Nie dokończył.

Orman uśmiechnął się do niego ponuro.

- Podejrzewałeś, że jestem czarnoksiężnikiem? Myślałeś, że to ja przyczyniłem się do choroby ojca? - spytał.

Will potwierdził. Nie było sensu zaprzeczać.

- Zdawało się, że to logiczne przypuszczenie - powiedział.

Orman pokiwał głową ze znużeniem.

- Tak, jak mówiłem, kiedy kogoś nie lubimy, łatwo jest nam źle o nim myśleć. - Obolały, podniósł się z krzesła, poruszał się z trudem. - Teraz cała moja nadzieja w tym, że jesteś zwiadowcą, ponieważ potrzebuję pomocy w wydostaniu się z zamku, a wątpię, czy prosty minstrel podołałby takiemu zadaniu. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Jak mniemam, lady Gwendolyn także jest kimś innym, niż się wydaje?

- Skąd... - Will umilkł, uświadomiwszy sobie, że powiedział za dużo.

Orman uśmiechnął się.

- Nie zakładaj, że skoro ktoś nie jest lubiany, to nie potrafi myśleć - odrzekł. - Wy dwoje zjawiliście się właściwie w tym samym czasie, a potem lady Gwendolyn wezwała cię do swoich komnat. Później tak się jakoś złożyło, że oboje wybraliście się na przejażdżkę o tej samej porze. Nie bierz mnie za głupca.

Wydarzenia ostatnich kilku chwil następowały po sobie tak szybko, że Will zapomniał o konieczności ostrzeżenia Alyss, by trzymała się na uboczu. Podjąwszy decyzję, zapoznał Ormana z sytuacją, opowiadając mu o zaskakującym pojawieniu się Johna Buttle'a. Pan zamku w zadumie zmarszczył czoło.

- To niemały problem - przyznał. - Ten człowiek zalicza się do rekrutów z nowego zaciągu Kerena. Mój kuzyn werbuje wszystkich luźnych złodziei i morderców, którzy włóczą się po kraju. Ściągają ku niemu. Jednocześnie pozbywa się ludzi, którzy mogliby zachować lojalność wobec mnie. Poślę Xandera, niech przekaże dziewczynie wiadomość. Lepiej, by ten cały Buttle jej nie zobaczył. Potem pomyślimy, jak się stąd wydostać.

Sięgnął po mały srebrny dzwonek, stojący na stole, zadzwonił. Po chwili w drzwiach ukazał się Xander. Orman niezwłocznie wydał instrukcje, podczas gdy Will skreślił krótki liścik, który miał trafić do rąk Alyss.

Sekretarz z zatroskanym wyrazem twarzy złożył liścik, wsunął go do kamizeli i opuścił pokój. Jeszcze jedna myśl nie dawała Willowi spokoju. Wreszcie wypowiedział ją na głos:

- A Nocny Wojownik i zjawy w Lesie Grimsdell... Czy Keren stoi także za tym? Co na

tym zyskuje?

- Widziałeś je, prawda? - spytał Orman. Potem wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, nie wiem. Może za intrygą kryje się Malkallam, były uzdrowiciel. A może i Keren. Niewykluczone, że działają w zмовie. - Znów zadrżał, wstrząsany atakiem kolejnym bólu. - W każdym razie musimy się dowiedzieć, o co chodzi Malkallamowi - wyjęczał. Will spojrzał pytająco, więc Orman wyjaśnił: - On może być jedyną osobą, która wie, jak mnie wyleczyć. Musisz mnie do niego zabrać.

Rozdział 27

Czyś ty oszalał, panie? - Głos Willa ze zdumienia zamienił się w pisk. - Sądziś, że Malkallam ci pomoże? Ależ to zapiękły wróg twojego rodu!

Jednak Orman pokręcił głową, choć i ten wysiłek zdawał się go kosztować wiele.

- Wierz sobie w bajki - odrzekł. - Ja nie wierzę nawet w to, że Malkallam stoi za wszystkim. Nie wierzę, że to czarnoksiężnik. Przeciwnie, moim zdaniem. Przez lata ów człowiek pracował jako uzdrowiciel, zielarz, bardzo dobry zielarz. Jednak później coś poszło nie tak, więc usunął się wszystkim z oczu. Ludzie opowiadali, że uciekł do lasu i otoczył się ciemnymi mocami oraz duchami.

- Co poszło nie tak? - dopytywał się Will.

Orman wzruszył ramionami i natychmiast tego pożałował. Wydał bolesne stęknienie, po czym odpowiedział:

- Któż zdoła odgadnąć? Może z upływem lat ludzie zaczęli uznawać jego umiejętności za praktyki czarnoksiężskie? To już się zdarzało, sam o tym wiesz, prawda? Opanujesz wiedzę, która wykracza nieco ponad rutynę. I, nim się obejrzyś, już gmin zaczyna wierzyć, że uprawiasz czary. - Przerwał, żeby złapać oddech. Znacząco zerknął na Willa. - Jako zwiadowca powinienes to rozumieć.

Will świetnie rozumiał. Właśnie w taki sposób wielu ludzi myślało o zwiadowcach. Uświadomił sobie, że przecież i on sam, i Alyss już się przekonali, że spora część rzekomych „czarów” Malkallama polegała na wykorzystaniu skomplikowanych mechanicznych sztuczek. A jednak...

- Czy skalkulowałeś dobrze ryzyko spotkania z Malkallamem, panie? - spytał. - Bądź co bądź, bardzo wiele z tego, co mówisz, to tylko domysły.

Orman posłał mu błady uśmiech. Nie kryło się w nim rozbawienie.

- Pytanie brzmi, czy stać mnie na niepodjęcie ryzyka. Malkallam to jedyny człowiek w promieniu setek kilometrów, który ma umiejętności potrzebne do rozpoznania trucizny i znalezienia na nią odtrutki. W każdym razie jest taka szansa. Bez niego zapadnę w śpiączkę. Później umrę.

Will w zamyśleniu zmarszczył brwi, rozważając to, co usłyszał. Zdawał sobie sprawę, że pan zamku ma rację. Malkallam stał się dlań ostatnią deską ratunku. Nie istniał nikt inny,

do kogo Orman mógłby się zwrócić.

Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Xander. W chwili, gdy sekretarz wszedł do gabinetu, Will spojrzał na jego twarz. Od razu wiedział, że niesie złe nowiny.

- Wasza dostojność, nie mogłem się do niej dostać. Wszędzie czyhają ludzie Kerena - oznajmił.

Orman zaklął, bo dopadł go kolejny atak. Xander natychmiast ruszył w stronę swego pana. Will zastąpił sekretarzowi drogę. Czuł, jak jakaś zimna dłoń zaciska mu się na sercu.

- Chcesz powiedzieć, że cię zatrzymali? - spytał, po czym dodał zjadliwie, z nutą potępienia: - Nawet nie próbowałeś się do niej dostać, prawda?

Łysa wiewiórka wytrzymała jego wzrok bez mrugnięcia okiem.

- Kiedy ich spostrzegłem, nie próbowałem. Nie zamierzałem ściągać podejrzeń na lady Gwendolyn - wyjaśnił.

Will obiema rękami chwycił niskiego człowieczka za kamizelę, przyciągając go bliżej siebie.

- Tchórze! - warknął. - Co to znaczy, że nie zamierzałeś ściągać podejrzeń?

Xander bez cienia strachu spoglądał mu prosto w oczy. Nie szarpał się, nie próbował się uwolnić z uchwytu Willa.

- Zastanów się, zwiadowco. Widzą mnie, jak w pośpiechu zanoszę wiadomość lady Gwendolyn. Potem, w ciągu godziny, we trzech uciekamy z zamku. Czy sądzisz, że Keren nie umie do trzech zliczyć i nie odgadnie, że ona z tobą współpracuje?

Will pomału rozluźnił chwyt. Sekretarz cofnął się, wygładził pomięty kołnierz. Racja, pomyślał Will. Wszelkie próby ostrzeżenia Alyss ściągnęłyby na nią niebezpieczeństwo. Ale jeżeli natknie się na Buttle'a, jeśli on ją rozpozna... Will za wszelką cenę pragnął przekazać wiadomość łączniczce. Wszystko jedno, w jaki sposób.

- Muszę ją uprzedzić - oznajmił.

Orman ze znużeniem pokręcił głową.

- Za późno - westchnął. - Jeżeli Xander ma rację i ludzie Kerena są wszędzie, to mój kuzyn pewnie szykuje kolejny krok. Zostało nam ledwie kilka minut, żeby się stąd wydostać.

Will zatrzęsł się ze złości.

- To wszystko, o czym potraficie myśleć? - spytał napastliwie. - Za wszelką cenę chcecie unieść stąd waszą cenną skórę? Do diabła z wami! Ja nie opuszczam przyjaciół w potrzebie.

Orman nie odpowiedział. Za to Xander zrobił krok w stronę Willa. Położył mu dłoń na ramieniu.

- Lord Orman ma rację - odezwał się cicho sekretarz. - Twoja jedyna szansa polega właśnie na wydobyciu go stąd. Już, teraz. Jeżeli schwytają was w zamku, nic nie powstrzyma Kerena przed zabiciem ciebie, twojej przyjaciółki oraz lorda Ormana. Nie pojmujesz?

Will zawahał się. W głębi ducha wiedział, że nie wolno mu zapominać o zasadniczym celu. Misja przede wszystkim. Xander ma słuszość. Obecnie, kiedy przekonał się, że Orman nie podniósł buntu, najważniejszym obowiązkiem zwiadowcy stawało się zapewnienie lordowi bezpieczeństwa. Jednak zajęcie się Ormanem oznaczało pozostawienie Alyss na pastwę losu.

- Marnujesz czas - tłumaczył cicho Orman. - Posłuchaj, twoją przyjaciółkę mogli już dotąd pojmać. Ale niewykluczone, że wciąż jeszcze przebywa na wolności. Jednak, jeżeli nas schwytają, Keren straci powód, do zachowania jej przy życiu. Zwłaszcza kiedy się dowie, że to kurierka. Jeśli wszelako nie dopadnie mnie, nie będzie mógł rościć sobie praw do zamku. Zostanie więc zmuszony do szukania innych rozwiązań. Jeśli chcesz, możesz mu nawet zaproponować, że wymienisz mnie za Gwendolyn. W takiej sytuacji zadba o nią starannie.

- Umilkł, pozwalając Willowi przemyśleć propozycję.

- Przypuszczam, że w rzeczywistości ma inaczej na imię niż Gwendolyn? - dodał.

- Alyss - Will odpowiedział z roztargnieniem. Myślał o tym, co właśnie tłumaczył mu Orman. To miało sens. Gdyby wszyscy byli uwięzieni, Keren straciłby powód do zachowania którekolwiek z nich przy życiu. Jeżeli jednak Will z Ormanem zdołają umknąć, Will zyska szansę, aby użyć lorda jako karty przetargowej. Przez moment zastanawiał się, czy naprawdę przehandlowałby pana zamku za Alyss. Uznał, że gdyby musiał wdać się w tak paskudną grę, nie wahałaby się ani chwili.

- Dobrze więc - zakomenderował władczo. - Zrobimy, jak proponujesz. - Przerwał, zbierając myśli, po czym jął pospiesznie wydawać polecenia. - Zbierz rzeczy - nakazał Ormanowi. - Podróżujemy bez bagażu, więc ogranicz się, jak tylko zdołasz. Ciepłe ubrania, dobra opończa, buty. Przypuszczam, że będziemy sypiać w trudnych warunkach. Ja pójdę do stajni, osiodłam dwa konie. - Will urwał, zerknął na sekretarza, poprawił własne wyliczenia. - Trzy konie. Xanderze, czy zdołasz sprowadzić lorda Ormana do wschodniego wyjścia ze stołpu, nie zwracając niczyjej uwagi?

Wschodnie drzwi wychodziły na dziedziniec, naprzeciwko stajni. Niski sekretarz skinął głową.

- Są schody dla służby. Skorzystamy z nich - odpowiedział.

Will przytaknął.

- Dobrze. Stawcie się tam za dziesięć minut. Będę trzymał konie w stajni, gotowe do

drogi. Kiedy was zobaczę, wyprowadzę je na zewnątrz.

- A potem? - spytał Orman.

- Potem ruszamy z kopyta do bramy, jakby nas diabli gonili - odrzekł Will.

Twarz lorda wykrzywiła się w uśmiechu, pomimo wyraźnego bólu.

- Niezbyt to pomysłowe, zwiadowco - powiedział.

Will wzruszył ramionami.

- Jeśli wolisz, wykopiemy pod murami tunel albo przebierzemy się za druciarzy. Jednak, nim to zrobimy, wszyscy padniemy trupem. Nasza jedyna szansa to działanie z zaskoczenia. Zakładam, że twoi ludzie wciąż stoją na murach?

Orman potwierdził.

- Niektórzy strażnicy to rzeczywiście moi ludzie. Jednak niezbyt ich wielu.

- Dobrze. - Will spojrział na Xandera. - Teraz wyprowadź lorda, korzystając z tylnych schodów. Keren i jego banda być może już coś przygotowali. Nie chcę, żebyście znaleźli się tu w pułapce.

Obaj mężczyźni zgodnie przytaknęli. Will spiesznie podszedł do drzwi, uchylił je, wyjrzał przez szczelinę. W przedpokojach nie było nikogo. Xander najwyraźniej zdążył odesłać starszego sierżanta oraz jego ludzi. Will podszedł do drzwi wiodących na korytarz, sprawdził, czy i tu nikogo nie ma. Wyszedł. W korytarzu zewnętrznym nie napotkał straży. Na przeciwległym krańcu dojrzał dwóch wartowników, ale ci nie zwrócili na niego większej uwagi. Will starał się, by iść spokojnym krokiem. Ruszył w stronę schodów, a potem w dół.

Nerwy miał napięte jak postronki, gdy przechodził przez wielką salę na dole, a potem przez dziedziniec. Każdy mięsień prężył się, żeby poderwać ciało do biegu. Zwiadowca pragnął dostać się do stajni jak najszybciej. Mimo to utrzymywał zwyczajne tempo, by nie zwracać niczyjej uwagi. Przez cały czas spodziewał się jakiegoś sygnału świadczącego o tym, że wszczęto alarm.

Znalazłszy się w półmroku stajennego budynku, porzucił od razu wszelkie pozory zwyczajności. Puścił się biegiem do przegrody Wyrwija, chwytając po drodze jego siodło oraz uzdę. Zwierzęta wyczuły niepokój Willa. Wyrwij czekał jednak spokojnie, aż Will narzuci na jego grzbiet derkę i siodło oraz zapnie popręg. Pies, wyczuwając, że dzieje się coś dziwnego, wyprężył grzbiet. Czatował. Kiedy Wyrwij był już osiodłany, Will sięgnął do siodła, wydobyl części składanego łuku, w okamgnieniu złączył je w całość. Kołczan ze strzałami czekał nieopodal. Zwiadowca przymocował kołczan do łuku siodła, po czym wyprowadził Wyrwija z przegrody.

Po drodze sprawdził sąsiednie boksy, wybierając dwa nadające się do ucieczki

wierzchowce. Jego własny juczny koń był zwierzęciem wytrzymałym, ale nie sprostałby tempu ucieczki. W stajni znajdowało się kilka bojowych ogierów. Will jednak z nich zrezygnował; Orman i Xander z pewnością nie poradziłiby sobie z potężnymi bestiami. Kręcąc się tu wcześniej, zwrócił uwagę na młodą i silną gniadą klacz. Teraz ją wyprowadził, w mig osiodłał, nałożył uzdę. Sprawiała wrażenie spokojnej i potulnej, ale, sądząc po wyglądzie, potrafiła szybko biegać. Uwiązał klacz obok Wyrwija, pognął dalej wzdłuż boksów, szukając trzeciego konia.

W odległym końcu stajni znalazł siwego wałacha, który wyglądał na mało płochliwego. Osiodłał go, następnie sprawdził popręgi gniadej klaczy oraz siwka. Nie byłoby dobrze, gdyby siodła zsunęły się w chwili, gdy Orman z Xanderem spróbują dosiąść koni. Przygotowawszy wierzchowce, Will podszedł do wyjścia. Uchylił jedno skrzydło podwójnych wrót, przez wąską szparę zerknął w kierunku stołpu. Dostrzegł nieznaczne poruszenie przy wschodnim wejściu i domyślił się, że za lekko uchylonymi drzwiami już czeka Xander. W głębi poruszała się ciemna sylwetka, Will miał nadzieję, że to Orman. Równie dobrze mógł się tam jednak kryć któryś z ludzi Kerena. Zwiadowca wzruszył ramionami. Istniał tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć.

- Świetnie - mruknął. Zerknął na sukę. Z postawionymi na sztorc uszami i niemym pytaniem w oczach wpatrywała się w niego wyczekująco. - Za mną - wydał komendę Will, po czym dodał: - Po cichu. - Ruchem dłoni, do którego wcześniej przyzwyczał owczarka, wzmocnił słowny sygnał. Zadowolona, że wie, czego się od niej oczekuje, przeczaiła się, gotowa ruszyć w każdej chwili.

Will błyskawicznie przywiązał sznur do uzd pozostałych dwóch koni, następnie przytroczył go do siodła Wyrwija. Raz jeszcze, najszybciej jak mógł, pognął ku wrotom i szarpnął do końca jedno skrzydło. Prędko wskoczył na grzbiet Wyrwija, trącił konika piętami.

Sznur się napiął, ale klacz i wałach stawiały opór. Zwierzęta przez chwilę ociągały się. Wreszcie ustąpiły. Kopyta zadudniły po bruku, konie żwawo pokłusowały za Wyrwijem. Pies sunął obok niczym czarno-biały cień, prawie szorując brzuchem po ziemi.

Xander pomagał Ormanowi pokonać ostatnie trzy stopnie schodów prowadzących na dziedziniec. Widać było, że pan zamku, wspierany przez sekretarza, który objął go za ramiona, jest w złym stanie. Will pociągnął sznur, starał się zatrzymać konie. Przez moment trwał rozgardiasz. Wyrwij, wyczuwając, o co chodzi zwiadowcy, zapał się krępyimi nogami, żeby pozostałe konie również stanęły. Przepychały się trochę między sobą i plątały sznur, lecz Xander chwycił klacz za uzdę, osadzając ją w miejscu. Orman usiłował podciągnąć się na siodło. Will usłyszał syknięcie bólu. Raptowne zamieszanie przyciągnęło uwagę strażników.

Któryś wołał coś z blanków w stronę uciekającej trójki. Will sięgnął do kołczana przytroczonego przy łąku siodła, chwycił strzałę, umieścił ją na cięciwie. Xander musiał radzić sobie ze słabością Ormana sam. Will skupił się na kontrolowaniu sytuacji. Badał, czy nie napotkają oporu.

Ledwie pomyślał, już usłyszał przytłumione okrzyki, dochodzące z wnętrza stołpu, oraz tupot biegnących stóp. Obejrzał się na Xandera. Sekretarz zmagął się z bezwładnym ciałem lorda, klacz płochliwie dreptała w półkolu. Will przywołał Wyrwija, nakazał mu stanąć obok klaczy. W jednym ręku trzymał łuk, lecz drugą sięgnął w dół i schwycił Ormana za pas. Podciągnął go w górę, na siodło. Xander popychał lorda od dołu. Pan zamku jęczał, targany bólem, ale wreszcie udało się go podsadzić na konia. Xander usiłował teraz sam trafić stopą w strzemień, jego wałach tańczył nerwowo, udzieliło mu się napięcie i ekscytacja ludzi.

Will usłyszał terkot zasuw przy wejściu do stołpu, a później ciężka brama została otworzona przez kogoś od wewnątrz. Obróciwszy się w siodle, prawie nie patrząc, Will posłał tam strzałę. Wbiła się w drewniane ościeże na wysokości ludzkiej głowy. Rozległ się okrzyk przestraszenia, drzwi znowu się zatrzasnęły.

- Dalej! - wrzasnął. Nie było chwili do stracenia. Will trącił Wyrwija piętami, konik ruszył z kopyta, pociągając za sobą pozostałe wierzchowce. Will obejrzał się przez ramię. Zauważył Xandera. Sekretarz, na poły usadowiony w siodle, na poły zwisający poza nim, desperacko wczepiał się w grzywę wałacha. Przed nimi znajdowała się zamkowa brama. Jeden ze strażników niepewnie biegł w kierunku olbrzymiego kołowrotu, służącego do spuszczenia kraty. Will posłał strzałę, grot świsnął mężczyźnie koło ucha. Żołnierz padł na bruk, by uniknąć pocisku.

Fala wrzasków z tyłu narastała. Will kątem oka dostrzegł gwałtowne poruszenie na blankach. Od kamiennego bruku, tuż przed kopytami Wyrwija, odbił się bełt wypuszczony z kuszy.

Mimoходом, właściwie bez zastanowienia, strzelił ponownie. Ludzka postać wypadła przez balustradę na dziedziniec; kusza potoczyła się obok, stukając o kamienie.

Po chwili końskie kopyta grzmiały na drewnianym moście zwodzonym. Sznur, na którym Will prowadził klacz oraz wałacha, zwiślał luźno, gdyż podekscytowane konie dotrzymywały kroku Wyrwijowi. Zanurkowali w ciemność pod potężną bramą, a potem wypadli na zimowe słońce. Parę sekund później końskie kopyta zatętniły po zmrożonej ziemi tuż za mostem. Byli wolni. Will wyczuł przecinający powietrze syk bełtów puszcanych z kuszy, ale naliczył ich tylko kilka. Udało im się zaskoczyć strażników. Zresztą, może blanków strzegli ludzie Ormana, którzy nie chcieli strzelać do swojego lorda. Will rzucił

okiem za siebie i stwierdził, że Xander w końcu zdołał usadowić się porządnie w siodle. Jechał tuż obok Ormana, który wyraźnie cierpiał. Garbił się na koniu, lecz mocno trzymał przedni łęk.

Upłynie parę chwil, nim zamkowi wyślą pościg. Will określił miejsce, które uciekinierzy powinni osiągnąć, kiedy tamci za nimi ruszą. Skierował Wyrwija w stronę Lasu Grimsdell. Pozostałe konie natychmiast wyrównały bieg. Suka wysforowała się, gotowa przewodzić. Will uśmiechnął się posepnie. Nie widział takiej potrzeby. Gniada klacz i wałach całkiem chętnie podążały za Wyrwijem. A droga przed nimi była pusta.

Rozdział 28

Will ściągnął wodze. Dotarli już do miejsca dobrze znanego zwiadowcy. Stąd ścieżka wiodła w głąb lasu Grimsdell. Spojrzał na Ormana. Pan zamku kolebał się w siodle, oczy miał na wpół przymknięte, spojrzenie nieobecne. Wargi poruszały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Xander spoglądał na lorda z niepokojem.

- Musimy szybko zawieźć go do Malkallama - powiedział.

- Jest prawie nieprzytomny.

Will przytaknął. Przeniósł wzrok na zakręt drogi, gdzie lada chwila mogła pojawić się pogoń. Nie miał złudzeń, będą ich ścigali.

- Zabieraj go głębiej w las - polecił Xanderowi. - Ja zostanę tutaj i spróbuję powstrzymać pościg. - Wskazał wąską ścieżkę, którą uprzednio podążał wraz z Alyss. - Trzymaj się tej ścieżki. Ujechawszy mniej więcej sto metrów, zatrzymaj się. Czekać na mnie. Nikt cię nie wypatrzy.

Xander zawahał się.

- A ty?

Uśmiechnął się do łysej wiewiórki. Mały zamkowy urzędas wykazywał się oto niespodziewaną odwagą. Will nasunął na głowę kaptur opończy. Skierował Wyrwija w nakrapiany słonecznymi plamami cień pod dębem o nagich konarach.

- Teraz stałem się niewidzialny - prychnął. Xander nadal się wahał, lecz zwiadowca machnął na niego. - Jedźże już! Oni dogonią nas lada moment.

Sekretarz rozumiał, że należy słuchać. Skinął Willowi, chwycił wodze wierzchowca Ormana i powiódł półprzytomnego lorda w cienisty półmrok Lasu Grimsdell. Po piętnastu metrach zniknął zwiadowcy z oczu. Ten z zadowoleniem pokiwał głową, a potem, nieporuszony, czekał. Pies przywarł płasko brzuchem do ziemi obok Wyrwija, wydając z siebie niski, bulgoczący warkot.

- Spokój - nakazał Will. Psi ogon zakołysał się posłusznie.

Ledwie parę sekund później uszy Wyrwija nerwowo drgnęły. Konik jeden raz uderzył w ziemię kopytem. Will, który nic jeszcze nie słyszał, podziwiał czułe zmysły swoich obydwu zwierzaków. Przemówił do Wyrwija, a konik wiedząc, że ostrzeżenie dotarło,

uspokoił się.

Nagle zza zakrętu wyłoniła się zgraja jeźdźców. Ośmiu, wszyscy uzbrojeni. Na czele pościgu jechała znajoma, wysoka postać.

- Buttle - szepnął Will. Suka warknęła, po czym znowu ucichła.

Grupka zatrzymała się jakieś dwieście metrów od miejsca, gdzie czatował Will. Jeden z mężczyzn, najwyraźniej myśliwy, zeskoczył na drogę, żeby przyjrzeć się śladom. Najpierw obrzucił spojrzeniem zasypaną śniegiem łąkę. Łąka oddzielała drogę od Lasu Grimsdell. Na drodze wyraźnie odbijał się trop wydeptany przez trzy wierzchowce. Mężczyzna wskazał dłonią na las i ponownie dosiadł konia.

Buttle dał sygnał mężczyznom, żeby ruszali. Lecz jeźdźcy zastygli w miejscu. Zwiadowca usłyszał podniesione głosy. Buttle odwrócił się, powoli rozkazał. Will zachichotał. Uświadomił sobie, że zbój najwyraźniej nie słyszał o okropnościach Grimsdell. Przez chwilę żałował straconej szansy. Gdyby pojechali dalej, Will mógłby na nich poczekać na otwartej przestrzeni, urządzając tam sobie ostrą strzelaninę. Zapewne zdołaliby w ten sposób pomniejszyć siły Kerena o ośmiu ludzi. Odrzucił jednak pokusę. Niektórzy spośród nich mogli być sprzymierzeńcami Ormana. Trudno wykluczyć, że siłą zmuszono ich do wzięcia udziału w pościgu. A nawet gdyby tak nie było, wiedział, że raczej nie zdobyłby się na zamordowanie z zimną krwią ośmiu ludzi, choćby najgroźniejszych. Nie po to Halt szkolił go latami, nie po to Will osiągnął biegłość w posługiwaniu się orężem.

Jednak Buttle, to zupełnie inna sprawa. Typ był zły do szpiku kości i dzięki temu stał się cennym sługusem zdradzieckiego uzurpatora. Ludziom pokroju Kerena potrzebni byli tacy osobnicy jak Buttle. Ludzi, którzy bez mrugnięcia wypełnią każdy rozkaz, gotowi zabijać, grabić, niszczyć. Will nie wątpił, że Buttle wkradł się już do grona wybranych pomagierów Kerena.

I oto zbir siedział na koniu, ledwie dwieście metrów od Willa. Zwiadowca założył strzałę na cięciwę.

Odległość spora, lekki boczny wiatr. Will spojrzał na rozkołysane wierzchołki nagich olch. Rosły szeregiem po drugiej stronie drogi. Większość łuczników zawahałaby się, mierząc z odległości dwustu metrów. Lecz Will był zwiadowcą, a dla zwiadowcy strzał nawet z tak znacznego dystansu nie stanowił problemu. Will wiedział zresztą, że kogo dopadają złe przecucia, ten najpewniej chybi. On trafiał tam, gdzie sobie zamierzył. Bardzo powoli, aby uniknąć jakichkolwiek nagłych ruchów, które mogłyby zostać zauważone, Will podniósł łuk do pozycji umożliwiającej celowanie.

Wywołał w myślach obraz, skupił się na celu, nie na strzale czy na łuku. Strzała oraz

łuk tworzyły tylko fragmenty układanki, której kluczowym punktem była postać Buttle'a, rozpartego na koniu dwieście metrów dalej.

Will wznosił łuk dopóty, dopóki nie uznał, że osiągnął kąt stosowny do odległości. Wziąwszy poprawkę na wiatr, zastygł przez moment. Lewą rękę, trzymającą łuk, rozluźnił. Rzeźbiony majdan spoczywał między kciukiem a palcem wskazującym. Will nie zaciskał na nim palców, lecz podtrzymywał go. Palcem wskazującym prawej dłoni dotykał ust. Pierwsze trzy palce przyciskały naciągniętą cięciwę - jeden powyżej i dwa poniżej punktu, w którym osadza się strzałę.

Po chwili łuk zaśpiewał, strzała zerwała się do lotu. Jak na ironię, właśnie długotrwałe ćwiczenia wywiodły łuk Willa na manowce.

Strzał okazał się wyśmienity. Każdy inny łucznik mógłby go uznać za sukces. Tyle że Will miał nie cisowy długi łuk, z którym ćwiczył przez ostatnie trzy lata czeladniczego terminu, lecz łuk składany z trzech części. Strzała połknęła dystans dwustu metrów, lecąc po łagodnie wygiętym torze. Sięgnęła dalej, niż szacował Will. W rezultacie, zamiast wbić się w tułów Buttle'a, wwierciła się w udo opryszka, przebijając mięsień. Dygotała jeszcze, z grotem przyszpilonym do siodła z twardej skóry.

Strzała pojawiła się znikąd. Buttle wrzasnął, gdy w jego udzie nagle rozgorzał piekielny ogień. Prerażony koń stanął dęba, inne wierzchowce również. Ludziom podległym łotrowi, którzy i tak z ogromną nieufnością zapuścili się w kierunku Lasu Grimsdell, starczył jeden rzut oka na pierzasty pocisk, który dosięgnął przywódcę. Od razu zawrócili, szukając schronienia za zakrętem. Buttle, ordynarnie klnąc, na ranę i na własnych ludzi, bezradnie obracał koniem. Wreszcie, wściekły, poddał się. Ruszył ich śladem, chwiejąc się z bólu w siodle.

- Niech to lichy - rzucił zmarkotniały Will w ślad za odjeżdżającym. Przypomniał sobie tłumaczenia Crowleya dotyczące trzyczęściowego łuku: „strzała z początku leci bardziej płasko, ale później obniża lot szybciej, niż przywykłeś”. - Żadnego więcej strzelania z daleka - mruknął do ucha Wyrwijowi. Jakby odpowiadając, konik położył uszy płasko przy łbie. Will spojrzał w dół, na sukę. Gapiła się, z wolna merdając ogonem. Chyba cieszyła się, że strzała w ogóle trafiła Buttle'a. W cokolwiek.

Ponownie zerknął na drogę. Żadnych oznak, świadczących o wznowieniu pościgu. Trącił Wyrwija kolanem, nakazując konikowi zawrócić i ruszać szlakiem prowadzącym w głąb lasu.

Will dołączył do pozostałych jakieś sto metrów dalej, w miejscu, w którym poleciał

Xanderowi czekać. Orman coraz głębiej pograżał się w śpiączkę, tak jak zresztą sam uprzednio przewidział. Już prawie nieprzytomny, kołysał się w siodle. Bezgłośnie szeptał niezrozumiałe wyrazy. Jakby skamlał.

- Co z nim? - Will zwrócił się do Xandera, chociaż pytanie nie miało większego sensu. Sekretarz zmarszczył brwi.

- Czas upływa. Mało go - odpowiedział. - Wiesz, gdzie przebywa Malkallam?

Will przecząco pokręcił głową.

- Myślę, że kryje się w samym środku lasu - odparł. - Ale gdzie dokładnie, możemy tylko zgadywać.

Xander z obawą zerknął na swojego pana.

- Trzeba działać szybko. - W głosie sekretarza wyczuwało się troskę.

Will bezradnie rozglądał się wokoło. Szukał jakiegoś pomysłu. Wiedział, że w tym przypadku nie wystarczą normalne umiejętności zwiadowcy. Jeśli nie wpadnie na jakiś koncept, mogą błąkać się przez wiele dni po gęstym lesie, poprzecinanym płataniną krzyżujących się ścieżek. Wiedział także, że nikt im nie ofiaruje owych wielu dni. Pozostało co najwyżej kilka godzin. Może nawet mniej.

Spojrzenie zwiadowcy padło na psa. Siedział cierpliwie, przechylając łeb. Oczekiwał od pana, by ten wskazał, dokąd trzeba biec. Will zrozumiał. Jednak otrzymali szansę.

- Jedźmy - rzucił. Poderwał Wyrwija. Ruszyli ścieżką, którą on z Alyss szli poprzedniego dnia.

Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie, pomyślał.

Okружили złowrogie czarne jezioro. Dojechali do miejsca, gdzie Alyss natknęła się na spopielaloną trawę. Will zatrzymał się, zsiadł z konia. Xander, po chwili wahania, poszedł w jego ślady. Obejrzał wypaloną darń.

- Co to? - spytał.

Will przedstawił teorię Alyss na temat wykorzystania olbrzymiej latarni magicznej. Xander uniósł brwi. Po namyśle przytaknął.

- Ona może mieć rację - powiedział. - Zważ jednak, że takie sztuczki wymagają niemal idealnej soczewki.

- Soczewki? - powtórzył pytająco Will.

- Chodzi o przyrząd służący do skupiania światła w wąski promień. Nigdy nie widziałem żadnej soczewki, która spełniałaby wymogi konieczne do czegoś takiego jak tu. Lecz wyobrażam sobie, że dałoby się ją wykonać.

- Potrzeba także piekielnie silnego źródła światła - ocenił Will.

Mały człowieczek tylko wzruszył ramionami. Nie widział problemu.

- Och, istnieje mnóstwo sposobów, żeby uzyskać, co należy - odparł. - Białoskał, na przykład.

- Białoskał? - zapytał Will. Nie znał tego słowa. Xander znów przytaknął.

- To porowata skała, która uwalnia łatwopalny gaz, kiedy polejesz ją wodą. Gaz płonie intensywnym białym płomieniem. Jest także bardzo gorący... zupełnie jak to coś, co zostawiło wypalone ślady. - Kilkakrotnie pokiwał głową. - Tak, mniemam, że białoskał by się nadał. Ale dlaczego nas tu przywiodłeś? - spytał.

Will pstryknął palcami. Pies podszedł, utkwivszy w swym panu spojrzenie. - Przyszło mi do głowy, że skoro ktoś używał jakiejś lampy, musieli ją obsługiwać ludzie. Ludzie zaś pozostawiają zapach. Może pies zdoła ich wytropić. Zakładam, że jeśli ich znajdziemy, to istnieje szansa, byśmy znaleźli też kryjówkę maga.

Podrapał psa za uszami, wskazał na ziemię.

- Szukaj - polecił.

Czarno-biały łeb pochylił się i suka wzięła się do przeczesywania gruntu nad brzegiem. Po chwili poczęła zataczać koła, coraz większe i większe. Aż raptem przystanęła, uniosła lekko łapę. Nos pozostał tuż przy trawie. Powęszyła jeszcze trochę, następnie wydała pojedyncze szczeknięcie, ostre i nagłe.

- Grzeczna dziewczynka! - szepnął Will.

Xander nie wyglądał na przekonanego.

- Skąd wiesz, że nie znalazła tropu jelenia czy borsuka? - spytał ironicznie.

Will spoglądał na niego przez chwilę.

- Jeżeli masz lepszy pomysł, to właśnie nadeszła pora, by o nim wspomnieć.

Xander przepaszająco zamachał obiema rękami.

- Nie, nie. Proszę bardzo - łagodził.

Will odwrócił się do suki. Jak zwykle, obserwowwała go, czekała na nowe polecenia. Podszedł, wskazał na ziemię w miejscu, gdzie znalazła trop. Nakazał:

- Szukaj.

Szczeknęła raz, poderwała się. Przebiegła kilka metrów, następnie przystanęła, odwróciła się, spojrzała na Willa. Znów zaszczekała, przekazując jasny komunikat: „Ruszyć się, skoro mamy iść. Nie traćmy całego dnia”.

Will z Xanderem wymienili przelotne spojrzenia. Pospiesznie dosiedli koni. Xander ponownie chwycił wodze wierzchowca Ormana. Ruszyli w drogę, trop w trop za czarno-białym kształtem.

Rozdział 29

Szlak zakręcał, wił się, zdawało się nawet, że zawraca. Od ścieżki odchodziły boczne odnogi i rozwidlenia. Will zaczął się zastanawiać, czy pies naprawdę wie, co robi. Może tylko gna, gdzie go oczy poniosą? Wydawało się, że jest tak wiele możliwości, tak wiele różnych dróg. Potem jednak spostrzegł, jak bardzo suka skupiła się na zadaniu. Z całą pewnością podążała jakimś tropem. Pozostawało jednak pytanie: czym tropem? Will zdawał sobie sprawę, że wątpliwości Xandera nie wolno lekceważyć. Przecież trudno wykluczyć, że ścigają borsuka lub jakieś inne zwierzę, uganiając się po lesie.

Will miał znakomitą orientację w terenie leśnym, a mimo to pogubił się zupełnie. Wiedział, że w razie konieczności niełatwo byłoby mu wrócić tą samą drogą. Miał świadomość, że życie Ormana naprawdę całkowicie zależy teraz od psa. Bezustanne, pełne troski spojrzenia Xandera świadczyły, że sekretarz również zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Milczeli. Po co wypowiadać obawy głośno? Zresztą, złowieszcza atmosfera mrocznego lasu zniechęcała do błahych pogawędek. Wydawało się, że Las Grimsdell ma własną osobowość, charakter. Był ciemny, przygnębiający i złowrogi. Przytłaczał. Oddychali lżej tylko wtedy, kiedy, od czasu do czasu, wyjeżdżali na kolejną polankę. Tylko tam udawało się dojrzeć skrawek nieba.

Will oszacował, że jadą już od godziny, kiedy dotarli do rozstajów. Szlak rozchodził się w trzy strony. Pierwszy raz od chwili, gdy wyruszyli, suka się zawahała. Podbiegła kawałek ścieżką odchodzącą w prawo, przystanęła. Uniosła z wahaniem łapę, nos przytknęła do ziemi. Wycofała się, sprawdziła lewą odnogę.

- Boże - jęknął cicho Xander. - Zgubiła trop. - Z przestachem spojrzał na lorda. Orman kolebał się w siodle. Oczy zamknięte, zwieszona głowa. Na końskim grzbiecie przytrzymał go jedynie sznur, przymocowany do rąk i uwiązany do przedniego łąku. Xander wiedział, że gdyby przyszło im błąkać się po lesie, nie mając pojęcia, gdzie są, i nie znając drogi, Ormana czeka niechybna śmierć.

Pies zerknął, jak gdyby z wyrzutem, szczechnął krótko. Ruszył lewą odnogą, nagle pewny swego. Will z sekretarzem poderwali konie i poklusowali za owczarkiem. Ujechali nie więcej niż pięćdziesiąt metrów drogą tak krętą, że w linii prostej pokonali najwyżej dwadzieścia metrów. Wtedy Will usłyszał okrzyk Xandera.

Dotąd koncentrował całą swą uwagę na psie. Teraz podniósł oczy. Natychmiast zauważył, co wywołało przestach zamkowego urzędnika. Przed nimi, z boku ścieżki,

umieszczono zatkniętą na pal czaszkę. Poniżej czaszki ktoś przybił koślawą, omszałą deskę. Słów, zapisanych starożytnymi runami, nie dawało się odczytać. Ale trudno się było pomylić.

- Ostrzeżenie - stwierdził Xander.

Will wysunął strzałę z kołczana, nałożył ją na cięciwę.

- Zostałeś więc ostrzeżony - rzucił z drwiną. - Choć muszę stwierdzić, że gdybym ja szykował na kogoś zasadzkę, ostatnią rzeczą, którą bym zrobił, byłoby powiadamanie go o tym z góry.

Nachylił się. Uważnie przyjrzał się czaszce. Pożółkła od upływu lat. Nie całkiem przypominała ludzki czerep. Dolna szczeka zdawała się wystawać bardziej niż u człowieka. Straszliwe zęby, sterczące po obu stronach, przypominały wilcze kły.

Suka czekała niecierpliwie. W końcu Will dał znak, by prowadziła. Podjęła trop. Szurnęła do przodu, minęła zakręt. Zniknęła im z oczu.

Will przynaglił Wyrwija. Konik zebrany galopem podążył za owczarkiem, aż minęli zakręt...

...i nagle wypadli na ogromną polanę. Naprzeciw nich wznosiło się spore, kryte słomą jednopiętrowe domostwo, wzniesione z ciemnego drewna.

- Wygląda na to, że dotarliśmy na miejsce - stwierdził cicho Will.

Xander rozglądał się po polanie, szukając mieszkańców chaty.

- Ale gdzie Malkallam? - spytał.

Drzewa po drugiej stronie polany poruszyły się nagle. Z lasu wyroiły się postacie. Jak gdyby przywołało je imię czarnoksiężnika.

Musiało ich wyleźć ponad trzydzieści. Will uzmysłowił sobie, nim jeszcze pomyślał, że na widok skradających się cieni odczuwa coś niezwykłego. Były... Will szukał odpowiedniego słowa, ale zawahał się. Zastanawiał się, co w ogóle widzi. Polanę spowijał półmrok, słońce świeciło przyćmionym, niewyraźnym blaskiem. Ci ludzie, jeżeli na skraju polany byli w ogóle ludzie, trzymali się blisko mrocznej ściany drzew, skryci w głębokim, nieprzeniknionym cieniu. Will usłyszał, jak Xander raptownie wstrzymuje oddech. Potem sekretarz odezwał się cicho:

- Spójrz - westchnął. - Czy to są ludzkie istoty?

Will natychmiast uświadomił sobie, co go zbija z tropu. Owszem, pod lasem czały się istoty człekokształtne. Jednak przypominające raczej szkaradne ludzkie karykatury niż zwyczajnych ludzi. Każda postać potworna, straszliwe zniekształcona. Każda. Niektóre przypominały karły o wzroście nieprzekraczającym metra dwudziestu. Inne odznaczały się wysokim wzrostem oraz rozpaczliwą chudością. Wyłowił spośród nich przynajmniej jednego

prawdziwego olbrzyma, o potężnej klatce piersiowej i straszliwie rozbudowanych barkach, którego wzrost przekraczał dwa i pół metra. Olbrzym, nie licząc paru zmierzwionych kosmyków żółtawych włosów, był łysy i biały jak prześcieradło.

Naliczyli ich więcej niż trzydziestu. Niektórzy kulili się, powykręceni, zgięci w kabłąk. W grupie kryło się kilku garbusów. Poruszali się niezdarnie, wydawało się, że ciała kalek wypełnia ból.

Willowi zaschło w gardle. Zdał sobie sprawę, że wśród zbitych w gromadkę istot nie widzi ani jednej prawidłowo zbudowanej postaci. Pomyślał, że oto na własne oczy ogląda efekt czarnoksięskich praktyk Malkallama. Błyskawicznie uznał, iż popełnili wielki błąd, przywożąc tutaj nieprzytomnego Ormana. Mag, który sprowadza na ludzi tak potworne okaleczenia, raczej nie uwolni lorda od zabójczej trucizny. Tym bardziej zaś nie pomoże mu odzyskać zdrowia.

Wynurzywszy się z leśnego cienia, postaci, jak gdyby kierowane niesłyszalnym rozkazem, zatrzymały się. Will spostrzegł, iż suka pomału napina mięśnie, gotując się do skoku. Z pyska Wyrwija dobywało się ciche, ostrzegawcze chrapanie. Zwiadowca zdał sobie sprawę, że znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Nigdzie ani śladu maga. Chyba że czarnoksiężnik zaliczał się do tych zdeformowanych, sterczących pod drzewami istot. Will jakoś w to nie wierzył. Z tego, co do tej pory usłyszał i zobaczył, miał prawo przypuszczać, iż Malkallam prędzej okazałby się władcą tych... stworzeń... niż jednym z nich.

- Zwiadowco... - Podszyty strachem głos Xandera zabrzmiał słabo.

Will obejrzał się. Mały człowieczek wskazał ruchem czoła przeciwny skraj polany. Will podążył oczami za jego wzrokiem. Gardło ścisnął mu strach.

Bładolicy olbrzym, ciężko powłócząc nogami, ruszył w ich kierunku. W miarę jak się zbliżał, jego towarzysze zaczęli wydawać ciche, niezrozumiałe pomruki zachęty. Will wolno uniósł łuk, spoczywający dotąd na łuku siodła. Strzałę nałożył już uprzednio, i teraz gotów był w każdej chwili użyć broni.

- Dosyć - odezwał się spokojnie.

Olbrzym pokonał prawie połowę drogi. Uczynił następny krok. Teraz znajdował się na samym środku polany. Will wiedział, że nie może pozwolić, by podszedł bliżej. Potężne łapska zdołałyby rozerwać na strzępy i jego, i Xandera, i Ormana. Zapewne także konie, pomyślał Will.

- Stój - powtórzył nieco głośniejszym, bardziej stanowczym tonem.

Olbrzym poszukał spojrzenia zwiadowcy. Choć Will siedział na grzbiecie Wyrwija, ich oczy spotkały się na jednej wysokości. Olbrzym zmarszczył czoło. Will spostrzegł, że

napina mięśnie, gotując się do zrobienia jeszcze jednego kroku. Naciągnął cięciwę. Instynktownie celował w pierś olbrzyma, tam, gdzie powinno się znajdować serce.

- Chociaż jesteś taki wielki, z tej odległości strzała cię przebiję - wycedził Will, z rozmysłem zachowując spokojny głos.

Istota zawahała się. Jej twarz zachmurzyła się jeszcze bardziej. Ze zdziwienia? Z gniewu? Ze strachu? Z zaskoczenia? Will nie umiał odgadnąć, w czym rzecz, spoglądając na groteskowe, niezwykle, osobliwe rysy olbrzyma. Najważniejsze, że wielkolud zaprzestał wędrówki w ich kierunku. Pokraczni obserwatorzy, ściśnięci po drugiej stronie polany, westchnęli wspólnym głosem. Czy chcieli w ten sposób skłonić olbrzyma do dalszego marszu? Czy raczej doradzali, by się zatrzymał? Will nic nie rozumiał.

Co dalej? - gorączkowo rozważał sytuację. Mieli tkwić tu aż do następnej zamieci, gapiąc się na siebie przez polanę? Nie wiedział co zrobić, jak postąpić. Gdyby przyjechał sam, zaufałyby Wyrwijowi. Na koniku odjechałby stąd bezpiecznie. Jednak nie wolno opuścić Xandera i Ormana.

- Zwiadowco, spójrz! - Xander szepnął prawie bez tchu.

Will oderwał wzrok od olbrzyma, który, co zrozumiałe, pochłaniał całą jego uwagę. Xander wskazywał na psa.

Suka, dotąd warująca przy końskich kopytach, nagle zerwała się i ruszyła przez polanę w kierunku kolosa. Will już nabierał powietrza, żeby przywołać ku sobie owczarka. Raptem zrezygnował. Coś zauważył. Opuścił łuk.

Kiedy suka podchodziła do wielkoluda, jej ogon kołysał się bez pośpiechu. Spuściła łeb, nie przestawała merdać. Twarz dziwnej istoty rozjaśniła się, olbrzym uklęknął na jedno kolano. Wyciągnął do psa monstrualną dłoń.

Suka przysunęła się jeszcze bliżej, siadła u stóp potwora. Pieszczotliwie głaskał ją po łbie, drapał pod brodą. Na wpół zmrużyła ślepią z zadowolenia. Lekko obróciła łeb, polizała mu rękę.

Wtedy Xander zwrócił uwagę Willa na kolejny osobliwy szczegół, jaki dane im było obserwować tego dziwnego dnia.

- On płacze! - mruknął. Rzeczywiście, po białych policzkach spływały łzy. - Wiesz co, sądzę, że jest zupełnie niegroźny. Dzięki Bogu, żeś nie strzelał.

- Macie rację - głos odpowiadającego dobiegł zza ich pleców. - Lecz wyjaśnijcie mi łaskawie, co, u diabła, robicie w moim lesie?

Rozdział 30

Will błyskawicznie obrócił się w siodle, podrywając łuk. I wtedy zawahał się po raz drugi. Bo nie miał najbledszego choćby pojęcia, jak wygląda Malkallam. Gdyby kazano mu zgadywać, przyjąłby założenie, że czarnoksiężnik wyróżnia się spośród zwykłych ludzi szczególnym wyglądem. Nadzwyczaj wysoki i chudy? Olbrzymi i opasły? Na pewno ubierałby się w luźną czarną szatę, być może ozdobioną tajemniczymi symbolami splecionych słońc i księżyców.

No i, oczywiście, nosiłby wysoki szpiczasty kapelusz, w którym mierzyłby chyba trzy metry.

Will nie spodziewał się drobnego człowieka, o kilka centymetrów niższego niż on sam, który miał rozwichrzone, przeredzone siwe włosy, zaczesane na wyłysiały czubek głowy. Dostyc duże uszy, spiczasty nos. Lekko cofnięty podbródek. Prosty brązowy strój z samodziału, trochę przypominający habit mnicha. Na nogach miał, pomimo zimowego chłodu, sandały.

Jednak najbardziej zdziwiły Willa jego oczy. Tęczówki czarnoksiężnika powinny być ciemne, złowrogie, mroczne od tajemnic i nieprzeniknionej grozy. Spoglądał zaś w piwne oczy, błyskające wyraźnie iskierkami humoru.

Zbity z tropu, opuścił łuk.

- Kim jesteś? - spytał.

Człowieczek wzruszył ramionami.

- Pewnie jednak ja powinienem zadać to pytanie - powiedział łagodnie. - Bądź co bądź, przybywacie do mojego domu.

Xander, zatroskany pogarszającym się z minuty na minutę stanem swego pana, nie bawił się w słowne gierki.

- Ciebie zwą Malkallam? - spytał ostro.

Drobny człowieczek obrzucił uważnym wzrokiem sekretarza. Zacisnął wargi. Rozważał odpowiedź.

- Tak mnie zwą - odrzekł wreszcie. Wesole iskierki zgasły w jego oczach.

- Zatem potrzebujemy twojej pomocy - oznajmił Xander. - Mój lord został otruty.

Krzaczaste brwi Malkallama ściągnęły się, w głosie maga zabrzmiał złowieszczy ton.

- Zwracasz się do najbardziej przerażającego czarnoksiężnika w tych stronach. Błagasz go o pomoc? - spytał. - Wtargnąłeś do mojego królestwa, lekceważysz ostrzegawcze znaki, jakie ustawiłem, narażasz się na gniew straszliwego Nocnego Wojownika, który mnie ochrania. Po to, by żądać ode mnie pomocy?

- Jeżeli naprawdę tyś jest Malkallam, tak właśnie czynię - odparł niewzruszony Xander. Za nic miał groźbę, kryjącą się w słowach czarnoksiężnika.

Brwi maga przestały się marszczyć. Człowieczek z podziwem pokręcił głową.

- Cóż, jedno uważam za pewne. Nie brakuje ci odwagi - burknął, choć już przyjaźniejszym tonem. - Proponuję, byśmy przyjrżeli się lordowi Ormanowi.

- Wiesz, kto to taki? - spytał Will.

Lord kolebał się w siodle, mamrocząc coś nieprzytomnie. Malkallam właśnie podchodził do Ormana.

- Oczywiście, że wiem, zwiadowco - parsknął.

Zrezygnowany Will tylko wzruszył ramionami. Po co właściwie kazano mu się przebierać za minstrela...? Najpierw Orman, a teraz Malkallam przejrżeli go na wylot.

- Skąd ty...? - zaczął Will.

Czarnoksiężnik uciszył młodzika ruchem ręki.

- Uwierz, nie trzeba alchemii, aby się połąpać - tłumaczył rzeczowo. - Węszysz po moim lesie od paru dni. Dosiadasz konia o takim samym pokroju, jak te, na których jeżdżą zwiadowcy. Nosisz łuk. Do boku przytroczyłeś wielką sakwę. Idę o zakład, że chowasz gdzieś w zanadrzu nóż do rzucania. Twoja opończa jest szczególna. W niepokojący sposób zlewa się z otoczeniem. Kimże więc mógłbyś być? Minstrelem?

Will rozdziawił usta, zabrakło mu słów. Jednak Xander przywołał ich do porządku.

- Błagam! - jęknął. - Mój pan kona, a wy dwaj wdajecie się w pogaduszki.

Brwi Malkallama uniosły się raz jeszcze.

- Oto stoją, ramię w ramię, zwiadowca oraz czarnoksiężnik. A ten nam zarzuca, że ucinamy sobie pogawędkę. Dzielnym to człęk, w rzeczy samej.

Jednak nim skończył mówić, już bystrymi oczami badał twarz Ormana. Wyprężył się przy tym, bo sięgał z trudem końskiego grzbietu, a musiał dotknąć lorda.

- Trobarze! - zawołał. - Zostaw na chwilę psa. Zdejmij chorego.

Olbrzym niechętnie przerwał zabawę. Porzucił owczarka i poczłapał w kierunku Ormana.

Xander zsunął się z siodła. Stał między swoim panem a potężną postacią. Will także zsiadł. Jak na jego gust, sprawy toczyły się zbyt pośpiesznie. Wymienili z Wyrwijem

zdziwione spojrzenia. Wierzchowiec zapewne wzruszyłby łopatkami, gdyby zdołał. „A co ja tam wiem?” - chciałby powiedzieć. „Jestem tylko koniem”.

Olbrzym zatrzymał się przed zdeterminowaną łysą wiewiórką, która wyrosła na jego drodze.

- Trobar nie uczyni mu krzywdy. - Malkallam nieco się zniecierpliwił. - Skoro żądasz ode mnie pilnej pomocy, szybciej będzie, jeśli pozwolisz wnieść lorda do domu.

Xander niechętnie odstąpił. Wielkolud rozplatał sznury przytrzymujące Ormana na koniu. Pozwolił nieprzytomnemu zsunąć się z siodła. Utulił go w ramionach jak w bezpiecznej kołysce. Spojrzał pytająco na Malkallama. Czarnoksiężnik wskazał dom.

- Do środka, do mojej pracowni.

Trobar ruszył. Nieprzytomny lord zdawał się ważyć w jego ramionach tyle co piórko. Xander biegł obok. Will i Malkallam szli z tyłu.

- Interesujące, jak zareagował na obecność twojego psa - rzucił czarnoksiężnik przyjaznym tonem. - Pewnie dlatego, że sam jako dziecko miał owczarka. Jedyny przyjaciel odmienca. Myślę, że śmierć ukochanego czworonoga złamała Trobarowi serce. Później wieśniacy wygnali go precz.

- Rozumiem - zgodził się Will. Wybrał najbezpieczniejszą odpowiedź, jaką zdołał wymyślić.

Malkallam zerknął kątem oka. Taki młody, pomyślał, a obarczany tak wielką odpowiedzialnością. Uśmiechnął się dyskretnie. Zwiadowca niczego nie zauważył. Mag wskazał przybyszom ławę ustawioną na ganku.

- Nie ma potrzeby, żebyście wchodzili, kiedy ja będę badał lorda Ormana - wyjaśnił.

Will przytaknął. Skwapliwie skorzystał z ławy. Natomiast Xander wyprężył się jak struna.

- Ja tam wchodzę - oznajmił z wielką mocą.

Malkallam tylko wzruszył ramionami.

- Skoro chcesz. Bądź co bądź, ty go tu przywiozłeś. Pozwól mi tylko na jedną uwagę. Chyba trochę za późno na rozważania, czy go nie skrzywdzę.

- Nie rozważam - odparł chłodno Xander. - Ja tylko... - Urwał.

Malkallam czekał, zachęcając, by skończył zdanie. Kiedy sekretarz milczał, czarnoksiężnik sam go wyręczył:

- ...martwisz się mimo wszystko, że mógłbym go jednak skrzywdzić.

Xander wzruszył ramionami. Dokładnie to miał na myśli. Zdawał sobie jednak sprawę, że głośne wyrażanie lęków nie zda się na nic, skoro osobiście poprosił czarnoksiężnika o

pomoc.

- Pamiętaj, nie spuszczaam cię z oka - zapewnił. Dłoń spoczęła na sztylcie zawieszonym u pasa. Tyle, że każdy natychmiast rozpoznałby człowieka nienawykłego do posługiwania się bronią.

Malkallam uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że twój pan byłby z ciebie dumny. Jeżeli zdecyduję się uczynić z nim coś okropnego, najpierw postaram się przemienić cię w traszkę.

Xander przez chwilę zerkał na czarnoksiężnika podejrzliwie. Wreszcie uznał, że Malkallam prawdopodobnie żartuje. Prawdopodobnie. Bez zbędnego gadania wszedł za magiem do środka.

Will z westchnieniem ulgi oparł plecy o grube bale, z których zbudowano dom. Słońce właśnie zajrzało pod okap, ogrzewało stopy zwiadowcy. Wreszcie mógł wyprostować nogi. Nagle poczuł znużenie. Dzień toczył się błyskawicznie. Wydarzenie goniło wydarzenie. Ucieczka z zamku, poszukiwanie kryjówki Malkallama, spotkanie z czarnoksiężnikiem. Cały czas był w nieustannym napięciu. Teraz, kiedy zyskał moment spokoju, Will poczuł się zupełnie wyczerpany.

Inni mieszkańcy siedziby Malkallama ciągle się na niego gapili. Usiłował nie zwracać na to uwagi. Z ich strony nic mu nie groziło, byli po prostu ciekawi.

Powoli podniósł wzrok, zauważywszy poruszenie przy drzwiach.

Trobar, olbrzym, wyszedł z domu. Rozejrzał się po polanie, dostrzegł sukę. Leżała tam, gdzie ją zostawił, wciąż czujna. Podeszedł, przyklęknął na jedno kolano, łagodnie gładził łeb owczarka. Z błogością zamknęła ślepia. Szukała jego dotyku.

- Panienko! - zawołał Will, nieco ostrzej, niż zamierzał.

Ślepia otworzyły się, suka przybrała czujną postawę. Will wskazał miejsce na ganku, tuż obok siebie.

- Chodź tutaj.

Podniosła się, otrząsnęła, z ociąganiem ruszyła w jego stronę. Will spojrzał na Trobara. Zniekształcona twarz wyrażała wielki smutek.

- Och, dobrze, już dobrze - mruknął do psa. - Zostań, gdzie jesteś.

Zobaczył, że uśmiech rozświetla twarz olbrzyma, bo pies znowu pozwolił się głaskać. Will zamknął znużone oczy. Zastanawiał się, jak najlepiej postąpić.

Rozdział 31

Coś działo się na dziedzińcu. Najpierw Alyss usłyszała krzyki, później końskie kopyta zadudniły po bruku. Podbiegła do okna komnaty na piętrze stołpu. W samą porę. Ujrzała trzech jeźdźców. Galopowali co koń wyskoczy ku zamkowej bramie.

Natychmiast dostrzegła Willa. Celnym strzałem strącił z zamkowych murów kusznika. Za nim gnali dwaj mężczyźni. Jeden z nich kolebał się w siodle, jakby za moment miał stracić przytomność. Ze zdumieniem rozpoznała Ormana.

Co tam się wyprawia, na niebiosa? Sądząc po reakcji strażników, lord najwyraźniej uciekał. Z własnego zamku! Kompletny absurd!

W dodatku Ormanowi towarzyszył Will. Alyss zmarszczyła czoło. Nic nie wskazywało na to, że zwiadowca działa pod przymusem. Chyba zresztą właśnie on prowadził grupkę. Przez chwilę zaświtała jej w głowie dziwaczna myśl. Orman naprawdę okazał się magiem. Rzucił na Willa czar, zmuszając zwiadowcę do posłuszeństwa. Jednak natychmiast dała spokój tym bredniom. Podobnie jak większość wykształconych ludzi, w gruncie rzeczy nie wierzyła w czarnoksięskie sztuki ani w magię.

Tylko jak to inaczej wytłumaczyć? '

Tętent ścichł, krzyki umilkły. Trzej jeźdźcy zniknęli. Mury zasłoniły uciekinierów. Lecz Alyss pozostała przy oknie. Kilka minut później konna grupa zbrojnych pod przywództwem wysokiego mężczyzny ruszyła w pościg. Dostrzegłszy przywódcę, zmarszczyła czoło. Nie potrafiła określić, co w nim było znajomego. Podeszła do sofy, usiadła. Najpierw chciała się ubrać i od razu zbiec na dół. Trzeba rozpoznać sytuację. Uznała, że najlepiej zapytać sir Kerena. Jednak zawahała się. Lady Gwendolyn nie postąpiłaby w ten sposób. Lady Gwendolyn, niemądra pannica, skupiona wyłącznie na sobie. Ona nie okazałaby najmniejszego zainteresowania czymkolwiek, co nie dotyczy nowych fryzur, butów albo sukien.

Zresztą, nie należało okazywać zbyt wielkiego zainteresowania tym, co porabia minstrel, Will Barton. W społecznej hierarchii stał nieporównanie niżej od arystokratki.

- Do licha! - mruknęła, palnąwszy dłonią o blat stolika w sposób najzupełniej nie licujący z godnością wielkiej damy. I wtedy wpadł jej do głowy pewien pomysł. Tak, jej osobiście nie uchodziło okazywanie zbyt dużego zaciekawienia. Lecz dysponuje służbą.

Zdecydowała się działać. Stała przy drzwiach, prowadzących do przedpokojów apartamentu lady Gwendolyn.

Obie pokojówki składały stertę świeżo upranych rzeczy. Gawędziły bez cienia niepokoju. Maks w kącie marszczył czoło nad jakimś manuskrypcem. Przedpokój nie miał okien, więc żadne z nich nic jeszcze nie wiedziało o wydarzeniach, które właśnie rozegrały się na dziedzińcu. Wszyscy troje poderwali się w jednej chwili, zaskoczeni jej nagłym wtargnięciem.

Niecierpliwie dała znak, nakazując spokój.

- Siadajcie, proszę - poleciła. Sama też przycupnęła na poręczu krzesła.

- Lord Orman wyjechał przed chwilą z zamku w towarzystwie minstrela Bartona. Wyglądało, jakby uciekali. - Zamyśliła się. - Straż na zamkowych murach usiłowała ich zatrzymać. Parę minut później wysłano pogoń.

Role służących należały do podrzędnych. Ale i tak przez ostatnich kilka dni ekipa kurierki zyskała sporą wiedzę na niejednym temat podnoszony w rozmowach między Alyss i Willem. Nie byli zwykłymi służącymi. Ludzi do pracy w Służbie Dyplomatycznej dobierano również pod kątem bystrości.

- Dlaczego lord Orman miałby umykać z własnego zamku? - zapytał Maks.

- Dlaczego Barton miałby mu w tym pomagać? - dodała Victoria, starsza z pokojówek.

Wszyscy tutaj rozumieli wagę konspiracji. Nigdy nie należało posługiwać się prawdziwym nazwiskiem Willa. Oraz nigdy, przenigdy nie wspominać, że chodzi o zwiadowcę. Alyss potrząsnęła głową.

- No, właśnie... Sprawy przedstawiają się bardzo dziwnie. Maks, zejdziesz na dół, do wielkiej sali. Przewąchasz, w czym rzecz. Staraj się zachować dyskrecję. Zerknij tu i tam, nadstaw ucha.

- Oczywiście. - Maks ruszył ku drzwiom. Po drodze ściągnął ze stołu swoją czapkę z piórkami.

- Maks! - zawołała.

Zastygł.

- Tak, pani?

- Proszę o dyskrecję.

Przytaknął. Wyszedł, cicho zamykając drzwi. Alyss miała świadomość, że Victoria oraz Sandra, druga pokojówka, aż pała się, żeby omówić dziwny obrót spraw. Alyss wszelako nie widziała takiej potrzeby. Po co międląc ozorami, skoro nie ma się żadnych nowych informacji. Bez sensu. Skinęła im i wróciła do komnaty.

Krążyła samotnie po pokoju. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Nie potrafiła porzucić rozmyślań, choć bardzo się starała. Próbowała budować najbardziej prawdopodobne scenariusze. Może Will udawał sojusznika Ormana, starając się dzięki temu uzyskać więcej informacji i lepszy wgląd w knowania lorda? Prawie z miejsca odrzuciła tę myśl. Will, opowiadając Alyss, co dzieje się w zamku, od samego początku podkreślał, że od pierwszej chwili pomiędzy nim a Ormanem zapanowała niechęć. Mało więc prawdopodobne, by raptem wślizgnął się w łaski pana zamku i zdobył jego zaufanie.

A może lord odurzył Willa? Alyss wiedziała, że Orman studiuje księgi, poświęcone praktykom czarnoksięskim oraz truciznom. Will sam to potwierdził. Odrzuciła i ten pomysł. Will nie sprawiał wrażenia odurzonego. Przecież zauważyła, obserwując dziedziniec, kto prowadził uciekinierów.

Zdenerwowana, zaprzestała rozwiązywania łąmigłówek. Stolik obok jej krzesła zajmowała robótka. Czyli coś w sam raz dla lady Gwendolyn. Alyss podniosła tamborek, wzięła się do przewlekania igły przez siatkową tkaninę. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Niestety, Alyss nie podzielała upodobania lady Gwendolyn do haftu. Kilka niezbyt entuzjastycznych prób wszycia ozdóbek w skrzydełko motyla skończyło się wbiciem igły w palec. Łączniczka cisnęła robótkę w kąt.

Czas płynął powoli. Okrutnie powoli. Maks wrócił mniej więcej po godzinie. Nie podsłuchał nic ponad to, co Alyss już wiedziała. Zamek aż się trząsał od plotek. Z jakiegoś powodu lord Orman, jego sekretarz oraz minstrel Barton umknęli. Wyglądało, że nikt nie wie, co ich zmusiło do podjęcia takiego kroku. Nikt nie potrafił również zgadnąć, dlaczego zbiegów usiłowano zatrzymać. W trakcie ucieczki minstrel postrzelił jednego z żołnierzy Kerena, trzymających straż na murach. Mężczyzna odniósł poważne obrażenia. Trafił do zamkowej infirmerii.

- Wszyscy są chyba równie zdumieni jak my - relacjonował rozwój sytuacji Maks. Alyss niecierpliwie potrząsnęła głową. Znowu rozpoczęła wędrówkę po komnacie. Maks, który nie wiedział, czy życzy sobie czegoś jeszcze, niepewnie chrząknął.

- Czy to wszystko, pani? - Odwróciła się do niego z przeproszącą miną.

- Oczywiście, Maksie. Dzięki. Możesz odejść.

Ledwie Maks zniknął, kiedy znów rozległo się pukanie.

- Wejść - zawołała. Kurierka sądziła, że wraca Maks, by coś dopowiedzieć. Bardzo ją więc zdziwiło, że w drzwiach stoi nie Maks, lecz sir Keren. Minęło kilka sekund, nim wskoczyła w skórę lady Gwendolyn. Nie była pewna, czy Keren to zauważył.

- Och, sir Kerenie - zatrzepotała rzęsami. - Cóż za urocza niespodzianka! Proszę do środka!

Zawołała w stronę przedpokoju:

- Maksie, podaj nam wina, proszę! Dobrego, galijskiego. Proponuję białe.

Maks pospieszył do kredensu.

Tymczasem Keren wkroczył do pokoju. Rozglądał się uważnie. Obserwował ciśnięte w nieładzie suknie, stopy nakryć głowy, przyborów do upiększania i butów. Lady Gwendolyn otaczała się przedmiotami. Wskazała krzesło przy kominku.

- Wybacz, pani, że cię niepokoję - zaczął Keren.

Natychmiast weszła mu w słowo.

- Och, żaden kłopot, sir Kerenie, absolutnie, żaden kłopot. Wręcz przeciwnie, miło mi jest pogawędzić z przystojnym, młodym rycerzem. - Pozwoliła sobie na kokieteryjny uśmiech. - Tylko proszę, nie wspominaj mojemu narzeczonemu, lordowi Farrelowi, że tak mówiłam.

Keren zgodził się natychmiast.

- Twój sekret spoczywa u mnie bezpiecznie, pani - zapewnił dwornie.

Kiedy Maks wszedł do pokoju i napełniał kielichy, Alyss zalewała Kerena potokiem bezsensownej paplaniny. Spozobegła, że spogląda na nią uważnie. W końcu, kiedy nabierała powietrza, wtrącił.

- Przed godziną w zamku doszło do pewnego zamieszania. Zastanawiam się, lady Gwendolyn, czy zwróciłaś na coś szczególną uwagę?

Otworzyła szerzej oczy. Starając się zademonstrować najszersze zdumienie i niepokój.

- Och, w rzeczy samej, słyszałam! Niemałe zamieszanie, dalibóg. Galopowały konie, ludzie wrzeszczeli. Prawdziwy tumult! Mój sługa, Maks, donosi mi, że jeden ze strażników został raniony. Prawda to?

- Tak, niestety. Zapewniono mnie jednak, że wydobrzeje - odparł Keren.

Alyss gorączkowo pochyliła się ku rycerzowi. Łokciami ścisnęła kolana, jak gdyby starała się okiełznać ciekawość.

- Wyjaśnij, proszę, sir Kerenie, coż to się działo? Przestępcy? Rabusie? Rozbójnicy?

Keren, przybrawszy smutną minę, zaoponował.

- Gorzej, pani. O wiele gorzej. Obawiam się, że zdrajcy.

Alyss aż wyprostowała się z wrażenia, usta same jej się otworzyły. Rozważała, przez moment, czy nie ujawnić Kerenowi swojej prawdziwej tożsamości oraz celu wizyty. Bądź co bądź, wydawał się osobą godną zaufania. Alyss znała plan Willa, wiedziała, iż zwiadowca

skłaniał się do wtajemniczenia Kerena w ich sprawy. Jednak instynkt nakazał kurierce wstrzeźliwość.

- Zdrajcy, sir Kerenie? Tutaj, w Macindaw? Wstrząsające! Zamek pozostaje bezpieczny? - Ostatnie pytanie poparła lekko zaniepokojoną minką.

Keren uspokajał.

- Zupełnie bezpieczny, pani. Panujemy nad wszystkim. Jednak, jak się obawiam, przynoszę złe nowiny.

Przerwał. Oczy Alyss wciąż pozostawały rozszerzone, a usta otwarte. Czekwała na dalszy ciąg wyjaśnień. W duchu westchnęła. Jeżeli Keren prędko nie skończy, jej wargi oraz brwi pewnie zastygną w wieczystym wyrazie zdziwienia.

- Lord Orman, panujący na zamku w zastępstwie ojca i dowodzący garnizonem, odsłonił swoje prawdziwe oblicze. Okazał się zdrajcą.

- Lord Orman? - spytała z niedowierzaniem.

Keren posepnie przytaknął.

- Knuł, co się właśnie teraz wydało. Chciał przed nastaniem wiosny poddać zamek armii Skottów. Minstrel Barton działał z nim w zмовie.

- Nie. On przecież... - Alyss z trudem zdołała się pohamować.

Keren przerwał bezceremonialnie.

- Obawiam się, że tak, pani. Wszystko wskazuje, że przez ostatnie trzy tygodnie, nawet wcześniej jeszcze, niżli tutaj się zjawił, minstrel przekazywał Skottom wiadomości od lorda Ormana.

Usta Alyss zamknęły się gwałtownie. Tylko chwile dzieliły ją od wyznania Kerenowi, że Will jest zwiadowcą. Oraz że przysłano go w celu zbadania tajemniczych wydarzeń dziejących się w lennie. Keren sam sprawił, że natychmiast poniechała wszelkich wyjaśnień.

Uwierzyłaby w oskarżenia, kierowane pod adresem Ormana. Tymczasowy lord knuł ze Skottami? To mogło być prawdopodobne. Tylko do czego zmierza Keren, posuwając się do łgarstw i obciążając Willa zarzutem zdrady? Zdała sobie sprawę, że rycerz z napięciem oczekuje na jakąś reakcję.

- Ale on ma taki miły głos - pisnęła. Uznała, że lady Gwendolyn udzieliłaby równie niemądrej odpowiedzi.

Brwi Kerena drgnęły. Bez wątpienia, wyciągnął taki właśnie wniosek.

- Wszelako, pani, jako ci rzekłem, minstrel szpieguje.

- Cóż, dziękuję za wieści, sir Kerenie. Okropna sprawa. Okropna, w rzeczy samej! Domyślał się, że mój narzeczony, lord Farrell, będzie przerażony, kiedy się dowie, jakie

niebezpieczeństwo mi tutaj groziło!

Keren ciągle nie wstawał. Ale skłonił się lekko.

- Zapewniam cię, pani, nic ci nie groziło i nie grozi. Na szczęście, w porę odkryliśmy spiszek. Żałuję tylko, że zdrajcy zdołali zbiec. Uznałem, że najlepiej powiadomić cię od razu, gdyż z pewnością zamieszanie na dziedzińcu wywołało twój niepokój.

- W rzeczy samej, sir Kerenie. W rzeczy samej. Dziękuję za troskę. Czuję się spokojniejsza wiedząc, że moje bezpieczeństwo spoczywa w rękach tak dzielnego i uprzejmego rycerza. Pragnęłabym ci jeszcze oznajmić...

Cokolwiek pragnęła mu jeszcze oznajmić, musiało ustąpić przed kolejnym pukaniem do drzwi.

- Wejść - zawołał Keren.

Alyss pomyślała, że on jednak zachowuje się nieco obcesowo. Bezcelność nie całkiem pasowała do obrazu szarmanckiego rycerza, który przybywa, żeby rozproszyć niepokój damy goszczącej w zamku. Sir Keren stawał się w oczach kurierki całkiem innym kimś.

Klamka jęknęła. Drzwi, pchnięte dość gwałtownie, otworzyły się na oścież. Do komnaty wtargnął mocno kulejący mężczyzna. Jego prawe udo opatrzone zostało byle jak. Od razu stało się jasne, kogo szuka. Natychmiast zwrócił się do sir Kerena i złożył mu raport:

- Uszli nam, niech ich diabli. Wjechali do tego przeklętego lasu. - Odwrócił się ku Alyss. Kurierka nie zdołała ukryć zaskoczenia.

Stał przed nią John Buttle.

Rozdział 32

Malkallam pojawił się na ganku po mniej więcej godzinie.

Will, wyciągnięty na ławie, zdążył już nawet przysnąć. Czuł rozkoszne ciepło słonecznych promieni, coraz gęściej zagładających pod okap. Obudził się, gdy usłyszał skrzyp otwieranych drzwi. Drobnny człowieczek zatrzymał się obok Willa. Malkallam, spostrzegłszy pytający wzrok zwiadowcy, zachichotał.

- Wydobrzeje - zapewnił. - Chociaż, gdybyście dłużej zwlekali, nie jestem pewien, czy przeżyłby. Sekretarz wciąż sterczy u boku lorda. Daje baczenie - dodał.

Will skinął głową. Spodziewał się, że Xander pozostanie u boku swego pana, dopóki ten nie wyzdrowieje.

- A więc został odurzony? - spytał.

Malkallam przytaknął.

- Otruty, ściśle rzecz biorąc. Szczególnie paskudną substancją, zwaną korokorą. Mało kto ją zna, a w żadnym z ważniejszych traktatów zielarskich, a nawet i trucicielskich nie znajdziesz o niej choćby wzmianki. Potrzeba około tygodnia, by zaczęła działać, więc zapewne dodano jej Ormanowi do jedzenia albo do napoju w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Jedna mała dawka wystarczy. Przez kilka dni nic się nie dzieje. Symptomów wtedy brak. Potem często nic nie daje się zrobić.

- Czyżby uzdrowicielom z zamku brakowało wiedzy? - zapytał Will z powątpiewaniem.

- O korokorze niewiele coś wie. Większość uzdrowicieli wcale o niej nie słyszała. Zresztą, nawet gdyby słyszeli, nie znaleźliby odtrutki.

- Ty znalazłeś? - stwierdził Will.

Malkallam znowu zachichotał.

- Bo ja nie przypominam większości uzdrowicieli.

- Nie, nie przypominasz. A właściwie, kim ty jesteś, jeśli wolno spytać?

Malkallam, zanim odpowiedział, przez parę sekund wpatrywał się w zwiadowcę. Potem machnął na Willa, żeby się przesunął na ławie.

- Zrób trochę miejsca, porozmawiamy - westchnął. Usiadł obok i spojrzał na polanę.

Trobar nadal bawił się z suką. On rzucał skórzaną piłkę, ona cierpliwie przynosiła mu

ją z powrotem i przytrzymała. Kładła nos na przednich łapach, dziarsko merdając. Droczyła się z olbrzymem. No, spróbuj mi odebrać!

Kiedy Will spał, mieszkańcy małej osady Malkallama rozeszli się do normalnych, codziennych zajęć. Ktoś czerpał ze studni wodę, ktoś piłował drwa, ktoś układał je w stos.

- Zaczynamy - rzekł Malkallam. - Co o mnie wiesz?

- Co wiem? - powtórzył Will. - Bardzo niewiele. Oczywiście, dochodziły do mnie rozmaite plotki. Jesteś czarnoksiężnikiem, powtórny wcieleniem czarnego maga Malkallama. Przed stu laty zamordowałeś przodka Ormana. Twoja siedziba znajduje się w Lesie Grimsdell. Tutaj spotyka się dziwne zjawy, przeżywa straszliwe wizje, słyszy niezwykle dźwięki. Sam spotykałem, przeżywałem i słyszałem niektóre z nich.

- Istotnie - mruknął zadumany Malkallam. - Odwiedzałeś mój las kilka nocy temu. Nie zaprzeczysz. Koszmarny Nocny Wojownik cię nie odstraszył?

- Byłem przerażony jak nigdy w życiu - przyznał Will.

- Lecz mimo wszystko wróciłeś.

Will pozwolił sobie na blady uśmiech.

- Nie nocą. Wróciłem przy świetle dnia. Wtedy przekonaliśmy się, że wizje to nic innego, jak tylko gigantyczny pokaz możliwości latarni magicznej.

Malkallam uniósł brwi.

- Bardzo dobrze - stwierdził. - Jak się domyśliłeś?

- Alyss się domyśliła. Wytropiła w trawie wypalone ślady. Tam, gdzie ustawileś latarnię.

- Jak rozumiem, Alyss to owa młoda dama, która towarzyszyła ci podczas wizyty następnego dnia? - spytał Malkallam. Zmarszczył czoło. - Co z nią?

- Nadal przebywa w zamku - odpowiedział Will.

Malkallam znów uniósł brwi.

- Zostawiłeś ją tam?

Will zachmurzył się.

- Nie na długo - zapewnił z ponurą zawziętością. Malkallam poruszył bolesny temat. Gospodarz Lasu Grimsdell natychmiast wykonał uspokajający gest.

- Na wszystko przyjdzie czas. Odniosłem wrażenie, iż chodzi o zupełnie wyjątkową młodą damę.

- O, tak. Ale rozmawiamy przecież o tobie - podkreślił z naciskiem Will. Zbyt długo pozwalał się wodzić za nos.

Malkallam uśmiechnął się.

- W rzeczy samej. Cóż, jak chyba się domyśliłeś, żaden ze mnie czarnoksiężnik. Kiedyś byłem uzdrowicielem. - W jego głosie zadźwięczał tęskny ton. - Bardzo dobrym uzdrowicielem, skoro o tym mowa - zaznaczył z przekonaniem. - Wtedy naprawdę cieszyłem się z życia. Czułem, że robię coś wartościowego.

- Dlaczego wszystko się zmieniło? - zapytał Will.

Malkallam westchnął.

- Ktoś umarł - odrzekł. - Piętnastolatek, uroczy chłopiec, lubiany przez wszystkich. Rodzice przyprowadzili go do mnie ze zwykłą gorączką. Błahostka, wcześniej wiele razy zajmowałem się podobnymi przypadkami. Ot, banalny problem. Tyle że u tego akurat chłopca nie zadziałały leki, które podałem. Co gorsza, wystąpiła reakcja alergiczna. Nie minął dzień, gdy zmarł.

Głos kruchego człowieczka zadrżał nieco. Will dostrzegł pojedynczą łzę. Jedną jedyną.

- Tak się czasem zdarza. Bywa, że ludzie umierają pozornie bez żadnego powodu.

- Wieśniacy ciebie obarczyli winą? - bardziej stwierdził, niż spytał Will.

Malkallam przytaknął.

- Zaczęło się powoli, od szeptanych plotek. Był jeden człowiek, który pragnął zająć posesję uzdrowiciela. Moją posesję. Jestem pewien, że to on wszystko rozpętał. Twierdził, że pozwoliłem chłopcu umrzeć. Stopniowo przychodziło do mnie coraz mniej ludzi. Wybierali tego drugiego.

- Domyślałam się, że za swoje usługi pobierał od nich opłatę?

- Oczywiście. Ja zresztą również. Nawet uzdrowiciel musi coś jeść. Plotki stawały się coraz okropniejsze. Potężniały. Jeśli ktoś w wiosce umierał po wizycie u mojego konkurenta, wmawiał wieśniakom, że ja tę osobę przekląłem. Wygodne usprawiedliwienie.

- Żartujesz - odparł Will. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że ludzie uwierzyli?

Malkallam tylko wzruszył ramionami.

- Byłbyś zdumiony, słysząc, w co ludzie zdolni są uwierzyć. Im większe kłamstwo, im większa bzdura, tym chętniej nadstawiają ucha. Często tłumaczą sobie: „Straszne! Takie straszne, że to aż musi być prawda”. W każdym razie, ilekroć przechodziłem obok, ludzie zniżali głos do szeptu. Wreszcie wszyscy, bez wyjątku, patrzyli na mnie spode łba. Uznałem więc, że czas zadbać o własne zdrowie i opuściłem wioskę. Pewnego dnia ulotniłem się. Zamieniłem wioskę na Las Grimsdell. Miesiącami koczowałem w namiocie. Wreszcie zbudowałem dom. Ten dom. Wiedziałem, że miejscowi nie zawahają się pójść moim tropem do lasu. Bądź co bądź, ponoć miał tutaj swoją siedzibę Malkallam, żyjący przed stu laty.

- Dlaczego właściwie używasz tego samego imienia?

Pytanie Willa uzdrowiciel zbył krótkim, pogardliwym chichotem.

- Nie tyle ja go używam, co ludzie mi je nadali - wyjaśnił. - Ja mam na imię Malcolm. Po moim zniknięciu miejscowi dodali dwa do dwóch. Wyszło im siedem. Uznali, że Malcolm to zmieniona dla niepoznaki forma imienia Malkallam. Stąd już tylko krok dzielił ich od dalszych bredni. Zostałem osławionym czarnoksiężnikiem, który powstał z martwych. Wykorzystałem ten fakt, żeby się chronić, przyznaję. Przygotowałem sztuczki, wywoływałem duchy. Sam to widziałeś. Ilekroć komuś starczało odwagi, by wkroczyć do Grimsdell, prędko ją tracił. Śmiałków skutecznie odstrasza Nocny Wojownik. No, i głosy.

- Jak stworzyłeś głosy? - spytał Will. - Kiedy je usłyszałem, odnosiłem wrażenie, że dobiegają zewsząd.

Malcolm zachichotał.

- Wcale udany efekt, nieprawdaż? Używam wydrążonych tub, rozmieszczonych między drzewami. Mówisz do jednej, głos przenosi się do drugiej. Na końcu szeregu zastosowałem specjalny dzwon w kształcie trąby, który wzmacnia dźwięk. Dzwon spoczywa w spróchniałym pniu. Nikt go nie zobaczy. Do tuby gada Luka. O, ten tu. Ten, co zbiera drewno na opał.

Wskazał osobnika, który dziwacznie kuśtykał po drugiej stronie polany. Luka, człowiek o potężnym torsie i okropnie wykrzywionej twarzy, dźwigał masywny tułów umieszczony na króciutkich, zdeformowanych nóżkach. Przechylony mocno w jedną stronę, straszliwie się garbił. Starał się ukryć deformację pod bujnym zarostem i długimi włosami. Tyle że bez żadnego skutku.

- Posiada cudowny głos - ciągnął Malcolm. - Zdeformowana klatka piersiowa pozwala uzyskiwać brzmienia o niesłychanej sile. Korzystając z tuby, wypowiada każde słowo bardzo wyraźnie, głośno. Nie przywykł, by mu ludzie odpowiadali. Napędziłeś mu zatem niezłego stracha, kiedy tamtej nocy zacząłeś wymachiwać wielkim nożem.

- Jego strach nie równał się w żaden sposób z moim przerażeniem - burknął Will, przyglądając się kalece.

- Wyjaśnij mi, skąd się wzięli ci tutaj? Luka, Trobar, reszta.

- Pewnie wpadło ci do głowy, że to ja ich stworzyłem?

Gorzki uśmiech zatańczył na wargach Malcolma. Will, zmieszany, poruszył się na ławie.

- Cóż... W rzeczy samej, nie zaprzeczę - przyznał.

Twarz Malcolma posmutniała.

- Tak. Ludzie, którzy widują ich czasami, inaczej nie myślą. Że to moi pokraczni

poddani. Że to moje stwory. Że to moje potwory... Prawda przedstawia się znacznie prościej. Zgromadziłem wokół siebie ludzi odrzuconych. Zwyczajnych wieśniaków, tyle że niechcianych w wioskach. Oni wyglądają inaczej. Albo inaczej mówią. Lub inaczej się poruszają. Niektórzy, na przykład Trobar i Luka, tacy się urodzili. Innych okaleczył ogień lub wrzątek. Jeszcze inni to ofiary wypadków. Ludzie się ich boją, brzydzą. Nie chcą takich sąsiadów.

- Jak do ciebie trafiają? - Will drążył dalej.

Uzdrowiciel wzruszył ramionami.

- Sam ich wyszukuję. Trobar był pierwszy. Znalazłem go przypadkiem, kiedy liczył sobie osiem lat. Teraz ma osiemnaście. Został wypędzony z wioski, ponieważ taki wielki urósł. Wygnali go do lasu, na pewną śmierć. Próbował zabrać ze sobą psa. Miał tylko jego. Jedyne na całym świecie przyjaciela. Zwierzęcia nie obchodziło, że chłopiec jest brzydki i pokraczny. Pokochał Trobara, Trobar pokochał jego. Psy już takie są. Nie osądzają.

- Co się stało z psem? - zapytał Will. Pomyślał, że chyba zna odpowiedź.

- Pies naturalnie starał się bronić pana. Któryś z wieśniaków po prostu go zatłukł. Trobar przydźwigał zwłoki do lasu, a wieśniacy w końcu machnęli ręką na odmieńca. Kiedy go znalazłem, tulił martwego psa i płakał. Razem pochowaliśmy zwierzę, potem sprowadziłem chłopaka tutaj. Z biegiem lat dołączało do nas coraz więcej jemu podobnych. Wiedzieliśmy, kogo wieśniacy wypędzają od siebie, zbieraliśmy odrzuconych, sprowadzaliśmy tutaj. Niektórzy potrzebowali uzdrowiciela. Dzięki ziołom oraz wywarom umiałem im pomóc. W pewnych przypadkach należało zastosować kurację innego rodzaju.

- Znasz się i na takich kuracjach? - spytał Will.

Malcolm przytaknął.

- Staram się pomagać. Niekiedy wystarczy, by chorzy wiedzieli, że odnaleźli własne miejsce. Że istnieją tacy bliźni, którzy nie osądzają ich po wyglądzie. Kuracja ducha wymaga jednak długiego czasu. Wierz mi, o wiele łatwiej wyleczyć zranione ciało niż cierpiącą duszę.

Will machinalnie przytaknął. Rozwahał to, co przed chwilą usłyszał.

- Chociaż od wielu lat opiekujesz się ludźmi takimi jak ci, wieśniacy wciąż traktują cię jak czarnoksiężnika?

Malcolm wzruszył ramionami.

- Po części sam jestem sobie winien. Wymyśliłem praktyki czarnoksięskie, żeby utrzymać ludzi na dystans. Tyle że ktoś niedawno zaczął rozważać, jak zdoła dla własnej korzyści wykorzystać bajkę o Malkallamie. Wszystko nastąpiło w ciągu ostatniego roku.

- Keren? - odpowiedział Will.

Malcolm raz jeszcze przytaknął.

- Tak wskazują wszelkie znaki na ziemi i niebie. Zasadnicze pytanie brzmi: co on chce uzyskać, strasząc upiorami z przeszłości?

- Kiedy tylko się o wszystkim dowiem - oznajmił ponuro Will - dopilnuję, byś i ty się dowiedział.

Rozdział 33

Buttle wpatrywał się przenikliwie w siedzącą na krześle Alyss. Dziewczyna na moment zamarła. Wielkie nieba, cóż on tu robi? Rozpoznał ją? Wśród goniłwy myśli kurierka musiała wysilić cały swój talent aktorski, by utrzymać się w roli trzpiotowatej lady Gwendolyn.

- Wybacz najście - warknął gburowato Buttle.

Sądząc po bezceremonialności tonu, miał w nosie wszelkie jej wybaczenia. Odwrócił się obcesowo ku Kerenowi. Na damę nie zwracał najmniejszej uwagi. Chociaż czoło lekko zmarszczył. Coś go w tej pannicy zastanawiało.

- Uznałem, że zechcesz dowiedzieć się natychmiast. Powiedzieli mi, że jesteś tutaj z...
- wskazał kciukiem Alyss.

- Z lady Gwendolyn - podpowiedział Keren. - Narzeczoną lorda Farrella z Gort. Wielmożną damą goszczącą w naszym zamku.

W tonie Kerena zadźwięczała ostrzegawcza nuta. „Nie gadaj przy niej za wiele”. Alyss wyczuła intencję. Napięła twarz w bezmyślnym uśmiechu. Omdlewającym ruchem podsunęła Buttle'owi dłoń, wierzchem do góry.

- Jak mniemam, spotykamy się pierwszy raz, mój dobry człowieku - westchnęła.

Buttle przez chwilę gapił się na dłoń damy. Chyba nie wiedział, co powinien uczynić. Dworzanin uniósłby rzecz jasna tę dłoń ku wargom, markując pocałunek. Buttle nie był wszelako dworzaninem. Keren pospieszył z wypełnieniem luki w konwersacji.

- Lady Gwendolyn, stoi przed panią John Buttle, jeden z moich niedawno zatrudnionych pomocników.

Buttle z wolna pojmował, że trzeba coś wykonać z wyciągniętą ręką Alyss. Sięgnął, chwycił, uściskał. Bynajmniej nie łagodnie.

- Miło poznać - warknął z wdziękiem słonia w składzie porcelany.

- Jestem zaszczycona - odparła gładko Alyss. - Jak rozumiem, to pan ścigał zdrajców? Cóż za odwaga! - Zatrzepotała rzęsami w stronę zbója.

Buttle przez chwilę marszczył czoło.

- Zdrajców? - zawahał się. Niepewnie zerknął na Kerena.

- Właśnie poinformowałem lady Gwendolyn - Keren zwrócił się do Buttle'a - o spisku

lorda Ormana i minstrela, którzy planowali wydanie zamku w ręce Skottów.

Zmarszczki na czole Buttle'a pogłębiły się. Milczał przez chwilę. Wreszcie, choć odrobinę zbyt późno, spłynęło nań olśnienie.

- Ech? Och... No tak. Uhm, zgadza się. Zdrajcy, jasna sprawa. Szczęście, żeśmy ich w porę dopadli, powiadam. Bo gdyby nie, to oni by...

- Tak, tak, jestem pewien, że lady Gwendolyn nie pragnie wysłuchiwać wszystkich ponurych szczegółów - wtrącił pospiesznie Keren. Nie miał złudzeń co do narracyjnych zdolności Buttle'a. Opryszek z pewnością nie opanował trudnej sztuki improwizowania opowieści. Zwłaszcza tak, żeby niczego nie pokręcić.

Alyss zwróciła uwagę na nagłą interwencję Kerena. Łatwo domyśliła się przyczyny. Uczuła, jak kamień spada jej z serca. Bo przecież nie odsłoniła przed uzurpatorem nawet rąbka tajemnicy. Wiele spraw, związanych z Zamkiem Macindaw, rysowało się teraz w odmiennym niż dotąd świetle.

- Doprawdy, Buttle, pana chyba zraniono! - pisnęła. - Człowieku, zakrwawisz nam cały dywan!

Buttle zerknął na prowizorycznie opatrzone udo. Spod opatrunku sączyła się krew. Zaklął pod nosem, sięgnął, żeby wzmocnić węzeł.

Kiedy minęło pierwsze wrażenie, opryszek przyjął, że przedstawiony został prawdziwej lady Gwendolyn. W każdym razie kurierka miała podstawy, by tak sądzić. Odetchnęła swobodniej. Bądź co bądź, upłynęło już kilka tygodni od chwili, kiedy ją pierwszy raz spotkał. No, i wtedy nosiła rozpuszczone włosy. Dzisiaj upięła je w ciasny węzeł, zwieńczając fryzurę wysokim, szpiczastym kapeluszem, do którego doczepiła welon.

Alyss dbała, by jej włosy trefiono zgodnie z wymogami najnowszej mody. Osobiście uważała taką dbałość o fryzurę za absurd. Jednak wpojono w nią, że dla kurierki staranne ułożenie włosów znaczy bardzo wiele. Zmieniając styl uczesania, kobieta potrafi sprawiać wrażenie kogoś całkiem innego. Teraz nosiła włosy upięte odmiennie niż wtedy, kiedy los pierwszy raz zetknął ją z Buttle'em.

Obecny strój Alyss również w niczym nie przypominał odzienia z tamtego dnia. Gdy wraz z Willem oddawali draba w niewolę Skandianom, kurierka miała na sobie prostą białą suknię.

Dziś przyoblekła wytworną suknię, ozdobioną aplikacjami z cieniutkiej koronki, z nedorzecznie szerokimi rękawami. Obwiesiła się biżuterią, wykorzystując chyba każde wolne miejsce na ciele.

Na dobitkę starannie modulowała głos. Mówiła piskliwiej, niż na co dzień.

Naśladowała egzaltowaną intonację dam z wyższych sfer, naturalną dla kogoś takiego, jak lady Gwendolyn.

W rezultacie Alyss zaczynała nabierać pewności siebie. Być może grzeszyła zbytnią bezczelnością. Jednak doszła do wniosku, iż właśnie zyskuje okazję, by wyszarpać trochę informacji.

- Mieczem ciąż cię zapewne ów zdrajca, Orman? - udała troskę o bandziora.

Buttle parsknął szyderczo.

- Taki mól książkowy?! On nie potrafiłby unieść miecza, nawet gdyby chodziło o ocalenie jego własnej, nędznej skóry. Zranił mnie przeklęty muzykant, niech mu diabli kark garbują!

- Zważaj na maniery, Buttle - upomniał Keren.

Buttle, osłupiały, nic nie pojmował. Keren skłonił się Alyss.

Zbój tłumaczył dalej:

- Eee,... Wybacz, pani. W każdym razie postrzelił mnie tchórzliwy wieprz. Nie stanął do walki twarzą w twarz, jak krzepkiemu chłopu wypada. Przyczał się gdzieś, schowany trzysta czy czterysta metrów dalej. I wpakował mi strzałę w nogę.

Chybił, pomyślała Alyss. Szkoda.

- Trzysta metrów? - powtórzył z nutą niedowierzania Keren. - Niesamowity strzał.

Buttle, który jak wielu ludzi lubił przesadę, wzruszył tylko ramionami.

- Dobra, może nie trzysta. Ale i tak strzelał z dużego dystansu. Żaden z niego minstrel, powiadam. Nigdy nie spotkałem minstrela, który by tak umiał trafiać.

Alyss poczuła dreszcz niepokoju.

- Mnie zdał się właśnie wyborym minstrelem - starała się sprowadzić rozmowę na bezpieczniejszą ścieżkę. Dopóki Buttle ostatecznie nie zwątpi, że Will to minstrel, poniecha domysłów, kto naprawdę go zranił. Niech na przykład nie zastanawia się, czy może strzelał do niego zwiadowca. Gdyby bowiem podejrzewał Willa, mógłby podejrzewać także ją. Odwróciła się do Kerena.

- Miał przecież nadzwyczaj słodki głos. Czyż nie, sir Kerenie?

Keren machinalnie przytaknął. Namyslał się. Wcześniej nie zastanawiał się nad tożsamością czy profesją Bartona. Sam się przekonał, iż młodzik był całkiem znośnym minstrelem.

- Z pewnością, prezentował klasę godną zawodowca - zgodził się. - A i pies został dobrze wyszkolony na potrzeby występów.

Boże, strzeż, przemknęło przez głowę Alyss. Buttle podniósł wzrok z nagłym

zainteresowaniem.

- Pies? Co za pies?

Keren lekceważąco machnął dłonią. Temat psa uznawał za całkowicie nieistotny.

- Och, przyprowadził ze sobą czarno-białego owczarka, sukę. Towarzyszyła mu, gdy występował.

Boże, strzeż, Alyss przeraziła się po raz drugi. Brwi Buttle'a ściągnęły się w jedną kreskę, gdy porządkował fakty. Znakomity łucznik. Nawet więcej niż znakomity, wybitny. I czarno-biały owczarek. Raptem wykonał krok w kierunku Alyss. Wyciągnął dłoń, celując palcem. Już wcześniej mu się zdawało, że ta pannica kogoś mu przypomina!

- Wstawaj! - rozkazał.

Spłoszony Keren spojrzał na podkomendnego. Drab zdawał się tracić rozum.

Alyss, pogardliwie uśmiechnięta, obrzuciła Buttle'a spojrzeniem pełnym wyższości. Jak przystało szlachetnie urodzonej damie, której jakiś plebejusz śmie wydawać polecenia.

- Czyżby słuch mnie mylił, panie Buttle? - syknęła z wielką godnością. Odwróciła się ku Kerenowi. - Doprawdy, sir Kerenie, mój narzeczony o tym usłysy...

- Wstawaj! - wrzasnął Buttle. Już nie zważał na maniery.

Keren postąpił krok w stronę awanturnika. Położył mu dłoń na ramieniu.

- Buttle, na Boga, co z tobą, człowieku?

- Tak mi się zdawało, że ją poznał. Od razu kombinowałem, że coś z nią nie tak! - warczał Buttle.

Alyss pozostała na miejscu, nieporuszona, pozornie opanowana, z wypisanym na twarzy wyrazem łagodnego rozbawienia, wzmocnionego pogardą. Ale aż nazbyt dobrze wiedziała, dlaczego Buttle żąda, by wstała. Jej wzrost. Jedyne, czego nie była w stanie zamaskować.

- Sir Kerenie, zechciałbyś usunąć tego osobnika z moich komnat?

Drzwi do przedpokoju otworzyły się. Zajrzał Maks, zaalarmowany wrzaskami Buttle'a.

- Pani? - spytał. - Wszystko w porządku?

Dłoń sługi już czyhała w okolicach sztyletu. Alyss niedbałym ruchem odprawiła Maksa. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, była walka. Miała przy sobie ledwie dwóch zbrojnych. Gdyby więc doszło do starcia, nie mieliby najmniejszych szans wobec liczebnej przewagi przeciwnika. Całą nadzieję pokładała w dobrze odgrywanej roli.

- Zostaw nas, Maksie. Sir Keren poradzi sobie z tym prostakiem - wysyczała.

Maks powątpiewająco rozglądał się po komnacie. Alyss, uchwyciwszy wzrok sługi, skinęła niemal niezauważalnie. Maks wzruszył ramionami. Cofnął się, zamykając za sobą

drzwi.

Między Buttle'em a Alyss wyrósł Keren. Wściekły za żądanie niedorzecznej konfrontacji. Lady Gwendolyn zbierała się w drogę mniej więcej za tydzień. Jednak, gdyby Keren został zmuszony ją zatrzymać, narzeczony arystokratki pewnie zjawiłby się tu osobiście po wybrankę. Z oddziałem zbrojnych. Należałoby stanąć do walki. A walka to ostatnia rzecz, jakiej Keren życzyłby sobie w chwili, gdy jego plan prawie się powiódł.

- Buttle - mówił bardzo spokojnie. - Ostrzegam cię. Stul gębę i wyjdź. Wyjdź stąd. Zjeżdżaj!

Nim Keren dokończył rozkaz, wysoki brodacze już odmownie kręcił głową.

- Żadna ona dama! - triumfował. - Wiem, bo widziałem ją wcześniej. A teraz każ jej wstać!

Keren z przeproszącą miną zwrócił się do Alyss. Wzruszył ramionami.

- Może zechciałabyś łaskawie spełnić prośbę tego człowieka, lady Gwendolyn - zaczął. Alyss okazała najwyższe wzburzenie.

- Bynajmniej! - odparła.

Keren wahał się. Ogarnęły go nagłe wątpliwości. Buttle skojarzył w głowie ostatnie szczegóły. Tym usilniej nalegał.

- To kurierka! - oświadczył triumfalnie. - Spotkałem ją na południu! Była wtedy ze zwiadowcą!

Oblicze Kerena przybrało wyraz zaniepokojenia.

- Ze zwiadowcą?

Buttle gorliwie potakiwał.

- Każ jej wstać. Ona jest prawie taka wysoka jak ja!

Keren spojrzał na Alyss.

- Rzeczywiście, jesteś wysoka - mruknął zadumany. - Proszę, pani, zrób, o co prosi Buttle. Wstań.

Alyss w duchu westchnęła. Gra skończona. Mogła co prawda próbować jeszcze przez kilka minut przeciągać spór, ale Keren nabrał zbyt poważnych podejrzeń. Powstała z gracją. Natychmiast rozległ się triumfalny wrzask Buttle'a.

- Ona! - darł się zbój. - Wiedziałem. Wiedziałem, że skądś ją znam! Teraz, kiedy stoi, nie ma dwóch zdań. I założę się, że ten cały minstrel Barton nie jest ani trochę bardziej minstrelem niż ja. Idę o zakład, że to jej przyjaciel, zwiadowca! - Ponownie poszperał w zakamarkach pamięci. Usiłował odtworzyć strzępki rozmowy, które podsłuchał, stojąc pod drzwiami chaty. - Jak ty go nazywałaś? Will! Właśnie!

- Will? - Informacja nadzwyczaj zainteresowała Kerena. - Czyż nie takie imię nosi nasz minstrel? Cóż za zbieg okoliczności! Sądzę, że trzeba sobie to i owo wyjaśnić, droga lady Gwendolyn.

Rozdział 34

Kiedy Will rozsiadł i oporządził konie oraz ulokował je w małej stajni Malcolma, uzdrowiciel zaprosił zwiadowcę wraz z Xanderem, by wspólnie z nim spożyli spóźniony obiad. Posiłek przebiegł właściwie w milczeniu, choć Malcolm okazał się sympatycznym gospodarzem.

Raz po raz podejmował starania, by rozchmurzyć gości. Xander nie ukrywał obawy o stan zdrowia lorda, zresztą co chwila odchodził od stołu, żeby sprawdzać, jak chory się miewa.

- Wyzdrowieje, zapewniam cię. - Malcolm postanowił uspokoić sekretarza, który wymykał się od stołu po raz piąty.

Xander przystanął przy drzwiach do sypialni Ormana.

- Gadaj sobie, co chcesz. - Potem wszedł, żeby sprawdzić, czy Ormanowi śpi się wygodnie.

Malcolm zachichotał.

- Ma charakterek, nieprawdaż? Nawet gdy uważał, że trafił w łapy złośliwego czarnoksiężnika, dzielnie się mu przeciwstawiał. Mam nadzieję, że Orman zdaje sobie sprawę, jak wspaniałego posiada sługę.

Will, pogrążony w rozmyślaniach, nie odpowiedział. Uzdrowiciel zerkał uważnie.

- Jedzenie niesmaczne? - zatroszczył się.

Will fuknął coś do siebie.

Malcolm lekko zmarszczył czoło.

- Jadamy skromnie, nie zaprzeczam. Ale to dobre jadlo. Produkty hodujemy na dachu tego domu. Wino z dyni pędzimy sami.

Will, nieobecny duchem, ledwie coś mruknął. Malcolm ciągnął dalej, z nutą rosnącej irytacji:

- Oczywiście, zdarza się, iż niedźwiedź czasami wskakuje przez okno, lądując na stole. A raz zła czarownica wpadła i podpaliła nam zupę. Poza tym w trakcie posiłków zazwyczaj nic się nie dzieje.

- Mmmm - Will nadal nie palił się do pogaduszek. Lecz wreszcie dotarło doń, iż Malcolm się nań gapi. Młody zwiadowca podniósł wzrok, minę miał skruszoną.

- Wybacz, proszę - powiedział. - Chyba trochę cię nie słuchałem.

Malcolm wydał westchnienie ulgi. Wreszcie udało mu się zwrócić na siebie uwagę chłopaka.

- Żadne trochę! Nic nie słyszałeś! Plotę najokropniejsze banialuki, a ty ani drgniesz. - Uśmiechem przekazał Willowi, że się wcale nie gniewa.

Dodał:

- Liczyłem, że zmienimy nastrój, pozartujemy sobie.

Zakłopotany Will wzruszył ramionami.

- Wybacz - powiedział znowu. - Wiele spraw muszę teraz na nowo przemyśleć.

- Rozmowa niekiedy wspomaga myślenie - podsunął Malcolm. - Jestem dobrym słuchaczem, sam się przekonasz. Miło czasem posłuchać cudzego głosu. Tak dla odmiany.

Will podziękował. Charakter zajęć zwiadowcy przyzwyczaił go, by myślał i działał w pojedynkę. Ale wiedział, że dobrze mu robi wysłuchiwanie opinii innych.

- Po pierwsze - westchnął - skąd wziął się tu Buttle.

- Ten, na którego wpadłeś przed rozstrzygającą wizytą u Ormana?

Will potwierdził.

- Tak, ten. Przecież powinien znajdować się setki kilometrów stąd. Oddałem go skandyjskim żeglarzom jako niewolnika.

Brwi Malcolma podjechały ku górze.

- Oddałeś?

Zwiadowca znowu potwierdził.

- Gdybym go sprzedał, postąpiłbym wbrew prawu - wyjaśnił.

Malcolm zrobił mądrą minę.

- Oczywiście, o wiele bardziej zgodne z prawem było oddać niż sprzedać. - Przerwał, sprawdzając reakcję. Żadnej się nie doczekał. Chłopak wziął sobie sporo na głowę, pomyślał. Potem dodał: - Nie wykluczałbym, że ci twoi Skandianie ponownie przybili do brzegu. Popytam, czy w okolicy nie pojawił się jakiś ślad. Moi przyjaciele, których tutaj zgromadziłem, wędrują po całym lesie. Niewiele uchodzi ich wzrokowi. Potrafią obserwować tak, żeby nikt nic nie zauważył. Nabrali wielkiej wprawy.

- Znajdujemy się daleko od morza - burknął Will powątpiewająco.

Malcolm zgodził się.

- Do morza stąd mniej więcej trzy dni drogi pieszo. Jednak daje się stamtąd dopłynąć rzeką Oosel. Wtedy wychodzi znacznie szybciej. Jeżeli musiałbyś z jakiegoś powodu zejść na brzeg o tej porze roku, również wolałbyś jak najprędzej oddalić się od sztormów

nawiedzających wschodnie wybrzeże. Tyle że ... - kontynuował, nieco zmieniając temat - właściwe pytanie brzmi nie tyle „skąd on się wziął”, ile „co on knuje”.

- Na pewno nic dobrego - odparł Will. - To bandyta, prawdopodobnie morderca. Do oblędu doprowadza mnie myśl, że Alyss wciąż przebywa z nim w zamku. Grozi jej straszliwe niebezpieczeństwo.

- Może jej nie rozpoznał - zastanowił się Malcolm. - Od czasu, gdy widział ją ostatnio, znacząco zmieniła swój wygląd. Tak w każdym razie wynika z tego, co mówisz.

Will wątpił.

- Problem we wzroście. Bardzo niewiele dziewcząt jest równie wysokich jak Alyss. Ona wyróżnia się w tłumie. Myślę, że ten zbir rozpozna ją z łatwością.

Odwrócił się, bo drzwi pokoju Ormana trzasnęły cicho. Xander wracał od łoża lorda. Uchwycił ostatnie słowa.

Urzędnik czuł się trochę winny, że nie zdołał przekazać Alyss ostrzeżeń Willa.

- Skoro tak - stwierdził - musisz wywęszyć, gdzie trzymają twoją przyjaciółkę. Bo przecież nie w luksusach, jak dotąd.

- Gdziekolwiek ona się znajduje, zamierzam ją stamtąd wydostać - oznajmił Will.

Malcolm powątpiewał.

- Jakim cudem? Wejdiesz i tak po prostu ją zabierzesz? - spytał.

Spojrzenie Willa pozostawało nieugięte.

- Mam własne sposoby - zapewnił.

Malcolm, widząc determinację w oczach młodego zwiadowcy, zdał sobie sprawę, że przy stole obok niego zasiada bardzo zaradny młodzieniec. W rzeczy samej, niezwykle.

Malcolm od lat żył w lesie, z dala od ludzkich siedzib. Lecz trzymał rękę na pulsie wydarzeń zachodzących w szerokim świecie. Docierały doń liczne plotki na temat tajemniczego Korpusu Zwiadowców.

Nieodmiennie uważał, że na ogół wszelkie opowieści rozdmuchują trywialne fakty do monstrualnych rozmiarów.

Nikt lepiej niż on nie wiedział, jak często wśród ludzkiego gadania gubi się ziarno prawdy. Teraz wszelako doszedł do wniosku, iż w plotkach na temat Korpusu kryła się pokąźniejsza porcja faktów, niż wcześniej przypuszczał. Pogłaskał wystrzępioną brodę.

Xander, powróciwszy do stołu, rzucił się na jadło z większym niż poprzednio apetytem. Nie uszło to uwadze Malcolma.

- Jak się domyślam, lordowi Ormanowi wygodnie? - zachichotał.

Xander gorliwie skinął głową. Mówić akurat nie mógł, bo usta miał pełne jedzenia.

- Wygodnie, odpoczywa - oznajmił, kiedy wreszcie przełknął. Później okazał nieco wdzięczności. - Dziękuję za to, czego dokonałeś - dodał.

Malcolm skromnie wzruszył ramionami. Xander obrócił się do Willa.

- Jeżeli planujesz powrót - powiedział - zapewne przyda ci się kilka informacji pochodzących od kogoś z wewnątrz. - Sekretarz lorda na Zamku Macindaw, w przeciwieństwie do Malcolma, wiedział to i owo na temat zwiadowców. Nie wątpił zatem, że Will zdoła przekraść się za mury.

Will popatrzył z uwagą.

- Zakładam, że odkrywszy jej prawdziwą tożsamość, wtrąca Alyss do lochu. Bo w Macindaw są chyba lochy?

- Są - przyznał Xander. - Ale o tej porze roku często pozostają zalane. Dałbym sobie rękę uciąć, że została uwięziona w wieży. Zajmuje celę na samym szczycie stołu. O wiele trudniej jest dostać się do celi niż do lochów. Prowadzą tam tylko jedne schody, więc łatwo ustrzec każdego więźnia.

Will rozważał skalę trudności. Uznał, że czeka go niełicha przeprawa. Istniało wiele znanych zwiadowcy sposobów, żeby niepostrzeżenie wkraść się do zamkowych lochów. Wieża - to zupełnie inna skala trudności.

- Rozważmy jeszcze jedno wyjście - wtrącił Malcolm.

- Może tymczasem warto poniechać energicznych działań. Może twoja przyjaciółka mimo wszystko uniknęła rozpoznania?

Jednak Will natychmiast wpadł uzdrowicielowi w zdanie.

- Nie - odrzekł stanowczo. - Zamierzam ją wydostać. I dokonam tego dzisiaj w nocy.

- Jak? - upierał się Malcolm. - Bądź rozsądny. Potrzebowałbyś oddziału zbrojnych, żeby utorować sobie drogę na górę po schodach w wieży takiej jak ten stół.

- Ani myślę korzystać ze schodów - poinformował Will.

Tuż poniżej szczytu wzgórza, które zasłaniało ich przed obserwatorami z zamku, Will ściągnął wodze Wyrwija. Jadący obok Xander i Malcolm także zatrzymali konie. Malcolm dosiadał przysadzistej białej kobyły, ujeżdżanej raczej z troską o zachowanie jej łagodnego usposobienia niż o wyćwiczenie szybkości. Will doszedł do wniosku, że uzdrowiciel w razie ucieczki powinien, zmykając, zaufać przede wszystkim własnym nogom.

- Tutaj zostawimy konie - stwierdził.

Zsiedli. Xander uwiązał do drzewa swojego wierzchowca oraz klacz Malcolma. Spojrzał na Wyrwija. Will pokręcił głową.

- Nie ma potrzeby - oznajmił. Jeśli zwiadowca polecił konikowi czekać, Wyrwij nigdy się nie oddał. Will wołał, by jego przyjaciel mógł się swobodnie przemieszczać. W razie potrzeby przybiegłby na pierwsze gwizdnięcie. Delikatnie poklepał druha po chrapach. W nagrodę usłyszał delikatne parsknięcie.

„Uważaj”, zdawał się prosić konik. Will skłonny był przypuszczać, że Wyrwij zamartwia się zawsze, kiedy zwiadowca odchodzi. Konik sądził zapewne, że pan nie jest bezpieczny, skoro w pobliżu brakowało jego, Wyrwija, by nad wszystkim czuwał.

- Uszy do góry. - Will chciał wprawić czworonożnego przyjaciela w dobry humor. Poprawiwszy opończę, ruszył w drogę, a Malcolm z Xanderem podążali za nim. Obaj zadowoleni, że prowadzi zwiadowca. Will z pewnością znał się lepiej na sprawach, które ich teraz dotyczyły.

Dotarli na szczyt wzgórza. Will przykucnął. Towarzysze niezdarnie naśladowali jego ruchy. Przed nimi, ledwie o sto pięćdziesiąt metrów, rysowała się ciemna bryła Zamku Macindaw. Od miejsca, gdzie się właśnie czaili, aż do zamku ciągnęła się goła przestrzeń. Drzewa wykarczowano wiele lat temu, oszczędzając tylko niskie poszycie. Gdyby wartownicy dostrzegli w polu jakichkolwiek napastników, zamkowa załoga zdołałaby wszcząć na czas alarm. Prawie ze wszystkich stron twierdzę otaczała pusta przestrzeń. Tylko od strony zachodniej gęsty las kończył się jakieś pięćdziesiąt metrów przed linią murów. Splątana roślinność i tak utrudniała tam dostęp do murów. Napastnik nie zdołałby rozwinąć szybkości ani ruszyć na zamek w zwartym szyku. Budowniczości Macindaw pozostawili więc gęsty las jako naturalną barierę ochronną.

Will przyklęknął na jedno kolano. Pragnął dokładniej przyjrzeć się budowli. Zadziałał nawyk, wpojony zwiadowcy podczas wczesnego etapu szkolenia. Stając na szczycie każdego wzgórza, należy trzymać się nisko przy ziemi. Na tle nieba można być zauważonym z daleka.

Mury zamku wznosiły się wysoko. Przed oczami zwiadowcy rozpościerał się więc masyw zamkowego wzgórza.

Przesłaniał horyzont. Śnieg rozbielał okolicę znacznie bardziej, niż Will by sobie życzył. Zdawał sobie jednak sprawę z własnej sprawności w każdym terenie. On sam podszedłby do zamku niezauważony. Obecność Xandera i Malcolma stwarzała poważny kłopot.

- Dalej nie idziecie - starał się mówić łagodnie.

Xander pokiwał głową na znak zgody.

- Nie będę się spierał - stwierdził. Przykucnął obok Willa. Mrużąc oczy, przypatrywał się zamkowi.

- Tam - wskazał na stołp. - Światło na szczycie wieży. Widzisz?

Will podążył wzrokiem wzdłuż wyciągniętej ręki zamkowego urzędnika. Stołp, centralna wieża zamku, przewyższał cztery pozostałe, wzniesione w narożnikach. Na samym szczycie średnica stołpu zmniejszała się. Pod szczytem starczyło miejsca tylko dla jednej wielkiej komnaty z obiegającym ją kamiennym występem. Will pomyślał, że ów występ trochę ułatwi mu działanie. W szczytowej, najwyższej części dostrzegł kwadrat słabego żółtawego światła dobiegającego zapewne z jakiegoś okna. W różnych punktach wieży blask rozświetlał także inne okna. Wiele komnat posiadało lokatorów.

- Pokazujesz mi celę umieszczoną na szczycie stołpu? - spytał Xandera.

Sekretarz skinął głową.

- Obserwujemy najwyżej położoną komnatę - wyjaśnił. - Idę o zakład, że tam przetrzymują twoją przyjaciółkę. Dziś rano z pewnością nikogo tam jeszcze nie wzięli.

- Okna są zakratowane? - wtrącił Malcolm.

Xander odwrócił się ku uzdrowicielowi. Will odnosił wrażenie, zresztą nie po raz pierwszy, że Xander nie był wciąż do końca przekonany do intencji rzekomego czarnoksiężnika.

- Więzienie bez krat to nie więzienie - burknął.

Malcolm łypnął ze złością. Lecz uznał, że lepiej puścić drwinę mimo uszu.

- Pręty poziome czy pionowe? - dociekał dalej. - Krata typowa?

- Pręty pionowe - Xander posiadał stosowną wiedzę. - Żelazne, wmurowane w kamień.

Will zagryzł wargę. Xander już wcześniej wspominał o kratkach. Will przygotował pilnik, żeby się z nimi uporać. Zanosilo się na długie, hałaśliwe piłowanie.

Malcolm zaproponował inne rozwiązanie. Stęknął, bo doskwierał mu ból w zmęczonych od kucania kolanach. Przysunął się do Willa. Z wielką ostrożnością sięgnął po flakonik w skórzanej osłonie.

- Masz - powiedział. - Weź, ale na miłość boską, obchodź się z tym jak z jajkiem.

Will zmarszczył brwi. Malcolm, nie zaliczał się, bądź co bądź, do osób strachliwych. Skoro przestrzegał z tak wielkim naciskiem, zwiadowca wolał pochopnie nie przyjmować flakonika.

Najpierw trzeba się dowiedzieć, na czym polega zagrożenie. Znał profesję Malcolma. Tłumaczył więc sobie, że to coś może wybuchnąć i zmieni go w chmurę purpurowego pyłu.

- Czego tam nalałeś? - Will nie krył podejrzliwości.

Malcolm, choć rozumiał wahanie chłopaka, westchnął.

- Flakonik zawiera silny kwas - powiedział. - Dodam, iż całkiem niegroźny.

- Skoro całkiem niegroźny - wtrącił Xander - dlaczego on ma się z nim obchodzić jak z jajkiem? - Ostatnie trzy słowa wypowiedział, naśladując głos Malcolma.

- Bo kwas całkiem niegroźny jest tylko wtedy - Malcolm wyjaśniał, bardzo wyraźnie wymawiając każde słowo - jeżeli ktoś obchodzi się z nim ostrożnie.

- A zatem, co do braku zagrożenia... - czepiał się namolnie Xander.

Will przerwał wściekle.

- Dacie spokój sprzeczkom.

Zwrócił się do Malcolma:

- Co mam z tym zrobić?

Uzdrowiciel właśnie szykował się do poczęstowania Xandera następną złośliwością. Rzuciwszy okiem na oblicze Willa, zlekceważył jednak łysą wiewiórkę.

- Kwas w ciągu mniej więcej pięciu minut przeżre żelazny pręt - wyjaśnił. - Wydlub zagłębienie w zaprawie u podstawy pręta i wlej tam trochę kwasu. Zaatakuj żelazo, zapewne także i zaprawę. W miarę jak kwas będzie wypalał żelazo, po prostu go dolewaj. Ale nie pozwól, by choć kropla chlapnęła ci na rękę.

- Bez obaw. Nie pozwolę - odpowiedział Will. Przypatrywał się flakonikowi z niepewną miną. Nie był przekonany, czy pilnik nie jest jednak lepszy. Pomysł ze stosowaniem substancji, która potrafi rozpuścić metalowe pręty, napawał go niepokojem.

- Kwas jest całkiem niegroźny, uwierz - powtórzył Malcolm.

Will usłyszał, że Xander już nabiera tchu. Chciał koniecznie wtrącić swoje trzy grosze.

- Dostyc, Xanderze - rzekł zwiadowca. Sekretarz zamilkł. Malcolm skinął głową z uznaniem. - Wielkie dzięki - zachichotał. Potem znowu wskazał na swój podarek. - Wewnątrz znajdziesz szklane naczynie z kwasem. Szkło otula słoma. Chroni go poza tym futerał z grubej skóry. Musiałbyś uderzyć o coś naprawdę bardzo mocno, żeby stłuc flakon. Chociaż, jak sądzę, trudno wykluczyć i taką możliwość - dodał po namyśle.

- Zdajesz sobie sprawę, że mam się wspinać na trzydziestometrową wieżę, prawda? Możliwość trzepnięcia czymś o coś jest całkiem realna - odpowiedział Will.

Malcolm zwawo pokiwał głową.

- Racja. Nieś go zatem w taki sposób, żeby w każdej chwili móc się pozbyć flakonu. Jeżeli usłyszysz, że szkło się stłukło, pozostanie około dziesięciu sekund, nim kwas przeżre skórzaną osłonę.

- Nie upychaj zatem szkła w spodniach - wtrącił Xander, tłumiąc chichot.

Tym razem obaj, i Will, i Malcolm spiorunowali go wzrokiem.

- Właściwie to szkoda, że nie jestem czarnoksiężnikiem - westchnął Malcolm. -

Zmieniłbym cię w ropuchę.

- Coś mi podpowiada, że ktoś cię w tym ubiegł - prychnął Will.

Xander wyglądał na urażonego.

- Ja tylko żartowałem - odezwał się nadąsanym tonem. Odpowiedź nie padła, więc odsunął się o kilka kroków. Mruczał pod nosem, narzekając na ludzi, którzy nie znają się na żartach. Po chwili, kiedy wyczuł niechętnie spojrzenie Willa, uciszył się.

- Miesiąc prawie zaszedł - mruknął Malcolm.

Will zerknął na sierp księżyca. Wisiał nisko nad horyzontem. Za parę minut nastanie zupełna ciemność.

- Na mnie pora - stwierdził.

Nie spieszył się jednak. Uniósł się lekko, przez długą chwilę obserwował krajobraz. Badał naturalne rytmy nocy. Sprawdzał, jak płożące się krzewy reagują na dotyk wiatru, obserwował sunące po ziemi cienie chmur. Okolica przypominała subtelny wzór, utkany ze światła, cienia oraz z ledwie dostrzegalnych drgań. Will chłonał ten wzór, przygotowywał się, by się weń wtopić.

Aż wreszcie ruszył. Dostosował się do rytmu przyrody, zlał się z samą nocą. Malcolm z Xanderem spoglądali za odchodzącym. Obaj wiedzieli, skąd wyruszył, dokąd zmierzał. Lecz nie oddalił się nawet o dwadzieścia metrów, gdy już się im zdawało, że zniknął wśród światła i cieni. W trawie i w zaroślach. Był tam. A potem, w jednej chwili, już go nie było.

Malcolm zorientował się, że Xander wstrzymuje dech. Sekretarz był naprawdę zdziwiony. Zrezygnował nawet z wygłaszania swych wielce zgryźliwych uwag.

- Widziałeś? - zwrócił się do Malcolma.

Uzdrowiciel wolno, niezwykle wolno pokręcił głową. Zaprzeczył.

- Nie. Nie widziałem - odparł. - I dopiero to mnie zdumiało.

Rozdział 35

Wtrącona do celi na szczycie wieży, Alyss nie czuła się ani bezpiecznie, ani komfortowo. Skoro Buttle ją rozpoznał, straciło sens udawanie, że jest niezbyt rozgarniętą, szlachetnie urodzoną damą, która zmierza akurat tędy na własny ślub.

Zaskakujące, lecz Keren bynajmniej nie usiłował wycisnąć z niej żadnych informacji. Zasepił się tylko. Wezwał strażę i kazał odprowadzić ją do tego oto więzienia. Maks, zbrojny jedynie w ozdobny sztylet, broń bardziej zdatną do parady niż do walki, stanął co prawda w jej obronie, lecz dziewczyna powstrzymała szambelana. Nie zamierzała brać na siebie odpowiedzialności za jego śmierć. On oraz obie pokojówki zostali wyprowadzeni pod strażą i także uwięzieni. Alyss nie wątpiła, że wkrótce dołączą do tej trójki pozostali zbrojni z jej orszaku, kwaterujący w zamkowych koszarach.

Zupełnie nie pojmowała, dlaczego Keren kompletnie lekceważy jej osobę. W gruncie rzeczy to właśnie niepokoiło kurierkę najbardziej. Jak dotąd, zdążyła pozbyć się wszelkich złudzeń. W samym środku wydarzeń, które rozgrywają się w Zamku Macindaw, tkwi ów rycerz. O co chodzi Kerenowi? Chyba kieruje nim zamiar, jaki rozmawiając z Alyss, przypisał Ormanowi oraz Willowi. To on planuje przekazanie zamku najeźdźcom z Piety. Bądź co bądź, przywłaszczywszy sobie prawa należne Syronowi i Ormanowi, raczej nie mógł się spodziewać, że król Duncan uzna go za lorda Macindaw. Ma więc jedną tylko szansę na zaspokojenie wygórowanych ambicji. Musi szukać dla siebie nagrody poza królestwem Araluenu.

Cokolwiek rycerz pragnął osiągnąć, na pewno owo coś, z jej punktu widzenia, nie oznaczało niczego dobrego. Bardzo dziwne, nie próbował kurierki wypytywać, nie starał się dowiedzieć się, co ona z Willem planowali, jak dużo wiedzieli. Szczerze mówiąc, spodziewała się, że zostanie przesłuchana brutalnie. Liczyła się nawet z torturami.

Kiedy jedyne drzwi do celi otworzyły się i stanął w nich Keren, odwróciła się, zaskoczona.

Popatrzył. Zwrócił uwagę na skromne umeblowanie. Stół, dwa krzesła, drewniana prycza z cienkim materacem wypchanym słomą, dwa wytarte koce. Jeszcze kominek, w którym pełzał nikły płomyk, oraz pojedyncza lampka oliwna, umieszczona pod zwierciadłem z wypolerowanego metalu. Lampka służyła do oświetlania więziennej komnaty. Na okno,

zakratowane pionowymi prętami z żelaza, dawało się narzucić grubą zasłonę, żeby powstrzymała co silniejsze podmuchy wiatru. W tej chwili okno było odsłonięte.

- Miło? Przytulnie? - zapytał z rozbawieniem.

- Bywało gorzej - odpowiedziała Alyss.

Ochoczo przytaknął.

- Och, tak. W rzeczy samej. Zawsze może być gorzej. Sądzę, że powinnaś o tym pamiętać.

- Zakładam, że moim ludziom nie dzieje się krzywda? - spytała.

Keren wzruszył ramionami.

- Wszystkich upchnąłem w piwnicy. Niezbyt im wygodnie, ale drzwi są tam solidne. Jeden z twoich zbrojnych próbował protestować. Został ranny. Lekko, wydobrzeje.

- Nie spodziewasz się zapewne podziękowań - syknęła.

Keren znów wzruszył ramionami, tym sposobem ucinając dalsze rozważania na temat służby Alyss. Wskazał stół i krzesła.

- Proszę. Sądzę, że pora, byśmy zafundowali sobie małą pogawędkę.

Zaczyna się, pomyślała Alyss. Wzmogła czujność. Zdawała sobie sprawę, iż opór nie ma sensu. Podeszła zatem do stołu, odsunęła jedno z krzeseł, usiadła, sztywno wyprostowana. Keren zajął krzesło naprzeciwko. Oparł się wygodnie, założył nogę na nogę. Uśmiechnął się, jakby odprężony.

- Bez obaw - zapewnił. - Chciałem tylko zadać ci kilka pytań. - Sięgnął do kieszeni, wyjął dziwny niebieski kamień, rozmiarów mniej więcej przepiórczego jaja. Zaczął obracać go w dłoniach. Kamyk na szczęście, pomyślała Alyss. Słyszała, że niektórzy ludzie używają takich przedmiotów, by koić nerwy. Przyszło jej do głowy, że może sir Keren nie jest wcale aż tak swobodny, jak by się mogło wydawać.

- O pytania się nie troszczę - odparła - raczej zastanawiam się, co nastąpi, gdy nie otrzymasz odpowiedzi.

Uśmiech zgasł. Keren ściągnął brwi, jakby naprawdę poczuł się dotknięty.

- Chyba nie sądzisz, że poddałbym cię torturom? - spytał. - Nie jestem potworem. Bądź co bądź, rozmawiasz z rycerzem.

- Zdaje się, że zapomniałeś o niektórych rycerskich powinnościach - odrzekła.

Zawahał się, nim odpowiedział.

- Cóż, może tak to wygląda. Jednak łatwo sądzić, jeżeli nie ma się całego obrazu sytuacji. Przez lata dbałem, żeby ten zamek trwał. Silny, dobrze broniony. Jedno, o co w zamian prosiłem Syrona, to odrobina uznania, drobny gest wdzięczności. Tyle raptem

chciałem za moje wysiłki. Jednak nie. On przekazał wszystko swojemu synowi. Dla mnie nie zostało nic. Zabrakło nawet gwarancji, że Orman, przejąwszy zamek, dla mnie też znajdzie tutaj jakieś miejsce. Większą część dorosłego życia poświęciłem na strzeżenie granic królestwa. Były bezpieczne. Co dostałem w zamian? Ochłapy. Nie więcej, niż wynosi zapłata ciśnięta byle najemnikowi. Zasłużyłem chyba na coś lepszego.

- Być może zasłużyłeś. Jednak nie miałeś prawa szukać zapłaty u Skottów - zaryzykowała, czekając na reakcję. Nie musiała czekać długo.

Spojrzał z zainteresowaniem.

- Domyśliłaś się? Ciekawe, co jeszcze wiesz? - Spojrzenie rycerza zsunęło się z postaci Alyss i zatoneło w niebieskim kamieniu.

Podążyła wzrokiem za jego oczami. Przyjrzała się kamieniowi. Idealnie okrągły. Błękitna barwa zdawała się nabierać mocy, gdy się w niego spoglądało. Alyss doznała fascynującego wrażenia, że gdyby wpatrywała się dostatecznie uważnie, zdołałaby wejrzeć pod powierzchnię kamienia, odkrywając głębię. Nieznacznie pochyliła się do przodu. Wydało jej się osobliwe, że taki mały kamyczek może przywabiać głębią... Tak, przepastną głębią... Keren dostrzegł jej zainteresowanie.

- Piękny, prawda? - Głos miał lekki, kojący. - Uspokaja. Często się zastanawiam, jak coś tak małego może posiadać tyle warstw. Spójrz, gdy go obracam...

Powoli przekręcał kamień. Alyss przekonała się, że Keren mówił szczerze. Błękit zdawał się ustępować, uciekać przed światłem w głąb, w coraz bardziej intensywne warstwy. Zdumiewało ją, jak to możliwe, że wszystkie one mieszczą się w czymś tak małym. I tak pięknym. Tak niebieskim. Uzmysłowała sobie, że kocha błękit. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że niebieski to jej ulubiony kolor.

- Nigdy mi nie wyjawiałaś, jak brzmi twoje prawdziwe nazwisko. - Głos miał nadal taki łagodny.

- Alyss. Alyss Mainwaring. - Zdradziła mu sekret, lecz to nie wydawało się groźne. Bądź co bądź, on wiedział już, że postać lady Gwendolyn służyła wyłącznie za przykrywkę. Dziwne, pomyślała, jak błękitny kamień zdawał się rosnąć z każdą chwilą.

- Nie jesteś zaręczona, prawda? - pytał bez pośpiechu. W głosie rycerza Alyss wyłowiła szczere rozbawienie.

Roześmiała się w odpowiedzi.

- Nie. Obawiam się, że nie - przyznała. - Sądzę, że pisane mi jest zostać starą panną. - Co za szkoda, iż są wrogami, przyszło jej do głowy. Keren był w gruncie rzeczy całkiem sympatycznym mężczyzną. Postanowiła mu to powiedzieć. Starła się więc podnieść na niego

oczy.

- Patrz na kamień. - Jego głos brzmiał bardzo przyjaźnie.

Więc skinęła, że się zgadza.

- Jak sobie życzysz.

Przez chwilę Keren milczał. Pozwalał jej wpatrywać się w przenikające się niebieskie tony. Pomyślała, że to bardzo odprężające.

- A co z twoim przyjacielem, Willem? - pytał głosem nadzwyczaj miękkim. - Chodzi o romans?

Uśmiechnęła się. Przez chwilę nie odpowiadała.

- Znamy się od wieków - odezwała się wreszcie. - Byliśmy sobie bardzo bliscy. Zanim rozpoczął szkolenie.

- Jako minstrel? - podpowiedział. Alyss pragnęła zaprzeczyć, lecz pod wpływem jakiegoś impulsu zdołała się powstrzymać.

- Will jest... - zaczęła, ale ten sam impuls nakazał jej milczenie. Zamrugła gwałtownie. W jednej chwili pojęła, że właśnie omal nie wyznała: „Will jest zwiadowcą”. Wzdrygnęła się, wsparła o krzesło, jak gdyby cofając się znad krawędzi stromego urwiska. W pewnym sensie stamtąd zresztą wracała.

Oderwała wzrok od stołu i od niebieskiego kamienia, zadziwiona, jak wielkiego wysiłku wymagają niekiedy proste reakcje.

- Co ty wyprawiasz? - spytała ostro, przerażona, że omal nie wydała Willa. Gorączkowo starała się przypomnieć sobie, co powiedziała Kerenowi, ile mu ujawniła. Swoje nazwisko. W gruncie rzeczy informacja bez większego znaczenia. O ile tylko nie zdradziła, że Will jest...

Powstrzymała samą siebie. Najlepiej nawet o tym nie myśleć. Przeklęty niebieski kamień, najwyraźniej posiadał jakieś bardzo osobliwe właściwości. Keren uśmiechał się do kurierki.

- Silna jesteś - przyznał z podziwem. - Kiedy już ktoś zostanie wciągnięty w głębinę, bardzo rzadko udaje mu się powrót. Brawo.

- Co to takiego? - Wskazała na kamień, przeklinając w duchu jego błękit.

Keren podniósł okrągłak, podrzucił, schwytał, następnie schował do wewnętrznej kieszeni.

- Och, błyskotka, którą zabawiam przyjaciół - odparł. Wstał, ruszył ku drzwiom celi. Na progu przystanął. Już się nie uśmiechał.

- Ponowimy próbę - oznajmił. - Następnym razem będzie o wiele łatwiej. Zawsze tak

się dzieje, kiedy ktoś już raz się podda. Za każdym razem jest coraz łatwiej. Przyjdę do ciebie. Przyjdę. Masz godzinę.

Zamknął za sobą drzwi. Alyss usłyszała chrobot klucza przekręcanego w zamku. Skronie podparła rękoma. Zupełnie wyczerpana, musiała wesprzeć się łokciami o stół.

Dwadzieścia metrów od zamkowego muru Will przystanął. Wyciągnął się na ziemi. Wybrał miejsce wolne od śniegu, lecz trawa i tak nasiąkła wilgocią. Czuł, jak ta lodowata wilgoć przenika przez jego ubranie.

Pokusa, żeby się poruszyć, żeby zmienić pozycję, żeby odsunąć się od paskudnej wilgoci, była naprawdę duża. Jednak Will latami pobierał lekcje w surowej szkole, więc teraz leżał bez ruchu, wodząc wokół spojrzeniem. Wiedział, że opończa osłania go przed wzrokiem wartowników na murach. Głęboki kaptur krył bladą plamę twarzy. Gdyby nie on, twarz błyszczałaby niczym latarnia morska. Zanim postawi kolejny krok, musi się przyjrzeć rozstawieniu czujek, strzegących zamkowych umocnień. Z perspektywy traw mury wyraźnie odcinały się na tle horyzontu. Wśród nocnych ciemności stawały się jeszcze ciemniejsze. Dzięki różnicy w odcieniu murów i nieba Will potrafił dostrzec sylwetki strażników.

Każdego odcinka pilnowało dwóch ludzi. Przemieszczali się, maszerując jednostajnie. W jakiejś chwili spotykali się pośrodku odcinka, następnie znów się odwracali i znów maszerowali na koniec muru. Odcinek prostej zamykała wieża. Na szczycie każdej wieży Will zauważył jeszcze po jednym strażniku. Ci nie maszerowali. Opierali się o mur, wpatrzeni w ciemność. Will wiedział, że skoro pełnią wartę w noc tak mroźną, w pobliżu ustawiono metalowe kosze, wypełnione żarzącymi się węglami. Miały ogrzewać strażników. Xander mu to wyjawiał. Will dostrzegł nawet żar, odbijany przez szmelcowane zbroje.

Dobrze, pomyślał. Mężczyźni często podchodzili do koszy z żarem, ogrzewając marznące dłonie. W nocnym mroku tracili potem ostrość spojrzenia. Wciąż zdołaliby wypatrzeć ruchy dużych oddziałów. W tym celu zresztą ustawiono ich na murach. Ale ktoś zbliżający się samotnie, w dodatku przeszkolony w sztuce kamuflażu, stawał się dla wartowników praktycznie niewidoczny.

Pośrodku dziedzińca, górując wydatnie nad murami i resztą wież, wznosił się stołp.

Słabe żółtawe światelko wciąż tliło się w oknie na samym szczycie.

Najpierw Will postanowił wspiąć się na mury, mniej więcej pośrodku odcinka między strażnikami. Zaczekałby po prostu, aż obaj się odwrócą. Jednak, przypatrzwszy się uważnie, odrzucił pierwotny pomysł. Pełnili wartę od dwóch i pół godziny. Xander zdradził mu, że strażnicy zmieniają się co trzy godziny. Czujność, z jaką przystępowali do służby wartowniczej

teraz już nieco osłabła. Sterczeli na mrozie od prawie trzech godzin. I nic się wydarzyło. Ludzką rzeczą było sądzić, że do końca zmiany nadal nic się nie wydarzy. Ogarniało ich znużenie, dopadała nuda. Zaczynali powoli marzyć o gorącym posiłku i ciepłych napitkach, które czekały za pół godziny. Przystawali coraz chętniej. Spotykając się w środku pilnowanego odcinka, gawędzili przez chwilę. Rozchodzili się z coraz większym ociąganiem. Za każdym nawrotem przystanki stawały się dłuższe i dłuższe.

Taka właśnie dłuższa przerwa dawała Willowi znakomitą sposobność, by niepostrzeżenie przedostać się przez mur. Wartownicy stoją, gadają, ich uwaga jest rozproszona. Cichy szum, jaki mógłby wywołać, utonie wśród gwaru pogaduszek.

Znów prześlizgnął się wzrokiem po wieżach. Strażnik, strzegący blanków od lewej strony, zaczął się odsuwać od ściany. Wyraźnie pragnął znaleźć się bliżej kosza z żarem. Czyli kilka metrów dalej Will zdoła się ukryć przed wzrokiem wartownika. Strażnik na wieży po prawej beznamietnie wpatrywał się w noc. Will dostrzegął zarys jego przygarbionych ramion. Mógł sobie wyobrazić tego człowieka. Umysł otepiały, przyćmiona świadomość. Ból stóp. Przemarznięte ciało, otulone opończą. Wzrok uparcie skierowany na wprost. Na to, że z jakiegoś powodu zerknie w prawo, raczej się nie zanosí. Will doszedł do wniosku, że zdoła wspiąć się na mur w pobliżu lewej wieży. Odczekał, aż wszyscy strażnicy na murach zrobią jeszcze jedną rundę. Policzył sekundy potrzebne wartom, by przemieścić się od końcowego punktu strzeżonego odcinka muru do jego środka. Will, wspiąwszy się na mur, musi jakoś się ukryć.

Napiął mięśnie, gotów do działania. Przyklęknął. Cienie nielicznych obłoków odbijały się na śniegu. Młody zwiadowca szacował tempo, w jakim chmury płynęły po niebie, bo musiał dostosować się do nich. Wreszcie, uwzględnivszy każdy czynnik, pomknął ku zamkowi. Zmierzał do lewego narożnika. A po drodze wtopił się w noc.

Rozdział 36

Przystanął w głębokim cieniu u stóp muru. Tędy zdoła się wspiać, wykorzystując kąt między wieżą a murem. Nie wypatrzy go ani strażnik na wieży, ani warta na murach. Jedyne niebezpieczeństwo stanowił strażnik z drugiej wieży, oddalony o trzydzieści metrów. Jednak żołnierz nadal garbił się pod ścianą, wpatrzony wprost przed siebie, w ciemność.

Will zbadął dłońmi powierzchnię, zdjawszy przedtem rękawice i upchnąwszy je za pas. Kamienny mur, który z daleka wydawał się równy i gładki, okazał się w dotyku chropowaty, surowy, poznaczony mnóstwem pęknięć, szczelin oraz występów. Nierówności dawały oparcie dłoniom i stopom wspinacza. Zwłaszcza tak doświadczonego, jak on. Ponadto kąt utworzony przez wieżę i mur gwarantował dodatkowe podparcie, gdyby zaszła potrzeba. Will uśmiechnął się, rozbawiony. Na ściany o tej skali trudności wspinał się, nim skończył jedenaście lat.

Pod opończą owinał wokół tułowia długą linę. Zabrał ją nie dla siebie, bo pomocy podczas wspinaczki nie potrzebował. Lina powinna umożliwić Alyss zjazd po ścianie. Zawsze łatwiej zjeżdżać, niż schodzić. Teraz nie ryzykowałby zaczepienia liny o blanki. Mogła zwrócić uwagę wartowników. Rozprostował palce, sięgnął rękoma wysoko nad głowę, znalazł wśród chłodnych kamieni dwa bezpieczne chwytty. Dźwignął się. Ruszył.

Pomału, gładko, piął się w górę. Palce bolały go co prawda od wysiłku i mrozu, ale wytrzymały, zaprawione i wzmocnione dzięki latom ćwiczeń.

Kiedy zbliżał się do górnej krawędzi muru, usłyszał kroki. Nadchodził strażnik. Zwiadowca zastygł, rozciągnięty na ścianie niczym olbrzymi, cętkowany pająk. Trwanie w zwisie, gdy cały ciężar ciała powierzony zostaje przykurczonym palcom, wymaga znacznie więcej wysiłku niż wspinaczka ciągła. Rozpęd, jaki zyskuje poruszający się wspinacz, ułatwia zadanie. Will, rozpląszczony w ścianie, czuł w palcach ból. Strażnik doszedł do krańca swojego odcinka. Staął. Kroki, słyszane zaledwie dwa metry ponad głową chłopaka, na moment ucichły. Will przycisnął twarz do szorstkiego kamienia.

Gdyby żołnierz postanowił akurat teraz zaburzyć monotony rytym i wyjrzałby za mur, z całą pewnością nie przeoczyłby postaci poniżej. Obolały Will kurczowo trzymał się kamienia. Nie śmiał oddychać. A potem usłyszał ciężkie buciory. Pierwsze tupnięcie. Drugie tupnięcie. Strażnik zmienił kierunek, żeby zawrócić i pogwarzyć z towarzyszem w środkowej

części strzeżonego odcinka. Will usłyszał, że wartownik oddala się. Zaczął liczyć.

Doszedł do pięciu. Wtedy pokonał ostatnie dwa metry. Prześlizgnął się na brzuchu przez blanki, pomknął do przejścia. Następował najbardziej ryzykowny etap całej eskapady. Strażnik na końcu muru zwracał teraz twarz bezpośrednio ku intruzowi. Lecz pole widzenia zawęził mu po części drugi wartownik. Właśnie na sylwetce oddalającego się towarzysza skupiał uwagę pierwszy żołnierz. Trzymając się nisko, Will sunął niczym cień w kierunku ciemnej niszy. Tę niszę utworzyła przypora, dochodząca do muru i podtrzymująca kamienną konstrukcję stołpu.

Will doliczył do dwudziestu pięciu. Odnotował głosy dwóch strażników. Zatrzymali się na pogawędkę w środkowym odcinku. Zwiadowca wcisnął się do niszy, zagłębionej ledwie na pół metra. Otulony peleryną, czekał. Ani drgnął. Oddychał bardzo płytko, bezszelestnie. Wiedział, że tylko całkowitemu bezruchowi zawdzięcza, iż dotąd nie został odkryty.

Głosy ucichły. Will znów usłyszał miarowy tupot. Strażnik maszerował wprost na niego. Zamarł, żałując, że nie umie wnikać w kamień, że nie rozplywa się w cieniu. Strażnik zbliżał się i zbliżał. Will zdołał już zaobserwować każdy rys twarzy tego mężczyzny. Broda zaniedbana, aż prosi się o nożyczki. Przez jedno mgnienie oka, może z powodu napiętych nerwów, Will pomyślał o Halcie, o wiecznie rozwichrzonej brodzie i o niestarannie przystrzyżonych włosach mistrza. Musiał się wziąć w garść. Stłumił nedorzeczną chętkę, bo zachciało mu się chichotać.

Strażnik ponownie zawrócił, oddalając się od Willa. Młody zwiadowca przypomniał sobie, jak Halt instruował go w trakcie szkolenia: „Ludzie rzadko zauważają coś, czego nie spodziewali się ujrzeć”. Tej nocy strażnik na pewno nie spodziewał się ujrzeć intruza, zastygłego w słabym świetle, niecałe dwa metry od siebie.

Szczęśliwym zrządzeniem losu schody prowadzące na dziedziniec znajdowały się tuż obok. Tym razem Will odczekał, aż obaj strażnicy znów się spotkają i rozmawiając po cichu, skierują wzrok na zewnątrz murów. Bezszelestnie, niczym zjawa, wysunął się z cienia. Dotarł do schodów.

U wylotu klatki schodowej zatrzymał się. Tutaj nie ustawiono strażników. Ale zawsze istniało ryzyko, że ktoś może akurat wychodzić przez któreś z drzwi stołpu albo z wieży bramnej. Otwartą przestrzeń dziedzińca rozświetlały płonące pochodnie, rozmieszczone wzdłuż ścian. W takim terenie lepiej sprawdzi się zwyczajny marsz, bez zabawy w chowanego. Człowiek zmierzający w stronę drzwi wyda się mniej podejrzany niż ktoś, kto się skrada. Will zsunął kaptur, spod tuniki wyjął miękką czapkę z piórkiem, wygładził ją, założył.

Następnie, bez najmniejszych prób ukrywania się, pospieszył ku schodom głównego wejścia do stołpu.

Kiedy już znalazł się przy schodach, zwinnie przesunął się w lewo i wtopił w cień, jaki tworzyły schody. Pozbył się czapki, ponownie naciągnął kaptur. Przykucnął obok schodów. Ślizgał się wzrokiem po murach przeciwległej strony dziedzińca. Pragnął zyskać pewność, że nikt go nie zauważył. Na szczęście uwaga strażników skupiała się na obserwacji przestrzeni za murami. Wartownicy nie obserwowali zamkowego dziedzińca. Przypadkowych gapiów Will nie dostrzegał.

Cieszył się, że wszystko przebiega gładko. Obszedł centralną wieżę, wyszukał miejsce pomiędzy dwiema płonącymi pochodniami. Na samej granicy poblasku rzucanego przez każdą z pochodni migotliwe światło traciło wyrazistość. Will wziął głęboki wdech. Na wszelki wypadek sprawdził, czy flakonik od Malcolma, przymocowany w okolicy bioder, tkwi pewnie, bezpiecznie, gdzie powinien. Raz jeszcze rozpoczął wspinaczkę.

Tak jak się spodziewał, wieża stołpu została zbudowana z chropowatego kamienia, podobnie jak zamkowe mury. Znalazł więc pod dostatkiem chwytów dla rąk i nóg. Wspinał się w równym tempie. Opierał się pokusie spojrzenia w dół. Nigdy nie wiadomo, kiedy może wystąpić zawrót głowy. Nawet u kogoś bardzo odpornego na lęk wysokości. Zewnętrzny mur wznosił się zaledwie na osiem metrów. Stołp wystrzelał w niebo trzy razy wyżej, sięgał trzydziestu metrów nad poziom dziedzińca. W miarę jak Will piał się ku górze, wzmagający się wiatr, świszcząc, usiłował oderwać chłopaka od wątpliwych punktów podparcia.

Trzy z czterech, trzy z czterech, trzy z czterech. Powtarzał w myśli starą wspinaczkową zasadę. Stosował się do niej od czasów dzieciństwa. Nigdy nie przesuwając ręki czy stopy ku nowemu chwytowi, dopóki pozostałe kończyny nie zyskają bezpiecznego oparcia. Na trasie Willa znajdowało się kilka oświetlonych okien, musiał je ominąć. Korciło go, by zajrzeć do środka, ale zdawał sobie sprawę, że mogłoby się skończyć fatalnie. Gdyby lokator komnaty zerknął akurat w okno, na widok obcej twarzy, która gapi się od zewnątrz, z pewnością wszcząłby alarm.

W miarę jak Will piał się wyżej i wyżej, wiatr potężniał. Mroźne powietrze kasało dokuczliwie. Dłonie Willa zgrabiałały. Wystąpiło poważne utrudnienie. Planując wspinaczkę, nie wziął bowiem pod uwagę skutków mrozu. Błąd. Musiał za wszelką cenę zachować pełną sprawność palców. Tylko dzięki niej potrafił wyszukiwać najbezpieczniejsze pęknięcia oraz ubytki w ścianie. Jeśli straci czucie w dłoniach, zawsze istnieje ryzyko, że jakiś luźno umocowany i źle uchwycony kamień odpadnie pod ciężarem wspinacza. Starał się nie myśleć o niebezpieczeństwie. Teraz, gdy pokonał trzy czwarte wysokości wieży, nic już nie poradzi.

Zerknął w bok, przesunął oczami wzdłuż śnieżnego krajobrazu. Oddalony o kilka kilometrów, ciemno rysował się Las Grimsdell. Nagromadzony śnieg rozbielał jedynie wierzchołki drzew. Gdyby Will wspinał się dla samej przyjemności wspinaczki, pewnie podziwiałby wspaniałe widoki. Uśmiechnął się smutno. Sporo zim upłynęło, odkąd wspinał się wyłącznie dla przyjemności.

Podniósł wzrok. Do wąskiego okapu obiegającego szczyt wieży brakowało niewiele. Pokonał szybko brakujące metry, ostrożnie sięgnął w górę. Nigdy nie wiadomo, jakie niespodzianki czekają na zamkowych parapetach. Czasami budowniczowie lubili wbijać tam żelazne kolce dla odstraszenia wszelkich śmiałków.

Nie znalazł kolców, ale zachmurzył się, dotknąwszy zmrożonej powierzchni. Lód, pomyślał. Gdy temperatura spadła, na okapie zamarzała deszczówka. Oblodzenie utrudnia sprawę. Większość wspinaczy skwapliwie sięgnęłaby do okapu, jednocześnie przenosząc cały ciężar na chwyt powyżej ciała. Zalodzony okap zemściłby się natychmiast. Will nie popełnił takiego błędu. Wciąż nie rezygnował z chwytów służących stopom. Równocześnie szukał ręką miejsca wolnego od lodu, żeby się dobrze uchwycić. Palce u nóg dygotały od wysiłku. Czuł, jak skurcz atakuje podbicie lewej stopy. Prawą ręką namacał wreszcie bezpieczny punkt, podciągnął się nieco wyżej. Teraz lewa stopa szukała nowego oparcia. „Trzy z czterech”, powtórzył zasadę. Wzniósł lewą rękę do okapu, macał wzdłuż i wszerz po całej powierzchni. W końcu natknął się na nieoblodzony fragment. Prawa stopa powędrowała w górę. Will zdołał się podciągnąć. Wpełził na okap. Siadając, ostrożnie okręcił ciało. Przycisnął się do ściany. Nareszcie. Oparł plecy o mur. Lecz uczynił to z nieco większą siłą, niż zamierzał. I poczuł, jak coś wciska mu się w kręgosłup, mniej więcej w okolicach bioder. Serce skoczyło Willowi do gardła, bo przypomniał sobie o flakoniku z kwasem. Chociaż kwas otulony był peleryną, to gdyby się stłukł, Will żadnym sposobem nie zdołałby w porę usunąć żrącej trucizny. Odsunął się nieco od ściany, odliczał sekundy. Dziesięć. Piętnaście. Dwadzieścia. Minęła cała minuta. Nadal nie czuł pieczenia, nic nie paliło ciała. Wydał głębokie westchnienie ulgi.

- A teraz, gdzie Alyss? - zapytał sam siebie.

Posuwał się tak samo jak podczas wspinaczki na zewnętrzny mur zamku. Kluczył w ścianie, starał się wyszukiwać najdogodniejsze punkty oparcia dla rąk i nóg; sunął i w górę, i w bok od miejsca, z którego zaczął się wspinać. W pewnej chwili, zerkając o jakieś trzy metry na prawo, spostrzegł otwór, który uznał za okno celi Alyss. W pozycji siedzącej, wzdłuż okapu, przesunął się z nogami zwieszonymi poza krawędź. Zbliżył się do okna. Zmarszczył brwi. Na wąskim okapie leżało mnóstwo lodu. Will wiedział, jak trudno mu

będzie wstać, by obrócić się, żeby zajrzeć do środka.

Hmmm, przynajmniej są kraty, ma się więc czego uchwycić. Zatrzymał się, mając okno po swojej prawej. Mały parapet okienny znajdował się nieco powyżej jego głowy. Sięgnął prawą ręką w górę, namacał ten parapet, złapał za jeden z prętów.

Pomyślał, że jeżeli pokój zajmuje ktoś inny niż Alyss, może być groźnie. Każdy, kto spojrzy w okno, dostrzeże natychmiast rękę Willa. Kiedy wspinacz obróci się i wstanie, odsłoni się zupełnie. W dodatku ten oblodzony okap... Lecz trzeba ryzykować, inaczej nie zdoła sprawdzić, kto jest w środku.

Okręcił się w prawo, podciągnął lewą stopę. Teraz ciężar ciała wspierał się niemal wyłącznie na prawej ręce. Z pokoju nie dobiegał żaden wrzask. Will uznał, że ktokolwiek jest w komnacie, nie spogląda akurat w stronę okna.

Nagle pięta Willa pojechała na lodzie. Serce zabiło szaleńczo. Obrócił się czym prędzej, wyrzucił w górę lewą rękę, żeby mocno złapać się za drugi pręt zakratowanego okna. Zdażył, w ostatniej chwili. Lewa stopa ześlizgnęła się poza krawędź oblodzonego okapu, nogi straciły oparcie, wisiał tylko na rękach. Cicho stękając z wysiłku, dźwignął się w górę. Palce u prawej stopy trafiły na parapet, ujęły rękoma nieco ciężaru. Ulga nie była jednak zbyt duża, bo Will nie miał zaufania do wątpliwego punktu oparcia.

Błogosławił teraz lata ćwiczeń z łukiem. Dzięki nim rozwinął silne mięśnie ramion oraz pleców. Lewa stopa wróciła na okap, biorąc na siebie część wysiłku.

Wolno, wolniutko, podciągał ciało. Wznosił się ponad okienny parapet. Wreszcie zdołał zajrzeć do pokoju. Ujrzał Alyss. Siedziała znużona przy stole, odwrócona plecami do okna, z głową ukrytą w dłoniach.

Rozdział 37

- Alyss!

Jasnowłosa dziewczyna uniosła głowę. Kompletnie zaskoczyło ją, że ktoś tutaj wypowiada jej własne imię, w dodatku szeptem.

Spoza zakratowanego okna spoglądała twarz Willa. Oblicze zwiadowcy rozświetlał znajomy, zniewalający uśmiech.

Błyskawicznie okręciła się na krześle. Potem zerwała się na równe nogi. Krzesło runęło do tyłu, ledwie w ostatniej chwili zdążyła je złapać, nim narobiło hałasu, uderzając o podłogę. W mig znalazła się przy oknie.

- Will? Na Boga! Skąd ty przybywasz?

Wyrzała. Za oknem ziała przepaść, od której kręciło się w głowie. Pojęła, jak się do niej dostał. Will balansował na wąskim, oblodzonym okapie, nie mając żadnej innej widocznej podpory. Cofnęła się o pół kroku, zaszumiało jej w uszach. Alyss, która bez jednego mrugnięcia okiem gotowa była stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, cierpiała na potworny lęk wysokości. Widok ciemnej czeluści poniżej napełniał ją przerażeniem. Will wygrzebywał coś spod opończy i zaczynał przepychać koniec długiej liny między prętami kraty.

- Przybyłem, żeby cię uwolnić - oznajmił po prostu. - Wytrzymaj, jeszcze kilka chwil.

Z niepokojem obejrzała się przez ramię na drzwi. Will, rozchyliwszy pelerynę, dalej wpychał linę do pokoju, stopniowo ją rozwijając. Alyss zaschło w ustach, kiedy pojęła, co chłopak zamierza.

- Chcesz, żebym spuszczała się na linie? Tam? - spytała, wskazując lękliwie przepaść pod oknem.

Will uśmiechnął się uspokajająco.

- Żaden problem - stwierdził. - Będę cię asekurował.

- Willu, ja nie dam rady! - odparła, łamiącym się głosem. - Nie znoszę wysokości. Spadnę. Nie będę mogła się ruszyć. Nie zdołam tego zrobić!

Will na moment poniechał wpychania do pokoju liny. Zastanawiał się, co w takim razie dalej. Wiedział, że istnieją ludzie, którzy panicznie boją się wysokości. Nie potrafił tego pojąć. Przez całe życie z absolutną swobodą wspinał się na drzewa, na nadmorskie klify, na

zatkowe mury. Jednak zdawał sobie sprawę, że lęk może obezwładnić człowieka. Najpierw zachmurzył się. A potem rozchmurzył.

- Też żaden problem - oznajmił. - Obwiążę cię sznurem w pasie i opuszczę na dół.

Ostatni zwój liny został wreszcie rozwinięty. Opadł na stertę pod oknem celi.

Alyss zrozumiała nagle, że jej lęk wysokości właściwie nie liczył się zupełnie. Jakim sposobem miałyby pokonać zapórę z krat? Przecież, nawet jeśli Will planował przepiłować żelazo, zabraknie im czasu. Alyss znowu zerknęła z lękiem na drzwi. Keren zapowiedział, że wróci mniej więcej za godzinę. Jak długo sterczała przy stole? Czy „mniej więcej godzina” oznacza pół godziny? Czterdzieści minut? Miała świadomość, że rycerz może już być w drodze.

- Lepiej stąd idź - poprosiła Willa stanowczym tonem.

- W każdej chwili spodziewam się odwiedzin Kerena. - Jeśli tu się zjawi, pożałuje, że nie został gdzie indziej.

- Uśmiech chłopaka zbladł. - Domyśliłaś się, co on knuje? - spytał. Uznał, że pytaniami najprędzej odciągnie uwagę Alyss od lęku przez koniecznością opuszczania się na linie. Starł się zatem skierować uwagę przyjaciółki na inne sprawy niż zjazd.

Niecierpliwie pokręciła głową. Tymczasem Will szukał czegoś za plecami. Wreszcie wyjął spod peleryny mały, osłonięty skórą flakonik. Zauważyła, że obchodził się z flakonikiem bardzo ostrożnie. Ustawił buteleczkę na okiennym parapecie.

- Musisz iść! - starała się tłumaczyć. - Nie mamy czasu. On wraca, będzie zadawał pytania.

Will na chwilę odstawił flakonik.

- Wraca? - powtórzył. - Skrzywdził cię? - Głos zwiadowcy zabrzmiał lodowato. Jeśli Keren ośmielił się podnieść rękę na Alyss, już właściwie nie żył, choć sam o tym jeszcze nie wiedział.

Alyss zaprzeczyła.

- Nie. Nie skrzywdził. Jednak przynosi ze sobą taki dziwny kamień... - Umilkła. Nie chciała zwierzać się Willowi. Po co miał wiedzieć, jak bliska była zdradzenia jego prawdziwej tożsamości.

- Kamień? - powtórzył. Nic nie rozumiał.

Przytaknęła.

- Kamień. Niebieski. On... w jakiś sposób... sprawia, że mówię to, co Keren chce, żebym powiedziała. Willu, ja nieomal zdradziłam, że należysz do zwiadowców! - wykrztusiła

wreszcie. - Nie zdołałam się powstrzymać. On, po prostu... każe mi odpowiadać na pytania. To niesamowite.

Will zmarszczył czoło. Zastanawiał się. Wróciło do niego wspomnienie z pierwszego wieczoru w zamkowej sali jadalnej, kiedy poplecznicy Kerena z takim entuzjazmem zareagowali na propozycję, by Will zaśpiewał jeszcze jedną piosenkę. Być może uzurpator już od jakiegoś czasu zabawia się kontrolą umysłów.

Odsunął na bok roztrząsanie trudnych spraw. Chwycił sakse, wziął się do odłupywania kawałków zaprawy. Wybrał jeden ze środkowych prętów. Uformował w podstawie okna zagłębienie dla kwasu. Prętów zamocowano cztery. Will uznał, że wystarczy usunąć dwa środkowe. Przez otwór wskoczy do pokoju, obwiąże Alyss w pasie liną, wykorzysta jeden z pozostałych prętów jako oparcie, opuści ją. Alyss znajdzie się na dole, on odwiąże linę i też zejdzie.

- Cóż - mruknął - w gruncie rzeczy nic się nie stało. Skoro Buttle siedzi w zamku, zapewne już się i tak się domyślił, kim jestem. - Skrzywił twarz w uśmiechu. Starał się pokrzepić Alyss. Tylko że ona nie potrafiła ukryć emocji. Martwiła ją słabość. A raczej to, co traktowała jako słabość.

- Najwyżej podejrzewał - odpowiedziała żałośnie. - Żadnej pewności nie miał.

- Zaczynam spoglądać na wydarzenia w całkiem nowy sposób - odparł w zadumie Will. - Naszym czarnoksiężnikiem okazał się Keren.

Alyss nie zrozumiała.

- Słucham? - spytała.

- Keren stoi za tajemniczą chorobą lorda Syrona. Zdołał otruć Ormana. Dlatego musiałem wywieźć stąd lorda. Teraz ty mnie informujesz, że Keren posiada jakiś tajemniczy sposób, by wycisnąć od ludzi odpowiedź na jego pytania. Użył starej legendy i opowieści o Malkallamie jako zasłony dymnej dla własnej zdrady. Pragnie przejąć zamek, chociaż nie pojmuję, jak zamierza go utrzymać, gdy już się rozejdzie wieść, co uczynił.

- Zawarł pakt ze Skottami - oznajmiła. Wcześniej tylko podejrzewała. Teraz, kiedy rycerz osobiście potwierdził domysły, zyskała pewność.

- Ze Skottami? - powtórzył Will. Zastanawiał się przez chwilę. Jeżeli Skottowie opanują Zamek Macindaw, droga do Araluenu stanie przed nimi otworem. Będą mogli bezkarnie najeżdżać wioski, a nawet zdołają zorganizować potężny atak wszystkimi siłami. Macindaw, chociaż małe, stanowiło klucz do bezpieczeństwa północnych granic królestwa. - Naprawdę trzeba zdrajcę powstrzymać!

- Trzeba! - W głosie Alyss dźwięczała determinacja. - Oto, dlaczego teraz stąd

odejdziesz! Jedź do Norgate, podnieś alarm. Sprowadź armię. Musimy przeciwstawić się renegatowi.

Will koncentrował całą uwagę na dziwnym flakoniku w skórzanej osłonie. Mimowolnie wysunął czubek języka, gdy delikatnie usuwał korek. Spojrzał przelotnie na Alyss. Pokręcił głową.

- Pojadę do Norgate. Lecz tylko z tobą - odparł. Bardzo ostrożnie nalał odrobinę płynu z buteleczki do wgłębienia, które wydłubał wokół żelaznego pręta. W zetknięciu z kamieniem oraz metalem płyn zaczął dymić. Przy okazji roztopił nieco lodu. Obłok smrodliwych oparów, wywołał kaszel u Willa. Zwiadowca usiłował stłumić kaszel, lecz bezskutecznie. Alyss odsunęła się o krok czy dwa. Zakryła twarz brzegiem rękawa.

- Cóż to za okropieństwo? - zapytała.

- Kwas. Bardzo żrący. Malcolm tłumaczył, że w jednej chwili przepali kraty. - Zmarszczył czoło. Pręt nadal sprawiał wrażenie solidnie umocowanego. - Albo może chodziło o kilka dłuższych chwil - poprawił się. Zakorkował buteleczkę, przesunął się do następnego pręta. Raz jeszcze posłużył się saksą i wydłubał trochę zaprawy.

- Teraz następny. Ja zajmę się wyjmowaniem prętów, które należy usunąć. Ty przywiąż sznur do jednego z pozostałych.

Alyss wykonała polecenie. Działała właściwie odruchowo, gdyż jej uwagę zaprzętał inny problem.

- Kim jest Malcolm? - spytała.

Popatrzył z uśmiechem.

- Och, oczywiście, przecież nic nie wiesz. Chodzi o prawdziwe imię Malkallama. Okazał się całkiem miłym jegomościem, kiedy już się bliżej poznaliśmy.

- Naturalnie, ty zdążyłaś ze wszystkim, co planowałaś - sapnęła z przekąsem.

Will usłyszał dawną Alyss. Uśmiechnął się szeroko.

- Opowiem później. Daj mi się skupić, muszę bardzo uważać.

Ponownie odkorkował buteleczkę. Ponownie wlał płyn do płytkiego zagłębienia, które wydrążył w kamieniu oraz w zaprawie. Wzniósł się następny obłoczek gryzących oparów. Śmierdziało spaloną rdzą. Will odczekał chwilę. W skupieniu zaciskał wargi. Obserwował. Kwas chyba wchodził w reakcję wolniej, niż twierdził Malcolm, bo za drugim razem efekt okazał się taki sam, jak za pierwszym. Will sprawdził poprzedni pręt. Odrobinę się poruszył. A zatem substancja działała, tyle że ani w połowie tak szybko, jak się tego spodziewał. Może należy dolać więcej kwasu? Nie, zrezygnował. Polałby żrącym płynem cały podokienny parapet. Coś mu szeptało, że tego akurat powinien się wystrzegać.

Pozostawało czekanie. Will umieścił korek w buteleczce. Przez kraty wręczył Alyss skórzane etui z flakonikiem.

- Masz. Schowaj to gdzieś - poprosił. Ani myślał po raz kolejny odbywać wspinaczkę z tym paskudztwem w kieszeni.

Alyss machinalnie odłożyła buteleczkę w pozycji leżącej na głęboką kamienną półkę nad oknem.

- Jedno wciąż mnie nurtuje - perorował bezustannie Will, który starał się, by kurierka nie myślała o czekającym ją zjeździe. - Skąd się tu wziął ten przeklęty John Buttle? Powinien być już dawno wraz z wilczym okrętem na Skorghijl.

- Wilczy okręt wpadł w tarapaty - odpowiedziała Alyss. Kiedy Buttle ją rozpoznał, chęłpił się własnym szczęściem. Dopiero później Keren kazał ją przenieść do celi w wieży. - Dopadł ich sztorm. Skandian zniosło na zachód, wpadli na przybrzeżne skały. Statek został okropnie podziurawiony, załoga ledwie zdołała dobić do brzegu. Popłynęli w górę rzeki Oosel, szukając miejsca sposobnego na zimowisko. Wcześniej, kiedy doszli do wniosku, że statek tonie, rozwiązali Buttle'a. Skorzystał z okazji i zbiegł.

- Domyślam się, że odpłacił Skandianom za szlachetny gest w typowy dla siebie sposób? - Will właściwie nie musiał pytać.

Alyss potwierdziła.

- Dotarli do rzeki solidnie wyczerpani. Łotr, nim uciekł, zabił dwóch żeglarzy z wilczego okrętu. Tutaj trafił zupełnie przypadkowo.

- I odkrył, że pasuje jak stryczek do szubienicy - mruknął Will.

Kurierka przytaknęła.

- Zabawne - ciągnął Will - że ludzie tacy jak Buttle i Keren odnajdują się nawza...

Urwał w pół słowa, bo dziewczyna uniosła dłoń. Spojrzał zdziwiony. Krew odpływała z twarzy Alyss. Drzwi w pomieszczeniu obok otworzyły się, później zamknęły. Rycerz przez chwilę rozmawiał ze strażnikami.

- Keren! - wyszeptała nerwowo. - Willu, musisz stąd odejść! Natychmiast!

Zgarnęła linę, zwinęła ją w jeden kłęb. Przepchnęła sznur przez pręty. Leżał teraz obok Willa. Will desperacko szarpał pierwszy z prętów. Poruszył się trochę, lecz wciąż trzymał zbyt mocno, by dało się go usunąć.

- Idź! - błagała zrozpaczona Alyss. - Jeżeli on cię tu zastanie, zabije nas oboje.

Will, choć bez entuzjazmu, zgodził się z przyjaciółką. Uwięziony na wąskim parapecie, nie mógł liczyć, że zdoła pokonać w otwartej walce Kerena oraz strażników.

Jeżeli natomiast przynajmniej on pozostanie na wolności, zyskają kolejną szansę

wyrwania Alyss z matni.

W sąsiednim pomieszczeniu rozległ się głośny wybuch śmiechu. Oczy Alyss rozszerzyły się, gdy usłyszała chrobot klucza w zamku. Will wiedział, że czas odejść. Lecz pragnął coś jeszcze wytłumaczyć dziewczynie.

- Alyss. - Spojrzała, drżąc z przejęcia. - Jeżeli on będzie cię wypytywał, wyjaw mu wszystko, co zechce wiedzieć. Teraz już nikomu nie zaszkodziś. Po prostu, odpowiadaj na pytania.

Pomyślał z goryczą, że Alyss i tak nie zdołałaby ujawnić jego planu. Bo nie istniał żaden plan. Tym bardziej, zdaniem młodego zwiadowcy, Alyss nie powinna cierpieć. Bo cierpiałaby wyłącznie po to, żeby ukryć fakty, których Keren zapewne już się domyślił.

- Dobrze! - zgodziła się.

- Obiecuj - nalegał. - Nic, co mu powiesz, mnie już nie zaszkodzi.

Alyss była bliska paniki. Lecz wiedziała, że Will nie odejdzie, dopóki ona mu nie obieca.

- Obiecuję! Powiem wszystko! A teraz idź! No, już!

Will był zajęty przekładaniem liny między nogami, wzdłuż pleców i przez prawe ramię.

Naciągnął rękawice, chwycił lewą ręką koniec liny uwiązanej do pręta, około pół metra nad głową; prawej ręki używał do asekuracji, trzymając luźny koniec przy biodrze.

Alyss poczuła ucisk w żołądku, gdy Will zsuwał się w ciemną przestrzeń, oplótszy wokół ciała linę zadzierzgniętą w pętlę. Kontrolował zjazd, odbijając się od muru stopami.

- Wróć po ciebie - zawołał cicho. Powoli zjeżdżał. Kusilo go, żeby dostać się na dół najszybciej, jak się da. Ale wiedział, że wykonując zbyt gwałtowne ruchy ściągnie na siebie uwagę wartowników.

Alyss przytknęła palce do warg, posłała mu pocałunek. Potem pospiesznie odsunęła się od okna, zaciągając wcześniej zasłonę. Musiała zadbać, by Keren jak najdłużej nie zauważył liny. Gdyby Will został odkryty w trakcie zjazdu, nie przeżyłby.

Rozdział 38

Ledwie Alyss zdążyła wrócić do stołu, drzwi otworzyły się. Wszedł Keren. Gdy zamykał je za sobą, Alyss wzięła głęboki wdech i, wykorzystując całą siłę woli, zmusiła się, by zachować spokój. Starła się spoglądać na Kerena z wyrazem najwyższej pogardy.

- Cóż, wróciłem - odezwał się Keren. Uśmiechnął się radośnie, lekceważąc lodowate spojrzenie, jakim go obrzuciła. Potem skrzywił się. Węsząc, marszczył nos.

- Dobry Boże, a cóż to za paskudna woń? Chciałaś może podpalić komnatę?

Alyss zastanowiła się błyskawicznie. Już co prawda przywykła do gryzącego smrodu oparów kwasu, ale najwyraźniej wciąż wyczuwało się je w powietrzu. Pytanie Kerena podsunęło jej wszelako pewien pomysł. Wyprostowała się dumnie, spojrzała na rycerza z góry.

- Palłam pewne dokumenty - stwierdziła. - Uznałam, że lepiej, abyś się nie dowiedział, co w nich zapisano.

Keren przyjrzał się jej z namysłem.

- Doprawdy? - rzucił tonem nieco mniej radosnym. - Należało cię od razu przeszukać. Oto, co dostaję w nagrodę za moje rycerskie maniery. Próbujesz mnie zwodzić. - Sięgnął do sakiewki u pasa. - Zdajesz się zapominać o pewnym drobiażdżku. Mój mały niebieski przyjaciel potrafi cię zmusić, byś opisała zawartość dokumentów.

Serce Alyss załomotało, bo Keren wyjął niebieski kamień. Na przekór wszystkiemu, co już wiedziała, czuła niemal nieodparte pragnienie, by patrzeć. Z najwyższym wysiłkiem zdołała oderwać wzrok.

- Zdajesz się zapominać - odrzekła, naśladowując kąśliwy ton zdrajcy - że już raz zdołałam przemóc wpływ błękitu.

Keren rozsiadł się na jednym z krzeseł. Założył nogę na nogę. Podrzucał niebieski kamień jakby od niechcienia. Zaśmiał się, szczerze ubawiony.

- Fakt - przyznał. - Ale tłumaczyłem ci, że za drugim razem pójdzie nam znacznie łatwiej.

Alyss odwróciła się do zdrajcy plecami. Ruszyła ku drzwiom celi. Pragnęła zmusić Kerena, by spojrzenie skierował w tę właśnie stronę, bez zwracania uwagi na zasłonięte okno.

Może to było złudzenie, lecz od czasu do czasu słyszała dobiegające spod okna skrzypnięcia liny.

- Twoje jarmarczne sztuczki nie robią na mnie wrażenia - powiedziała. - Operujesz złudzeniami, a ja wiem, jak się im przeciwstawić.

Keren z pobłażaniem pokiwał głową.

- Z pewnością, dałabyś radę jarmarcznym sztuczkom - przytaknął - gdyby rzeczywiście szło o sztuczki. Jednak mamy tu do czynienia z czymś zupełnie innym. Zajmuje mnie bowiem mesmeryzm, rodzaj panowania nad czyimś umysłem. Kamień to tylko przedmiot, na którym skupia się twój umysł. On cię odpręża i pomaga mi przejąć nad tobą kontrolę.

Alyss zaśmiała się pogardliwie, chociaż przygnębił ją sens słów Kerena. Uświadomiła sobie, że opór ją przerasta. Musi wszakże ciągnąć grę najdłużej, jak tylko zdoła, aby dać Willowi więcej czasu.

- Skoro już wiem, w czym rzecz, postaram się przezwyciężyć pokusę. Żadnego odprężenia - oznajmiła.

Keren wstrząsnął głową.

- W normalnej sytuacji zdołałabyś mi umknąć. Jeżeli wiesz, do czego służy kamień, potrafisz mu się oprzeć. Lecz ty już wpadłaś w pułapkę. W trakcie pierwszego seansu, kiedy starałaś się kontrolować emocje, kamień wszystko zapisywał. Wywołał coś, co ja nazywam „pamięcią mesmeryczną”.

Alyss przewróciła oczami.

- Wstrząsające, bezgraniczne, przerażające - zadrwiła. Jednak robak strachu już zaczął wgryzać się w jej serce. Keren był zbyt pewny siebie. Choć uwielbiał chełpić się po próżnicy.

- Wcale nie przerażające. Po prostu użyteczne - wyjaśnił nadzwyczaj rzeczowym tonem. - Bo widzisz, kiedy wpadasz w sidła mesmeryzmu, potrafię umieścić w głębi twojego umysłu wspomnienie. Ono pozwoli mi ponownie wprowadzić cię w trans mesmeryczny. I to niemal w mgnieniu oka. Muszę jedynie powrócić do ostatniego tematu, jaki podejmowaliśmy.

- Dość to nudne - parsknęła sarkastycznie. Jednak strach Alyss narastał z każdym wypowiedzianym słowem.

On zaś nie przestawał się uśmiechać. Podziwiał jej odwagę, doceniał walecznego ducha. Zresztą, podziwiając i doceniając Alyss, niczym nie ryzykował. W mgnieniu oka zdoła wprowadzić dziewczynę w trans. Wyciągnął rękę, zademonstrował kamień. Prędko odwróciła głowę.

- Jak mi się zdaje... ostatnio rozmawialiśmy o twoim przyjacielu Willu i o jego prawdziwym życiowym powołaniu. Czyż nie tak?

Na przekór samej sobie, Alyss poczuła, że coś w jej umyśle pęka. Poddawała się. Kamień, błyszczący w dłoni Kerena, nieubłaganie kusił. Pulsował niebieskim światłem, magia chłodnego blasku nie dawała się odeprzeć. Zniewolona, ruszyła w stronę błękitu.

- Will jest zwiadowcą - wyznała. Umysł dziewczyny toczył walkę sam ze sobą. Wreszcie nie zdołała zahamować wymykających się słów. Niewyraźnie, jakby z bardzo daleka, nawiedziła ją odraza. Brzydziła się siebie, pogardzała sobą za tchórzostwo.

- Rzecz jasna. Przecież o tym, że mamy do czynienia ze zwiadowcą, już uprzednio wiedzieliśmy, prawda? Ale ciekawią mnie dokumenty, które spaliłaś. Opowiedz mi o nich.

- Nie było żadnych dokumentów - odparła. I znowu, jakby na innym poziomie, jej umysł walczył, żeby odzyskać nad sobą kontrolę. Słowa brzmiały głucho, beznamiętnie. Nie umiała się powstrzymać, choć zdawała sobie sprawę, że za moment ujawni najbardziej niebezpieczny sekret ze wszystkich. - Ta woń. Ten kwas.

Uśmiech zniknął z twarzy Kerena. Zaniepokoił się. Nie rozumiał...

- Kwas? Jaki kwas? - zapytał pośpiesznie.

- Will nalał kwasu na kraty - odpowiedziała Alyss. W głębi umysłu coś wrzeszczało: Zamilcz! Na litość boską, zamilcz! Will potrzebuje czasu, żeby się wydostać, ty żaloszny tchórz! A potem, przerażona, usłyszała swoje własne słowa:

- Will potrzebuje czasu, żeby się wydostać.

Keren zrozumiał wreszcie. Twarz mu się zmieniła. Zerwał się z krzesła. Swoboda, jaką wcześniej okazywał, rozluźnienie, przyjazna życzliwość, wszystko to w jednej chwili zniknęło. Krzesło, na którym dotąd siedział, trzasnęło o podłogę. W dwóch długich susach dopadł okna, szarpnięciem odsunął na bok zasłonę.

Opary wyczuwało się tu silniej, gdyż kwas w dalszym ciągu przeżerał żelazo. Cienkie spirale dymu unosiły się od podstaw obu środkowych prętów. Keren zauważył wokół krat maleńkie kałuże jakiejś cieczy. Kwas, przedtem bezbarwny, teraz, rozpuszczając metal, nabrał rdzawej barwy. Keren chwycił pręt po prawej. Szarpnął. Skruszył resztki mocowania kraty. Zmrużył oczy, odwrócił się do Alyss.

- Gdzie on zniknął? - zapytał ostro. Logika podpowiadała mu, że Barton nie mógł uciec przez okno. To niepojęte. Chociaż nie pojmował również, jakim cudem zwiadowca w ogóle dostał się do pokoju.

Nie przyszło mu do głowy, że Will wcale nie wszedł do środka. Keren, wpatrzony w dwie dymiące kałuże kwasu wokół środkowych prętów, nie zauważył liny obwiązanej wokół ostatniego pręta po lewej.

Z ust Alyss nie padła żadna odpowiedź. Przytłoczona napięciem, zmożona siłami walczącymi w jej głowie, padła zemdlona już wtedy, gdy Keren zrywał się, by obejrzeć kraty. Leżała, bezwładna, obok przewróconego krzesła. Klnąc cicho, Keren ruszył w jej stronę. Przyrzekł sobie, że tak czy owak, wyciągnie z dziewczyny odpowiedź. Nawet gdyby miał z niej siłą wydusić prawdę. A potem usłyszał od strony okna ledwie uchwytnie uchem skrzypnięcie. Przystanął. Obrócił się na pięcie. Spojrzał na okno. Tym razem zauważył pętlę, zaciągniętą u dołu pręta. Rzucił się do przodu. Zaklął, bowiem oparł się o parapet i poparzył dłoń rozlanym kwasem. Lina wciąż była mocno napięta, włókna trzeszczały, kołysząc się lekko pod ciężarem czegoś albo kogoś na drugim końcu.

Błyskawicznym ruchem Keren sięgnął po sztylet. Przełożył dłoń przez kraty, starając się przeciąć napiętą linę. Czuł, jak poszczególne pasma poddają się naciskowi noża. Już chciał wzywać do celi strażników ustawionych pod drzwiami Alyss, ale zdał sobie sprawę, że istnieje lepsze rozwiązanie. Wydarł się co sił w płucach do wartowników maszerujących na murze.

- Straż! Straż! Intruz w zamku! Intruz w stołpie! Zatrzymać go!

Daleko w dole Will usłyszał krzyki. Wyczuł delikatne wibrowanie liny, kiedy ktoś piłował ją sztyletem. Wiedząc, że zostały mu tylko sekundy, uwolnił stopy, pozwolił im zwisać swobodnie, tak że zakołysał się przy ścianie. Desperacko próbował wymacać prawą ręką jakieś oparcie, aż w końcu znalazł głęboką szczelinę między dwoma blokami granitu. Wtedy wypuścił linę z lewej dłoni, poszukał innego punktu zaczepienia. Poradził sobie na czas, bo za chwilę przecięta lina opadła obok z łoskotem, zwijając się na kamieniach niczym olbrzymi wąż.

Will wciąż jeszcze znajdował się prawie w jednej czwartej wysokości wieży. Usłyszał za sobą okrzyki dezorientowanych strażników na blankach. Starali się zrozumieć, o co chodzi Kerenowi. Zwiadowca brawurowo pokonał ostatnie metry, zdzierając sobie przy tym skórę i paznokcie oraz rozdzierając o ostry kamień spodnie z grubej skóry. Gdy zostały mu ostatnie trzy metry, zdecydował się skoczyć. Wylądował jak kot, napinając mięśnie kostek i kolan, żeby zamortyzować wstrząs. Wszędzie wokół odbijały się echem pomieszane okrzyki strażników. Krzyczeli do siebie, żeby ustalić, co się właściwie stało.

Parę kroków dalej drzwi stołpu otworzyły się z hukiem. Wybiegł z nich sierżant uzbrojony w halabardę, broń stanowiącą połączenie topora i włóczni, osadzoną na długim

drzewcu. Rozglądał się na boki, żeby zobaczyć, o co chodzi w tym rozgardiaszu. Will nasunął kaptur na głowę. Ustawiony w półmroku, wskazał ręką kłęb splątanej liny.

- Tam pobiegł! - krzyknął. - Za nim! Biegnie do stajni!

Nie zastanawiając się długo, sierżant ruszył we wskazanym kierunku. Gdy jednak mijał Willa, rozpoznał młodą twarz zbiegłego minstrela.

- Ejże, zaraz - odezwał się. - Ty jesteś... - Jeszcze nim dokończył zdanie, już zaatakował halabardą. Will odparował cios ciężkiego ostrza ściskaną w dłoni saksą. Chwytał sierżanta za ramię. Obrócił się, przykucnął, jednym płynnym ruchem cisnął nim o kamienną posadzkę dziedzińca, wykonując porządny rzut przez ramię. Głowa sierżanta huknęła o twarde kamienie. Hełm potoczył się na bok. Żołnierz stracił przytomność.

Will chwycił hełm, podniósł długą, ciężką broń. Potem zatrzymał się na moment. Nim pognał ku schodom, odciął kawał liny. Z wysokości stołpu, gdzie w celi wraz z Alyss tkwił Keren, usłyszał, jak rycerz wrzeszczy, odprowadzając oczami umykającego Willa. Zwiadowca też zaczął krzyczeć. Po części, by zagłuszyć Kerena, po części dla zwiększenia zamieszania.

- W stołpie! - wrzasnął. - Są w stołpie. Setki ich! Wszyscy strażnicy do bramy!

Pognał po schodach na blanki, po drodze wciskając na głowę ciężki żelazny hełm sierżanta. Cały czas wykrzykiwał sprzeczne rozkazy, posyłał ludzi to do bramy, to do stołpu, to do północnej wieży. Wiedział, że w zamieszaniu powinien upatrywać głównego sojusznika. Sprzyjało mu nie tylko zamieszanie. Posiadał nad zbrojnymi z zamkowej załogi jedną niezaprzeczną przewagę. On wiedział, iż wszyscy tu są jego wrogami. Natomiast strażnicy musieli dopiero sprawdzać tożsamość każdej kolejno napotkanej osoby.

Wybiegł na wał obronny południowego muru, w pobliżu blanków. Trzech strażników gnało w tę samą stronę, za nim zaś znajdowała się zachodnia brama. Mężczyźni zatrzymali się na widok uzbrojonego w halabardę młodzika w hełmie. Will szaleńczo zamachał rękoma w kierunku muru za plecami wartowników.

- Na ziemię, głupcy! Tam są łucznicy! - wrzasnął.

Trudno sobie wyobrazić, by o grożącym niebezpieczeństwie napastnik ostrzegał obrońców. Trzej żołnierze usłuchali natychmiast. Nie minęła chwila, a rozplaszczeni na dziedzińcu, oczekiwali w każdej chwili świstu strzał.

Will popędził do wieży. Zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe. W pobliżu dostrzegł sporych rozmiarów beczkę. Przetoczył ją pod drzwi, sam zaś wyszedł po drugiej stronie zachodnich obwarowań. Tutaj ciągle jeszcze panował względny spokój, chociaż do uszu Willa dobiegł odgłos ciężkich kroków na wewnętrznych schodach, prowadzących w dół z

blanków na wieży. Uciekinier błyskawicznie zamocował pętlę na drzewcu halabardy. Następnie wetknął masywną broń między dwa kamienie na blankach. Wolny koniec liny opadł po zewnętrznej stronie muru.

Will zjechał w dół. Zorientował się, że do podstawy muru zabraknie mu sporego kawałka liny. Rozejrzał się, skoczył. Tym razem nie poszło mu tak gładko jak podczas ucieczki ze stołpu. Trafił na nierówny grunt, z impetem przewrócił się na bok, aż rąbnął kolanem o ostrą skałę.

- Należy jednak używać długiej liny - mruknął.

Pogoń niechybnie dotrze tutaj, wiedział to doskonale. Cofnął się zatem. Kulejąc, obszedł wieżę, dokuśtykał aż do południowego muru. Trzymał się blisko obwarowań, dzięki czemu pozostawał cały czas ukryty w głębokim cieniu. Gdy już się znalazł, gdzie zmierzał, ułożył wargi do przenikliwego gwizdu. Rozległ się krótki, wysoki dźwięk, wznoszący się stopniowo o jeden ton.

Powyżej miejsca, gdzie się przycaił, rozlegały się okrzyki, z blanków dobiegał tupot. Wykrzykiwano sprzeczne rozkazy. Wśród panującego zamętu Will nie wyłowił wrzasków Kerena. Domyślił się, że rycerz-renegat gna właśnie po schodach wiodących ze szczytu stołpu, żeby przejąć kontrolę nad polowaniem. Niech sobie gna, pomyślał ponuro Will. Zagwizdał raz jeszcze. W ogromnym zamieszaniu nikt z zamkowych nie zważał na gwizd.

Sto pięćdziesiąt metrów dalej, tuż za niedużym wzniesieniem, nasłuchiwały czujniejsze uszy.

Will miał już zagwizdać po raz trzeci, gdy z oddali usłyszał łomot pędzących kopyt. Akurat ten koński chód rozpoznawał z łatwością. W uszach zwiadowcy narastał rytmiczny galop krótkonogiego Wyrwija.

Konik pojawił się na wzgórzu. Gnał ku zamkowym murom, lecz kierując się nieco zbyt na prawo od miejsca, gdzie ukrył się Will. Zwiadowca gwizdnał ponownie. Wyrwij natychmiast skorygował trasę. Skręcił wprost ku swemu panu.

Will przestał się kryć. Biegł w stronę Wyrwija, najszybciej jak tylko zdołał. Za jego plecami narastała wrzawa, ale ani myślał zastanawiać się, czy już został odkryty, czy też wrzawa wchodzi w skład ogólnego zamieszania. Nie miał zamiaru tego sprawdzać.

Wyrwij zarył kopytami obok Willa. Przez moment ślizgał się na sztywnych nogach, kładł uszy po sobie i odsłaniał zęby w powitalnym rzeniu. Will nie tracił czasu. Wygodne siodło musiało poczekać. Kiedy tylko konik się odwrócił, chwycił się obiema rękami przedniego łęku.

- Ruszaj! - pogonił. - Ruszaj! Ruszaj! Ruszaj!

Okrzyki, dobiegające od strony zamku, zwały się w jeden ryk. Teraz już go na pewno dostrzegli. Niezbyt się przeląkł. Bo żeby trafić w ciemności, gdy cel przemieszcza się błyskawicznie, trzeba prawdziwego mistrza. Który posiada akurat pod ręką naciągniętą kuszę. Mało prawdopodobne. Wyrwij przyspieszał. Oddalali się od zamku. Wyciągnięty galop osiągnęli już po pół tuzinie kroków. Podciągając kolana, żeby nie dotykać ziemi, Will przez chwilę zwisał na siodle. Potem, gdy oszacował czas oraz pęd, gdy uwzględnił chód konika, dotknął stopą ziemi. Wykorzystał odbicie, wskoczył na siodło. Wyrwij z aprobatą potrząsnął łbem.

- Dobry konik - rzucił Will, nisko pochylony nad końską grzywą.

Nie zmieniając tempa, Wyrwij wydał krótkie, karcące rżenie.

„Chyba ci tłumaczyłem, żebyś się trzymał z dala od kłopotów”.

- Nie zrzedź - odburknął Will. Wyrwij miał to w chrapach. I słusznie.

Za szczytem wzgórza Will dostrzegł niewyraźne sylwetki Xandera oraz Malcolma. Czekali na niego. Powściągnął wodze. Wyrwij stanął.

- Jakież kłopoty? - dopytywał się Xander.

Will pokręcił głową.

- Widziałem ją. Rozmawialiśmy. Ale Keren zjawił się, zanim zdołałem się do niej dostać, niech go diabli.

- Co teraz? - Malcolm dorzucił własne trzy grosze.

- Teraz wracamy do lasu - odpowiedział zrezygnowany Will.

Xander łypnął z zaciekawieniem. Młody zwiadowca na pozór przyznawał się do porażki. Ale w jego głosie pojawił się ton ponurej determinacji. Xander wiedział, że to jeszcze nie koniec.

- A potem? - spytał.

Will zwrócił się w stronę łysej wiewiórki. Kaptur przysłaśniał mu część twarzy. Xander widział tylko usta i zaciśniętą w wyrazie chłodnego zdecydowania szczękę.

- Potem - stwierdził Will - zamierzam wydostać Alyss z przekłętą Zamku Macindaw. Choćbym miał go rozebrać kamień po kamieniu.

Epilog

Horace z niepewną miną spoglądał na dwóch starszych zwiadowców. Siedzieli naprzeciw niego. - Chcecie, żebym udał się do Macindaw? - rzekł z namysłem. - Co, waszym zdaniem, zdołam osiągnąć ja, skoro Will i Alyss nie dają tam sobie rady?

Znajdowali się w jednej ze strzelistych wież Zamku Araluen. Gabinet Crowleya był mały, ale przytulny i ciepły. Na otwartym palenisku, umieszczonym w rogu, płonął ogień. Halt z Crowleyem wymienili spojrzenia. Dowódca Korpusu Zwiadowców dał znak ręką przyjacielowi. Halt przystąpił do wyjaśnień.

- Poczulibyśmy się lepiej, gdyby Will i Alyss zyskali wsparcie.

Horace uśmiechnął się.

- Ale przecież ja jestem tylko jeden.

Halt zachowywał niezmacony spokój. Spojrzał młodemu rycerzowi prosto w oczy.

- Widziałem cię w akcji, Horace. Ciebie jednego starczy za wielu. Dobrze byłoby wiedzieć, że osłaniasz własnym mieczem Willa. Poza tym należy wysłać tam kogoś, kogo oni oboje znają. I komu ufają.

Horace w gruncie rzeczy bardzo się ucieszył, słysząc propozycję złożoną przez szacownych zwiadowców.

- Chętnie ich znów zobaczę - przyznał. Życie w Zamku Araluen zimą bywało dosyć nudnawe. Nadzieja na ciekawą misję cieszyła wybornego szermierza znacznie bardziej niż perspektywa spędzania gnuśnych dni wśród dworskich intryg. On i Alyss przyjaźnili się od dziecięcych lat. Willa, najlepszego przyjaciela, nie widział już kilka miesięcy.

Halt wstał. Podeszedł do okna, zerknął na szary zimowy krajobraz.

- Najbardziej martwi nas brak informacji - powiedział. - Do tej pory przestrzegany był obieg wiadomości. Służący Alyss powinien już dawno coś przysłać. Wczoraj my wysłaliśmy gołębia. Wciąż nie wraca. Owszem, ptak musi wypocząć. Tylko że czeka pół tuzina innych, gotowych w każdej chwili do lotu.

- Oczywiście, nie wykluczamy, iż jakiś jastrząb dopadł gołębia - wtrącił Crowley. - To się zdarza.

Halt okazał rzadkie u siebie zniecierpliwienie. Horace wyczuł, że dwaj starzy przyjaciele przegadali setki godzin na temat milczenia Willa oraz Alyss, rozpatrzyli mrowie wariantów.

- Wiem! - rzucił krótko. Spojrzał na Horace'a. - Może to nic takiego. Crowley pewnie ma rację. Jednak nie chcę ryzykować. Wolałbym wiedzieć, że już wyruszyłeś. Jeżeli w międzyczasie dowiemy się czegoś konkretnego, w każdej chwili zdołamy cię odwołać.

Horace obdarzył drobnego siwowłosego mężczyznę ciepłym spojrzeniem. Rozumiał powody Halta. Doświadczony zwiadowca zamartwia się, ponieważ nikt inny, tylko Will, najbliższy jego sercu wychowanek, zniknął tam, w zasypanym śniegami lennie, daleko na północy. Nie ma znaczenia, ile upłynęło lat. Halt zawsze będzie traktował Willa w zakamarkach serca i umysłu jako swojego młodego ucznia. Rycerz podszedł do zwiadowcy.

- Nie martw się, Halt - powiedział spokojnie. - Zadbam o to, żeby byli bezpieczni.

W oczach Halta zabłysła iskierka wdzięczności.

- Dziękuję, Horace.

- Hawken. Dziękujesz Hawkenowi - wtrącił Crowley. Uznał, że najwyższy czas, by przejść do rzeczy. - Lepiej przywyknij.

Horace zmarszczył czoło. Nie rozumiał.

- Twoje nowe imię - wyjaśnił mu Crowley. - To tajna misja. Nie możemy pozwolić, żeby najsłynniejszy młody rycerz Araluenu, ni z gruszki, ni z pietruszki, pojawił się w lennie Norgate. Pojedziesz jako sir Hawken, wolny strzelec. Każ sobie wymalować na tarczy błękitną pięść.

Błękitna pięść w Araluenu oznaczała wolnego strzelca. Rycerza, którzy szuka zatrudnienia. Horace skinął głową.

- Zatem ja mam stać się ich mieczem, a Will oraz Alyss zajmą się myśleniem - stwierdził pogodnie.

Halt spojrzał z nasróżoną miną. Potem pokręcił głową.

- Nie umniejszaj wartości własnego umysłu, Horace. Można na tobie polegać, odznaczasz się zmysłem praktycznym. Niekiedy my, przebiegli zwiadowcy oraz kurierzy, potrzebujemy dla równowagi właśnie takiego stylu rozumowania. Żeby się nie pogubić.

Horace'a pochwała z ust Halta wprawiła w nie lada zakłopotanie. Akurat nikt nigdy nie wychwalał sprawności umysłowej młodej gwiazdy araluńskiego rycerstwa.

- Dziękuję ci, Halt - odparł. Po chwili na jego twarzy znów wykwitł uśmiech. - Słuchaj, spróbuję cię przekonać. Pojechałbyś ze mną? Byłoby jak za dawnych lat, w Gallii.

Tym razem uśmiechnął się Halt. Pokręcił przecząco głową.

- W Macindaw mamy już jednego zwiadowcę - wyjaśnił. - O ile nie zacznie się atak na wielką skalę, jeden z nas zazwyczaj wystarcza.